

Moje wspomnienia " Za Wilią "

Część 2

Udział w Armii Krajowej w latach 1940 - 1944 .

Spis treści :

Od autora

1. Po kampanii wrześniowej
2. Konspiracja
3. Inwazja niemiecka
4. Nowe zadania i kłopoty gospodarze
5. Nowe środowisko - Żydzi, partyzanci radzieccy
6. Przeciw rekwizycji
7. Zasięg na Litwę
8. Oddział "Błyskawica
9. Pod Giedrojciemi
10. Wypadek na Dubinki
11. Postrach osadników litewskich
12. Tragédia "Jaskółki "
13. Tragiczna zabawa w Szaltaniszkach
14. Partyzanci w Gliniszkach
15. Imieniny Jana Paszkowskiego
16. Koncentracja oddziałów brygady - akcja "Burza"
17. Pod Niemenczykiem
18. Akcja w Korwie
19. Marsz na Wilno
20. Wydarzenia w Gładkiszkach
21. Biwak nad jeziorem Gulbińskim
22. Postój w Lubowie
23. Marsz za Wilię
24. Marsz na koncentrację zgrupowania ^{Brygada} A K
25. Ostatni etap
26. W drodze do domu

x x x

1. Po kampanii wrześniowej

Na wojnę zostałem zmobilizowany w ostatnich dniach sierpnia 1939r. jako oficer rezerwy ze stałym przydziałem do łączności dywizyjnej I Dywizji Piechoty Legionów w Wilnie.

Los wojny rzucił mnie we wrześniu tegoż roku do obozu internowanych w Kułatowie na Litwie. Po odsiedzeniu kary za próbę ucieczki na Zachód, zostałem przeniesiony do obozu karnego w Kalwarii Suwalskiej, skąd z inicjatywy krewnych na Litwie, nawpół legalnie, znalazłem się na wolności.

Wróciłem do domu na gospodarstwo rolne w Chmiziutce, zaścianku położonym w gminie podbrzeskiej, powiatu wileńsko - trockiego, na pograniczu gminy rzeszańskiej.

X

Chmiziutka, niewielki zaścianek, zlokalizowany w pobliżu drogi wiodącej z Niemc^{zn}szyna do Mejszagoły, głównych miasteczek sąsiednich gmin. Odległość od Wilna około 20 km, a od głównego traktu, łączącego Podbrzezie z Wilnem 3 km, na styku z Gieglówką, niewielką wsią przydrożną.

Zaścianek Chmiziutka składał się z kilku gospodarstw, należących poza mną do sąsiadów : braci Błażewiczów, Norberta Zajączkowskiego i Piercewicza.

Gospodarstwo nabyte przeze mnie w 1935 r było w stanie zniszczonym i zaniedbanym. W ciągu paru lat zostały odbudowane : dom mieszkalny, stodoła i obora. Jedyne mały spichrz pozostawał w stanie użytecznym bez remontu.

Gospodarstwo moje przylegało do ośrodka rozparcelowanego majątku Niemenczyka, stanowiącego wraz z niemałym sadem własność Bolesława Łabanowskiego i jego óreki: zamężnej Aldony Pieciukiewicz i panny Heleny.

Najbliższą sąsiadką, właścicielką gospodarstwa, zorganizowanego na gruntach nabytych z parcelacji majątku była Pomietlakowa - nauczycielka z zawodu .

Nieco dalszymi sąsiadami byli gospodarze najbliższych wsi: Zajezierce nad małym jeziorem niemenczykowskim ^{W.} oraz Szaktaniszki nad jeziorem należącym do majątku Pikieliszki, stanowiącego własność Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Naprzeciwko Szaktaniszek, tuż za jeziorem, na jego brzegu, znajdowały się zabudowania sąsiedztwa Wierzbiszki, stanowiącego własność sążółtych gospodarzy braci : Jana i Stanisława Paszkowskich.

Spośród innych sąsiadujących większych gospodarstw, rozrzuconych na koloniach i sąsiedztwach, położonych przeważnie między Chmiziotką a lasem majątku Lubowa /należącego do Sliźnia/, wymienić można ich właścicieli: Siemaszki, braci - Włodentego i Michała Sadowskich, Lawińskiego, Zdrojewskiego, Klimaszewskiego, Filipowicza, Wojciechowskiego, Petryka i Gasperowicza.

[Do] Po wybuchu wojny pracowałem w Wileńskiej Izbie Rolniczej, a nabyte gospodarstwo traktowałem w celu uzupełnienia praktyki zawodowej, odpowiedniej do uzyskanego na zakończenie studiów w Uniwersytecie Poznańskim w 1929 r. stopnia inżyniera rolnictwa. Stąd moje stałe zainteresowanie funkcją gospodarstwa i czynienie niezbędnych inwestycji, które miały go postawić na poziomie produkcyjnym.

Po powrocie z obozu internowanych na Litwie ^{W końcu lipca 1940} na gospodarstwo w końcu ^{Syboru} ~~lipca~~ 1940 r zdałem sprawę, że z konieczności będzie ono główną podporą wojennego życia.

O pracy zarobkowej, jaką mógłbym otrzymać z rąk administracji Litewskiej w Wilnie lub na prowincji, nie chciałem myśleć

proponowano
pomimo, że wysuwano mi ~~proponując~~ zatrudnienia w charakterze
agronoma lub kierownika w którymś z majątków ostlandowskich.

Idąc na wojnę ani chwili nie myślałem o gospodarstwie
i innych podobnych sprawach. Zresztą wiedziałem, że gospoda-
rstwem opiekował się stary ojciec, który miał do pomocy dwóch
robotników: chłopca Władka i dziewczynę Dominikę oraz pozosta-
łych w domu w pobliskiej wsi Zajezerce życzliwych sąsiadów.

Po powrocie z obozu internowanych w znacznej mierze
gospodarstwem zajmowałem się osobiście. Co prawda, niezupełnie
legalny powrót z obozu, na razie nie sprzyjał stałemu osiedleniu
się. Toteż zmuszony byłem czasowo prowadzić żywot wędrowny,
odwiedzając krewniaków osiadłych na wsi w sąsiednich gminach,
tudzież na sąsiadującym terenie Litwy, na który drogi były
otwarte.

Po oswojeniu się z miejscową administracją litewską
i dzięki życzliwemu podejściu ze strony sołtysa Franciszka
Suchodolskiego, pełniącego swoją funkcję od kilku lat przed
wybuchem wojny, zacząłem z wolna oswajać się ze stałym miejscem
pobytu w Chmizintce.

Gospodarstwo prowadziłem sam, przy wydatnej pomocy ojca -
Stanisława, który z powodu podeszłego wieku nie podejmował
cięższej pracy fizycznej, lecz był niezastąpiony w czasie mojej
nieobecności. Wszelkie prace w gospodarstwie wykonywałem
osobiście, korzystając z pomocy dwóch robotników stałych
i wynajmowanych doraźnie spośród sąsiadów z wsi Zajezerce.

Reszta rodziny przebywała w Wilnie lub na wsi, z wyjątkiem
zamężnej siostry Genowefy, która mieszkała w Pułtusku.

Matka nasza Konstancja i brat Aleksander z żoną i dziećmi

pozostawali w Wilnie w domu moich rodziców. Brat Wacław z żoną, dziećmi i dwoma członkami rodziny swojej żony, w czasie wojny prowadził osobiście gospodarstwo rolne w zaścianku Skierdzima /koło Sużan / gm. niemenczyńskiej.

Obaj młodsi ode mnie bracia: Wacław i Aleksander byli również zmobilizowani - brali udział w kampanii wrześniowej. Reszta braci najmłodszych: Kazimierz i Romuald byli po ukończeniu szkoły podstawowej. W czasie okupacji niemieckiej, uchylając się od wyjazdu na przymusowe roboty do Niemiec, ukrywali się na robotach w majątku Ostlandowskim w Gliniszkach / gm. podbrzeska/, administrowanym przez naszego kuzyna, Władysława Mackiewicza. W niedługim też czasie obaj bracia znaleźli się w oddziałach leśnych A K.

Żona moja Bronisława, nie chciała ani mieszkać, ani pracować na wsi. Z dziećmi: starszym synem Henrykiem i córką Zofią, wraz ze swoją matką, żona przebywała w Wilnie, gdzie też mieszkała w swoim domu przy ul. Pionierskiej. Przyjazd do Chmiziotki, każdorazowo na skutek mego usilnego nalegania, traktowany był przez żonę jako wycieczka, z której chciała wracać za wszelką cenę, domagając się furmanki do Wilna, bez względu na pilność robót w gospodarstwie.

Po osiedleniu się w Chmiziotce w ciągu wielu miesięcy, rzecz można aż do połowy lata roku 1941, w znacznym stopniu absorbowало mnie wiele drobnych spraw wynikających z prowadzenia gospodarstwa, które stanowiło główną podporę wyżywienia. W tych też sprawach odwiedziłem krewnych na Litwie - kuzynkę Julię z mężem Józefem Sławińskim na gospodarstwie położonym pomiędzy Giedrojciami a Pozelwien, małymi miasteczkami, gdzie

1 - 2 razy w tygodniu odbywały się wiejskie targi. Na targach tych i w dalej położonych Malatach kupowałem najczęściej słoninę i pszenicę, a w późniejszym okresie prowadziłem handel prosiakami, które po zakupieniu na Litwie wywoziłem na targ w Podbrodziu, gdzie popyt na ten towar był wielki .

Sławiński był moim tłumaczem, ułatwiał nawiązywanie kontaktów handlowych z miejscowymi gospodarzami, zarówno ze swoimi sąsiadami, jak i w miasteczkach na targach. Pomimo, że języka litewskiego nie znałem, dzięki Sławińskiemu i mojej postawie szybko zdobyłem zaufanie wśród dostawców poszukiwanego przeze mnie towaru. Byłem przez nich zapraszany, serdecznie przyjmowany i częstowany. Wraz z mięsnymi zakąskami na stole znajdował się samogon i popularne wiejskie piwo, bardzo rozpowszechniony napój wśród wielu gospodarzy. Uważano mnie za polskiego kupca, z Wilna i to krewniaka Sławińskich, cieszących się poważaniem zarówno wśród gospodarzy rozmawiających po polsku / osiadłych tam Polaków / jak i wśród Litwinów.

Zakupioną pszenicę, w wiejskich młynach przetwarzałem na mąkę, którą jako produkt bardzo poszukiwany wraz z litewską, grubą słoniną sprzedawałem przeważnie wśród znajomych w Wilnie, gdzie zapotrzebowanie na środki żywności było wielkie .

X

Wilno w kampanii wrześniowej w wojnie polsko - niemieckiej nie ucierpiało. Miasto ze znaczną częścią woj. wileńskiego po wejściu na terytorium Polski czerwonej armii, zostało przekazane w administrację litewską . Obok żołnierzy czerwonej armii, ćwiczących się na peryferiach miasta, w samym mieście pojawiła się policja litewska i nieliczni żołnierze.

L Wilno, które przed wojną liczyło około 200 000 mieszkańców, przeważnie Polaków i Żydów, na skutek działań wojennych w ciągu paru tygodni wchłonęło masy uciek^lnierów, przeważnie z Warszawy pomorza i poznańskiego, szukających tu schronienia przed Niemcami. Ogólne zaludnienie wzrosło zapewne wiele ponad 300 000 osób.

Zaprowiantowanie tak zaludnionego miasta przysparzało wiele kłopotów administracji litewskiej, która w owym czasie czyniła wysiłek, by powstałemu zadaniu uczynić zadość. Kłopoty aprowizyjne potęgowały się potrzebą wyżywienia internowanych żołnierzy polskich zgrupowanych w dość licznych obozach rozmieszczonych w różnych rejonach Litwy. Zapewne też niemałą rolę odgrywała potrzeba wyżywienia stacjonujących tu wojsk^{rozwiązanej} armii.

Wyjazdy do Wilna w sprawach handlowych, połączone były z poszukiwaniem i nawiązywaniem bezpośrednich kontaktów ze znajomymi i kolegami. Wielu spośród nich, niestety, już nigdy widzieć nie mogłem - zginęli na wojnie, bądź w obozach jenieckich lub internowanych. Między innymi był w obozie internowanych ^{Rozdzielnie} W. Kozłowski w Związku Radzieckim, a następnie został zamordowany w Katyniu, najbliższy mój kolega szkolny i uniwersytecki Ryszard Wilamowicz.

Rychło okazało się, że większość spośród tych, którzy znaleźli się w Wilnie, nie miała zatrudnienia i potrzebowała pomocy materialnej. Pomimo niedostatku żywności, jaką odczuwało społeczeństwo wileńskie w tym okresie, jego postawa moralna kształtowała się na gruncie wielkiej nadziei. Wojna trwała, a jednocześnie wzrastała wiara w zwycięstwo słusznej sprawy - wyzwolenia tak brutalnie napadniętego Kraju, chociaż twarda

rzeczywistość w nielicznych przypadkach budziła poważne refleksje i zwątpienie .

X

Latem 1940r do Wilna, a stamtąd na wieś i do Chmiziotki dotarła wiadomość, że na Litwę wkroczyły Oddziały Czerwonej Armii, celem utworzenia baz wojskowych. Było to 15 czerwca 1940r. Jednocześnie został slikwidowany ówczesny rząd Litewski z Prezydentem A. Smetoną na czele . Sam Prezydent umknął na granicę a większość członków rządu i administracji została internowana i wywieziona na Sybir do ciężkich robót. Skąd tylko nielicznym, którzy przeżyli - po wielu latach udało się wrócić do Kraju .

W miejsce niepodległej Litwy, Związek Radziecki ufundował swój rząd, który stanął na czele tak zwanej " Republiki Litewskiej ", jako jednej ze składowych republik związkowych. Na terenie całej Litwy, jak również we włączonym doń Wilnie z przyległymi niewielkimi rejonami pow. wileńsko - trockiego, została zorganizowana administracja radziecko - litewska . Radzieckie Władze Bezpieczeństwa / NKWD / przysłane z Rosji , wspólnie z miejscową służbą bezpieczeństwa, rekrutującą się przeważnie spośród Żydów oraz z powołaną litewską milicją, działalność swoją rozpoczęły od wyławiania byłych żołnierzy wojska polskiego, szczególnie oficerów i podoficerów, którzy uniknęli niewoli niemieckiej i obozów radzieckich. W prędkim też czasie łapanką i masową deportacją ludności na ziemie dalekiej Azji Związku Radzieckiego, objęta została cała Republika Litewska i ziemie polskie włączone do Republiki Białoruskiej. Największe nasilenie przymusowej wywózki ludności miejskiej i wiejskiej przypadło na pierwsze półrocze 1941 r.

Specjalne samochody z obsługą bezpieczeństwa, z zachowaniem tajemnicy niespodziewanie sajeżdżały przed dom znajdującego się na liście gospodarza. Obecny domownik nakazywano zabrać na siebie przyodziewek i żywność na drogę, bez określenia ani celu, ani czasu podróży. Zebrane w ten sposób rodziny swołono i ładowano do transportów kolejowych, formowanych w Wilnie i innych stacjach. Skąd w wagonach towarowych, zatłoczonych i pilnie strzeżonych w warunkach nieludzkich kierowano na ziemie Kazachstanu i innej azjatyckiej części Kraju rad.

Pewnego dnia wiosną 1941 r. wracając z pobliskiego lasu z wozem drzewa w odległości 1 km od domu, przejeżdżającego koło gospodarstwa sąsiada Michała Sadowskiego, zostałem przez niego zatrzymany. Z wielkim zdenerwowaniem poinformował mnie, że przed godziną NKWD /Narodnyj Komisariat Wnuriennych Dieł / sabrała samochodem całą rodzinę Ławińskich, z wyjątkiem jednego syna, - Wacława, który w tym czasie znajdował się poza gospodarstwem i ukrywając się pozostał do końca wojny. Rodzina wywieziona podobnie jak i wiele innych gospodarzy, przeważnie samożnych, dobrych rolników, tak zwanych "kułaków" na wygnaniu wymarła.

Ostrzeżony przez Sadowskiego, który informował, że jakoby jeden z samochodów NKWD był w Chmiziułce z wizytą w moim gospodarstwie w poszukiwaniu właściciela. Pozostawiłem wóz koło zabudowań mego rozmowy i pośpiesznie udałem się w kierunku domu. Chcąc upewnić się o stanie bezpieczeństwa, szedłem z drogi i idąc na przełaj przez pola i zabagnione zarośla koło jeziora niemenczynkowskiego, wstąpiłem do sąsiadującej z Chmiziułką wsi Zajezerce.

Tam znalazłem mego pomocnika w gospodarstwie - Władka Łomeckiego. To on, właśnie przed chwilą prosił Sadewskiego o ostrzeżenie mnie o grożącym niebezpieczeństwie.

W czasie przyjazdu NKWD w domu u mnie poza dziewczyną i Władkiem nikogo nie było. Obecni wyjaśnili, że są robotnikami a ja, jako gospodarz, wyjechałem do krewnych na Litwę z zamiarem dłuższego pobytu. Tak mówił, instruowany przeze mnie na wszelki wypadek Władek, ponieważ on jedyny wiedział o moim wyjeździe do lasu.

Nieproszeni goście tym razem odjechali. Obawa przed odnowieniem wizyty poraz pierwszy wzmogła moją czujność. W ciągu kilku tygodni, prawie do wybuchu wojny niemiecko - radzieckiej, przebywałem na gospodarstwie, zachowując środki daleko idącej ostrożności. W ciągu dnia unikałem pobytu w mieszkaniu, a nocowałem poza domem, zachowując w tajemnicy miejsce noclegu, które też często zmieniałem.

Późną jesienią 1940 r. do Chmizjutki przybył mój kolega uniwersytecki inż. Adolf Stasiewicz, szukający schronienia przed łapanką w Wilnie. Zamieszkał u mnie nie meldowany. Bardzo często wyjeżdżał na kilka dni do miasta. W czasie pobytu pomagał mi w pracy w gospodarstwie, a wieczorami najczęściej wychodziliśmy na preferans do sąsiadów w Niemenczynku : Bolesława Łabanowskiego - starszego pana - kapitana Legionów², jego zięcia Mariana Pieciukiewicza oraz Zdrojewskiego - emerytowanego podoficera polskiego wojska. Przy spotkaniu omawialiśmy sprawy gospodarcze i wypadki wojenne, przekazywane przez radio londyńskie.

Wkroczenie czerwonej armii na Litwę, likwidacja rządu tego Kraju, stało się groźnym faktem likwidacji jego niepodległości. Było to wymownym świadectwem losu, jaki władze radzieckie szykowały dla zajętych ziem Państwa Polskiego z Wilnem, Nowogródkiem i innymi ośrodkami kultury polskiej, wchodzącymi w skład b. Wielkiego Księstwa Litewskiego, związanego od wieków z Polską .

x x x x x

2. Konspiracja

Szybki i tragiczny koniec Kampanii wrześniowej, pogrążający w ciężkiej niewoli Kraj, stał się potężnym ciosem dla całego społeczeństwa, zarówno mieszkańców miast, jak i wsi.

Najboleśniej jednak odczuwali^{30/} ci, którzy brali bezpośredni udział w walce, w tworzeniu podstaw niepodległego państwa po półtora - wiecznej niewoli, szkoła, wojsko i kultura polska w okresie międzywojennym potrafiły zaszczerpić bezgraniczne umiłowanie wolności i przywiązania do niepodległości Kraju, szczególnie wśród ówczesnej młodzieży .

Na ziemiach określonych pojęciem granic b. Wielkiego Księstwa Litewskiego, przenikanie kultury polskiej, opartej na elementach zachodnich, wzmogło się od czasu zawarcia unii z Polską. Prądy kulturowe płynące z Polski były tak silne, a podłoże społeczne tu tak podatne, że wszelkie przejawy kultury, jak mowa polska, zwyczaje i t. d., już od dawna wyraźnie akcentowały się wśród warstw rządzących. Od dawna administracja państwowa i zarządy majątków w znacznym stopniu posługiwały się mową polską, wyrosłą na gruncie środowiska społeczeństwa mówiącego po litewsku, białorusku, lub rusku / nie rosyjsku /. Tego społeczeństwa, które do pierwszej wojny światowej, a nawet bardzo często i potem, w znacznej masie zaliczało siebie do narodowości "tutejszej". Świadczy o tym wynik spisu powszechnego z 1921 r. Przykładów środowiska miejscowej społeczności, sżytej z kulturą polską, historia dała nam wiele. Wymieńmy chociaż tylko ludzi sławnych z różnych epok, jak Jagiellonów, Chodkiewiczów, Sapiehów, Radziwiłłów, Mickiewicza i wielu innych, którzy wyrosli na gruncie, gdzie posiew kultury polskiej dał plon obfity .

Przenikanie tych prądów kulturowych do warstw głębszych społeczeństwa było bardzo powolne, w miarę postępu oświaty, której rozwój, niestety, z różnych względów coraz bardziej nie dopisywał tempu ówczesnych państw zachodnich.

Pojęcie narodowości " tutejszej " dominowało całkowicie nad nieznanym pierwiastkiem odrębności narodowej litewskiej, białoruskiej lub ruskiej. Nie różniono granic zasięgu terytorialnego poszczególnych grup etnicznych, pozostających od wieków w ramach państwowości litewskiej, a od czasów unii litewsko-polskiej, ^{- w ramach państwa Rzeczypospolitej Polskiej} Współżyciu tych grup ludności w ówczesnych warunkach nie przeszkadzał fakt posługiwania się na wysokim szczeblu hierarchii państwowej językiem białoruskim, a potem polskim lub mieszanym.

Pierwiastek odrębności narodowej, poszczególnych grup etnicznych zaczął się akcentować po pierwszej wojnie światowej, w gruncie rzeczy nie tyle pod wpływem własnych bodźców odczucia kulturowego i cywilizacyjnego, ile pod wpływem propagandy państw ościennych szerzonej przez jednostki wrogie państwowości polskiej za obce pieniądze.

Odrębności narodowej nie zawsze jednak odpowiada koncepcja odrębności państwowej. Jest to zagadnienie skomplikowane, którego właściwe rozwiązanie nie leży jednak na drodze przemocy, lecz w płaszczyźnie interesu społecznego.

Wielki niepokój o los ojczyzny zapanował powszechnie na tych terenach, których nie tknęła jeszcze stopa żołdaka niemieckiego / przed wojną rosyjsko-niemiecką/, a na które w dniach 17-18 września 1939 r wkroczyła czerwona armia.

I pomimo że Polska ze Związkiem Radzieckim była związana paktem o nieagresji i wojny nie prowadziła, czerwona armia traktowała żołnierzy polskich jako jeńców, zabierając masowo nawet tych bez broni i wywożąc do specjalnych obozów w głębi Rosji.

Działo się to w czasie, kiedy jeszcze armia nasza, a z nią i cały naród, na różnych odcinkach działań wojennych, zmagali się śmiertelnie z najeźdźcą hitlerowskim. Wystarczy wspomnieć bohaterskie walki w Warszawie, pod Dęblinem, pod Lwowem i inne zakończone tragicznie bojem grupy operacyjnej generała Franciszka Kleeberga pod Kockiem 6 października 1939 r.

Zajęcie znacznych terenów naszych ziem wraz z bohaterskimi żołnierzami przez czerwoną armię, pozbawiło całkowicie naszych oddziałów walczących możliwości operacyjnej, szczególnie na zapleczu wolnym od wojsk niemieckich, gdzie warunki terenowe, jak bagna poleskie, łądy wileńsko-nowogródzkie i inne stanowiły poważną szansę oporu przed siłami zmotoryzowanymi wroga oraz nękania jego na tyłach. Znane bohaterstwo naszego żołnierza i całego narodu pozwalały żywić realną nadzieję, że dalsze prowadzenie walki z okupantem na ziemiach polskich coraz bardziej osłabiałoby impet uderzenia wroga, którego siły, aczkolwiek przeważające, w miarę oddalania się od jego baz zaopatrzenia, stawały się mocno osłabione.

Reszta nadziei na odmianę losu trwającej wojny z Niemcami, znikła z chwilą wkroczenia na tereny polskie armii radzieckiej, współdziałającej z akcją niemiecką, na podstawie specjalnego porozumienia, zawartego niemal w przeddzień wybuchu wojny polsko - niemieckiej.

Najazd na ziemię Polski armii radzieckiej, wśród szerokiego grona obywateli wywołał uczucie wrogości i zrozumiałą nieufność w stosunkach międzyludzkich, trwającą jak za czasów formalnej okupacji.

Wobec żołnierzy radzieckich ludność miejscowa, poza żydowską, zachowała się z rezerwą. Niewielki też entuzjazm zapanował wśród masy żydowskiej, która w dalszym ciągu panicznie bała się inwazji niemieckiej, która nawet na plecami czerwonej armii wydawała się być groźna.

Największy strach żywiła ludność do radzieckich władz bezpieczeństwa. Bo czyż mogło być inaczej, skoro atmosfera strachu utrzymywała się w duszy ludzkiej od pierwszego kontaktu z administracją radziecką, jeszcze z lat 1919 - 1920,

Wielu mieszkańców Wilna było świadkami mordów, dokonywanych na ludności cywilnej po zajęciu miasta przez czerwoną armię, w styczniu - marcu 1919 r i sierpniu - wrześniu 1920r. Morderstwa popełniały władze bezpieczeństwa, działające pod patronatem Trockiego - żyda. Same też władze bezpieczeństwa w terenie obsadzone były w większości przez komisarzy żydowskich i ludzi zdegenerowanych.

X
Z nastaniem zmroku bezpieka specjalnymi samochodami jeździła po mieście aresztując księży, nauczycieli i różnych obywateli wraz z rodzinami. Zaraz potem aresztowanych wywożono za miasto, gdzie rozstrzeliwano. Morderstwa połączone z bestialstwem zostały szybko ujawnione po odwróceniu czerwonej armii z Wilna.

Liczne groby pomordowanych zostały między innymi odkryte na peryferiach Wilna, w rejonie na przedłużeniu ulic :

Kalwaryjskiej i Werkowskiej z jednej strony, a koszar wojskowych i tak zwanego wojennego pola - z drugiej. O losie aresztowanych i wywiezionych wiele rodzin dowiedziało się dopiero na miejscu po odkopaniu płytko zasypanych grobów, poznając wśród jeszcze nie rozłożonych trupów bliskie sobie osoby.

Ten krzyk rozpaczony nad mogiłami pomordowanych w 1920 r., pozostał w pamięci niejednego Wilnianina. A jeśli z upływem czasu tu i ówdzie pamięć o czynach haniebnych ginęła w mrokach zapomnienia, to w sukurs temu doszły nowe wyczyny bezpieki z lat 1939 - 41. Przyszło to tym razem za sprawą despotycznego Stalina i krwawego szefa bezpieki Berii, późniejszych sprawców haniebnych mordów Katyńskich.

Mordy te pod względem grozy nie ustępowały tym w historii Wilna, które niesły setnie kozaków.

Wyczyny bezpieki radzieckiej, te za czasów Trockiego i te za Stalina, nie do uwierzenia nie tylko w cywilizowanym świecie Zachodu, lecz również i wśród wielu obywateli naszego Kraju, jak np. w poznańskim i na Pomorzu i wszędzie tam, gdzie z władzą radziecką nie mieli do czynienia.

Trwała wojna. Atmosfera strachu, wywołana przez bezpiekę bolszewicką, nie mogła sparaliżować ani myśli, ani czynu wielu prawych obywateli naszego Kraju, dla których wyzwolenie ojczyzny stało się celem nade wszystko. W tym przekonaniu utwierdziły mnie osobiste kontakty i rozmowy z wiel^{oma} ludźmi, których wyraźne, szczerze zapatrywania i poszukiwanie dróg wyjścia z sytuacji w jakiej znalazł się nasz Kraj, łączyło w szeregi organizacji konspiracyjnej.

Powstająca organizacja na naszym terenie zaraz po klęsce wrześniowej - Związek Walki Zbrojnej, nie miała na celu podejmowania walki z czerwoną armią, która, jak twierdzili jej przywódcy w kampanii wrześniowej, z Polską wojny nie prowadziła. Organizacja konspiracyjna we wstępnym założeniu miała spełnić dwa główne zadania. Pierwsze, to zespolenie ludzi oddanych sprawie niepodległości, celem budzenia wiary w zwycięstwo wśród szerszej społeczności. Drugie - to zebranie i zabezpieczenie broni, porzuconej przez wracających z wojny naszych żołnierzy lub przy przejściu przez nich granicy polsko - litewskiej.

Organizacja miała stanowić kadre instruktorską, która w momencie odpowiednim stanie na czele ogólnego powstania. Wierzyliśmy, że pomimo odnoszonych sukcesów niemieckiej armii, nawet po kampanii francuskiej, klęska jej będzie nieunikniona.

Od początku organizacja była zakonspirowana. Dzięki temu, że w jej szeregach znalazło się kilka osób, którzy podobnie jak i ja należeli do samoobrony wileńskiej z roku 1918. Szczególną tajemnicą otoczone były meliny broni i amunicji. Kontakty ze zwierzchnikami były rzadkie i każdorazowo w innym miejscu.

Po przyjeździe z obozu internowanych na Litwie w końcu lutego 1940 r. ^{z wyprzedzeniem} z polecenia znanych mi osób z profesorem dr Januszem Jagminem ^{x)} na czele, przybyli do mnie dwaj wysłannicy kierownictwa podziemia wojskowego z Wilna z rozkazem podjęcia przeze mnie obowiązków komendanta wojennego na terenie gmin: Podbrzezie, Mejszagola, część Rzeszy i Niemenczyzna. Główne zadania to zebranie broni pozostawionej przez naszych żołnierzy oraz organizowanie punktów informacyjnych.

x) Byłym żołnierzem Samoobrony Wileńskiej 1918-20.

Akcję prowadziłem pod pseudonimem "Kalina" do końca czerwca 1940 r. Potem po zajęciu Litwy przez bolszewików, ze względu na bezpieczeństwo musiałem na czas dłuższy opuścić miejsce pobytu. Wyjechałem na Litwę, a kierownictwo akcji przekazałem na umówionym spotkaniu w m. Pikieliszki, poleconemu członkowi przez prof. Jagmina, a ^{nie}znanemu z nazwiska "Jastrzębowi". W czasie przekazywania kierownictwa było już 8 większych melin broni i wiele mniejszych przejściowych. Meliny większe były : w rejonach : Giejszyszek, Szaltaniszek, Ustronia, Podbrodzia, Bujwidz, Bezdan i innych. Razem było około 600 kb różnych typów, przeważnie polskich z wojny, około 150 sztucerów i dubeltówek, 3 lekkich karabinów maszynowych około 70 pistoletów / rewolwerów / różnych kalibrów. Ponadto pewna ilość granatów, amunicji i szabel.

Zdobywana w terenie broń w pojedynczych egzemplarzach przenoszona była do melin mniejszych, skąd w odpowiednim momencie przewożono furmanką, a zimą sankami w rejon magazynowania. Ludzie przewożący broń na ogół nie znali miejsca melin mniejszych ani tym bardziej miejsc magazynowania większych partii broni. Broń przewożono najczęściej w słomie lub sianie. Transport odbywał się przeważnie o zmroku przy udziale dwóch osób z konspiracji, w charakterze woźnicy i tak zwanego "sąsiada" lub "asystenta". Obaj byli uzbrojeni w nagany lub wisy, a nieraz i w granaty. Większego uzbrojenia wymagały transporty, które przebywały dłuższe trasy przez las, gdzie nie odosobnione były wypadki napadów rabunkowych, organizowanych pod szyldem tak zwanej "milicji ludowej". Milicja była powołana przez administrację radziecką narazie w Wilnie i niektórych większych miasteczkach.

W skład tej milicji wchodziło wielu żydów i dość często różnych opryszków, szukających łatwego życia z bronią w nocnych wypadach.

Ubezpieczenie transportu miało na celu zapewnienie tajemnicy przesyłki i bezpieczeństwo obsługi. W przypadku zatrzymania transportu przez napastników i podjęcie rewizji, instrukcja obsługi przewidywała użycie broni.

Tereny wypadowe milicji były na ogół znane. Transporty nasze starały się je omijać albo przejeżdżać późną nocą. Pomimo to za moich czasów zdarzyły się dwa przypadki spotkania z udającymi milicję.

Przypadek pierwszy zdarzył się w grudniu przed Bożym Narodzeniem 1940 r. Transport 13 karabinów i 26 granatów w jednokonnych saniach z sianem z rejonu Gliniszek kierował się do jednej z melin w rejonie Podbrodzia. Niedaleko Podbrzezia przed wsią Zemejtale obsługa transportu około 9 - 10 godziny wieczorem najpierw posłyszała ujadanie psów, następnie dzwonek używany przy zaprzęgu. Zaraz potem dał się słyszeć przeraźliwy głos popularnej piosenki " Rozświetali jabłoni i gruszy popłyni tunany nad rekoj ! " ..

Z tonu piosenki można było przypuszczać, że jechali pijani. Ale ilu ich i kto jedzie ? Obsługa transportu, woźnica i "asystent", tym razem podchorąży rezerwy - żołnierz kampanii wrześniowej - po krótkiej naradzie zaniechali projektu zawrócenia do tyłu. Wóz lekki, siana dwie wiązki ułożone w rozwałach/ sanie zabezpieczone przed wywrotem /. Jedna wiązka na karabinach służyła za siedzenie, druga wciśnięta na nogach jadących. Postanowili nieco zjechać z drogi, pozostawiając miejsce do

wyminięcia nadjeżdżających z dala sani. Nasi zatrzymali się, odbezpieczyli pistolety, trzymając je w ręku w kieszeni.

Jadący naprzeciwko w jednokonnych saniach zobaczyli naszych, przestali wydzierać się. Było ich czterech: woźnica i trzech z karabinami. Wszyscy mocno pijani. Jeden obok woźnicy w nasuniętej na uszy polowej rogatywce kiwał się, opierając o woźnicę, który również był pijany i usiłował coś mówić do siedzącego obok. Dwaj inni siedzący z tyłu, jeden w rogatywce, drugi w czaple bolszewickiej z karabinami zawieszonymi na sznurkach na ramieniu, wysiedli z san i szlaniając się, zblížali do transportu. Koledzy ich wyminęli nasz wóz i zatrzymali się. - Szto wieziesz ? - Pytał łamanym językiem jeden "milicjant" w rogatywce .

- Samogon masz ? - Pytał drugi. Zaraz zblížali się do wozu, trzymając karabiny zawieszane na ramieniu. Widać było, że zamierzają obmacać wóz. Podchorąży odezwał się.

- Chłopcy dajcie nam spokój. My swoi ludzie.

Kiedy jeden z nich krzyknął, szła z san podchorąży wyrwał z kieszeni pistolet strzelił do najbliższego, drugi raz do następnego. Obaj padli przy saniach .

Spłoszone konie wyrwały do ucieczki każdy w swoim kierunku.

Woźnica transportu strzelił w kierunku uciekających pozostałych napastników, prawie w tym czasie, kiedy "asystent" likwidował pierwszą parę. Po odskoczeniu nie dalej 100 m, "asystent" zdecydował powrócić i zabrać karabiny od leżących na drodze napastników. Wsiadł z san i prawie biegiem przyniósł dwa karabiny rosyjskie. Przy rozładowaniu okazało się, że jeden miał 2 naboje, a drugi 4.

W ten sposób liczba wieszonych karabinów wzrosła do 15.

Dalsza jazda kilka kilometrów była znacznie przyspieszona. Obawiali się, aczkolwiek nieprawdopodobnej, pogoni a może też wypadu na drogę podobnych towarzyszy "milięjantów", wciąż myślano o milicji zwabionej odgłosem strzałów i ujadaniem psów z pobliskich domów. Woźnica znał okolicę, toteż zanim oddalili się na kilka kilometrów od Zemejtel w kierunku na Gajówkę i dalej, omijali osiedla, jadąc tak zwanymi drogami "zimowymi" na przełaj przez zamarznęte bagna i moczary. Do miejsca przeznaczenia dojechali bez dalszych przygód.

O napsdzie na tak zwanych milięjantów, ludność okoliczna dowiedziała się nazajutrz. Wprawdzie milięjanci byli w gminie w Podbrzeziu, jednak krytycznego dnia jeździli w poszukiwaniu ludzi nieregistrovanych - b. żołnierzy polskich i przed zmrokiem wrócili bez przygód. Pseudomilięjanci zajechali do znajomych we wsi Mitrofanówka na wódkę, a stamtąd również w tym samym celu do wspomnianych Zemejtel. Cały dzień raczyli się samogonem - weselili się. Pech chciał, że skończyli libację za wcześnie. Wyjeźdzali z Zemejtel w tym czasie kiedy zbliżał się nasz transport ...

Uciekający woźnica z zamroczonym do nieprzytomności "milięjantem" wpadł do znajomych gospodarzy niedaleko miejsca wypadku z krzykiem, że bandyci napadli i zabili dwóch milięjantów. Obawiał się, że będzie pociągnięty do odpowiedzialności. Nakłonił znajomych, by zaprzęgli konia i pojechali zobaczyć czy milięjanci są rzeczywiście zabici. Dwaj gospodarze tak też uczynili. Pojechali w określonym kierunku i rychło wrócili, wioząc w saniach rannych i pijanych ludzi, którzy z tego co in

się zdarzyło, nawet nie zdawali sprawy. Rany były krwawiące, lecz nie groźne. Jeden otrzymał postrzał w ramię. Drugi miał przestrzelony brzeg klatki piersiowej. Po przeleżeniu niespełna dwóch tygodni w szpitalu zostali rozstrzelani.

X

Drugi wypadek napotkania milicji wiejskiej, lecz nie groźny, tak jak poprzedni, /okazało się, że byli to nasi ludzie/ zdarzył się mnie osobiście, przy konwojowaniu transportu broni. Było to w końcu lutego 1941 r. Niespodziewanie powstała potrzeba przerzucenia przeszło 10 karabinów i skrzynki amunicji zza Mejszagoły od strony granicy litewskiej w rejon (zaś) Ustronia, koło m. Lubowa. Tak się złożyło, że tym razem trudno było znaleźć albo odpowiedniego woźnicy albo też konwojenta. Sprawa nagła, ze względu na podejrzaną niebezpieczeństwo odkrycia przechowywanej broni, zmusiła mnie do przyjęcia roli asystenta. Tak też się stało. Po załadowaniu pod siedzenie karabinów i amunicji do jednokonných sań, dokładnym przykryciu sianem oraz sprawdzeniu ułożonych w kieszeniach kożuchów pistoletów, ruszyliśmy w drogę. Przyjeliśmy kierunek Dukszty, pozostawiając Mejszagołę - siedzibę gminy i milicji, z lewej strony.

Jadąc na przemieszczanie szybkim stępem i klusem polnymi drogami i na przełaj, nikogo nie spotykaliśmy. Panowała cisza mącona lekko szelestem suchego śniegu, przerywanego powiewem wiatru z miejsca na miejsce, chociaż śnieg nie padał. Od czasu do czasu parskał nasz bystry, dobrze odżywiony koń.

W tej podróży przyszedł mi na myśl wypadek, jaki zdarzył się w Wilnie w 1918 r. również przy konspiracyjnym transporcie

broni za czasów okupacji niemieckiej. Działo się to w dniach grudnia. Całe zdarzenie opowiadałem w czasie jazdy memu koledze - woźnicy. Opowiedziałem również o tym, jak powstała organizacja konspiracyjna wśród uczni jednej ze szkół wileńskich.

Będąc uczniem miejskiej szkoły w Wilnie, mieszczącej się w wielkiej kamienicy, położonej przy ul. Wileńskiej, naprzeciwko kościoła Św. Katarzyny, należałem również z wielu kolegami szkolnymi i nauczycielami do Polskiej Organizacji Wojskowej ./POW /. Szkoła za czasów ~~ówczesnej~~ okupacji niemieckiej była polską, zorganizowaną i prowadzoną na poziomie średnim przez zakonnicę - Nazaretanki. Od nazwiska przełożonej szkoła otrzymała nazwę im. Czarnockiej.

W ramach normalnych zajęć szkolnych 2-3 razy tygodniowo prowadzona była gimnastyka na wielkiej sali, położonej w przedłużeniu korytarza, z którego prowadziły wejścia do poszczególnych klas. Na sali wyposażonej w różnoraki sprzęt gimnastyczny co wieczór odbywały się ćwiczenia różnych grup, należących do gimnastycznego towarzystwa "Sokół". Gimnastyka lekcyjna naszej szkoły prowadzona była przez bardzo lubianego pana Mieczysława Tomaszewskiego, który też uczył wielu piosenek z okresu powstań narodowych. Ćwiczenia gimnastyczne zawsze kończyliśmy marszem ze śpiewem na sali. Bardzo często śpiewaliśmy pieśń marszową,

" Hej strzelcy wraz, nad nami orzeł biały,

a przeciw nam śmiertelny stoi wróg " !

Za namową pana Tomaszewskiego wielu z nas należało do "Sokoła" i uczęszczało na ćwiczenia popołudniowe. Ćwiczenia naszej grupy prowadził kpt. Bobrowski - który, jak i wszyscy, obodził w cywilnym ubraniu .

Kapitan większą część zajęć poświęcał ćwiczeniom typu wojskowego. Ćwiczyliśmy formowanie kolumn, zwroty, postawy. Zaprawialiśmy się w rzutach granatem z różnej postawy. Posługując się laskami gimnastycznymi ćwiczyliśmy władanie karabinem, jak również szablą.

Kapitan Bobrowski czasami opowiadał nam o organizowanych polskich legionach przez komendanta Piłsudskiego, uczył nowych piosenek wojskowych. Spośród nich bardzo często śpiewaliśmy :
- " Raduje się serce, raduje się dusza, gdy pierwsza /kampania/
kadrowa na wojenkę rusza ..."

W przerwach ćwiczeń kapitan czasami opowiadał nam o rodzajach karabinów i pistoletów, używanych w armiach : niemieckiej, austriackiej i rosyjskiej. Prawdopodobnie za jego inspiracją po kryjomu były organizowane małymi grupami 5-8 osób "wycieczki" do lasu w rejonie Antowila, około 10 km od Antokola. W grupie sjawiał się znany nam z widzenia na ćwiczeniach sokolich kolega, który opisywał posiadany przez siebie pistolet. Uczył nas ładować, celować i strzelać do celu.

Latem 1918 r. wiele szkół wileńskich było na uroczystym nabożeństwie w katedrze. Po nabożeństwie na placu katedralnym uformował się pochód. Uczniowie uformowani czwórkami, a za nimi jak i też przed nimi znalazło się wielu mieszkańców miasta. Kiedy czoło pochodu ze śpiewem " nie rzucim ziemi, skąd nasz ród" ... zbliżyło się do wlotu na ulicę Mickiewicza, ukazał się zwarty szereg niemieckich policjantów w czarnych szerokich pelerynach, w czarnych kaskach na głowach i z obnażonymi szablami w dłoniach. Niemcy, wykorzystując i na razie machając szablami zamierzali pochód rozproszyć. Powstało zamieszanie, zaczęliśmy wrywać z bruku kamienie i ciskać w policjantów.

Z tłumu padły strzały, za policją pokazało się wojsko niemieckie, które zaczęło strzelać do tłumu. Pokazali się konni żandarmi, rzucający się z szablami na tłum. Jednocześnie do starcia z policją doszło przy wlotach ulic : Biskupiej i Zamkowej. Byli ranni

Jednego razu, a było to po rewolucji niemieckiej, od Tomaszewskiego otrzymałem dyskretne polecenie, po złożeniu przysięgi zachowania tajemnicy - zdobycia broni od żołnierzy, którzy w drodze z frontu rosyjskiego przejazdem do Niemiec zatrzymali się w Wilnie, w późniejszych koszarach pierwszej brygady piechoty legionów. Na kupno broni otrzymywałem pieniądze. Część broni nabywałem od Niemców, którzy pragnęli zapłaty, część otrzymywałem od żołnierzy - poznaniaków - bezpłatnie, część też karabinów za wiedzą wartujących znajomych poznaniaków, w nocy wykradałem ze stojaków, znajdujących się na korytarzach koszar.

W ten sposób zdobywałem przeważnie karabiny, amunicję i granaty. Zdobycze w tajemnicy przed sąsiadami, rodzicami i domownikami przejściowo przechowywałem w składzie z porąbanym drzewem opałowym. W tym celu niepostrzeżenie wśród klocków drewna przygotowałem wnęki, które po zapełnieniu bronią natychmiast zakładałem drewnem ... W ścianie składu od strony sąsiedniego ogrodu zrobiłem otwór, który można było wejść niepostrzeżenie, pomijając podwórko .

Kryjówka była w podwórku moich rodziców przy ul. Nadleśnej, niedaleko bramy koszarowej, gdzie za owych czasów mieściła się wartownia. Kryjówka była znana Tomaszewskiemu, który kilka razy niepostrzeżenie w nocy zabierał przechowywaną broń, prawdopodobnie przy pomocy zaufanych ludzi.

Działo się to za moją wiedzą, lecz beze mnie. Broń była przerzucona w rejon przedmieść Wilna Zarzecza i na Antok, gdzie, jak się potem okazało, znajdowały się ośrodki organizacyjne oddziałów samoobrony wileńskiej.

W końcu listopada 1918 r. w umówiony dzień, pod nieobecność moich rodziców, Tomaszewski przyjechał w sankach dorożkarskich. Zapadał zmrok. Mieliśmy zabrać 6 - 8 karabinów i skrzynkę amunicji. Była to reszta broni z tej kryjówki, która jednocześnie z opróżnieniem miała być zlikwidowana.

Worki ~~mieliśmy~~ umieściliśmy w sankach pod pokrywadłem futrzanym, którym okrywa się nogi jadących. Transport mieliśmy konwojować we dwoje^{ich}, do miejsca przeznaczenia w naszej szkole. W tym celu po wyjeździe za bramę podwórka Tomaszewski dał mi pistolet załadowany, który natychmiast schowałem do zewnętrznej kieszeni kożucha. Drugi pistolet posiadał on. Umówiona trasa przejazdu wiodła ul. kalwaryjską, przez zielony most / na Wilii / na ulicę Wileńską aż do szkoły.

Most jak zwykle, był oświetlony, a przy obu jego końcach stali policjanci - Niemcy z tarczami do regulowania ruchu. Od ulicy Kalwaryjskiej do mostu był znaczny spadek na odcinku przeszło 100 m. W połowie tego spadku, jadąc w dół, tuż do chodnika przylegała "Górka Pana Jezusa". Jak zwykle zimą, na całym odcinku spadku, jezdnia była bardzo śliska.

Dojeżdżając do "Górki Pana Jezusa" na wyślizganej jezdni sanki nasze poszły bokiem. Tył sanek zarzuciło do chodnika, przyczem ruch był tak gwałtowny, że jeden worek wysunął się spod pokrywadła, a z jego końca ukazały się lufy karabinów.

Siedziałem właśnie z prawej strony i zanim zdążyłem zrobić porządek z okryciem worka, kilku przechodniów z widocznym przerażeniem oglądało scenę. Obaj z Tomaszewskim, przykładając palce do ust, daliśmy znak milczenia. Dorożkarz ponaglony przez Tomaszewskiego / prawdopodobnie też przez niego był wtajemniczony/, przy wjeździe na most musiał jednak nieco zwolnić. Stępa przejechaliśmy szczęśliwie koło stojących przy moście policjantów i zmieniliśmy ustaloną trasę, skręcając tuż za most w prawo. Bocznyimi ulicami dojechaliśmy do szkoły małym zaułkiem od ul. Zawalnej.

Po przyjeździe na miejsce przeznaczenia, worki z karabinami i amunicją szybko zabraliśmy z sań, które natychmiast odjechały ciemnym zaułkiem. Worki z bronią przerzuciliśmy przez półotwarte drzwi na brzeg ciemnej klatki schodowej. W celowo utrzymywanych ciemnościach na klatce schodowej w tej partii budynku szkolnego, przenieśliśmy nasze worki na wysokość pierwszego piętra, gdzie we wnęce przy schodach stała duża drewniana skrzynia, do której składano kości zbierane w przyległej kuchni szkolnej stołówki. Okazało się, że Tomaszewski przed wyjazdem po karabiny przemyślał inne przeznaczenie dla skrzyni z kośćmi. Znajdujące się zwykle luzem kości tym razem zapakował w worek, by zawartość jego można było szybko wysypać na ułożone na dnie skrzyni przywiezione przez nas worki z bronią. Tak też zrobiliśmy. Zadanie zostało przez nas wykonane. Przy rozejściu się Tomaszewski nadmienił, że jeszcze dziś za parę godzin broń będzie przerzucona w rejon Zarzecza. Dokonała tego grupa inna, a kto to zrobił - tego nie wiedziałem.

Kiedy to opowiadałem memu woźnicy, skracając w ten sposób czas naszej podróży, zbliżaliśmy się do drogi poprzecznej Mejszagoła - Kiemiele z zamiarem przejazdu w kierunku Kiemiele. Nagle posłyszeliśmy odgłos dzwonka, pochodzącego od szybko mknących sąd dobrze utworowaną drogą z kierunku Mejszagoły. Dzwonek słyszeliśmy z łatwością, ponieważ celowo podróżowaliśmy bez dzwonka, zwykle używanego w czasie jazdy zimą.

Zanim dojechaliśmy do poprzecznej drogi, na razie nie rozpoznani przez nas podróżni zatrzymali się. Szybko zorientowałem się, że oprócz woźnicy w saniach "rozwałach" znajduje się dwóch pasażerów : jeden w uniformie wojskowym z pistoletem przy pasie, drugi - cywil z karabinem, ustawionym między nogi. Pasażer wojskowy zapytał po rosyjsku :

- Kak daleko w Dukszty ? Choroszo ny jediem ? / Daleko Dukszty - czy dobrze jedziemy ?/.

Dyskretnie obmacując pistolet w kieszeni z odległości 30 kroków, uprzejmie wyjaśniłem, że kierunek jazdy mego rozmówcy jest prawidłowy, że Dukszty niedaleko tym bardziej, że i droga jest dobrze utworowana. Za informację, ku memu zdziwieniu otrzymałem podziękowanie.

Po krótkiej rozmowie "rozwały" z podróżnymi pomknęły, w kierunku na Kiemiele. My zaś przejechaliśmy w poprzek dość szerokiej drogi, rezygnując w tej sytuacji z jazdy na Kiemiele. Ruszyliśmy w kierunku na zaść. Sielec i Bogumilów, przejeżdżając po drodze ^{przez} poza most na rzece ^{Dukszta}. Dalszą podróż w rejon Ustronia - miejsca przeznaczenia transportu, przebyliśmy bez przygód.

W ciągu paru tygodni potem dowiedziałem się, że spotkani przez nas w czasie transportu broni podróżni byli przebranymi

ludźmi naszej organizacji, ogniwa działającego po drugiej stronie Wilii. Również i oni wieźli broń, zdobytą w naszym rejonie przy granicy polsko - litewskiej

Po przekazaniu sprawowanej przeze mnie funkcji wyznaczonemu następcy, mając więcej czasu^{ly} angażowałem się w zajęcia gospodarcze. Zbliżająca się wiosna budziła troskę o materiał siewny i sprawy inne. Co pewien czas jeździłem na Litwę w sprawach handlowych. Przyjeżdżając do Wilna starałem się odnaleźć znajomych i kolegów. W stosunkowo krótkim czasie nawiązałem kontakt z Kol. S. Poczobutem i Kulikowskim, którzy stanowili parę robotników wynajmowanych do piłowania i rąbania drzewa. Odnalazłem przypadkowo profesora W. Stan~~kie~~wicza, który przez pewien czas przebywał w mieszkaniu Poczobutta. Odwiedziłem kol. Czesława Słuchockiego, który z żoną Zofią i dwoma synami przebywał w Wilnie, pracując na zainstalowanym w mieszkaniu warsztacie tkackim. Odwiedziłem również majora Stanisława Pilczewskiego - kolegę z obozu internowanych na Litwie - który trudnił się ciesielstwem.

Odnajdowałem wielu innych bliskich mi ludzi. Dowiadywałem się, w jakich opłakanych warunkach wielu z nich znalazło się w czasie wojny. W porównaniu z tym moje warunki, z racji posiadanego gospodarstwa powszechnie uważane były jako wyjątkowo dobre. Jadła nie brakowało, no i możliwości poruszania się również. Wzruwając się w sytuację najbardziej dotkniętych losem kolegów, zdecydowałem niektórym z nich przyjść z pomocą, której też udzieliłem w postaci dowiezionych po kilka worków ziemniaków, zaraz po zbiorach na jesieni, jak również produktów innych.

3. Inwazja niemiecka

Wiosną 1941 r coraz bardziej krążyły pogłoski (prawdopodobnie) -
bieństwa^{nie} wybuchu wojny pomiędzy Związkiem Radzieckim a Niemcami.
Przeczućie zbliżającego się wybuchu konfliktu zbrojnego zaczęło
gwałtownie się rozpowszechniać na początku czerwca, kiedy miejsco-
we władze nakazały gospodarzom, by z zaprzęgiem konnym udali się
za Wilno na Porubanek, gdzie były prowadzone prace ziemne.
W pośpiechu rozbudowywano i przyspasabiano do nowych zadań woje-
nnych istniejące tam lotnisko przed wojną.

Również i moje gospodarstwo zobowiązane było wysłać do tych
robót człowieka z wozem. W tym też celu wysłałem mego pracownika,
Władka Łomeckiego, zaopatrując go w żywność na kilka dni i paszę
dla konia. W sobotę 21 czerwca Władek przyjechał wraz z innymi
sasiadami, by zaopatrzyć się w nową porcję żywności i paszy.

W niedzielę 22 czerwca, już z rana załadowaliśmy na wóz
wiązki świeżego, niedawno zebranego siana. Był piękny słoneczny
dzień. Kiedy ostatecznie przygotowania do drogi zbliżała się ku
końcowi, od strony Wilna z kierunku Gieglówki dał się słyszeć
turkot jadących w pośpiechu wozów. Za chwilę na drodze wiodącej
w kierunku Chmiziutki, w kłębach unoszącego się kurzu, ukazał się
długi tabor furmanek. Jedną z nich wjechała na polną drogę do
Chmiziutki. Był w niej mój bliski sąsiad, Norbert Zajaczkowski,
który pierwszy poinformował, że dowiedział się od wracających
z Wilna furmanek o nalotach niemieckich samolotów na lotnisko
w Porubanku. Ludzie jadącego taboru furmanek wiadomość tę
potwierdzili. W świetle naczynych świadków wyglądało, że ukazujące
się nad lotniskiem samoloty niemieckie wypłoszyły koni i ludzi.

Rozpoczęła się ucieczka furmanek zebranych z różnych podwileńskich stron.

Niedługo rozpoczęło się bombardowanie Wilna. Odgłosy tego słyszeliśmy w Chmiziućce. Wieczorem bombardowanie powtórzyło się. Następne trwało już w porze nocnej przy świetle arzucanych z samolotów nappadochronach rakiet.

Około północy, w czasie kiedy stojąc na dworze z ojcem przyglądałem się opadającym nad miastem punktem świetlnym i przysłuchiwałem się wybuchom bomb, od strony szosy prowadzącej z Wilna w kierunku do Podbrzezia słyhać było nawoływanie ludzi. Była to pierwsza fala uchodźców z Wilna, znak nowej tragedii wojennej. Wraz z pierwszą falą uciekających do Chmiziućki przybył brat Wacław z żoną Stanisławą, prowadząc z sobą syna Andrzeja i ciągnąc wózek z córeczką Jadzią. Według relacji przybyłego brata wszystkie drogi wyłotowe z miasta, zaraz po pierwszym nalocie bombowym, były zatłoczone ludźmi, którzy całymi rodzinami ze starcami i dziećmi, bardzo często wieszionymi w wózkach, szukali schronienia wśród znajomych bądź nieznajomych na wsi.

Wstrząśnięci wybuchem wojny pomiędzy do niedawna zaprzyjaźnionymi państwami : Związkiem Radzieckim i Niemcami, całą noc nie mogliśmy zasnąć. Jeszcze przed wschodem słońca wybrałem się rowerem do miasta z zamiarem zabrania dzieci : Henia i Zosię - którymi opiekowała się matka, przeciwniczka życia na wsi. Wpół drogi, w blasku wschodzącego słońca na szosie ukazała się długa kolumna wojska. Była to piechota radziecka, maszerująca w pośpiechu od strony miasta. Za piechotą ciągnęło kilka nowych armat i samochody ciężarowe częściowo z żołnierzami.

Do miasta wjechałem ulicą biegnącą niedaleko koszar,

które wyglądały, że były już przez żołnierzy opuszczone. Zanim minąłem rejon koszar nastąpiło wycie syreny alarmowej. Zbliżał się nalot niemieckich samolotów. Bliskość koszar kazała przypuszczać, że znalazłem się w rejonie nalotem zagrożonym. Szybko też ukazały się samoloty bombowe z charakterystycznym postępowaniem. Padłem w jakieś wgłębienie opodal pierwszego domu na przedmieściu. Padli też inni znajdujący się na ulicy ludzie. Wstrząsnęło powietrzem, zadrżała ziemia, ładunki z samolotów spadły gdzieś za koszarami. Samoloty skryły się za lasem na horyzoncie, za Wilją. Nie czekając na odwołanie alarmu, wskoczyłem na rower i pomknąłem do domu przy ul. Pionierskiej, w rejonie koszar 4-go pułku ułanów. W domu zastałem żonę z przestraszonymi dziećmi. Szybko zdecydowałem, że dzieci zabieram na rower i wracam do Chmiziotki, a po żonę i graty przyślę wóz jeszcze w dniu dzisiejszym.

- Kierując się w drogę powrotną z tyłu na rowerze posadziłem syna z przodu na ramie przytrzymywałem córkę. Nie zdążyłem wyjechać za miasto jak ponowny znany warkot samolotów zmusił do zeskoczenia z roweru. Pośpiesznie z dziećmi odskoczyłem do przyległego ogrodu i popadaliśmy w bródzdy na polu ziemniaczanym. Samoloty i tym razem swój ładunek bomb pozostawiły tuż za koszarami / pierwszej dywizji piechoty legionów /.

Po nalocie starałem się jak najprędzej oddalić za miasto. Minąłem Bołtupie, Jerozolimkę, wyjechałem na szosę prowadzącą na Wanaginię, Rzeszę i dalej przez Pikieliszki do Podbrzezia. Na drodze niedaleko za Jerozolimką byłem świadkiem nieprzyjemnej sceny. Niewielka grupa kobiet i dzieci, jak się okazało, należąca do rodzin żołnierzy radzieckich, które po przejściu

6 - 7 km drogi odpoczywała, oczekując na umówiony samochód, by wraz ze swoimi żołnierzami ewakuować się przed Niemcami do Rosji. Widziałem z bliska jak wymijający mnie samochód ciężarowy wstrzymał się na chwilę przed oczekującymi kobietami i chociaż było miejsce nie zabrał ani jednej osoby, pomimo że powstał krzyk i płacz. Na wezwanie : - Wania waźmi nas ! z samochodu odezwał się ktoś : - Nie kryczy. Ciebie niczewe nie budiet . Okazało się, że zgodnie z oświadczeniem kobiet, w samochodzie był mąż jednej z nich .

Jadąc dalej również stałem się świadkiem podobnego wypadku. Tym razem przede mną szybkim krokiem maszerowało dwóch oficerów radzieckich. Do przejeżdżającego mimo samochodu jeden z nich usiłował wskoczyć, chwytając oburącz za tył ciężarówki. Jeden z żołnierzy stojących w ciężarówce kolbą karabinu tak mocno uderzył po palcach ręki, że biedak omal nie zemdlął z bólu.

25 VI ?
Poza nalotami samolotów niosącymi strach i zniszczenie wśród żołnierzy i cywilów coraz wyraźniej od strony Kowna dała się słyszeć kanonada artyleryjska. Pod wieczór pierwsze oddziały niemieckie ukazały się na przedmieściu Wilna od Poruba^{nka}.

Po przyjeździe z dziećmi do Chmiziutki kazałem zaprząść konia i późnym wieczorem dojechałem spowrotem do miasta do domu, gdzie oczekiwała żona ze spakowaną pościelą, ubraniami i innymi drobiazgami. Po załadowaniu rzeczy na wóz, z powodu spóźnionej pory, odjazd odłożyłem do rana.

Po przyjeździe do Chmiziutki załadowanym wozem drabinistycznym znalazłem dużo ludzi. Powiadomiony przez brata przyjechał furmanką ze Skierdżiny jego szwagier Zygmunt Pieślak, ponieważ

brat ze swoją rodziną zamierzał tam pojechać. W Chmiziuście zastałem również Jaśka Wilamowicza / ojca kolegi / z żoną i synową z dziećmi, którzy przyszli z Wilna szukać schronienia.

Nasajutrz traktorem na Niemeczyn, gdzie był most na Wilii i drogami polnymi ciągnęły grupki żołnierzy radzieckich. Niektórzy szli bez broni. Przechodząc polem swego gospodarstwa zostałem przez jednego z trzech idących oficerów zapytany : - Chazjain daleko k Minsku ? - Wyjaśniłem, że do Mińska około 8 dni tegoż marszu. A na moje zapytanie, jak jest na froncie poza machnięciem ręką odpowiedzieli :

- Giermanoy kakbas w Kowne udaryli tak tolko miaso w wierch letit.

Po zajęciu przez Niemców Wilna uciekający zaczęli wracać do miasta, gdzie życie zaczęło układać się na nowych wojennych warunkach. Po tygodniu strzały artyleryjskie w kierunku wschodniego były coraz mniej słyszane i to tylko w ciszy wieczornej. Nasilenie walk w zawrotnym tempie przewalało się w głąb Związku Radzieckiego. Komunikaty niemieckie wychwalały wielkie sukcesy odnoszone co dzień nad czerwoną armią. Również i radio londyńskie informowało, że Związek Radziecki został zienacka napadnięty przez Niemców, którzy odnosząc wielkie sukcesy wdarli się głęboko na ziemię radziecką już w ciągu pierwszego tygodnia działań wojennych.

Daleko na tyłach krwawych zmagania, luźne grupy żołnierzy radzieckich, którzy nie nadążyli dołączyć do cofających się po klęsce oddziałów, a nie byli zagarnięci w niewolę, szukały schronienia na wsi. Dużo tych żołnierzy cofało się po rozbiciu nie dawno założonych baz radzieckich na Litwie. Szli grupami

z bronią trzymając się lasów i bezdroża. Ciągnęli zdala za frontem^N kierunku granicy polsko - radzieckiej. Nocami zachodzili do gospodarzy szukając żywności.

Pewnego razu po upływie już kilku tygodni od wkroczenia Niemców, około północy do okna kuchni, a następnie do pokoju, w którym spałem ktoś lekko pukał. Obudziłem się i wielce zafasowany podeszłem do drugiego okna, z którego dyskretnie uchylając zasłonę w świetle wychodzącego z za obmur księżycy, ujrzałem grupę - około 20 żołnierzy radzieckich. Wszyscy uzbrojeni w karabiny z nasadzonymi bagnetami. Część żołnierzy była przy studni, kilku siedziało lub stało na łacie, dwóch przy oknie. Na zapytanie moje o co idzie? - żołnierze zaczęli prosić o wskazanie drogi. Wyszedłem na dwór. Z rozmowy wynikało, że oddział idzie z Litwy i zdąża w kierunku granicy - polsko-radzieckiej, chce bezpiecznie przedostać się za Wilię i przejść w rejon lasów. Oficer dowódcy oddziału poprosił o chleb i pozwolenie przenocowania w stodole.

Prośbą oficera byłem zaskoczony. W świetle ostrego zarządzenia niemieckiego, za ukrywanie żołnierzy radzieckich, za dostarczenie żywności, podobnie jak za przechowywanie broni, groziła kara śmierci. Nie było jednak, innej rady, jak całym sercem stanąć po stronie tych, którzy szli z bronią, by walczyć o swoją ziemię i naród, ze wspólnym naszym wrogiem. Przyniosłem ponad 15 kg chleba, pozostawiając w spiżarni trochę dla domowników. Przyniosłem też wiadro mleka wieczornego udoju. Produkty wręczyłem dowódcy, który je rozdzielił pomiędzy zebranych ludzi. Ze względu na bezpieczeństwo, po rozmowie z dowódcą, nocleg zaproponowałem w jednej z wiejskich łaźni,

położonej tuż przy lesie w zaroślach, w gospodarstwie Wacława Ławińskiego, którego rodziców z resztą rodzeństwa NKWD nie zbyt dawno wywiozła na Sybir. O tej historii dowódcy oddziału nie informowałem, nie chcąc narażać na przykre wrażenie, budzące niepokój i podejrzenie środowiska .

Do miejsca noclegu, do którego na wprost nie było dalej niż kilometr, doprowadziłem oddział osobiście, znanymi ścieżkami, podchodząc bezpośrednio od lasu. W łaźni tej położonej od domu około 200 metrów, nocowałem już razy kilka, kiedy się ukrywałem przed wizytą NKWD. Miejsce to było wielokrotnie odwiedzane przeze mnie i w następnych latach wojny. Stanowiło ono poręczną kryjówkę, ponieważ po wywiezieniu rodziny Ławińskich, syn Wacław długi czas ukrywał się, a gospodarstwo było zaniedbane i opuszczone. Dopiero za niemieckiej okupacji Wacław Ławiński zaczął gospodarować od nowa.

Następnego dnia pod wieczór, w czasie umówionym, odwiedziłem dowódcę biwakującego w łaźni oddziału. Sporządziliśmy szkic marszruty do przeprawy przez Wilię, do nadbrzeżnej miejscowości gdzie znajdowały się łodzie. Za przeprawą ustaliłem drogę dalszą przez rejon lasów niemeczyńskich, aż do lasów podbrodzkich. O zmroku oddział szykował się do odejścia, zaopatrzony w chleb przez okolicznych gospodarzy. Przy pożegnaniu ~~dwóch~~ dowódca bardzo serdecznie podziękował mi za opiekę nad oddziałem i po szczęśliwym zakończeniu wojny obiecał nawiązanie kontaktu....

Przez czas dłuższy w okolicy ukazywali się żołnierze ale już w cywilnym ubraniu i bez broni, przynajmniej nie widocznej. Odwiedzali oni również i Chmiziotkę. Wielu z nich rezygnowało narazie z powrotu do Kraju, ze względu na zajęcie przez Niemców znacznej części Związku Radzieckiego i związane

z tym niebezpieczeństwem poruszania się. Pojedynczy żołnierze znajdowali zatrudnienie w gospodarstwach rolnych, pozostających w prywatnym władaniu. Pracowali za wyżywienie i dach nad głową. Część wędrowała dalej na teren powiatów: Postawy, Oszmiana, Święciany, Brasław, Dzisna, bliżej granicy polsko-radzieckiej. Niemala też ich było w woj. nowogródzkim .

Z czasem jak administracja niemiecka, zaczęła usilnie poszukiwać byłych wojskowych czerwonej armii, powstały oddziały partyzantki radzieckiej, kierowanej i wspomaganej przez dowództwo walczącego Kraju. Oddziały te koncentrowały się i działały przeważnie w rejonach północnych powiatów woj. wileńskiego, gdzie też miały stałe bazy, utrzymywane aż do wyparcia Niemców.

Po jakiej takiej stabilizacji życia pod okupacją niemiecką, żona moja z dziećmi opuściła Chmiziotkę, - wyjechała do miasta pod pretekstem pilnowania znajdującego się tam domu. Wyjechali też Wilamowiczowie, którzy stale mieszkali w Wilnie. Wyjechał również ^{kolę} Adolf Stasiewicz kierując się do Lidy, gdzie miał na stałe zamieszkałych brata i siostrę.

W gospodarstwie pozostałem z ojcem oraz z chłopcem i dziewczyną do pomocy. Zbliżała się zima, a wraz tym kończyła praca polowa. Przyszła młocka, dostawa kontygentu zboża i ziemniaków. Z nastaniem zimy otrzymałem zadanie szarwarkowe wywóz drzewa opałowego z lasu do szosy, skąd wywożono do miasta, na zaopatrzenie różnych instytucji. Również do uciążliwych prac szarwarkowych w okresie zimy należało usuwanie śniegu z wyznaczonych odcinków szosy, jednej z głównych dróg wiodących na Litwę, skąd zwożone były środki aprowizacyjne. Przy częstych opadach śniegu ręczne odśnieżanie było bardzo pracochłonne i uciążliwe.

Administracja niemiecka stanowiła aparat złożony . W krajach podbitych, wobec niedoboru swoich ludzi, posługiwali się obcymi najemnikami, którymi przeważnie była obsadzona miejscowa policja, pozostająca pod kierownictwem niemieckim. Ten stan rzeczy został wprowadzony na tereny tak zwane: " litewski i białoruski ", gdzie też część administracji wcywilnej sprawowali Litwini i Białorusini oddani sprawie niemieckiej.

Majątki rolne były przejęte pod zarząd niemiecki, tak zw. " Ostland ". Z ramienia zarządu niemieckiego do administrowania majątkami na Litwie i Białorusi angażowani byli miejscowi Polacy, jako wykwalifikowani administratorzy. W większości przypadków byli to ludzie, którzy z narażeniem życia współpracowali z Armią Krajową, wspomagając oddziały leśne - dając im schronienie i żywność. Zatrudnieni w tych majątkach młodzi ludzie otrzymywali wyżywienie które, z powodu niedoboru środków żywności w mieście było czynnikiem dodatkowego znaczenia. Jednak główne znaczenie posiadania przez młodego człowieka tytułu pracy w majątku ostlandowskim, polegało na zwolnieniu z obowiązku wyjazdu na przymusowe roboty do Niemiec.

Panowanie niemieckie na Litwie i Wileńszczyźnie rozpoczęło się od izolowania i zniszczenia żydów, wyławiania wojskowych czerwonej armii, reszty byłych żołnierzy polskich oraz ściągania kontyngentówⁿ środków aprowizacyjnych.

Za wykroczenie wydanych w tych sprawach odpowiednich zarządzeń stosowane były kary śmierci .

4. Nowe zadania i kłopoty gospodarcze.

Wczesną wiosną 1942 r. całkiem niespodzianie, zjawił się u mnie w Chmizjutce prof. Janusz Jagmin, z którym od dawna nie mogłem ^{się} skontaktować : ponieważ w stałych miejscach zamieszkania go nie było. Profesor stale mieszkał w Wilnie. Poza to zarówno przed wojną, jak szczególnie w czasie okupacji przeważnie przebywał w Budach gm. Podbrzezie, gdzie też posiadał gospodarstwo rolne.

Z dłuższej rozmowy wynikało, że działalność konspiracyjną naszej organizacji wstrzymały na krótki czas niemiecko-radzieckie działania wojenne, które przewaliły się przez nasz kraj rejon. W okupacji niemieckiej powstały nowe zadania i warunki pracy konspiracyjnej. Zgodnie z założeniami Kierownictwa ruchu oporu na Wileńszczyźnie, w ramach dalszej działalności konspiracyjnej, ma być utworzona nowa siatka organizacyjna, obejmująca administrację rejonu, przygotowania mobilizacyjne do ogólnego powstania w odpowiednim momencie oraz organizacja oddziałów leśnych.

Oddziały leśne, czyli załączki Armii Krajowej miały zadania dywersyjne na szlakach transportu wojska i broni w rejon działań frontowych armii niemieckich przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Poza to zadaniem ^m oddziałów leśnych była likwidacja wyjątkowo dokuczliwej administracji niemieckiej, służby " Gestapo" z siatką donosicieli oraz zapewnienie porządku publicznego w ramach konspiracji.

Oddziały leśne w czasie początkowym liczyły po 10 - 15 ludzi. Dla wykonania zadań specjalnych, oddziały mniejsze łączyły się doraźnie w plutony i jednostki większe. Możliwość organizowania i utrzymania oddziałów leśnych z różnych względów była ograniczona.

Przed wszystkim wiele kłopotów sprawiało zaopatrzenie w broń, a zwłaszcza w amunicję. Wprawdzie zgromadzone zapasy broni, szczególnie karabinów były dla potrzeb oddziałów leśnych dostateczne, to jednak wciąż odczuwało się brak amunicji, którą zdobywano głównie w drodze wypadów na nieprzyjaciela.

W skład oddziałów leśnych wchodziłi ludzie po opuszczeniu siatki terenowej albo nie należący do niej. Byli to przeważnie ukrywający się od rejestracji żołnierze polscy, jak również ci, którym groził wywóz na roboty do Niemiec lub też inne zagrożenie aresztem i t. p. Z oddziałów takich w naszym rejonie można wymienić : "Stanisława", "Wilka", "Lisa", "Sokoła". Wychodziły one z siatki konspiracyjnej i stosunkowo krótko były podporządkowane Kierownictwu lokalnemu. W miarę zaznajamiania się z terenem i zdobywania praktyki, dowódcy niektórych oddziałów w stosunku do kierownictwa lokalnego stawali się niesubordynowani. Uważali siebie za panów sytuacji : zabierali broń z magazynów siatki bez pozwolenia, werbowali nowych żołnierzy, nie zachowywali dyskrecji w stosunku do stałych członków siatki organizacji konspiracyjnej, narażając ich w ten sposób na niebezpieczeństwo. Z tych to względów, jak również z potrzeby wykonywania poważnych zadań o charakterze wojskowym z czasem małe oddziały leśne były łączone w oddziały o sile plutonu i pół kompanii, podporządkowane dowódcom zdyscyplinowanym i odpowiednio przeszkolonym. Byli to przeważnie oficerowie i podchorążowie.

Rozwój organizacji konspiracyjnej uzasadnił całkowite oddzielenie oddziałów leśnych od siatki terenowej lokalnej. W zasadzie miały być one podporządkowane hierarchii wojskowej.

W niektórych okolicznościach jednak dowódcy oddziałów pozostawali w bardzo luźnym związku ze zwierzchnictwem wojskowym, natomiast ściślejszy kontakt utrzymywali w dalszym ciągu z lokalnym kierownictwem siatki - komendantem rejonu.

W nowej siatce konspiracyjnej przyjęliśmy podstawowe jednostki terytorialne - rejon, odpowiadające mniej więcej terenom przedwojennych gmin. Zwierzchnikiem rejonu był Komendant któremu podlegały wszelkie przejawy organizacji konspiracyjnej: przygotowanie mobilizacji w wypadku powstania, zdobywanie i przechowywanie broni, składnice meldunkowe, punkty sanitarne i t. p.

W stosunku do komendantów rejonowych sprawowałem powierzona mi nową funkcję inspektora łącznikowego pod nowym pseudonimem "Szczęsny". Pseudonim "Kalina", używany przed wojną niemiecko - radziecką w innym środowisku zmuszony byłem porzucić, podobnie jak i inni z tentej organizacji. Spośród Komendantów, których nazwisk naje znalazłem wymienić mogę najbliższych : - "Walter" - rejon Rzesza, "Dąb" - rejon Mejszagoła i "Kumkar" - rejon Podbrzezie . Organizacja nasza sięgała również na teren Litwy, gdzie miałem dwóch komendantów : "Żmogus" z rejonu Pozełwie za Giedroiciami i "Longinus" w rejonie Malat.

Na Litwie polska organizacja konspiracyjna miała większą siatkę traktowaną specjalnie. Istniała tam również oddzielna organizacja litewska, z którą czasem nawiązywaliśmy kontakty, szczególnie na wiosnę 1944 r.

Latem 1942 r zdarzył się wypadek, który na szereg tygodni wytrącił mnie z toku normalnej pracy. A mianowicie w okresie żniw ja i moi rolnicy : chłopiec i dziewczyna, byliśmy pogryzieni przez psa, który jak wykazały badania był porażony wścieklizną.

Z polecenia lekarza, co dzień, w okresie ponad trzy tygodnie, we trójkę musieliśmy jeździć 10 - 12 km do ośrodka zdrowia na zastrzyki przeciw wścieklicznie. Był to zabieg dość bolesny i uciążliwy, ze względu na systematyczne stosowanie.

Do tego doszły kłopoty inne. Okazało się, że wściekły pies, zanim został izolowany i usunięty z gospodarstwa, zjadł pogryść jedną z krów i maciorę. Objawy wścieklicziny u tych zwierząt wystąpiły w terminie późniejszym. Zmusiło to mnie do odpowiedniego potraktowania inwentarza. Krowę zobowiązany byłem dostarczyć do lecznicy weterynaryjnej w Wilnie, a maciorę na zarządzenie weterynarza uśmiercić i usunąć z gospodarstwa.

Na polecenie administracji władz okupacyjnych, gospodarstwa nawiedzone wściekliczną były znaczone napisami ostrzegawczymi. Przy pełnych drogach wiodących do Chmiziotki, na przydrożnych drzewach ukazały się tabliczki z napisami w językach: niemieckim, litewskim i polskim - : Uwaga ! "wściekliczna". W prędkim czasie okazało się, że tabliczki z ostrzeżeniem były bardzo skuteczne na odstraszenie różnych komisji, powoływanych do rekwizycji zboża, mięsa, kożuchów i t d - które dość czyste były wysyłane z gminy i powiatu. Na moją prośbę poczciwy sołtys Franciszek Suchodolski z sąsiednich Szaltaniszek, przeoczył termin usunięcia tych - jak się okazało - użytecznych tabliczek. Pozostały one na swoich miejscach prawie do końca 1942 r., pełniąc wyśmienicie swoją rolę odstrasżającą. Niestety, tylko w jednym i to w ostatnim przypadku nie były pomocne. A mianowicie, kiedy w końcu grudnia 1942 r. wieziono na moje gospodarstwo przesiedleńców spod Suwałk, na tabliczki z ostrzeżeniem nikt uwagi nie zwracał, pomimo, że towarzyszący tej akcji policjanci litewscy widzieli i czytali

Zaraz po żniwach, w czasie kiedy byłem zajęty likwidacją wściekliczny, zacząłem otrzymywać denerwujące wiadomości, że gminie podbrzeskiej / naszej/, przyległej do terytorium Litwy, w najbliższym czasie grozi wysiedlenie ponad 200 najlepszych gospodarzy. Majątki, które weszły do administracji niemieckiej do akcji wysiedlenia włączone nie były. Wiadomość o akcji wysiedleńczej była potwierdzona przez krewnych przyjeżdżających z Litwy, gdzie akcja ta została zapoczątkowana latem.

Według uzyskanych informacji z polskich gospodarstw na Litwie usuwano całe rodziny, które lokowano w specjalnie utworzonych obozach. Skąd też wiele ludzi miało być kierowanych na roboty przymusowe do Niemiec. Na miejsce pousuwanych gospodarzy osiedlano Litwinów, przesiedleńców przywiezionych z ziem polskich, przeważnie z rejonu Suwałk, gdzie osiedlano rodziny niemieckie z krajów nadbałtyckich.

Podobnie rzecz miała się w gminie podbrzeskiej, gdzie wójt Litwin, wyjątkowo wrogo usposobiony do Polaków, wyjednał u swoich władz zgodę na przeprowadzenie akcji przesiedleńczej. Na terenie gminy akcja rozpoczęła się w początkach grudnia i do końca 1942 r. była zakończona. W gminie tej było największe nasilenie akcji. Gminy sąsiednie, przydzielone Litwie, jak mejszagolska i niemenszyńska akcją przesiedleńczą objęte nie były, poza bardzo nielicznymi przypadkami i to na gospodarstwach pożydowskich lub innych opuszczonych przez właścicieli.

Do opuszczenia gospodarstwa zacząłem w pośpiechu przygotowywać się zaraz po żniwach. Nie czekając na wypożyczenie młocarni, których to maszyn w owym czasie było bardzo mało, cały plon przy pomocy wynajętych robotników odziarniłem

metodą obijania snopków o ustawione w stodole kozły. Część słomy, z drobną ilością ziarna, tak zwanego "okłotu", została wyrzucona ze stodoły, część ułożona w stodole. Ziarno po oczyszczeniu przewiozłem do sąsiadów: Zdrojewskiego i Łabanowskiego, których gospodarstwa znajdowały się w gminie rzeszańskiej. Część owsa zawiozłem do brata w Skierdzimie gminy niemenczyńskiej. Reszta owsa z plewami, którą nie zdążyłem wywieźć, zakopowałem pod podłogą w spichrzu, w wykonanym dole.

Ziemniaków nie zdążyłem zabrać z gospodarstwa. Kilka wozów 30 - 40 q ziemniaków w czasie wykopów z pola wywoziłem do Wilna do rodziców, którzy posiadali odpowiednią piwnicę oraz dla kolegów, którzy tych ziemniaków jak najbardziej potrzebowali. Reszta ziemniaków była złożona w specjalnie urządzonych dołach, w miejscu skąd najłatwiej można było wywieźć, nawet w przypadku zakwaterowania przesiedleńców.

Posiadany inwentarz wyprowadziłem na teren innych gmin do sąsiadów i rodziców, i do rodziny. W gospodarstwie utrzymałem jedną z najgorszych krów i parę prosiąt.

Z nastaniem grudnia wysiedlanie obejmowało coraz więcej gospodarstw. Przesiedleńców przewożono transportem kolejowym na dworzec wileński. Stamtąd po załadowaniu na zmobilizowane w drodze szarwarku furmanki, rodzin przesiedleńczych z posiadanymi przez nich ruchomościami, transport kierowano do wyznaczonej miejscowości i gospodarstw. Transport był eskortowany przez policję litewską lub najczęściej przez tak zwanych "szaklisów". Była to organizacja wojskowa na wzór przedwojennej polskiej - strzelców.

Transporty przesiedleńców litewskich na wieś przychodziły najczęściej wieczorem już o zmroku. Po przybyciu furmanek najczęściej z kilku rodzinami do wyznaczonej miejscowości, prowadzący transport wzywał miejscowego sołtysa i pod osłoną policji dokonywał osiedlenia. W obecności usuwanych gospodarzy spisywano protokół zdawczo - odbiorczy z wyszczególnieniem inwentarza żywego i martwego, ilości złożonego w stodole zboża, siana i słomy oraz zapasów mąki, kaszy, mięsa i t. p. Dotychczasowych gospodarzy, całą rodziną z rzeczami osobistymi i żywnością na drogę, na początku akcji prowadzonej w gminie podbrzeskiej wywożono tymi samymi furmankami do sąsiednich majątków. Stamtąd po segregowaniu zamierzano młodszych kierować na roboty do Niemiec. Wkrótce jednak władze wydały nowe zarządzenie, żeby wysiedlonych zwalniać, pozostawiając im wybór miejsca pobytu. Toteż były przypadki kiedy wysiedlonych nie zwożono w jedno miejsce, lecz po usunięciu z gospodarstwa i przewiezieniu kilkunastu kilometrów pozostawiano na drodze z rygorystycznym zakazem powrotu na swoje gospodarstwa, które już były w posiadaniu nowych osiedleńców.

Z dnia na dzień z pewnym niepokojem oczekiwałem transportu osiedleńców. Niepokój utrzymywał się wobec faktu przetrzymywania wysiedlanych pod strażą jak w obozie. Takiej sytuacji pragnąłem za wszelką cenę uniknąć. W ciągu wielu dni trzymałem się na ostrożności. Najczęściej nocowałem poza gospodarstwem. Od dłuższego czasu w gospodarstwie pozostawała tylko służba.

W przeddzień wigilii Bożego Narodzenia, czyli 23 grudnia 1942 r do Chmizjutki przywieziono osadników. Było to wieczorem, w czasie kiedy znajdowałem się w drodze powrotnej z Wilna

po zawiezieniu tam ziemniaków. Informację o tym co zaszło w gospodarstwie w czasie mojej nieobecności, otrzymałem od Stanisława Paszkowskiego z Wierzbiszek, który był w drodze do Wilna. Sąsiad poinformował mnie, że do Chmiziutki przybył transport złożony z kilku rodzin. Przejeżdżając opodal widział jak jedną rodzinę wprowadzano na gospodarstwo mego bezpośredniego sąsiada Jana Piercewicza. Stąd by wynikało, że i do mnie osadników skierują.

Po tej informacji do domu nie powróciłem. Boczny drogami już o zmroku udałem się wprost do sąsiada Łabanowskiego w Niemenczynku, gdzie też nocowałem. Nazajutrz otrzymałem dokładne informacje o przebiegu osiedlenia w gospodarstwie .

Na moje gospodarstwo przywieziono przesiedleńców z Suwalszczyzny. Była to rodzina niejakiego Krakowskiego złożona z głównego gospodarza, jego syna lat około 20 i trzech kobiet. Wszyscy pracowali w jednym z majątków na Suwalszczyźnie. Na zarządzenie Niemców majątek przeszedł w posiadanie osadników niemieckich z Estonii, a Krakowskich zachęcono na wyjazd do gminy podbrzeskiej. Wmawiano w nich, że dostaną gospodarstwo pożyteczne wskie lub wogóle opuszczone przez rolników.

Świadkiem w osiedleniu Krakowskich był sołtys Suchodolski. Protokół zdawczo-odbiorczy sporządzono bez mego podpisu. Z niezadowoleniem przyjęto fakt, że w stajni i oborze nie znaleziono ani koni ani bydła. Spichlerz również opróżniony. Jedyną pociechą w tym zmątwieniu przybyłych przesiedleńców była pełna stodoła zbiorów. Przypuszczano, że stara krowa, para prosiąt, zboże w stodole i siemiaki w pełnych piwnicach przy ewentualnej doraźnej pomocy gminy na kupno konia, mogą wystarczyć na początek gospodarowania.

Tak rozmyślano zanim odszedł sołtys i odesłano do domu moich robotników : Władka i Marysię, którzy niedaleko mieli swoje rodziny.

Na zajutrz po rozejrzeniu się w stodole Krakowskich przypatrzył się, że słoma zbożowa jest pozbawiona ziarna, na które tak bardzo osadnicy liczyli. Wczesnym rankiem zaraz po śniadaniu Krakowski zabrał ze sobą protokół, sporządzony wieczorem i pieszo udał się do oddalonej około 12 kilometrów gminy w Podbrzeziu . Zgłosił się do wójta Litwina ze skargą, że gospodarstwo było przeze mnie zubożone i że zmuszony jest prosić o zapomogę na chleb do przetrwania zimy i o pożyczkę na kupno konia na wiosnę.

Po rozejrzeniu się w dokumentach, spisie inwentarza i zasiewów wójt - stwierdził, że gospodarstwo zostało przeze mnie ogołocone. Kazał policji i szawlisom ^u wszcząć dochodzenie i poszukiwanie mnie z uprowadzonym inwentarzem i wywiezionym dobytkiem. Jeszcze przed Nowym Rokiem sołtys Suchodolaki otrzymał polecenie, celem przekazania mi nakazu zameldowania się w ciągu kilku dni w urzędzie gminy, w sprawie wyjaśnienia powstałych braków w gospodarstwie i podpisania odpowiedniego protokołu.

W kłopotach jakie sprawiłem osadnikowi Krakowskiemu i wójtowi, dowiedziałem się od sołtysa Suchodolskiego, którego w dniu Nowego Roku przypadkowo spotkałem, będąc na świątecznym przyjęciu w sąsiednich Zajezierecach u Stanisława Łozowskiego - mego kuzyna. Suchodolskiego prosiłem, by przy sposobności zwrócił wójtowi wezwanie i poinformował władze, że na terenie gromady mnie nie znajduje, że według zebranych informacji prawdopodobnie przeprowadziłem się do krewniaków na Litwie w okolicy Giedrojé. Zrobiłem to celowo, by skierować uwagę wójta na tereny dalsze tam gdzie nie byłem .

Tymczasem w ciągu kilku dni zabrałem mój inwentarz przetrzymywany w sąsiednim Niemenczyku, zabrałem ubranie i zapasy żywności i nocą przeprowadziłem się do brata i krewniaków około Sużan w gminie niemenczyńskiej, w rejonach leśnych i bezdrożnych, akcją przesiedlenia nie objętych .

Zaraz po moim zniknięciu policja litewska z "szaulisami " kilkakrotnie usiłowała zniemacka odnaleźć mnie w Niemenczyku, indagując pana Łabanowskiego i jego poźowników braci Awłasewiczów. Wyglądało tak, że ślad po mnie zaginął

5. Nowe Środowisko - Żydzi - partyzanci radziecy

Opuszczając gospodarstwo wyzbyłem się powszednich kłopotów, związanych z jego prowadzeniem, wyzbyłem się przywiązania do stałego miejsca pobytu, które na dalszą metę w pracy mojej kryło poważne niebezpieczeństwo. Wprawdzie bliscy i dalsi sąsiedzi byli w stosunku do mnie bardzo życzliwi, czego dowodów nie brakowało. Z pracy konspiracyjnej z zasady nikomu się nie zwierzałem. Kontakty z ogniwami terenowymi siatki nie były zbyt częste i to przy zachowaniu odpowiedniej dyskrecji. Wychodziliśmy z założenia, że organizacja siatki ma być fundamentem trwałym, na którym, narazie w nie ustalonym terminie, wyrośnie zryw powstania powszechnego przeciw najeźdźcy. Kierownictwo nawet najdrobniejszych ogniw siatki takich jak np. punkty meldunkowe, sanitarne i t p, były darzone wielkim zaufaniem i miało wpojona inicjatywę samodzielnego działania.

Po wyjeździe z Chmiziutki byłem wolny, bez stałego miejsca zamieszkania i bez meldowania. Miałem konia z wozem lekkim - w ówczesnych warunkach najlepszy środek lokomocji. Żywności i paszy dla konia również nie brakowało.

Zastanawiałem się, czy w zmienionych dla mnie warunkach dotychczasowa praca w konspiracji jest odpowiednia, czy należy ją zmienić? Zamierzałem przejść w szeregi oddziałów leśnych, które według nasuwających się założeń w 1943 r miały być wzmocnione. Pociągało to wystąpienie z siatki terenowej, uzasadnione ruchliwością oddziałów. Po zastanowieniu się i naradzie z bliskimi mi ludźmi wyrobiłem przekonanie, że kandydatów nawet na dowódców w oddziałach leśnych jest znacznie więcej aniżeli uzasadniona potrzeba prowadzonej akcji.

Natomiast w siałce konspiracyjnej, zaangażowanej w pracy nad organizacją i instruktażem różnych ogniw działania, w dalszym ciągu odczuwało się niedobór odpowiednich ludzi. Większość tych, którzy mieli poświęcić się konspiracji w rejonie swego pobytu, ze względu na wynikające niebezpieczeństwo dla rodziny i bliskiego otoczenia, wolała pójść do oddziału leśnego, będącego w ruchu w rejonach dalszych wóród nieznanym.

Pozostałem w siałce, w dalszym ciągu nie ujawniając mego ruchu konspiracyjnego. Główną troską wspólną wszystkim komendantom rejonowym i moją było powiększenie zapasów broni, usprawnienie łączności ze składnicami meldunkowymi, przygotowanie sieci punktów sanitarnych, sieci dostawców żywności dla potrzeb wojska oraz ilościowego stanu /bez wykazów/ żołnierzy różnych stopni wojskowych, na wypadek mobilizacji.

Zdobycie broni w naszym rejonie stanowiło specjalny problem. Poza bronią uzyskaną po żołnierzach polskich z 1939 r i nieco po żołnierzach radzieckich z 1941 r, narazie niewiele było nowych szans do jej zdobycia. Okazja ku temu przyszła dopiero od podjęcia akcji przeciwko naszym partyzantom przez oddziały litewskie gener. Plechawiciusa, zorganizowane przez Niemców i przez nich uzbrojone, chociaż jedynie w karabiny ręczne, maszynowe i granaty. Sprawą likwidacji tych oddziałów, jak również dokuczliwej policji litewskiej i szaulisów, zajęły się nasze oddziały partyzanckie, które od 1943 r weszły w etap szerszego działania .

Wraz z rozwojem akcji drobnych - oddziałów leśnych, powstawała potrzeba sprawniejszej organizacji łączności za pośrednictwem składnic meldunkowych. Służyły one do zbierania informacji

od oddziałów oraz do przekazywania im rozkazów dowództwa wojskowego i zadań siatki terenowej. Tą drogą oddziały nasze były informowane o ruchach nieprzyjaciela lub nawet o jego zamiarach. Pomocny w tym był nasz wywiad, utrzymywany w administracji litewskiej i niemieckiej. Do składnie meldunkowych ponadto docierała dość regularnie prasa podziemna z informacją o akcji na frontach wojennych, akcji wroga w kraju i ruchu oporu. Ze składnie prasa przenikała do siatki i na wieś znajdującą się poza organizacją - chętnie czytana i komentowana.

Do wzorowo prowadzonych składnie meldunkowych, utrzymywanych przez okres okupacji niemieckiej między innymi należały :

- w maj. Kowszadoła - Czesław Suchocki "Topór ", /kolega/
- w maj. Budy - Chmielewscy /ojciec i syn/ ,
- w maj. Glinciszki - Władysław Mackiewicz /kuzyn /
- w maj. Werysowo - "Adam " /kolega uniwersytecki /
- w maj. Podkrzyż - Trzeciak
- w maj. Niemenczynek - Aldona Pieciukiewicz
- w maj. Pikieliszki - Stefan Niełowicki
- w maj. Sużany - "Karafka" i inni

Na Trzech Króli zostałem zaproszony przez Władysława Mackiewicza, który administrował majątkiem Glinciszki. Majątek przed wojną należał do Jeleńskich i przez nich był dobrze zagospodarowany. W czasie okupacji podobnie jak wiele innych, został włączony do zarządu " ostlandowskiego", gdzie administratorem głównym był Niemiec - oficer służby wojskowej. Funkcję administratora fachowca na szczeblu zarządu sprawował Komar - Polak z Litwy. W Glinciszkach takim administratorem był mój kuzyn Władysław, który podlegał bezpośrednio stale przeby-

wajacemu w majątku oficerowi niemieckiemu. Jak się okazało był to oficer armii holenderskiej podporządkowanej Niemcom.

Majątek stanowił obiekt duży: poza gruntami rolnymi posiadał sporo lasu, jezioro, gorzelnię, młyn i dobrze prowadzone ogrodnictwo. Dzięki pomysłowości kuzyna, za aprobatą Komara z ramienia zarządu i za życzliwym poparciem oficera Holend~~era~~, do pracy w majątku zaangażowano wielu młodych chłopców z miasta, którzy poszukiwali odpowiedniego schronienia przed wywózką na roboty do Niemiec. Wśród tego rodzaju robotników przeważnie sezonowych znaleźli się również i b. żołnierze polscy.

Robotnicy tej kategorii mieli poza zakwaterowaniem, pełne wyżywienie z kuchni majątkowej, gdzie też stołowała się administracja majątku. Dzięki temu, że do pracy angażowano znacznie więcej młodych ludzi, aniżeli uzasadniała to potrzeba wykonywanych robót, pobyt w majątku miał charakter wczasowy. Robotnicy ani w ogrodzie, ani w polu przepracowani nie byli. Istniał swycszaj, że chociaż w pracy co dzień byli rejestrowani wszyscy oprócz chorych, to jednak faktycznie zatrudnionych około jednej czwartej stanu było mniej. Ci właśnie wychodzili na rozrywki do pobliskiego lasu lub jeziora. Żeby nie było krzywdy drugiego dnia wagarowała grupa następna i t. d.

Stosunek administracji, łącznie z ogrodnikiem, karbowymi, gajowymi był życzliwy, a w wielu przypadkach ojcowski. Wynikało to i stąd, że wśród tego rodzaju robotników był znaczny odsetek spokrewnionych z administracją bądź kierownictwem robót. Byli też bliscy koledzy robotników. W grupie robotników sezonowych znaleźli się dwaj moi najmłodsi bracia : Kazik i Ronek, którzy również w ten sposób chronili się przed wyjazdem do Niemiec ?

Przed tym wyjazdem na początku okupacji chroniła również wielu młodych ludzi - byłych studentów i uczni starszych klas gimnazjalnych, praca związana z uprawą tytoniu. W moim rejonie było kilka takich przypadków, gdzie 4 - 6 osób, otrzymywało zazwyczaj od większych gospodarzy pół hektara, czasem hektar gruntu uprawianego, na którym ręcznie sadzono odpowiednią rozsadę tytoniu. Nawozy mineralne i rozsadę otrzymywano na kredyt instytucji, zainteresowanej uprawą. Po roku tej metody zaniechano, ponieważ okazało się, że produkcja tytoniu była niewspółmiernie niska w stosunku do ponoszonych kosztów.

Młodzi robotnicy stanowili rezerwe skąd szło uzupełnienie oddziałów partyzanckich. W ciągu tego roku co najmniej połowa poszła do formalnych oddziałów. Między innymi poszli również i bracia do nowoorganizowanego oddziału "Błyskawica", którego Komentantem był "PIOTR". Podobna sytuacja była i w innych większych majątkach.

Na świątecznym przyjęciu u Młekiwiecza poza mną zebrali się goście miejscowi, przeważnie należący do administracji majątku. Byli to : ogrodnik, kierownik gorzelni, młynarz i t p. Spośród administracji specjalną moją uwagę zwrócił oficer - Holender, sprawujący funkcję opiekuna majątku z ramienia zarządu niemieckiego. Ponadto w towarzystwie znalazł się zaproszony kierownik miejscowej szkoły Konieczny z żoną.

Goście, ogółem około 20 osób, zostali zaproszeni na poczęstunek do stołowego pokoju, gdzie oczekiwał długi stół, nakryty białym obrusem i zastawiony pełnymi półmisekami różnych wędlin i zakąsek rybnych. Nie mało też było karafek z surówką gorzelaną : zwykłą i zaprawianą na wiśniach i śliwkach .

Dla amatorów znalazło się piwo genowego wyrobu, przyniesione w dwóch pełnych konwiach od mleka. Po zimnych zakąskach na stół przyszły dania gorące z przyprawami różnych jarzyn. Były pieczeni cielęce, indyki, gęsi, kaczki.

Po obiedzie, który trwał bez pośpiechu podano kawę, herbatę, pączki i chruśki - na i dużo mocnego litewskiego krupniku.

Jadąc na przyjęcie wiedziałem, że Władek ma gust urzędowania. Ale czy aż tak, jak tego dnia? Z rozmowy okazało się, że miał ku temu i warunki i powód specjalny.

Władek znalazł się w wąskim gronie zaufanych współpracowników Komara, kierownika fachowca w zarządzie ostlandowskim. Sam Komar lubił dobrze zjeść i wypić. Bardzo często miał też potrzebę nakarmienia i napojenia swoich zwierzchników niemieckich którzy na wiele niedociągnięć czy przekroczeń patrzyli przez palce. Z tych to względów Władek zaangażował do prowadzenia kuchni leciwą Irenę, wdowę po byłym polskim wojskowym. Pani ta miała nieprzeciętne zdolności w prowadzeniu kuchni. Jednak przy dostatnim źródle zaopatrzenia w niezbędne produkty, kulinarne zdolności pani Ireny rozwijały się w sposób nieprzewidziany, ku prawdziwemu zadowoleniu nie tylko przypadkowych gości lecz i stałych stołowników spośród zatrudnionej młodzieży. W czasie świątecznego obiadu, również i stołowanym robotnikom przy wielkim stole kuchni dworskiej, gdzie widziałem się z młodszymi braćmi, pani Irena zapewniała lepsze danie, piwo i zdaje się nieco wódki.

Zapraszając na przyjęcie, domyśliłem się, że Władek chciał mnie zaznajomić ze swoimi bliskimi współpracownikami, a między innymi i z Komarem, który obiecał przyjechać.

Niestety obowiązki służbowe skierowały go w inne miejsce. Sytuacja moja po opuszczeniu Chmiziutki była Władkowi znana. Chciał mi w jakiś sposób odwdzięczyć za doznaną ode mnie przed wojną życzliwość i wsparcie przy ubieganiu się na stanowisko zarządzającego w majątkach prywatnych. Poza to Władek mógł domyślać się, że tacy ludzie - prawdzi Polscy, jak Komar i jego przyjaciele interesują mnie w sprawie o której mówić było wielkim ryzykiem. O tym co mnie mogło szczególnie interesować w czasie okupacji Władkowi nigdy nie zwierzyłem się, chociaż ze źródeł siatki było wiadomo, że jeden z bliskich jego współpracowników prowadzi składnicę meldunową.

Wiedziałem również, że Władek w roku poprzednim administrując w jednym z majątków w powiecie lidzkim, w sposób dyskretny współpracował z tamtejszymi oddziałami AK, ułatwiając zaopatrzenie w mięso i mąkę.

W czasie /siesty / uczyty siedziałem obok oficera - Holendra, z którym udało mi się nawiązać rozmowę nieco w języku niemieckim i ku memu zdziwieniu rosyjskim. Był to starszy pan, który rosyjskiego nauczył się współpracując z jakąś firmą handlową jeszcze przed pierwszą wojną światową. Do wojska niemieckiego wcielony po zajęciu Holandii. Obecnie po wyleczeniu odniesionej na froncie rany, trochę kulejący, przydzielony do Gliniszek, by z ramienia zarządu niemieckiego sprawować funkcję nadzorcą.

Holender lubił dobrze zjeść i wypić. Szczególnie smakował mu krupnik litewski, sporządzony z surówki gorzelanej, przegotowanej z miodem i różnymi przyprawami. Poruszaliśmy różne tematy sztuki kulinarnej i t p. Nie znając rozmówcy celowo unikałem rozmowy na tematy wojenne.

Aż po dobrym wypiciu krupniku Holender zaczął opowiadać o swoim kraju i inwazji niemieckiej : mówił o niezadowoleniu jakie żywią Holendrzy do Niemców. Wyrażał pogląd o nieuniknionej klęsce Hitlera. Orientował się dobrze w skutkach akcji Armii Krajowej w tak zw. Generalnej Guberni. Mówił, że jest głęboko przeświadczony odnośnie istnienia organizacji podziemnej wśród Polaków na Wileńszczyźnie, gdzie też w niektórych rejonach, a zwłaszcza w b. województwie nowogródzkim coraz aktywniej występuje partyzantka radziecka, która na ogół unika współdziałania z partyzantką polską. Dowiedziałem się od niego o tym, co wiedziałem ze źródeł innych, że w rejonach zasięgu partyzantki radzieckiej w nowogródzkim, były bardzo częste wypadki morderstwa popełnianego na Niemcach i Polakach łącznie z paleniem majątków, którymi zarządzali.

W jednym z takich majątków w pow. lidzkim, podobnie jak tu Holender pełnił przed przeszło rokiem funkcję nadzorującego. Zarządcą był Polak, którego nazwiska z powodu krótkiej znajomości nie zapamiętał. Opowiadał mi że zgrozą, że tylko przypadkowo uniknął śmierci, ponieważ tego dnia znajdował się na odprawie w Wilnie. W czasie jego nieobecności w nocy do majątku niespodziewanie przybył oddział partyzantki radzieckiej, który po zastrzeleniu zarządcy i jego rodziny splądrował majątek, zabrał wiele bydła i oddalił się w kierunku nieznanym.

Po takich wypadkach, jak to już było zwyczajem, zarząd oslandowski odwoływał swoich oficerów, a w majątkach pozostawiali tylko miejscowi zarządcy. Toteż i mój rozmówca do poprzeniego majątku nie wrócił, a przeniesiony został do Gliniszek.

Opowiadania Holendra słuchałem z grzeczności, nie Wykazując

wzruszenia, ponieważ o podobnych zajściach byłem informowany przez naszą organizację.

W podobnej sytuacji znalazł się Władek, który do lata 1942 r. administrował w pow. lidzkim, w jednym z majątków Sołtana. Dopóki w okolicy przebywała partyzantka polska, współpraca z administracją majątków ostlandowskich była bezkrwawa. Partyzanci przychodzili, terroryzowali administrację, rekwirowali ile trzeba mąki lub zboża, bydła, trzody ohlewnej i owiec, wydawali pokwitowanie, które chroniło przed odpowiedzialnością w zarządzie. Pojawienie się niektórych oddziałów partyzantki radzieckiej stało się postrachem nie tylko dla Niemców lecz i dla administracji cywilnej. Wypadki popełnianych morderstw dezorganizowały życie w majątkach, które poza wojskiem w znacznej mierze aprowidowały ludność miejską - no i z konieczności oddziały partyzanckie. Niektóre oddziały radzieckie zachowywały się podobnie jak nasze, bez mordowania ludności cywilnej i palenia gospodarstw.

O przeżyciu doznanym przy pierwszym spotkaniu z partyzantką radziecką opowiedział Władek. Było to latem 1942 r. Późnym wieczorem do jego mieszkania w majątku zjawili się trzech uzbrojonych ludzi z miejscowym robotnikiem, który występował w roli przewodnika. Na pierwszy rzut oka Władkowi wydało się, że to partyzanci polscy, lecz dlaczego bez orzełków przy czapkach? - pomyślał. Natychmiast jednak zreflektował się, ponieważ przybysze zaczęli mówić po rosyjsku. Pytali o właściciela majątku, o administratora Niemca. Żądali większej ilości tytoniu, który był uprawiany - słoniny wędzonej i t. d. W przypadku odmowy grozili zastrzeleniem. W tym czasie na dworze inni partyzanci tegoż oddziału, po załadowaniu na furmanki części zawartości

spichrza, po wypędzeniu z obory i chlewa inwentarza, którego część uprowadzili - wzniecali pożar zabudowań gospodarczych i odeszli.

Zabudowania spłonęły, łącznie z dobytkiem robotników dworakich, a Władek doznał szoku nerwowego tak, że zabrano go na leczenie w Wilnie, w szpitalu w oddziale psychiatrycznym. Po paru miesięcznej kuracji wrócił do pracy, lecz na własną prośbę został przeniesiony do Gliniszek. W rok potem, a więc na jesieni 1943 r, również na własną prośbę został przeniesiony do majątku, położonego w pobliżu Wilna. Tutaj Niemcy, którzy prawdopodobnie dopatrzyli się kontaktu z partyzantami, jeszcze z okresu zarządzania majątkami poprzednimi - Władka aresztowali i osadzili w obozie na Litwie. Działo się to na wiosnę 1944 r, niezadługo przed wyrzuceniem Niemców. W tym też czasie więźniów obozowych przetrzucano do Niemiec, a następnie aż do okupowanej Francji, gdzie Władek wraz z innymi był skierowany na roboty w jakiejś fabryce. W rok po zakończeniu wojny wrócił do Kraju i osiedlił się w Legnicy, gdzie w parę lat potem jadąc rowerem ulicą został fatalnie uderzony ciężarówką radziecką i poniósł śmierć na miejscu.

X

Przebywając u brata Wacława w Skierdżimie koło Sużan, jeszcze przed opuszczeniem Chmiziutki zetknąłem się z Żydami, którym dobry los pozwolił uniknąć niechybnej śmierci, jaką ponieśli ich współwyznawcy wiary z rąk katów hitlerowskich. U Brata i u niektórych okolicznych sąsiadów ukrywało się po 2-3 żydów z pobliskiego Niemenczyna - miasteczka położonego w pół drogi pomiędzy Sużanami, a Wilnem. W czasie wyznaczonej przez Niemców zbiórki wszystkich miasteczkowych Żydów, w intencji

przepędzenia ich na miejsce kaźni w lesie opodal miasteczka, nielicznym udało się zbiec. Wśród nich znalazł się właściciel zajazdu Szloma, który ze swoim bratem i małym bratankiem Piotrem, trafili do gospodarstwa Wacława, gdzie z małymi przerwami przebywali do wyzwolenia .

Położenie Skierdżiny - zaścianku oddalonego od innych pojedynczych osiedli i gospodarstw skupionych we wsiach : Rakszany, Kalniszki, Siewruki, pomijając dalej położone Rętałiszki - w pobliżu lasów Sużańskich, na bezdrożu, zapewniało pożądane bezpieczeństwo w ówczesnych warunkach. Korzystali z tego poza Żydami również i partyzanci radzieccy, a następnie polscy. Poza noclegiem w stodole lub innych budynkach gospodarczych , Żydzi otrzymywali wyżywienie i niezbędny przydziewek.

Za udzielony przytułek starali się odwdziaczyć w miarę możliwości podejmując pracę w gospodarstwie przy młocce lub innych zajęciach. Policja litewska wiedziała, że niektórzy Żydzi ukrywają się na wsi. Toteż wspólnie z Niemcami co pewien czas podejmowane były poszukiwania ukrywających się. W czasie rewizji w sprawach obowiązkowych dostaw i innych, gdy tylko wieść dotarła do gospodarstw zagrożonych, Żydzi opuszczali zabudowania, by nie narazić ich właścicieli na wielką odpowiedzialność. Uciekali w pole lub do lasu i tam ukrywali się. Wielu z nich miało stałe kryjówki urządzone i zamaskowane w lesie, gdzie też najczęściej przebywało .

Żydzi trzymający się gospodarstwa Brata, wiedzieli, że ja również unikam spotkania z policją niemiecką i litewską. Wiedzieli również, że jeżdżę na targi w miasteczkach litewskich w celach handlowych.

Nieraz z zakupem wracałem sam lub z bratem późnym wieczorem lub nocą. Póki przebywali Żydzi zawsze przychodzili z pomocą przy odprzeganiu konia i rozładowaniu wozów. Uważali na swój obowiązek czynienia usług i szczerze mówiąc byli pomocni.

Jednego razu na spółkę z bratem kupiłem na Litwie buhaja, przeznaczonego na rzeź. Przywiązanego do wozu z niemałym trudem przyprowadziliśmy go do Skierdżimy, pokonując z przygodami odległość około 40 km. Przejeżdżając koło stada pasącego się bydła, buhaj nasz kilkakrotnie zrywał się i gnał do stada, skąd też nie łatwo go było zabrać. Przyprowadzony nabytek został nazajutrz rano przez naszych Żydów oporzadzony : zdjęta skóra i tusza poćwiartowana w sposób właściwy.

Półowa mięsa jaka przypadła mi w udziale przeznaczona była na sprzedaż w miejscu umówionym pod Wilnem. Jeszcze tego dnia późnym wieczorem w obawie przed policją bocznymi drogami zamierzałem dojechać do Niemenczykaⁿ, gdzie zawsze znajdowałem miły przystanek u gościnnych państwa Łabanowskich. Ze Skierdżimy jechałem lasem i kiedy mało uczęszczanym traktem zbliżyłem się do lasu, należącego do majątku Sużany zapadał zmrok. Wtem niespodzianie zaczął parskać koń i wpoprzek drogi przebiegał czarny kot , zmierzając do nieco oddalonego w polu gospodarstwa. Przesądny nie byłem ale przez chwilę pomyślałem, czy to na prawdę ma być niepomyślna wróżba ? Zanim jednak opamiętałem się na drodze poprzez poprzedzające las karośla ukazało się dwóch w średnim wieku mężczyzn o zarośniętych twarzach . Zobaczyłem typ ludzi, mieszkańców kilku znanych mi wiosek. Niektórzy z nich zajmowali się handlem końmi. Tajemniczy ludzie zbliżyli się do wozu, trochę pijani, być może poznali mnie.

Dość łagodnie zapytali co wiozę i nie prośzeni zaczęli informować, że w lesie w odległości około pół kilometra na drodze stoi kilku partyzantów, którzy mogą mój dobytek zabrać. Jeden z informatorów zaczął usilnie namawiać, żebym nie obawiał się i jechał śmiało naprzód, a on z kolegą pójdą z tyłu w małej odległości i będą mnie bronić przed napadem.

Zwolna ruszyłem, rozmówcy zostali nieco w tyle, a przede mną na drodze w odległości około 200 m ukazała się wolno jadąca naprzeciwko mnie furmanka z dwoma ludźmi. Szybko zorientowałem się co mnie czeka, jeśli wjadą w las. Przede mną tuż przy końcu zarośli przed wjazdem w las wysoki, na lewo widzę ślad mało uczęszczanej drogi. Obejrzałem się za siebie i zauważyłem, że moi nieznajomi w odległości 30 metrów idą za mną. Momentalnie poderwałem konia i skręciłem w lewo na zauważoną dróżkę. Wóz lekki, większego oporu na zakręcie nie stwarzał. Kiedy jeszcze raz rzuciłem okiem w tył, zobaczyłem jak jeden z nieznajomych groził rewolwerem.

W ten sposób oderwałem się od nieznajomych mi ludzi i szybko wjechałem w podwórko tuż przy lesie niemałego gospodarstwa. Był zmrok. Wjechałem w czasie kiedy gospodarz z rodziną i robotnikami po powrocie z pola przysposobiali się do kolacji. Z krótkiej rozmowy wynikało, że napotkani przeze mnie ludzie prawdopodobnie byli mieszkańcami jednej ze wsi koło Podbrzezia. Ludzie ci to grabieżcy, którzy dość często wieczorem grasują na drodze w tam lesie, napadają na furmanki, zabierając wieziony towar, czasem i konie.

Życzliwi gospodarze, okazało się znający mieszkańców Skierdżimy, radzili bym przenocować, a dalej jechał rano i to inną drogą przez tenże las. Za radę podziękowałem i tą inną drogą pojechałem do zamierzonego miejsca. Dalszą podróż odbyłem

bez przygód.

Amatorami wypadów w lesie zainteresowałem miejscowy oddział partyzancki, który też w krótkim czasie zarówno tę jak i inne bandy zlikwidował.

Rolnicy opiekujący się Żydami zdawali sprawę z wielkiej odpowiedzialności - niechybnej kary śmierci w przypadku wykrycia tego przestępstwa przez Niemców.

Obserwując tragiczny los chroniących się przed zagładą Żydów i zdając sprawę z niebezpieczeństwa grożącego wszystkim, którzy przychodzili z pomocą prześladowanym, mimo woli odzywają się w pamięci przeżycia z roku 1920. Świadczą one o tym, jak niewspółmiernie wielka jest cena poświęceń tych, którzy podejmują ryzyko ratowania Żydów, zapominając wrogą podstawę wielu z nich w krytycznych momentach niedawnej przeszłości naszego Kraju.

Pamiętam upalny lipiec 1920r. Liczne grupy żołnierzy naszej piechoty w uciążliwym odwróceniu ze wschodu umykały przez Wilno w kierunku na zachód, przepracymi naprzód setniami kawalerii czerwonej armii.

Byłem w plutonie oddziału zaopatrzenia. Plutonom słożonym z około 30 ułanów - uczniów gimnazjów wileńskich i 6 furmanek załadowanych z trudem zdobytym owsem, dowodził wachmistrz. Pluton nasz z maj. Niemież, pośpiesznym marszem przez Wilno - Ostrą Bramę, dalej ulicą Trocką, Wielką Pohulanką zamierzał przedostać się na trakt w kierunku Waki i t. p.

Jeszcze przed wjazdem w rejon ulicy Trockiej pluton znalazł się w towarzystwie grupy pojedynczych żołnierzy piechoty, którzy z granatami za pasem i karabinami w rękach pośpiesznie cofali się przed oddziałem kawalerii czerwonej armii. Według uzyskanych informacji od ludności cywilnej, która z żalem zegna-

za odchodzących żołnierzy, jeszcze tego dnia w godzinach rannych w kierunku naszego marszu przez Wilno pomknęły dwie sotnie kozaków.

Tuż przed wjazdem w wąską ulicę Trocką posłyszeliśmy strzały i wybuchy granatów. Okazało się, że do cofających się grup żołnierzy naszej piechoty z okien przyległych do ulicy domów strzelały i rzucały granatami bojówki żydowskie, które chciały ułatwić akcję żołnierzom czerwonej armii. Piechota nasza posuwała się pod murami domów. Strzelając do otwartych lub otwierających się okien, torowała sobie drogę ciężkiego odwrotu. Na rozkaz wachmistrza część plutonu została spieszona i posuwała się wraz z żołnierzami piechoty, broniąc się przed atakiem z okien. Reszta z konwodem, wozami i woźnicami cofała się jezdnią tuż za nami i znajdowała się również pod osłoną cofających się żołnierzy piechoty. Sytuacja poprawiła się dopiero po wejściu w rejon szerokiej ul. Wielkiej Pohulanki .

Prawie całe żydostwo wileńskie przejawiało swój wrogi stosunek do odradzającej się po latach niewoli państwowości polskiej i do ludzi, którzy niepodległości kraju bronili. Żydzi przy każdej okazji stawali po stronie bolszewickiej, wchodzili w szeregi CzeKa i NKWD, stanowiąc główny trzon organizacyjny tych krwawych instytucji. Działając w ramach tych organizacji, jako tak zwani Komisarze, popełnili wiele morderstw na wziętych do niewoli żołnierzach i ludności cywilnej w latach 1919 -1920 .

Niektórzy żołnierze Kampanii wrześniowej 1939 r opowiadają, że w czasie odwrotu przez Wilno ku granicy litewskiej, przed wkraczającą do miasta czerwoną armią, wielu Żydów również akcentowało wrogi stosunek do żołnierzy polskich, a nawet były

podejmowane próby zbrojnego terroru.

Te wrogie akty ludności żydowskiej, szczególnie bolesne w krytycznych chwilach naszego państwa, nie zmąciły ludzkiego współczucia ze strony tych, którzy w latach minionych doznali wiele krzywd. Wymownie o tym świadczą fakty pełnej poświęcenia postawy społeczeństwa polskiego, w tragicznych dla narodu żydowskiego latach okupacji hitlerowskiej.

W Skierdżinie miałem sposobność zetknięcia się z partyzantką radzieckimi. Stanęli oni nieliczną grupę, dowodzoną przez "Alozkę". Odwiedzali wszystkich okolicznych gospodarzy. Jako stałą bazę zakwaterowania obrali pobliski zaścianek Prudaliszki - Jana Urbanowicza - położony zdala od innych gospodarstw, ser ze wszech stron otoczony zaroślami olszyny i brzozy. Przy zmowie z gospodarzem i pozostałymi domownikami ruch partyzantów dla okolicy nie był łatwo zauważalny, a to stwarzało wyjątkową wartość bazy zakwaterowania.

Według pochodzącej od nich wersji zadaniem ich była dywersja w rejonie torów kolejowych na odcinku Podbrodzie - Bezdany i dalej w kierunku Wilna. W tym celu z rejonu stałego postoju robili wypadki na odległość 60 - 80 km. Po wykonaniu zadań wracali na kilkudniowy postój do bazy, gdzie czuli się jak w rodzinnym domu. Odwiedzali sąsiadów i byli goszczeni i częstowani dobrą zakąską i samogonem, którego wyrób w owym czasie był rozpowszechniony.

Najczęściej spotykałem się i biesiadowałem z partyzantami u brata, gdzie po opuszczeniu Chmizjutki przez czas dłuższy przebywałem. Z bratem dość często jeździliśmy na Litwę na rynek w Pozelwiu lub Malatach po zakup zboża i prosiąt w celach zarobkowych, bądź wprost na wyżywienie dość licznej rodziny,

zgromadzonej w czasie wojny u brata. Nieraz po zakupy jeździłem sam, a po powrocie jeśli znajdowałem znajomych partyzantów, cieszyli się z mego szczęśliwego powrotu i przy tej okazji przez brata byliśmy darzeni poczęstunkiem. Wszystkie to było kosztowne i uciążliwe w warunkach licznej rodziny brata .

W czasie mego pobytu w Skierdżimie zdarzyło się parę razy, że Niemcy razem z policją litewską przyjechali do okolicznych gospodarzy na rekwizycję nie dostarczonych kontyngentów zboża i mięsa. Powiadomieni o tym partyzanci szybko opuścili bazę w Prudaliszkach, uchodząc do lasu sużańskiego. Ani razu nie mieliśmy sposobności widzieć lub słyszeć, żeby zawsze gośczeni i serdecznie przyjmowani partyzanci bronili gospodarzy przed najazdem Niemców czy Litwinów.

Takie stanowisko partyzantów budziło ^Wpenne zastrzeżenie wśród okolicznych mieszkańców, którzy dość często wyrażali powątpiewanie, czy też ludzie podający się za partyzantów radzieckich są nimi naprawdę ? Czy, aby nie kryje się w tym jakiś podstęp ? Niektórzy nawet przy sposobności zapytywali partyzantów, czym wytłumaczyć ich obojętne stanowisko do rekwizycji kontyngentów i wypadów niemieckich do okolicznych wsi. Wyraźnej odpowiedzi nie było. Pomimo to, że ludzie ci należeli do partyzantki zorganizowanej, pozostającej w kontakcie organizacyjnym z wyższym dowództwem radzieckim. Brak reakcji na rekwizycje i wypadki niemieckie, jednak wytłumaczone nie były. Większość okolicznych mieszkańców, aż do końca akcji partyzantowskiej pozostawała do nich z wielką rezerwą .

Przypadek sprawił, że ta nieufność została złagodzona. Penego razu na wiosnę jeden z partyzantów, którego nazwy nie

pamiętam, w czasie normalnej wędrówki zaszedł do opodal Skierdżimy położonego gospodarstwa Tomaszewskiej. W tym czasie w domu była tylko starsza kobieta Tomaszewska, której młody zięć Witold Pozniak ze swoją żoną pojechał do pobliskiego lasu. Ponieważ gospodyni przybyłego partyzanta rozpoznała, poprosiła go usiąść za stołem na ławie informując, że zięć z córką zaraz wróci. Młody człowiek okryty nieprzemakalnym płaszczem, nie zdejmując go, skorzystał z zaproszenia gospodyni i usiadł za stołem.

Niezdługo za oknem na dworze dał się słyszeć dzwonek zajeżdżających sanek. Zanim partyzant zdążył zorientować się do izby wszedł wysoki, barczysty, młody mężczyzna w porwanym krótkim kożuchu i dziurawej czapce na głowie. Wyglądał na lekko pijanego. Zanim, z batem w ręku, wszedł w charakterze woźnicy jeden z miejscowych gospodarzy, doniosłym głosem wołając :
- Tomaszewska ! Przywiozłem gościa, pana Stasia.

Gościem okazał się Litwin - instruktor kontroli mleczności, zatrudniony w gminie w Podbrzeziu. Znany wielu gospodarzom jako nieprzeciętny pijak - nazywany po imieniu z litewska Stasis / Stanisław /.

Przybysz zaczął wypytywać o gospodarza, ubolewając że nie zastał w domu. Tomaszewska, nie przewidując złego następstwa, upewniła go, że zięć zaraz wróci i poprosiła zaczekać. Stasis po krótkiej rozmowie ze swoim woźnicą zdecydował czekać. Zanim jednak usiadł zwrócił się do partyzanta - nieznanego mu człowieka z zapytaniem : - Kto jesteś, skąd przybywasz i czy masz paszport ?

Partyzant wstał i ze spokojem odpowiedział, że ma interes do gospodarza, a kim jest i skąd przybywa nie ma zwyczaju

informować nieznajomych, którzy przyjeżdżając nie przedstawiają się. Litwin z gniewem wyciągnął z kieszeni strzepy legitymacji i zażądał odpowiedniego dokumentu od partyzanta. Tenże oświadczył że w spotkaniu ludzi nieznajomych będzie lepiej, jeśli każdy z nich, po załatwieniu swoich spraw, pójdzie swoją drogą. A kiedy uparty Litwin nie ustępował i zamierzał zbliżyć się, partyzant odskoczył i w mgnieniu oka wyciągnął spod poły automat /pepesza /, kierując lufę w stronę rozmówcy.

Litwin wysoki, silny chłop pochwycił za lufę automatu, z którego za naciśnięciem spustu padła seria strzałów. W czasie zamieszania z izby zdążył wybiec woźnica, a Tomaszewska skryła się za piecem. Pozostali dwaj mężczyźni : niski, krępy partyzant i rosły Litwin, który chwytając za lufę automatu spowodował, że pociski poszły na ściany izby i na leżące na łóżku poduszki. Po wystrzeleniu wszystkich naboju rozegrała się krótka walka. Litwin starał się wyrwać automat, narzucając się na pochylonego partyzanta z góry. Groziło mu rozbrojeniem. - Z całej siły mocnymi zębami złapał Litwina za palec prawej ręki, gryząc do kości.

Ten chwyt poskutkował, Litwin z przeraźliwym jękiem wyskoczył z izby i momentalnie znalazł się zdala od zabudowań za małym strumykiem. Zanim partyzant załadował automat i wybiegł oddając strzały za ucieknierem, tenże zdążył skryć się w zaroślach i zbiec do pobliskiej wsi - Siewruki. Wymachując zakrwawioną ręką, wyzywając od bandyty partyzant^{ca}, uprosił znajomego gospodarza-Grochowskiego by dał konia. Nie czekając na zaprzęg, wskoczył na oklep i pognął do odległego około 20 km zarządu gminy w Podbrzeziu. Tam, wśród urzędujących Niemców i policji litewskiej wywołał alarm, lecz ze względu prawdopodobnie na odległość w poszukiwaniu sprawy wypadku nikt nie wyruszył.

Stasisowi nałożono opatrunek i wysłano do szpitala w Wilnie.

W czasie, kiedy przerażony Stasis galopował do Podbrzezia, na odgłos strzałów poderwało się 6 kolegów partyzanta. Wybiegli z kwater w Prudaliskach i w dwóch grupach koło zarośli i zabudowań w Skierdzimie, biegli w kierunku położonych na wzniesieniu zabudowań Tomaszewskiej. Tam na podwórku znaleźli swego kolegę, a po wejściu do mieszkania stwierdzili ślady niedawnej walki - postrzelane ściany, drzwi i poduszki, z których sypało się pierze.

Znaleziono w izbie czapkę i teczkę z papierami Stasisa, wynieśli na podwórko, gdzie po sarzuceniu słomą spalili. Na drzwiach domu przyczepili kartkę z napisem po rosyjsku : -
.... Stasis budiet ubit kak zajac. - Potem następujące podpisa autorów.

Od tego też czasu żaden Litwin, nie tylko urzędnik gminy, nie pokazywał się w okolicy.

.... Stosunek tych partyzantów radzieckich do naszej siatki konspiracyjnej nie był znany. Kilkakrotnie pytali mnie i innych, czy należymy do konspiracji i czy w ogóle taka organizacja jest nam znana ? Na negatywną odpowiedź okazali wielkie zdziwienie oraz próbowali informować o ruchu konspiracyjnym w miejscowościach dalej położonych . Wymieniali też nieznanym nam osób, rzekomo należących do konspiracji. - Wierni dyscyplinie konspiracyjnej rozmowy na ten temat zbywaliśmy milczeniem.

6. Przeciw rekwizycji .

Z nakazu władz niemieckich wszystkie gospodarstwa zobowiązane były dostarczać wyznaczonych kontyngentów zboża i mięsa. Ponadto wyszło zarządzenie dostaw futer, kożuchów, wełnianych rękawic, skarpet i wszelkich przedmiotów z metali szlachetnych i miedzi. W przypadku niewykonania dostaw kontyngentowych były nieraz stosowane krwawe represje. Zjawiała się żandarmeria, zabierała opornych gospodarzy i niektórych z nich, bardziej zawinionych, rozstrzeliwano na oczach licznie zgromadzonych ludzi. W ten sposób przez zastraszenie egzekwowano wyznaczone dostawy.

Nie zawsze i nie wszędzie przez zastraszenie płynęły kontyngenty aprowizacyjne i inne do zbiornic niemieckich. To też często organizowane były rewizje i rekwizycje, do których przeprowadzenia wyjeżdżały grupy Niemców, najczęściej w towarzystwie policji litewskiej. Na tego rodzaju wizyty były narażone przede wszystkim gospodarstwa zamożniejsze i w miejscowościach położonych przy lepszych drogach, zdala od lasów. Wsi biedniejszych, gdzie niezego znaleźć nie mogli, a nawet i zamożnych położonych na bezdrożu, przy lasach żandarmi unikali. Dość często były wypadki, kiedy grupę egzekwujących kontyngenty, przeważnie w drodze powrotnej ostrzelał i rozbroił oddział partyzancki. Przy tej okazji zdobywano zboże, kożuchy no i co było najważniejsze - broń.

W styczniu 1943 r od łącznika siatki z rejonu Jęczmieniszek, otrzymałem informację, że w podanym dniu prawdopodobnie odbędzie się rekwizycja zapasów zboża, kożuchów i innych przedmiotów. Rekwizycją miały być objęte miejscowości w rejonie Purnuszek. Normalnie do likwidacji rekwizycji przystępował któryś z najbliższych oddziałów leśnych AK.

Tym razem jednak oddział tego rejonu znajdował się poza terenem swego działania, z którym też łączności byliśmy czasowo pozbawieni. Z konieczności musiałem naprędce zorganizować oddział zastępczy, podejmując dowodzenie. Z najbliższego ogniwa siatki, uwzględniając zasadę konspiracji, mogłem wybrać tylko 5 osób, którzy w rejonie nie byli znani. Z nich pamiętam podchorążego "Słowika" i kaprała "Stanisława". Kaprał był uzbrojony w rkm i granaty. Ja, podchorąży i jeden z żołnierzy mieliśmy submaty i granaty. Dwaj pozostali polskie karabinki i granaty.

W przeddzień wypadu, na odprawie w domu jednego z łączników, ustaliłem ewentualne pozycje, z których moglibyśmy zaatakować konwój w przypadku stwierdzenia jego obecności. Ze względu na niebezpieczeństwo represji wykluczyłem atak w czasie pobytu nieprzyjaciela we wsi lub w którymś z pojedynczych gospodarstw. Najbardziej odpowiednią do obserwacji pozycję upatrzyłem wzniesienie^{na} po zachodniej stronie Purnuszek za rzeczką, skąd pomocą lornetki można było obserwować dojazd do kilku miejscowości w tym rejonie.

Po przenocowaniu u łącznika koło Jęczmieniszek, wczesnym rankiem jeszcze o zmroku poprowadziłem oddział w kierunku obranego punktu obserwacyjnego. Był mroźny dzień, z niezbyt obfitą pokrywą śnieżną. Wszyscy byliśmy ubrani w krótkie kożuchy, watowane lub kożuchowe spodnie, czapki typu rosyjskiego, buty z cholewami lub wejłaki - przygotowani do wielogodzinnego przebywania w polu. Przed wymarszem na ubranie nałożyliśmy powleczenie z białego płótna - maskowanie na tle śniegu.

Wyznaczyłem dwóch szperaczy, którzy w obranym kierunku posuwali się przed resztą ludzi, w ciemności na odległość umożliwiającą widzialność postaci na tle jasnego śniegu.

W brzasku dziennym szperacze oddalali się na odległość łączności wzrokowej. Na wyznaczonej drodze marszu nie było wsi. Spotykane pojedyncze gospodarstwa omijaliśmy, unikając charakterystycznego, w owych czasach, nieraz ostrzegawczego ujadania psów.

Marsz po śniegu był powolny. Po przeszło dwóch godzinach dochodziliśmy do skraju Purnuszek - niewielkiej wsi. Minęliśmy rejon zabudowań. Przed nami szperacze byli już blisko rzeczki, płynącej w dość szerokim i głębokim wąwozie. Wtem nagle z kierunku drugiego końca pozostającej z nami wsi, prostopadle do naszego marszu, padły pojedyncze strzały i wzmożło się ujadanie psów. W świetle dziennym nie mogliśmy jednak dostrzec kto strzela? Klękając usiłujemy pilnie przeszukać wzrokiem widoczne zabudowania wsi, pozostającej za nami ponad 200 metrów. Zanim zdążyłem naprowadzić lornetkę z tego samego kierunku odezwał się teraz karabin maszynowy. Jednocześnie od strony biegnących naszych szperaczy zauważyliśmy sygnały ręczne wskazujące w lewo od wsi. Szperacze szybko skryli się w wąwozie. Jeszcze raz rozejrzałem się w podejrzanym kierunku, lecz ani ja, ani koledzy nie widzieliśmy strzelających. Z chwilą ukrycia się szperaczy karabin maszynowy przestał strzelać. Z oddali z tego kierunku dały się słyszeć jakieś głosy. Nie zasatanawiając się poderwałem ludzi i w biegu nakazałem osiągnięcie wąwozu położonego przed nami, około 200 metrów, skąd zamierzałem przeprowadzić dokładne obserwacje. Byliśmy chyba w pół drogi, kiedy odezwał się karabin maszynowy i strzały pojedyncze. Pociski z gwizdem przelatwały nad nami. Pochyleni w biegu widzieliśmy teraz dokładnie 2 - 3 grupy - razem około 15 ludzi, wybiegających na wąskim odcinku z sa wzniesienia zdaleka od wsi. Ludzie ci w biegu strzelali.

Strój ich wskazywał na przynależność do żołnierzy niemieckich. Nie mogliśmy jednak pojąć skąd ich tak dużo się wzięło ? Bowiem na rekwizycję zwykle jeździło 2-3 Niemców i kilku policjantów litewskich .

Po osiągnięciu wąwozu dołączyli się do nas szperacze. Zajęliśmy stanowisko bojowe. Kaprał z erkaemu oddał kilka serii strzałów w kierunku dobrze widocznym, posuwających się Niemców, którzy też zaraz popadali na śniegugęsto nas ostrzeliwując. Ze wzgórza strzelał też niemiecki karabin maszynowy.

Nie mając dokładnego rozeznania co do sił niemieckich , nie czekaliśmy aż podciągną - jak się wkrótce okazało - swoje dwa karabiny maszynowe. Nakazałem odwrót za rzeczkę, z podejściem na planowane stanowisko na wzgórzu, skąd zamierzałem obserwować dalszy ruch nieprzyjaciela.

Rzeczka płynęła środkiem wąwozu, którego przeciwny brzeg było o spadzie łagodnym, miejscami wchodzącym w poprzecznie wydłużone doliny w kierunku wzniesienia . Normalnie latem rzeczka płynęła płytkim do kolan i wąskim do 3 metrów korytem. Obok miejsca przejazdu wąwów i dla wygody pieszych była przerzucona kładka zbita z dwóch belek. W czasie deszczów lub wiosennych roztopów woda w rzeczce znacznie podnosiła się, zalewała kładkę.

Kiedy zmuszeni byliśmy przejść rzeczkę, kładki nie było widać. Wezbrana woda po niedawnej odwilży chociaż nieco opadła, jednak wystąpiła ze swego normalnego koryta i wartkim prądem, szerokości 5 - 6 metrów, odgradzała nas od pożądanego brzegu. Nie ma innego wyjścia - pomyślałem i nakazałem przejście w bród. Po śliskim zewnętrznym brzegu wbiegłem do lodowatej wody wraz z kapralem i podchorążym, zanurzając się po pas. Za nami weszli pozostali koledzy. Jeden z nich próbował stanąć na zalanej wodą

kładce, lecz ześlizgnął i zanurzył się w wodzie. Razem z innymi żołnierzami pochwyciłem go, ponieważ będąc niskiego wzrostu miał pecha - wpadł w większe zagłębienie, wypłukane przez wirujący prąd wody.

Kiedy z resztą ludzi wychodziłem na drugi brzeg rzeki, podchorąży z kapralem biegiem zajmowali stanowisko ogniowe. Zdałem sprawę, że niestety z powodu przemoknięcia nie możemy dłużej zalegać bez ruchu. Nakazałem bieg dalszy do wzniesienia, z którego mogliśmy obserwować ruch Niemców. Na nich nie potrzebowaliśmy długo czekać. W ślad za nami dopadli do wezbranej rzeczki, rozglądając się wzdłuż brzegu za dogodnym przejściem. Ukryci na wzniesieniu za jakimś krzakiem czy kamieniem, otworzyliśmy ogień z karabinu i innej broni do schodzących i znajdujących się w wąwozie Niemców, którzy przypuszczali że uciekamy dalej. Niemcy popadali, skryli się i z podciągniętych karabinów maszynowych otwarli gęsty ogień, który denerwował nas i przyspieszył dalszy odwrót.

Nie odczuwając przerażającego zimna, zaczęliśmy opuszczać stanowisko. Cofając się najpierw skokami, a następnie wykorzystując osłonę terenową biegiem w kierunku ciągnących się o kilometr zarośli, zmierzaliśmy na Woroniszki.

Szczęśliwie oderwaliśmy się od nieprzyjaciela, który za rzeczki nie wyszedł. Prawie biegiem, okryci szronem i parą przebyliśmy chyba z 3 km, maszerując na przełaj przez zarośla i latem nieprzebyte bagna. W tym niedostępnym rejonie, nieco w lesie znaleźliśmy schronienie u dobrze znajomego kolegi naszego kaprała. Było mu na imię Jan - młody mężczyzna. Po powrocie z wojny, w której brał udział razem z kapralem, pomagał ojcu w prowadzeniu gospodarstwa. Zarówno Jan, jak i cała nieliczna rodzina przyjęli nas bardzo serdecznie i gościnnie.

Po kilku minutach odpoczynku na wypalenie papierosa, wyznaczyłem jednego z żołnierzy na wartę w ukryciu na skraju lasu. Znajdujących się domowników poprosiłem, by w czasie naszego pobytu nie oddalali się poza obręb budynków. Gospodarze rozumiejąc sytuację bez słowa sprzeciwu przystali na moją prośbę.

Domyślny gospodarz zaproponował nam zmianę bielizny i wysuszenie butów i ubrania. Najpierw zatroszczyliśmy się o wartownika, który z rąk gospodarzy otrzymał czystą bieliznę, suchy ciepły kożuch i długie wojskowe. Przed wyjściem na dwugodzinną wartę został nakarmiony gorącym kapuśniakiem z razowym chlebem.

Reszta nas przebrała się w suchą bieliznę i odzież - została zaproszona do stołu, na którym znalazł się samogon, wędzony boczek słoniny, chleb, a następnie gorący kapuśniak. Po samym obiedzie ludzie czyścili broń, suszyli swoją bieliznę, ubranie i buty, garnąc się bliżej pieca.

Sprawdziłem wartę. Pod wieczór poleciłem kapralowi "Stanisławowi", który dobrze znał okolice, by udał się w rejon Purnuszek do któregoś ze znajomych zauważanych ludzi na wywiad. Na moją prośbę gospodarz wypożyczył konia zaprzęgniętego do sanek, którymi pojechał kapral.

Jechał drózkami zimowymi śniegiem po zamrzniętych bajorach i po okręceniu Purnuszek zatrzymał się u jednego ze znajomych w sąsiedniej miejscowości, pod pretekstem omówienia wyjazdu w najbliższą sobotę na zabawę. W czasie przeciągającej się rozmowy na różne tematy i przy poczęstunku, gospodarz i domownicy z własnej inicjatywy opowiedzieli akcję, która tegoż dnia rozegrała się koło Purnuszek. Przy opowiadaniu był też obecny młody człowiek, sąsiad z Purnuszek. Przyszedł na karty. Gość uzupełnił opowiadanie gospodarzy, informując szczegółowo jak to było od początku.

Informacje jego pochodziły od jednego z woźniców.

... Z Wilna do Podbrzezia, na jakąś akcję trzema samochodami przyjechał oddział Niemców. Tam podzieleni prawdopodobnie na trzy grupy, przesiedli na zmobilizowane podwozy / sanie / i razem z przydzieloną policją litewską rozjechali się w różne kierunki. Prawdopodobnie zanosilo się na obławę partyzantów, tu i ówdzie pokazujących się po kilkunastu ludzi. Jedna z grup niszczytel- skich zamierzała dojechać w rejon Jęczmieniszek.

Na drodze do Purnuszek, w odległości chyba z kilometrów od wsi, przy wjeździe na wzgórze czołówka niemiecka zauważyła dwóch uzbrojonych ludzi, zmierzających w kierunku rzeczki. Na rozkaz jadących Niemców podwozy zatrzymały się. Część żołnierzy wysiadła i otworzyła ogień. - Jak się okazało do naszych szperaczy a potem do nas. Niemcy mieli dwa karabiny maszynowe. Razem z Litwinami było ich ponad 20 osób.

Zdaniem rozmówcy, w czasie utarczki z partyzantami koło rzeczki, jeden Niemiec został zabity, a trzech rannych. Po tym wypadku Niemcy zatrzymali się koło Purnuszek. Dalej nie jechali, a po godzinie postoju zawrócili w kierunku skąd przybyli ...

Był to bardzo rzadko notowany wypadek kiedy Niemcy nie uczynili odwetu na mieszkańcach pobliskiej wsi. Prawdopodobnie dwa motywy przeważały na takim postępowaniem.

Pierwszy, to nie chcieli zrażać do siebie okolicznej ludności, o łyczliwość której bardzo się ubiegali i achkolwiek mylnie, liczyli na wydanie melin partyzantskich. Niemcy wciąż uważali, że w terenie działają przeważnie oddziały partyzantki radzieckiej - złożone z pozostałych na tyłach żołnierzy czerwonej armii.

Drugi motyw, to że podejmując represje w stosunku do miejscowej ludności, obawiali się najścia większego oddziału partyzanckiego, z którym przyszłoby się zmierzyć. Do tego jednak nie czuli się na siłach.

Niemcy myśleli - wprawdzie w ostatnim boju partyzanci zostali przepłoszeni, lecz było ich bardzo mało, a uzbrojenie mieli dobre i przyczynili się do straty kilku ludzi.

Trudno przewidzieć jaki może być rozmiar strat jeśli uciekającej grupie partyzantów przyjdzie z pomocą oddział większy.

Strach pomyśleć co w wyniku takiego spotkania będzie.

Zbliżał się wieczór. Nie ma żadnej gwarancji, że pod osłoną nocy jakiś oddział, może nawet wspólnie z tymi sześcioma uciekającymi, nie napadnie, by zabrać broń, a nawet i życie.

To zapewne miało zadecydować, że Niemcy odjechali bez represji i tu nigdy nie pokazali się

Po powrocie około północy kapral opowiedział to co usłyszał. Niezadługo zarządziłem wymarsz, żegnając gościnnych gospodarzy. Na drodze rozwiązałem oddział, polecając ukrycie broni i powrót do normalnych zajęć w siatce.

7 . Zasięg na Litwę

Opuszczenie gospodarstwa w końcu 1942 r oderwało mnie od stałego miejsca zamieszkania, stworzyło całkiem nowe warunki egzystencji i pracy konspiracyjnej. Przede wszystkim zostałem pozbawiony stałego, dostatniego źródła utrzymania dla całej rodziny. Skąd powstała konieczność starań o chleb powszedni.

Ucieczka z gospodarstwa i praca w konspiracji, przekreśliły do reszty możliwości meldowania w administracji terenowej mego miejsca zamieszkania, które też aż do końca okupacji nie było ustalone. Takie zachowanie się w gruncie rzeczy, narażało nie tylko mnie - z czym już nie potrzebowałem^h zbytnio liczyć - ale również i tych, którzy gościnnie dawali mi dach nad głową. Obracając się wśród krewnych byłem przez najbliższe otoczenie traktowany jako swój człowiek, pozbawiony zrzędzeniem losu własnego domu i stałego miejsca pobytu. W ogólnym bałaganie wojennym, w warunkach okupacji podobnych wypadków było siele. Jeśli nie meldowałem mego pobytu, nikt z moich najbliższych nie widział w tym przestępstwa tym bardziej, że starałem się by pobyt mój nie był stały.

Na początku 1943 r wytworzyła się taka sytuacja, że po wyjeździe z Niemenczyka, gdzie znalazłem schronienie w pierwszym etapie po opuszczeniu gospodarstwa, zamieszkałem z rodziną najbliższą u kuzyna Bolesława Bogdanowicza w Lewonach. Konia, krowę i część paszy ulokowałem u brata Wacława w Skierdżimie, graniczącej z Lewonami. Niektóre drobiazgi gospodarstwa pozostawiłem w Niemenczyku, dokąd bardzo często przyjeżdżałem, jak do drugiego mego domu.

Z nastaniem wiosny zatroszczyłem się o zapewnienie większych zapasów ziemniaków, z myślą o wyżywieniu rodziny na najbliższą

zimę. Dzięki życzliwemu stanowisku różnych ludzi, przede wszystkim krewnych i przy nakładzie mojej pracy, potrafiłem zorganizować dość liczne, aczkolwiek drobne plantacje ziemniaczane.

Takich plantacji, na których posadziłem po 50 kg ziemniaków miałem : w Skierdżimie u brata, w Lewonach u kuzyna Bolesława Bogdanowicza, w Prudaliskach u sąsiada J. Urbanowicza, w Minkielach u Warakomskiego - krewniaka bratowej, w Zajezierecach u kuzyna Stanisława Łozowskiego i w Niemenczyku u Łabanowskiego .

Zebrane na jesieni ziemniaki, z wszystkich rozrzuconych plantacji, zwiózłem w jedno miejsce i zakopowałem w Skierdżimie.

Dość czyste wyjazdy na Litwę w zasadzie wynikały z potrzeby interesów handlowych, reperujących moją sytuację materialną. Tak też było rozumiane przez moich najbliższych, jak to zwykle bywa, interesujących się moją podróżą. Dawało to mi mocne alibi przy różnych i licznych wyjazdach, których ujawnić nie mogłem.

Na jednym ze spotkań w Kowszadole, niewielkim majątku koło Podbrzezia, z moimi doświadczonymi kolegami : inż. Czesławem Słuchockim, prof. dr Januszem Jagⁿⁱniem i przez niego rekomendowanym zarządcą majątku Pikieliszki - Niełowickim, powzięliśmy inicjatywę zwiększenia naszej siatki konspiracyjnej zasięgiem na Litwę. Przy rozważaniu możliwości wykonania tej inicjatywy wszyscy zdecydowanie zwrócili się do mnie, ponieważ w ich pojęciu, miałem najwięcej czasu i byłem najmniej związany z jakimś stałym miejscem pobytu. Nie miałem nic do przeciwstawienia tej propozycji. Zgodziłem się.

Prof. Jaguin pochodził z Litwy i znał wielu ludzi stale tam przebywających i zaprzyjaźnionych z litewskimi działaczami niepodległościowymi, pragnącymi sprawę litewską traktować w jedności z polską.

Obiecał ułatwić ^{na} powiązanie siatki konspiracyjnej z tą przychylną, tak pojętej sprawie, grupą działaczy litewskich. W znacznym stopniu tego dokonał.

Nielowicki przybył z Litwy w czasie wojny, zaraz po kampanii wrześniowej. Znał wielu ludzi odpowiadających założeniom naszej konspiracji. Służył niezawodną pomocą w nawiązywaniu pierwszych moich kontaktów na Litwie. Dał mi charakterystykę osób, mogących stanowić ogniwa siatki, ewentualnie tych, którzy okazali pomoc w tworzeniu takich ogniw ! Dostarczył wiele niezbędnych adresów.

Wyposażony w założenia ogólne i informacje niezbędne do nawiązywania kontaktów, przystąpiłem do spełnienia wyznaczonej misji. Już na wstępie, przy pierwszym zetknięciu z rekomendowaną osobą, przebywającą na gospodarstwie za Giedrojciemi - pseudonim "Zmogus" ; zorientowałem się, że sprawa naszej siatki komplikuje się. Dowiedziałem się od niego, że wśród wielu środowisk litewskich mocno zaczęły wzrastać wpływy niemieckie, przeciwstawne zbliżeniu z polskim podziemiem. Wyrazem tego była popierana organizacja "szaulisów", odpowiednia naszej przedwojennej - "strzelców". Również do walki z naszym podziemiem szczególnie z oddziałami leśnymi, pod protektóratem niemieckim były zorganizowane oddziały wojskowe, oddane pod komendę gen. Plechawicziusa.

Do oddziałów Plechawicziusa zaciągali się młodzi Litwini z wyrachowaniem, że przynależność do tego wojska chroniła od wywózki do Niemiec na przymusowe roboty. W oddziałach, dość słabo uzbrojonych panował nastrój wyczekiwania. Walki z partyzantami polskimi w miarę możliwości unikano. Do starcia dochodziło w przypadkach sporadycznych, chyba wówczas kiedy zaniechania postawy bojowej oddział litewski nie mógł udokumentować wobec niemieckich mocodawców.

Notowane kilkakrotne starcia z naszymi oddziałami leśnymi np. w Trokach, Janiszkach i inn doprowadziły do rozbrojenia całych oddziałów litewskich. Do wyjątków można zaliczyć podejmowanie inicjatywy walki przez oddziały Plechawicziusa. Następoważo to albo w przypadkach odwetu za podstępnie spowodowaną śmierć lubianego dowódcy : oficera bądź podoficera, albo wówczas kiedy miejscowa ludność przez nieświadomość prosiła o interwencję, np. przy rekwizycji konia przez partyzantów. Wszystko to było notowane przez opiekunów niemieckich i sprawiło, że w czasie późniejszym oddziały Plechawicziusa zostały internowane i rozbrojone.

Ponato na Litwie powstawał-y oddziały partyzanckie do walki z okupantem. Niektóre z nich były zasilane instruktorami radzieckimi i zaopatrywane w broń radziecką. Były to oddziały mieszane radziecko - litewskie, dowodzone przez oficerów radzieckich. Z okazji kontaktu z partyzantką radziecką oddziały te nieraz przechodziły przez tereny polskie .

W tej sytuacji siatka nasza na Litwie musiała liczyć się z większym niebezpieczeństwem niż na ziemiach polskich. Pomimo to jednak "Zmogus" w ciągu miesiąca potrafił zorganizować podległe mu ogniwa. Do końca roku w jego siatce było uzbrojonych ponad 50 ludzi. "Zmogus" umiał mówić po polsku, jak to stwierdziłem w rozmowie z nim jego matką. W siatce miał ludzi mieszanych i prawie połowa oprócz litewskiego znała polski, druga połowa znała tylko litewski. Stosunek jego ludzi do Niemców był wrogi - do policji miejscowej i żołnierzy "Plechawicziusa" tolerancyjny. "Szaulisów" traktowano jako organizację sportową, która przy pierwszej lepszej okazji, bez większego zachodu oddawała broń, jaką ^w bardzo znikomych ilościach otrzymała od Niemców.

Drugim takim komendantem, dobranym częściowo też z rekomendacji "Zmogusa", był jego kolega szkolny, rolnik średniego wieku, potężnego wzrostu i budowy "Longinus", zamieszkały za Malatami. Niełowicki również znał "Longinusa" i popierał jego kandydaturę na komendanta. Do kontaktu z "Longinusem" doszedłem za pośrednictwem znanego w okolicy właściciela okrojonego przez parcelację majątku - Platera, jakiegoś krewniaka bohaterki powstania Emilii Plater. Mój Plater egzystował w majątku gdzieś koło Ucian.

Latem jeszcze przed żniwami, pod pretekstem nabycia miodu, siadłem na rower i pojechałem w daleką drogę. Rower miałem lekki i jesionowe koła z szerokimi oponami - przystosowany do jazdy naszymi drogami i ścieżkami. Tym środkiem lokomocji posługiwałem się bardzo często.

Wyjechałem około godziny szóstej. Dzień był piękny słoneczny, w południe upalny. Jechałem bez większego wysiłku ze średnią szybkością niewiele ponad 15 km na godzinę. Ze Skierdżimy przez Lewony i dalej przez Dumbłę w kierunku Dubinki, aż do jeziora Dubińskiego, jechałem drogami polnymi, bardzo często o wybitych głębokich koleinach, które musiałem omijać. Przeważnie jechałem ścieżkami po obu stronach drogi. Na drodze wogóle mało uczęszczanej była pustka. - Pora sianokosów - pomyślałem. Nie obejrzałem się jak się znalazłem koło jeziora tuż przed Dubinkami.

Zatrzymałem się nad brzegiem jeziora przy trakcie, wiodącym przez Dubinki do Malat i dalej do Ucian. Odpoczywałem rozmyślając, że jadąc z Lewon na wprost przez wieś Grejciuniszki położoną na skraju jez. Szyrwiny i dalej lasem przez jez. Dubińskie byłoby o wiele bliżej.

Tak jadąc musiałem mieć zapewnioną przeprawę przez jezioro, które leżało na długim odcinku granicy polsko - litewskiej i na moim kierunku jazdy było bardzo szerokie. Po obu stronach jeziora ciągnął się duży las mieszany z przewagą sosny.

Przypomniałem, że jeszcze przed pierwszą wojną, w towarzystwie starszych kuzynów, jakąś łodzią przeprawiwszy się na drugą stronę jeziora, w przybrzeżnym dębowym lesie, zbierałem borowiki, których wówczas znaleźliśmy wyjątkowo wielką ilość. W krótkim czasie mieliśmy pełne kosze, jakich się używało przy kopaniu ziemniaków.

Odpooczynek nad jeziorem przeciągnął się ponad godzinę.

Zdala od drogi zostawiłem rower i poszedłem nad wodę.

Jezioro było spokojne. Na dnie przezroczystej wody od szmaragdowej głębi wypłynęły stada okazałych okoni o wyraźnych pstrokatych bokach. Z chwilą gdy się powoli zbliżyłem, zawróciły i skryły się w bliskiej ^a moczarką porosłej głębi. Idąc dalej wzdłuż brzegu, przy rozłożonych szerokich liściach nenufarów, jakby w cieniu tych roślin ^a przeszło zwolna stado płoci. Obecność ich w tej partii jeziora świadczył plusk wody, spowodowany wyskokami na powierzchnię w pogoni za spadającymi małymi chszaszczykami - wielkości stonki - których roje siedziały i ^b olatywały kilka pojedynczych krzaków olszyny, rosnącej przy brzegu jeziora.

Idąc powoli dalej wzdłuż brzegu i wpatrując się w cicha, toń jeziora, zauważyłem przede mną najpierw wystającą i poruszającą się nad trzciniami wędkę, a zarazem potem niżej wędkę ledwo widoczny wierzch słomkowego kapelusza. Pomyślałem - wędkarz. Powoli zbliżyłem się i zdala na przeciw niego stanąłem - przyglądając się z przyjemnością, jak przy akompanjamentie plusku wody ciągnął do brzegu piękną płoć.

Wędkarz, starszy mężczyzna, w lnianej, samodziałowej koszuli, takichże spodniach zakasanych powyżej kolan, z torbą przewieszoną na szyi, wychodził wolną z wody, w tym miejscu rzadko porosłej trzcinami. Udało się - tuż za sobą wyciągnął połyskującą srebrzysto - złotą o czerwonych płetwach i ogonie płoć. Wyciągnął na przybrzeżną trawę, zdjął z haka i objąwszy w obie ręce wpakował w zwisającą torbę, dokładając do kilku - dziesięciu innych.

Już przedtem zauważył mnie. Stałem nie mówiąc. Teraz widząc zadowolenie, z jakim wkładał do torby płoć, rzekłem :

- Dzień dobry.

- Dzień dobry - odpowiedział.

Zbliżyłem się. Zapropnowałem zapalenie papierosa, wyciągając ku niemu puszkę z cienko pokrojonym tytoniem i arkuszem bibułki. Przyjął propozycję, przy okazji też pokazał swój piękny połów od godziny wędkowania.

Wyczuwając przychylność podjąłem rozmowę najpierw na temat połowów, potem na wiele innych, mnie bardziej interesujących. Mój rozmówca mówił dobrze po polsku, podobnież jak wielu mieszkańców Dubinek i okolicy. Mieszkał niedaleko, niemal na przedmieściu Dubinek, ma drobne gospodarstwo, jest szewcem i zamilowanym wędkarzem.

Przedstawiłem się, że jestem z niedalekiej okolicy, jadę w odwiedziny do krewnych koło Malat. Okazało się, że zna miejscowości z których przybywam i że z tamtych okolic pochodzi jego żona. Dopaliliśmy papierosy. Spieszyło się nam : jemu do ryb, mnie w drogę. Na zapytanie, czy nikt w Dubinkach nie będzie miał do mnie pretensji, że jadę bez karty rowerowej ? - Poinformował, że miejscowi policjanci to dobrzy ludzie - nie zatrzymują podróżnych, których bywało w dzień targowy w Malatach przejeżdża dużo

furmankami i rowerami - przyjeżdżają z Polski, / to znaczy tuż w zagranicy/ bez numerów rowerowych. - Dziś policja prawdopodobnie wyjechała do Giedrojé na jakieś zebranie - powiedział.

Przy pożegnaniu zaprosił mnie do siebie, pokazując z dala widoczne zabudowania. Wymienił nazwisko, lecz powiedział, że wystarczy jeśli zapytam o szewca, którego tu każdy zna. Nadmienił bym śpieszyłam z odwiedzeniem ponieważ rozeszła się pogłoska, że niezadługo w Dubinkach ma stacjonować jakiś oddział wojska lub policji, a ma to prawdopodobnie nastąpić za parę tygodni. Rzekome o tym był informowany przez samego komendanta policji, któremu niedawno reperował buty.

To, co przy pożegnaniu powiedział mój przygodny rozmówca wzięłem pod uwagę. Wjechałem na trakt. Przejechałem most i droga koło byłego zamku na wzniesieniu, wówczas letniej rezydencji prezydenta Smietony, nie zatrzymując się skrajem Dubinek, wyjechałem na trakt Malacki. Był upał, parne bezwietrzne powietrze sprawiało jazdę zwolnioną. Po południu minąłem Malaty, przejeżdżając środkiem miasteczka, niedaleko placu rynkowego, gdzie często bywałem na jesieni i zimą.

Jadąc do Małat zamierzałem odwiedzić znajomą właścicielkę majątku tej samej nazwy - leciwą pannę Grauzynis. Ze względu na dalszą podróż i zwolnioną jazdę, wizytę odłożyłem do powrotu.

Do majątku hr Platara koło Ucian dowlokłem się pod wieczór. Wjechałem w podwórze wprost z gościńca. W zaroślach, nad którymi wznosiły się bardzo przerzedzone okazy olbrzymich lip, świadczących o resztkach majątkowego parku, stał stary, drewniany pałac. Przed nim rozłożona, niewspółmiernie wielkie podwórze, na którym terozwały zaniedbane resztki wozów, ssań i innego inwentarsa hrabiowskiej fortuny .

Przy drzwiach wejściowych na werandzie budynku, nazywanego "pałacem", zostawiłem rower i zanim wszedłem na werandę w drzwiach otwartych do przedpokoju ukazała się młoda kobieta. Na zapytanie : - Czy zastałem pana Platera ? Odpowiedziała - zaraz wróci - i poprosiła do pokoju dość schludnie umeblowanego. Przedstawiłem się, jako kolega Niełowickiego i na temat tej znajomości zacząłem coś opowiadać. W trakcie rozmowy przyszły jeszcze aż trzy młode kobiety. - Harem, pomyślałem i kurtuazyjnie przywitałem się.

Odnaleziony przez domowników wszedł do pokoju mężczyzna średniego wieku, dość wysoki - przedstawił się jako Plater. Po nieskomplikowanej ceremonii powitalnej, podjęliśmy rozmowę na temat różnych znajomości. W międzyczasie zaproszono na podwieczorek. Przeszliśmy do pokoju stołowego, gdzie razem z podwieczorkiem czekała kolacja. Po kolacji nie było jeszcze ciemno i na propozycję gospodarza poszliśmy we dwójkę do starego sadu. Po krótkim, wprowadzającym przeze mnie wstępnie, podjęliśmy rozmowę na interesujący mnie temat.

Znajomość Platera z Niełowickim była zażyła. W czasie ostatniego ich spotkania w Wilnie, a było to przed paru miesiącami, poruszono sprawę organizacji konspiracyjnej również i w rejonie Ucian. Rozmowa moja była niejako przygotowana. Rozpatrując różne propozycje co do kandydata na komendanta, wybór padł na jakiegoś krewniaka Platera, któregoś nazwaliśmy "Longinusem".

U gościnnego Platera nocowałem. Ustaliliśmy, że rano z zaproszeniem na przygodną gościnę pojedzie do "Longinusa" chłopak połownika - dzierżawcy majątku. "Longinus" przebywał w podobnym majątku, położonym osiem kilometrów od posiadłości Platera.

Nazajutrz przy śniadaniu wrócił goniec z krótkim listem od "Longinusa", który informował, że z zaproszenia skorzysta i przyjedzie jeszcze przed obiadem. Po śniadaniu trwały opowiadania gospodarza o różnych przeżyciach sprzed pierwszej wojny światowej, również i o dalekiej krewnej zaangażowanej w powstaniu Emilii Plater. Czas upływał szybko. Nie obejrzeliśmy się jak przed dom jednokonną bryczką bez powożącego przyjechał "Longinus".

Po obiedzie, gospodarz pod pretekstem miodebrania, zaprosił "Longinusa" i mnie do znajdującego się w sadzie pasieki. Weszliśmy do stebnika, w którym stały konwie do miodu, wirówka i inne narzędzia pszczelarskie. Po środku stał mały stolik z taboretami. Zanim przystąpiliśmy do rozmowy gospodarz postawił pojemny gąsior z pitnym miodem i przez cały czas usilnie nas częstował.

W trakcie rozmowy "Longinus" przypisaną mu funkcję przyjął. Kontakt z nami był utrzymywany za pośrednictwem Platera i Niełowickiego. Jeszcze przed jesienią w tamtej siatce było zorganizowanych ponad 60 ludzi, różnie uzbrojonych miejscowych Polaków i Litwinów.

Zaraz po skończonej rozmowie w stebniku, pożegnałem gospodarzy i "Longinusa" i tą samą drogą wracałem. Przejazdem przez Malaty zajechałem do znajomej panny Graużynis. Ostatnio byłem tu w końcu zimy, kiedy zakupiłem kilka q pszenicy. Od tego czasu nie się nie zmieniło. Majątek oddany w dzierżawę - mocno zaniedbany. Sama właścicielka panna Graużynis mieszkała na piętrze w końcu wielkiego domu.

Spotkana przed domem służąca, zapytana po polsku odpowiedziała po litewsku - machnęła ręką w kierunku okien na piętrze -

z czego zrozumiałem, że pani w domu. Skierowałem się na piętro do mieszkania. Na schodach wielki nieporządek, a przed drzwiami wejściowymi do mieszkania i na długim korytarzu kwaterowała koza z dwoma kozłętami. Koza, ulubione stworzenie panny, z chwilą kiedy ukazałem się przy wejściu zaczęła rzucać się po korytarzu - narobiła wielkiego harmideru. Czułem się zażenowany tym, że stałem się mimowolnym burzycielem wiejskiej sielanki. Stałem przed drzwiami i w tej chwili słyszę kroki i głos kobiecy z pytaniem po litewsku - kto tam ?

Otworzyły się drzwi i w świetle padającym od mieszkania ukazała się panna Graużynis. Bardzo lubiła nazywać ją panną - niewiedziałem dlaczego ? Poznała mnie i zaprosiła do mieszkania, przepraszając za przygodę z kozą. Otworzyła okno, przywołała z podwórza służącą i nakazała przygotować kolację, na którą byłem zaproszony.

Panna Graużynis pochodziła z zamożnego litewskiego rodu. Doskonale znała język polski, trochę rosyjski i niemiecki. Była zadowolona z mojej wizyty. Mówiła, że ma bardzo ważną sprawę do omówienia ze mną, ponieważ jestem z tak zw. Polski. Już przy kolacji, nie krępując się służącej oświadczyła, że jest zdecydowaną wyjechać do Warszawy i to w prędkim czasie. Słyszała, że Niemcy cofają się, a czerwona armia zbliża się do granic Polski, że napewno zajmie Litwę i zaprowadzi swój porządek. Ona, właścicielka majątku obawia się komunistów, ponieważ ma w pamięci nie dawne przeżycia z panowania władzy radzieckiej na Litwie. Mówiła, że wielu litewskich przedwojennych ministrów i wysokich urzędników, komuniści wywieźli na Sybir.

Panna Graużynis opowiedziała wiele o zamiarze urządzenia dalszego życia poza Malatami. Za wszelką cenę chciała wyjechać

do Warszawy, by ewentualnie stamtąd przedostać się na zachód, gdzie miała rodzinę. Prosiła bym ułatwić kontakt z Warszawą. Obiecałem warunkowo, proponując najpierw pobyt w Wilnie, gdzie mogą być znalezione kontakty i możliwości wyjazdu do Warszawy. Zgodziła się nadmienając, że na pokrycie niezbędnych kosztów potrafi zdobyć odpowiednie środki. A może już je miała ?

Na czasowy pobyt w Wilnie podałem kilka adresów. Rozmowa przeciągnęła się do późna. Poprosiłem o nocleg w odošobnionej dworskiej stodole, ponieważ bardzo rano zamierzałem jechać przez Dubinki do domu. Gospodyni wysłała służącą do dzierżawcy, by przyszedł z kluczem od stodoły - ma interes. Niezadługo wróciła służąca z dzierżawcą, który mówił po polsku z akcentem litewskim. Zaznajomiliśmy się. Dowiedział się o co mi chodzi. Pozwolił nocować w stodole i prosił nie palić.

Dziękując za kolację, pożegnałem się z panną Graużynis i jej służącą. Razem z dzierżawcą wyszedłem na dwór. W krótkiej drodze do stodoły, dowiedziawszy się o kierunku mojej jutrzejszej jazdy powiedział, że od wczoraj w Dubinkach zatrzymał się jakiś oddział policji litewskiej. Nie wiadomo, w jakim celu ? Zdaje się - mówił - przyjechali też i Niemcy. Po dojściu do stodoły otworzył wiszącą u drzwi kłódkę. Na szerokim klepisku w świetle kieszonkowej latarki wskazał mi płasty świeżego siana, gdzie mogę nocować. Pożegnał się życząc dobrej nocy. Podziękowałem za nocleg. Poszedł zostawiając drzwi przyknięte, bym z rana bez kłopotu mógł jechać.

Leżąc na sianie czas dłuższy rozmyślałem o sprawach załatwionych, jak i o tym co mam do załatwienia. Zaintrygowała mnie informacja dzierżawcy o tym, że do Dubinek przybyła - policja a może wojsko. - Pomyślałem, że może to jednostka

z oddziałów Plechawiciusa. Przez Dubinki postanowiłem nie jechać.

Obudziłem się gdy słońce wskazywało na godzinę 4-5-tą. Wychodząc ze stodoły wyniosłem rower i zamknąłem drzwi. Na dworze trwała jeszcze cisza. Wsiadłem na rower i dobre pół godziny jechałem traktem Dubińskim. Potem skręciłem gościńcem w lewo w kierunku na Janiszki. Dubinki pozostały daleko z prawej strony.

Nie dojeżdżając Janiszek skręciłem na polne drogi, którymi wjechałem w znajomy mi rejon Jankuniszek, położonych nad brzegiem jez. Dubińskiego blisko jeziorowego przewężenia, zwanego Zyngi - miejsce przeprawy wozem.

W Jankuniszkach gospodarowało kilku braci Wołosewiczów : bliska rodzina żony brata Wacława. Tuż przed wojną byłem tu kilka razy z kolegą Ryszardem Wilamowiczem - na rybach. Tym razem do Jankuniszek nie zajechałem, by uniknąć tłumaczenia celu swojej podróży.

Mimo Jankuniszek skierowałem się do przeprawy w Zyngi , gdzie bez większego zachodu przedostałem się na drugą stronę jeziora Dubińskiego i tuż przy przeprawie zatrzymałem się na odpoczynek. Byłem tu poraz pierwszy od czasu kiedy kilka lat przed wojną, w towarzystwie kolegi Reńka i jego ojca Jana Wilamowicza przyszliśmy z pobliskiego Grejciuniszek na ryby. Był tu pas przygraniczny, w którym przebywanie wymagało zezwolenia władz administracyjnych lub przepustki dowódcy straży. Przepustkę taką, my jako oficerowie rezerwy, a przy nas i ojciec Reńka z łatwością otrzymaliśmy. Mieliśmy również przepustkę i z innej strażnicy, uprawniającą do przebywania w pogranicznym jezirze Gawejskim.

Przypomniakem ten dzień, kiedy w letni słoneczny poranek dochodziliśmy do Zyngi - miejsca naszej przeprawy na drugi brzeg jeziora. Na propozycję ojca Reńka postanowiliśmy zjeść śniadanie, by potem nie odrywać się od przyjemności łowienia ryb. Z myślą, by do śniadania mieć mleko lub herbatę, zaczęliśmy rozglądać za jakimś gospodarstwem. Niedaleko przeprawy, na wzgórzu w zaroślach dostrzegliśmy dom z dymiącym kominem. Wpatrzeni w nasze odkrycie szybko byliśmy na górze i przez otwarte drzwi weszliśmy do mieszkania. Tuż przy drzwiach wielkiej izby stał duży, bity z gliny, charakterystyczny kresowy piec, a przy nim tęga już nie młoda kobieta.

- dzień dobry - mówimy. - Dobrze, że pani coś gotuje, jesteśmy głodni.

- Dzień dobry - odpowiedziała, zaprosiła do izby na ławę przy stole, oglądając nas od dołu do góry.

W krótkiej rozmowie wyjaśniliśmy cel przybycia. Powiedziała, że jeśli idzie o śniadanie to może przygotować popularne wiejskie danie : jajecznicę na bocaku i trochę na kiełbasie wędzonej. Pośpiesznie akceptowaliśmy propozycję i czekaliśmy patrząc jak gospodyni krząta się koło pieca, wychodząc czasem do spiżarni. Ojciec Reńka zapytał tonem niby obojętnym:

- Czy do takiej zakąski poza mlekiem można coś by się znalazło ? Gospodyni zrozumiała, że idzie nam o alkohol. Bez namysłu poinformowała, że ma jakąś nalewkę - lekarstwo. Poszła do spiżarni i przyniosła litrową butelkę, w której połowa była osadu. Napój sporządzony według jej receptury nazwała "Trejos devynerios / trojańską litewską /. Inaczej mówiąc nalewka - 3 razy po 9, czyli na 27 ziołach o różnych właściwościach i aromacie .

- Nie wiem, czy panowie będziecie pili - powiedziała.

- Spróbujemy - odpowiedział starszy Wilamowicz, który jak nas informował o takim napoju już słyszał, chociaż dotychczas nie próbował.

Jajecznicą na wędzonym boczką i kiełbasie przyszła na zasłany białym obrusem stół, gdzie już przedtem leżał razowy chleb, pachnące z żółtym odcieniem masło i przyniesiona butelka "Trejos devynerios". Jedliśmy szybko z wileczym apetytem, jednocześnie wypróżniając do granic zielowego osadu butelkę zachwalanej nalewki. Gdyby nie to, że na tych samych ziłach już nie wiadomo poraz który była nalana wódka - esencjonalnej nalewki prawdopodobnie nie dałoby się pić.

Przy śniadaniu indagowana przez nas gospodyni, co pewien czas chętnie opowiadała o swoim życiu na gospodarstwie. Była już drugi rok wdową. Rzekomo w małżeństwie szczęścia nie miała. Opowiadając o różnych przeżyciach opłakiwała śmierć ostatniego już piątego męża. Gospodarstwo prowadziła przy pomocy pięciu już dorosłych córek z pierwszego małżeństwa. Najmłodsza miała siedemnaście lat. Trzy spośród nich miały już kandydatów na mężów, lecz kiedy chłopcy dowiedzieli się prawdy o żywotności przyszłej tesciowej, od projektów małżeńskich dyskretnie odstąpili.

Mając sate śniadanie za sobą poszliśmy razem nad brzeg jeziora. Po powrocie do domu, gdzie przebywali na wczasach Wilamowiczowie, opowiedzieliśmy gospodarzowi naszą przygodę ze śniadaniem u wdowy koło Zyngi. Gospodarz powiedział niby ze śmiechem, że była tam "żelazna baba", której mężczyźni już nie odwiedzają

Uświadomiłem sobie, że towarzyskie przygody w czasie letniego urlopu, zaledwie przed kilku laty, minęły w mej pamięci jak piękny sen. Nikt z nas wówczas tu obecnych nie przeczuwał, jaką to przyszłość szykuje nam los. Reńiek, podobnież jak i ja zmobilizowany na wojnę, zginął tragicznie w jednym z obozów radzieckich. Ojciec jego borykał się z życiem okupacyjnym.

Do domu powróciłem bez dalszych przygód. Na pierwszym naszym spotkaniu w Kowszódole poinformowałem kolegów : Jagmina, Słuchockiego i Niełowickiego o nawiązaniu kontaktu z ^{litwizowanymi} ~~typowymi~~ ludźmi na Litwie. Jagmin i Niełowicki do jesieni 1943 r. również zorganizowali trzy ogniwa w rejonie Wilkomierza, Poniewięża i w Kownie.

Tą drogą siatka nasza powiększyła się o pięć ogniw na Litwie, utrzymujących z nami bliski kontakt i biorących udział w przygotowaniu do zbrojnego zrywu.

8. Oddział " Błyskawica "

Już w połowie 1943 r zostałem poinformowany, że w najbliższym czasie, w naszym rejonie, będzie zorganizowany większy oddział leśny, którego zadaniem ma być wzmocnienie dywersji przeciw siłom okupacyjnym. Decyzja kierownictwa naszego podziemia wiązała się ściśle z klęską Niemców na wschodzie i rozwijającą się z wielkim pędem ofensywą radziecką. W siatce konspiracyjnej czyniono przygotowania do mobilizacji ogólnego powstania, które w momencie odpowiednim miało objąć cały Kraj. Poza gospodarką uzbrojeniem, którego odczuwaliśmy wielki niedostatek - w przygotowaniu podziemia do zrywu wielką wagę przywiązywano do organizacji zaplecza wspomagającego działania zbrojne, a więc zaopatrzenia w żywność- ubranie, środki opatrunkowe, lekarstwa i t d. U Uaktywnialiśmy punkty sanitarne ...

Z wielkim zainteresowaniem śledziliśmy przebieg rozgrywki wojennej na wschodzie, w szybkim tempie dochodzącej do granic Polski ze Związkiem Radzieckim. Cała ludność naszego rejonu, podobnie jak i w Kraju, w wielkim podnieceniu oczekiwała dnia - nie tyle spadającej z nieba wolności, ile dnia zmobilizowanej akcji zbrojnej, prowadzonej własnymi siłami

W styczniu 1944 r, jak to już nieraz bywało, z bratem Wacławem ze Skierdżiny, udaliśmy się na Litwę do często odwiedzanego przez nas Józefa Sławińskiego, by przy jego pomocy nabyć pożądanego towaru. Po zakupieniu tym razem, oprócz przeznaczonej na przemiał pszenicy, również wielkiej ilości mięsa i słoniny, dobrze załadowanymi saniami szybko zmierzaliśmy w kierunku domu. W drodze powrotnej omijaliśmy Giedrojcie, ostatecznie przed polską granicą większe miasteczko litewskie, osadzone przez policję i niedawno przez oddział niemiecki .

Głedrojeie mijaliśmy jeszcze przed zmrokiem, przejeżdżając dobrze nam znanymi drogami polnymi, co pewien czas informując się u miejscowych ludzi o stanie bezpieczeństwa na drodze. Ostrożność musieliśmy zachować, by nie wpaść w ręce policji lub żandarmów niemieckich - rekwirujących wszystko co wieziono z produktów żywnościowych.

Jechaliśmy szczęśliwie, zdążając do zaśł .Dumbła, leżącego na naszej drodze, wiodącej do graniczących Lewon, a tuż za nimi, położonej w odosobnieniu Skierdzimy - naszego domu. Był już nocny zmierzch. Wtem w ciszy nocnej, od strony Dumbła, doszła nas gwałtowna strzelanina - serie automatu i strzały pojedyncze.

Zastanawialiśmy się co to jest ? Gdyby to było w dzień - możnaby spodziewać oblawy. Ale teraz ? ... Zwalniamy jazdę, nad-słuchujemy. Dookoła cisza, przerywana poszczękiwaniem psów z kierunku naszej jazdy.

Powoli zbliżamy się do ukrytych w zaroślach zabudowań Dumbły, nie widząc żadnego niebezpieczeństwa. Dopiero kiedy , wjechaliśmy w Obręb jednego z budynków gospodarczych, na drogę tuż przed nami wybiegło kilka uzbrojonych osób. Jeden z nich w cywilnym ubraniu z rewolwerem w ręku krzyknął :

- Stać ! .. Ręce do góry ! .. Skąd jedziecie ? Co wieziecie ?

Szybko zostaliśmy otoczeni przez uzbrojonych ludzi.

Po krótkiej wymianie zdań, obaj z bratem, pod przyłożonymi do pleców lufami pistoletów, zostaliśmy przeprowadzeni do izby, w której znajdował się komendant oddziału - średniego wieku, niewysoki, krępy. Na moją prośbę rozmowa z komendantem ze mną, a następnie z bratem, prowadzona była bez świadków, którzy zostali wyprowadzeni na dwór lub do izby sąsiedniej, gdzie przebywała rodzina gospodarza - dobrze znajomego nam Perwenisa.

W krótkiej rozmowie, po dokonaniu dyskretnej, wzajemnej prezentacji, zostaliśmy poinformowani, że niedawno w tej miejscowości był bój - został zabity jeden z partyzantów " Błyskawicy " - młody, niedoświadczony chłopiec ps. "Hel". Komendant oznajmił, że ze względu na bezpieczeństwo, będziemy zmuszeni zatrzymać się w tej miejscowości do jutra, a właściwie do czasu kiedy oddział odejdzie.

Po wyjściu z izby, w świetle latarni zobaczyliśmy na ustawionych obok ławach pod domem ułożone zwłoki młodego człowieka. Na zapytanie :

- Jak to się stało ? - Kto był sprawcą jego śmierci ? ! --
Oficer oddziału opowiedział o wypadku.

Otóż, zgodnie z rozkazem władz konspiracyjnych, tego dnia od rana z różnych stron przybywali pojedynczo i grupami partyzanci do organizowanego oddziału " Błyskawica", którego komendantem był " Piotr". Zarówno komendant, jak i podlegli mu dowódcy byli nieznajomi - nie tutejsi. Oddział rozlokował się w zaśc. Dumbła w gospodarstwach : Perwenisa i Adama Bogdanowicza, a zamierzając nocować wystawił wartę na podwórzu i innych drogach wiodących w obręb osiedla.

Przy wjeździe na podwórze na warcie stał niedoświadczony, może nawet niedostatecznie wyszkolony partyzant " Hel ". Był zmrok, drogą od zarośli w kierunku zabudowań zbliżało się dwóch ludzi. Wartownik nie widział, by byli uzbrojeni. Jak się okazało automaty mieli pod płaszczem.

W momencie kiedy wartownik z karabinem przewieszonym przez ramię, stojąc przy bramie odezwał się - kto idzie ? został zauważony przez idących. Jeden z nich z wprawą żołnierską poderwał automat i oddał serię w kierunku wartownika, zabijając go na

miejsu.

Na alarm wybiegli z domu partyzanci - zaczęli strzelać w kierunku napastników, którzy korzystając z zamieszania i ciemności szybko oddalili się nie rozpoznani.

Z rozkazu komendanta, w poszukiwaniu uzbrojonych napastników, do sąsiednich miejscowości rozesłane były patrole, które wróciły z niczym. W miejscu postoju oddziału utrzymano stan pogotowia. Wzmocniono warty, a koło stodoły wystawiono z obsługą karabin maszynowy. Przez cały czas oczekiwano najścia jakiegoś nieznanego, uzbrojonego oddziału. Obawiano się też, że z nadaniem dnia ukaże się oddział litewski - "plechawiczusów".

Przymusowo nocowaliśmy, a właściwie rzecz określając, całą noc siedzieliśmy na ławie za stołem w izbie Bogdanowicza, sąsiadującego z domem zajęтым przez komendę oddziału. W ciągu wieczoru, a następnie nazajutrz zrana partyzanci doprowadzili kilka osób również zatrzymanych przy wejściu do miejsc postoju oddziału. Izba nasza była przepełniona.

Przepełniona też była znajdująca się obok druga, również wielka izba. Tam przebywała część partyzantów, którzy nie mieli wiążących zajęć. Na dworze był mróz. Partyzanci pełniący służbę wartowniczą jeszcze nie mieli odpowiedniego ubrania - łatwo przemarzali. To też często byli zmieniani i wchodzili do mieszkania na rozgrzewkę.

Jeden z oficerów oddziału bardzo często wpadał do naszej izby. Próbował nawiązać rozmowę z gospodarzami i z nami. Chciał się upewnić, czy wiemy kto był sprawcą śmierci partyzanta. Szczerze mówiąc - ani Bogdanowicz - który nie widział zajścia, ani tymbardziej my, ponieważ byliśmy w drodze - nie mieliśmy w tej sprawie wiążącego zdania .

- Oficer po wykluczeniu innych możliwości oświadczył, że najprawdopodobniej byli to partyzanci radzieccy. Z rozmowy wynikało, że oficer miał informacje o przebywających w okolicy tych partyzantach. Zaraz po tragicznym wypadku był wysłany silny patrol do Urbanowicza w Prudaliskach, gdzie najczęściej przebywali partyzanci. Tym razem jednak żadnego z nich nie zastano. Patrol powrócił z niczym.

Z nadejściem dnia na dachu domu wystawiono posterunek obserwacyjny - partyzanta okrytego płaszczem z białego prześcieradła, z lornetką polową. Zadaniem jego było obserwowanie każdego zauważonego ruchu, w zasięgu pola widzenia oraz meldowania o tym komendantowi. Nam odjechać nie pozwolono do czasu wymarszu oddziału, co się wiązało z pogrzebem "Hela" - mającym nastąpić około południa.

Tymczasem obserwator na dachu zauważył w odległości ponad kilometr jakiegoś mężczyznę, usiłującego poprzez zarośla zbliżyć się do zabudowań. Na meldunek obserwatora komendant wysłał dwa patrole, których zadaniem było obejść zarośla, gdzie skrył się podejrzany osobnik. Obawiano się akcji wrogiego oddziału. Zanim patrole doszły do wyznaczonego miejsca, zauważony osobnik prawdopodobnie zdołał zorientować się w sytuacji i pomknął w kierunku wsi Rataliszki.

Tak jak zapowiedziano około południa zorganizowano pogrzeb "Hela" - pierwszego, poległego partyzanta, pierwszego większego oddziału zorganizowanego w naszym rejonie, na wielkiej akcji, przewidzianej mobilizacją podziemia. Pogrzeb był skromny, bez większego rozgłosu. Trumnę załadowano na skanie przed którymi maszerowało uzbrojony oddział. Za saniami szło kilku miejscowych mieszkańców oraz w pewnej odległości niewielki oddział straży tylnej.

Kondukt doszedł do pobliskich Rakszan, gdzie na starym wiejskim omentarzu, kryjącym groby powstańców 1863 r. wykopano nowy grób. Nad tym grobem "Piotr" - komendant oddziału "Błyskawica" - krótkimi słowami w imieniu partyzantów pożegnał na wieczność kolegę. Mogilę oznaczono dębowym krzyżem ... Nie wiem czy po tej mogile symbolicznej pierwszej - podobnież jak po wielu innych pozostał jakiś ślad świadczący o walkach z okupantem w tym, nie przez wszystkich zapomnianym zakątku naszego Kraju.

Jeższe przed wyjściem oddziału komendant prosił mnie osobiście, bym zaopiekował się "jednym panem", który jak zresztą wszyscy partyzanci przybył z Wilna - nie zna okolicy, a potrzebuje bez przygód powrócić do Wilna. Zaraz za konduktem pogrzebowym, z nienaruszonym przez partyzantów wiezionym przez nas dobytkiem, pojechaliśmy przez Lewony do Skierdżimy. Ja wziąłem ze sobą rekomendowanego przez komendanta "pana". W drodze do domu z krótkiej rozmowy wynikało, że ma on jakąś poważną misję do spełnienia. Przypuszczałem, że jest łącznikiem oddziału.

Przyjechaliśmy do domu, - był już wieczór. Po obiedzie razem z kolacją, opowiadaliśmy z bratem o przygodzie, jaka się nam wydarzyła w drodze powrotnej z Litwy. Okazało się, że już od rana domownicy brata - żona, szwagier i inni wiedzieli o naszym noclegu w Dumble. Wiadomość ta pochodziła od jednego z partyzantów, będących na patrolu w Lewonach, gdzie w rozmowie z którymś gospodarzem poinformował, że wraz z bratem jesteśmy zatrzymani do rana, podobnież jak i innych kilku ludzi.

Po kolacji, kiedy już rozmowa zbliżała się do końca, a domownicy przygotowywali się do snu, przypomniałem o ^{nie}bezpiecznym nieznanym "panu". Zarówno on, jak i ja po kolacji myśleliśmy raczej o odpoczynku niż o dalszej podróży. Uzgodziłem z bratem, że nieznanomy przenocuje, a nazajutrz zawiozę go do miejsca

przeznaczenia. Na jego życzenie, w tajemnicy przed domownikami / z wyjątkiem brata i bratowej /, miejsce noclegu było wyznaczone w stodole, ponieważ nasz gość obawiał się zetknięcia z partyzantką radziecką i innymi obcymi ludźmi .

Dla zabezpieczenia przed dokuczliwym, normalnym w tym czasie zimnem, nieznajomy podróżny otrzymał miękką poduszkę, duży kożuch i burkę.

Nazajutrz wczesnym rankiem, po śniadaniu, zgodnie z przyrzeczeniem, zaprzągłem konia do lekkich sań i powiozłem nieznajomego " pana " przez las sużański / własność Tyszkiewicza / i dalej polnymi drogami przez folw. Botwiniszki w kierunku maj. Werysowo. Mało rozmowny " pan" w czasie jazdy zaczął wypytywać o radzieckich partyzantów, sugerując myśl, że to oni mogli być sprawcami śmierci "Hela". Parę kilometrów przed Werysowem nieznajomy podziękował za jazdę i mało widocznym śladem jednej z dróg podążył śpiesznie, aż skrył się za niewielkimi zaroślami ...

Po kilku dniach mając do przemiału pszenicę pojechałem do Werysowa, gdzie zarządcą był jeden z kolegów uniwersyteckich S - dokładnego nazwiska nie pamiętam. On sprawił, że w przynależnym do majątku młynie, mogłem bez wymaganych dokumentów załatwić przemiał. Z kolegą osiedlonym w czasie wojny w majątku, kontaktowałem się dość często. Był jednym z łączników w naszej siatce - informował o interesujących wydarzeniach w swoim rejonie. Teraz właśnie już na początku naszej rozmowy dziękował mi za opiekę nad nieznajomym " panem ", który - jak się dowiedziałem - był łącznikiem "Piotra " i dążył z meldunkiem do kierownictwa w Wilnie.

Tajemnica zabójstwa partyzanta w Dumble rychło wyjaśniła się.

Okazało się, że raczej mimowolnym sprawcą tragedii był partyzant radziecki. Według pochodzącej od niego wersji, przechodząc z kolegą koło Dumbka, już o zmroku, posłyszeli wezwanie :

- Stój ! ... Kto idzie ?

Bez namysłu i odpowiedzieli jeden z nich poderwał spod płaszcza automat i dał serię w kierunku pytającego / wartownika /. Potem obaj skoczyli w zarośla i przy odgłosach strzelaniny, powstałej od zabudowań, zbiegli do pobliskich Lewon.

Jeden z nich pobiegł do Prudaliszek, by o przeżytej akcji powiadomić kolegów i ostrzec przed ewentualnym niebezpieczeństwem zaskoczenia przez jakiś nierozpoznany oddział.

Drugi natomiast - partyzant "Aloszka", wpadł do mieszkania naszego kuzyna Juljana Bogdanowicza, gdzie w podnieceniu opowiedział przygodę, jaka się wydarzyła przed niespołną godziną.

Pytał kuzyna, jak dobrze znajomego :

- Kto tam mógł być w Dumble ?

Jak wynikało z rozmowy, nigdy nie przypuszczali, żeby to byli partyzanci - Polscy. Skądby się wzięli ? Kuzyn tego również nie wiedział. Zaprosił "Aloszkę" do kolacji i na noc. Partyzant wciąż był podniecony, mało jadł - więcej pił. Został na noc. Ani on, ani kuzyn nie zdawali sprawy, że przez okoliczne miejscowości, również i przez Lewony w nocy przeszły patrole "Błyskawicy".

Nazajutrz, jeszcze o świcie "Aloszka" sprawdził załadowanie automatu, wyskoczył z mieszkania i na przełaj przez pola i zarośla, zapadając głęboko w śnieg, podążył w kierunku Dumbki - miejsca wczorajszej przygody. Zabudowania zaścianku omijał na znacznej odległości, krążąc pomiędzy zaroślami. Wówczas też był zauważony przez siedzącego na dachu obserwatora "Błyskawicy".

Z rozkazu komendanta były wysłane patrole z zadaniem pochwylenia

skradającego się między zaroślami uzbrojonego osobnika.

Patrole miały również ubezpieczyć oddział przed zaskoczeniem ze strony nierozpoznanego wroga.

" Aloszka", jak widać, chciał osobiście zasięgnąć informacji w Dumble, co do wczorajszej przygody. Był on doświadczonym partyzantem i dobrze zaprawionym w obserwacji terenu. Obserwując z dala zabudowania zaścianku zauważył ruch wysłanych patroli, pośpiesznie skrył się w zaroślach i jak tylko mógł po śniegu biegiem dotarł do oddalonej parę kilometrów wsi Rataliszki. Skąd uszedł w kierunku nieznany.

Od pojawienia się oddziału " Błyskawicy " w rejonie Sużan, partyzanci radziecy swoją bazę w Prudaliskach opuścili na zawsze. Nikt też nie wiedział dokąd odeszli.

9. Pod Giedrojciemi .

Powstanie oddziału "Błyskawica" było niespodzianką w rejonie Sużan. Ludność życzliwie powitała uzbrojonych chłopów z orłami białymi na czapkach. Z ich obecnością wiązano nadzieję ukrócenia przejawów swobodnej, wrogiej działalności niemieckiej i zaprzędanych tej sprawie niektórych Litwinów.

Parę tygodni minęło od spotkania z tym oddziałem w Dumble, jak znowu z bratem wybrałem się w podróż do Skawińskiego, by jak zwykle przy jego pomocy coś kupić. Ze Skierdżimy wyjechaliśmy po śniadaniu i znanym nam szlakiem przez Dumble, skierowaliśmy się dalej przez b. granicę polsko-litewską w kierunku miasteczka Giedrojcie. W odległości 7 - 8 km przed Giedrojciemi byliśmy świadkami gwałtownej utarczki jakiegoś oddziału naszych partyzantów, jak się później okazało z policją litewską.

Skracając drogę na przełaj przez pola ominęliśmy jedną z większych wsi / nazwy nie pamiętam / po stronie litewskiej. Wieś leżała około kilometra z prawej strony naszej jazdy. Wpatrując się w zabudowania w ich pobliżu zauważyliśmy białe, ruchome postacie. Pytałem brata: - Kto to może być ? chyba nie Niemcy ? .. W białych płaszczach !

Zanim jednak nawiązałem rozmowę, gdzieś w ukryciu od strony ostatnich zabudowań wsi, zagrał lekki karabin maszynowy i krótkie serie automatu. Chwila zastanowienia i zawróciliśmy konia za wzniesienie. Posuwając się bez pośpiechu w obranym kierunku jazdy, chyba z kwadrans słyszeliśmy odgłosy najpierw serii z automatu i karabinu maszynowego potem strzałów pojedynczych. Wreszcie strzelanina ucichła, a my zbliżyliśmy się do Giedrojć.

Tego dnia w miasteczku był targ. Przejeżdżaliśmy ulicą obok targowiska przed południem, kiedy zazwyczaj bywało dużo furmanek i ludzi. Posuwając się zwolna spotkaliśmy znajomego gospodarza, sąsiada Sławińskiego! Znajomy zapytał nas czy nie słyszeliśmy nic o wypadku jaki niedawno zdarzył się policji tutejszej, we wsi koło Giedrojć. Wyraziliśmy zdziwienie i poprosiliśmy by opowiedział co się stało. Na nasze zainteresowanie znajomy opowiedział całą sprawę od początku.

Według wersji, pochodzącej od policji, w godzinach rannych w pobliskiej wsi zjawili się jakiś oddział partyzantów polskich w sile kilku ludzi. Oddział rekwirował zboże i słońinę, a zebrane produkty ładował na sanie, którymi zamierzał odjechać. Konie z saniami, po zawiezieniu produktów do bazy, obiecano odesłać właścicielom. Wszystko układało się normalnym partyzantom zwyczajem. Gdyby zwyczaj ten był wszystkim znany sprawę załatwiono by bez wypadków. Niestety, w tej dużej wsi znalazł się gorący wielbiciel porządku niemieckiego. Partyzantów potraktowano jak bandytów i mimo zakazu oddalenia się z gospodarstw, jakiemuś rolnikowi udało się zmylić czujność warty i konno wymknąć ze wsi ze skargą do policji w Giedrojciach. Obecny w tym czasie komendant wysłuchał skargi i niedocenionej przez gońca postawy bojowej partyzantów, rozkazał policjantom sprowadzić z targu dwoje san zaprzężonych w dobrych koniach. Nie minęło dziesięciu minut, jak ekspedycja komendanta z 6 policjantami z Giedrojć, ani chwili nie zastanawiając się, poganiając konia popędziła w kierunku zagrożonej wioski.

We wsi prawdopodobnie któryś z partyzantów zauważył konnego uciekniara, a może ktoś z mieszkańców ostrzegł - nie wiadomo.

W każdym razie dowódca oddziału wysłał za wieś 3 partyzantów z erkaemem i 2 automatami - ukrytych przy osobno stojącej wiejskiej łaźni. Z kilometr przed wsią, przy jakimś przydrożnym budynku, policja przywiązała konie, żeby nie narazić na stratę w razie strzelaniny i prawie biegiem, dzwigając erkaem i zwykłe karabiny, zmierzała wpaść zniemacka do " grabionej wsi".

Gdy policja znalazła się na wysokości łaźni, partyzanci z ukrycia, z odległości 70 metrów otworzyli gwałtowny ogień. Idący na przedzie komendant i jeden z policjantów padli martwi. Reszta przypadła do przydrożnego wgłębienia i leżała pod osłoną ognia swego karabinu maszynowego i kb. Obustronna strzelanina trwała czas dłuższy. Włączyli się do tego 2 - 3 partyzanci ze wsi, którzy na skraju wsi zajęli stanowisko bojowe i przyszli z odsieczą kolegom. Partyzanci pod łaźnią i wsią byli maskowani, białymi, płóciennymi płaszczami - na tle śniegu trudni do zlokalizowania. Policjanci w ciemnych kożuchach byli dobrze widoczni, co zmuszało ich do leżenia we wgłębieniu i do zakopywania się w śniegu.

Pozostali partyzanci we wsi w pośpiechu załadowali na sanie zarekwirowany prowiant i furaż z wyjątkiem dowódcy - jak opowiadali mieszkańcy wsi - pojechali szybko w kierunku pobliskich lasów, ku polskim terenom.

Dowódca włączył się do strzelających przed wsią i zarządził odwrót grupy spod łaźni. Po przybyciu tej grupy do wsi, partyzanci oddali serię z erkaemu i zaczęli wycofywać się w głąb wsi. Na stanowisku ogniowym w osłonie odwrotu grupy z erkaemem, pozostało 3 partyzantów-, którzy po chwili przerwali ogień i dołączyli do grupy cofającej się przez wieś, idącej śladem poprzedniej.

Policjanci widząc, iż spod łaźni partyzanci odeszli, zaczęli w pośpiechu cofać się do swoich ~~własnych~~ ssań, które stały dość daleko. A kiedy partyzanci wogóle przerwali ogień, część policjantów cofała się do koni, a reszta czołgając się wróciła, by zabrać zabitego komendanta i kolegę.

Zaraz po odejściu partyzantów ze wsi, znaleźli się odważni, którzy pośpieszyli poinformować policjantów o sytuacji. Oceniając na zimno swoje położenie policjanci byli wyraźnie zadowoleni z odejścia partyzantów tymbardziej, że rezultat groźnego z nimi spotkania był tragiczny. Kiedy niebezpieczeństwo grożące ze strony partyzantów minęło, policjanci przyjechali na miejsce, gdzie leżeli we krwi dwaj zabici. Trupy ułożyli w sianach i odjechali do Giedrojé.

Było jeszcze przed południem, kiedy z niefortunnej ekspedycji wróciła policja przywożąc dwie ofiary. Zarówno wśród kilku pozostałych w Giedrojciach policjantów, którzy na wyprawie nie byli, jak i wśród zgromadzonych na targu ludzi, wiadomość o wypadku wywarła przygnębiające wrażenie. Nikt nie przypuszczał, żeby prawie przy siedzibie policji znalazł się oddział polskich partyzantów, który przy pierwszym spotkaniu zadał tak silny cios, że policja okazała się bezradna. Zaskakujące było tempo rozgrywanego się wypadku. W czasie niewiele ponad godzinę od chwili zaalarmowania policji przez konnego gońca, cała rozgrywka z partyzantami była zakończona.

Policja była wściekła przede wszystkim na gońca, który spowodował ich wyjazd do wsi. Robiła dochodzenie, czy aby nie był on w zмовie z partyzantami. Trzymała go przeszło dzień w areszcie.

Dopiero po sprawdzeniu jego lojalności do władzy, potwierdzonej faktem pełnienia funkcji zastępcy komendanta miejscowych " Szaulisów", z aresztu zwolniła.

Wszluchując się w odgłosy rozmowy prowadzonej wśród różnych ludzi na targowisku, bardzo często słyszało się zdanie, dlaczego w takim pośpiechu i z wielką pewnością siebie komendant zdecydował wyruszyć przeciw partyzantom. O bitności polskich partyzantów w walkach z Niemcami, prowadzonych na terenie Generalnej Gubernii, miejscowa ludność łącznie z policją miała wystarczające pojęcie, by ze względu na własne bezpieczeństwo, wstrzymać się od podejmowania przeciw nim nieuzasadnionych wrogich działań, które zawsze mogą wywołać groźny odwet. Niestety, jak widać groźącego niebezpieczeństwa ze spotkania z partyzantami nie doceniono. Było to tragiczną lekcją na przyszłość. Po tym wypadku ukazywanie się partyzantów w tym rejonie traktowane było ~~było~~ bez rozgłosu. Nie było chętnych do meldowania policji, a jeśli nawet meldunki były, to pozostawiano je w zapomnieniu.

Interesowało mnie, jaki to był oddział w tej dość śmiałej wyprawie na Litwę? Z nikąd dokładnej informacji na razie nie uzyskałem, a potem byłem zajęty wypadkami innymi. Wydawało mi się, że to był oddział " Błyskawica ", lecz biorąc pod uwagę jego niedawne powstanie i, w moim pojęciu, brak wprawy do tego rodzaju operacji wykluczała możliwość jego zaangażowania.

Natomiast skłonny byłem uwzględnić inną, dość przekonującą wersję, a mianowicie, że w tej wyprawie brała udział jakaś grupa z oddziału Uderzeniowych Batalionów Kadrowych /UBK/. Mielśmy informację, że oddziały te przywędrowały do naszego rejonu z województwa warszawskiego przez białostockie i nowo - gródzkie .

Jeden z takich oddziałów, którego niektórzy żołnierze na rękach nosili naszywki z literami UBK, widziałem wcześniej we wsi koło Sużan. Był to oddział dość liczny - chyba ponad 50 ludzi. W stosunku do siatki miejscowej okazał się bardzo tajemniczy i mało ufny. Zachowywał się tak jak przystało na obcych terenach. Ukazał się na czas krótki i odszedł niepostrzeżenie tak jak przybył.

Niektórzy łącznicy meldowali, że oddział UBK przeszedł na terytorium Litwy. Sprawa ta jednak nadal pozostała otwarta .

10. Wypad na Dubinki .

Dowodzony przez " Piotra " oddział " Błyskawica" od czasu powstania jego szalążka w Dumble, w ciągu kilku tygodni w rejonie Sużan werbował ludzi, troszczył się o ich dozbrojenie i zaopatrzenie. Do oddziału przybywali przeważnie młodzi ludzie, częściowo z Wilna, częściowo też z okolic operacji oddziału.

Ludzie przychodzili z własną bronią, aczkolwiek to nie było regułą. Broń zdobywano też w drodze wypadów na współpracujące z Niemcami organizacje litewskie i od rolników, przechowujących z kampanii wrześniowej lub jako pozostałość po cofających się żołnierzach radzieckich w wojnie z Niemcami.

Do oddziału " Błyskawica", między innymi zaciągnął się jeden z młóich młodszych braci Kazik, który przybrał pseudonim "Sęka". Kazik, podobnie jak jego rówieśnicy, chronił się przed wywózką na przymusowe roboty do Niemiec. Od akcji tej chronił go praca w majątku Glinciszki dopóki administrował tam kuzyn Mackiewicz. Po odejściu kuzyna z majątku, Kazik i najmłodszy nasz brat Romek przebywali przeważnie u brata Wacława w Skierdziejnie, pomagając mu w pracy w gospodarstwie. Organizacja "Błyskawicy" dla Kazika - młodego chłopca, stanowiła okazję podjęcia obowiązków w tym czasie jak najbardziej właściwych.

W miarę werbowania nowych zaciągniików, "Błyskawica" rozrastał liczebnie - potrzebna była broń. Przy rozważaniu możliwości zdobycia większej ilości broni, uwaga dowódcy "Piotra", skierowana została na Dubinki, gdzie według informacji łączników, stacjonował oddział litewskich policjantów i szaulisów, w sile około 30 ludzi uzbrojonych w broń maszynową.

Dubinki miasteczko niewielkie, położone tuż przy jeziorze tej samej nazwy. Wzdłuż jeziora przebiegała granica polsko - litewska. Tuż nad jeziorem na wzniesieniu na resztkach starego zamczyska, w okresie międzywojennym, została wzniesiona letnia rezydencja Prezydenta Litwy - Smietony. Zamek był otoczony od południa jeziorem Dubińskim, od zachodu i północy odnogą jeziora, na której przewężeniu leżał most. Po prawej stronie zamku, idąc od mostu w niewielkiej odległości był stary cmentarz porosły drzewami. Po stronie przeciwległej były zarośla na niewielkim wzniesieniu ku zamku. W tym to zamku rezydowała policja myśląc, że w pobliżu polskich terenów, nawiedzanych przez partyzantów, mają tu bezpieczeństwo zapewnione.

Wieczorem o zmroku 3 - go marca 1944 r. poszczególne grupy oddziału " Błyskawica" skoncentrowały się w rejonie Stankowszczyzna - Grejciuniszki. Jeszcze w nocy następnego dnia oddział pod dowództwem "Piotra" pomaszerował w kierunku na Dubinki drogami polnymi i leśnymi. Było przedwiośnie. Łaty śniegu utrzymywały się na zabagnionych łąkach, w lesie i zaroślach. Wzniesienia na polach, chociaż pozbawione śniegu, w nocy podmarzały i stanowiły grunt twardy, łatwy do przejścia. Bagna i jeziora pokryte były grubą warstwą lodu.

Po dojściu do jeziora Dubińskiego "Piotr" rozdzielił oddział na dwie grupy, które już dniem przeszły przez zamrażnięte jezioro i według relacji " Sęka" zajęły wyznaczone stanowiska do natarcia na zamek z bardzo bliskiej odległości.

Grupa , w której był "Sęk" zajęła stanowisko na cmentarzu. Partyzanci przypadli za nagrobkami i pojedynczymi drzewami. Przed nimi dojście do zamku przez strome zbocze. Grupa druga

podeszła z przeciwległej strony zamku, ukrywając się w zaroślach. Przed atakiem połączenie telefoniczne z Dubinkami zostało przerwane.

Grupa partyzantów ze stanowiska na cmentarzu rozpoczęła atak. Partyzanci ukryci za nagrobkami i drzewami podjęli gwałtowną strzelaninę i z okrzykami hurra !!! zmieniali stanowiska kierując ogień na zamek. Litwini zaskoczeni nagłym atakiem, spodziewając się szturm skierowali silny ogień maszynowy na atakujących z cmentarza partyzantów. Wykorzystując tę sytuację, grupy która była po drugiej stronie, potrafiła zbliżyć się pod sam zamek i gwałtownie go atakowała ogniem z karabinu i granatami.

Litwini strzelali na oślep, ponieważ atakujący byli ukryci. Jeden z partyzantów 17 -letni "Józek" znajdował się w sąsiedztwie "Sęka ", nie wytrzymał nerwowo gwałtownej strzelaniny, wysoczył z ukrycia z zamiarem znalezienia lepszego schronienia i w tym momencie padł trafiony śmiertelnie kulą w pierś.

Walka przeciągała się. Sytuacja wyglądała beznadziejnie. Istniało niebezpieczeństwo, że na odgłos strzałów mogła przyjść odsiecz oblężonym Litwinom. A jeśli tak, to odwrót w tych warunkach byłby klęską. Wtem niespodziewanie szybko szala zwycięstwa przechyliła się na stronę partyzantów. Przyczynił się ku temu partyzant z drugiej grupy - pseudonim " Sroka". Udało mu się pociągnąć blisko zamku i do jego wnętrza wrzucić wiązkę granatów. Wybuch wśród załogi litewskiej wywołał panikę. Pojedynczy żołnierze zaczęli uciekać. Widząc to obie grupy oblegających partyzantów poderwały się do ataku na zamek z ponownym okrzykiem co tchu w piersiach - hurra !!!

Załoga przerwała strzelaninę i podniosła ręce do góry. Zamek został zdobyty. Partyzanci w pośpiechu rozbroili załogę zabierając 30 karabinów, 5 pistoletów i 2 karabiny. Jeńcom kazali wyjść na podwórze i wynieść 7 zabitych. Na podwórzu jeńcy zostali rozmundurowani. Tymczasem z miasteczka nadbiegła spora gromada gapiących się mieszkańców. Po rozbrojeniu i rozmundurowaniu żołnierzy, partyzanci podpalili drewniany zamek, który spłonął doszczętnie. W ten sposób wyprawa na Dubinki została zakończona. Partyzanci przed odejściem jeńców zwolnili i nakazali wracać do swoich domów. Potem odeszli w tym kierunku skąd przyszli.

Była to jedna z akcji odwetowych, zapowiadanych w drodze ulotek przez dowódcę partyzantów wileńskich - generała "Wilka", za gorliwe usługi policji i żołnierzy litewskich, oddawaną okupantowi w tropieniu naszego podziemia.

11 . Postrach osadników litewskich .

Przywieszenie na teren gminy podbrzeskiej osadnicy byli całkowicie podporządkowani litewskiej administracji, która ich osiedliła, opiekowała się, dostarczała w miarę potrzeby środków wyżywienia, umożliwiała nabycie inwentarza i t. d. Osadnicy stanowili podatny grunt do organizacji "szaulisów", co prawda słabo uzbrojonych do walki z miejscowym podziemiem. Oni też dostarczali do zarządu gminy wszelkiej informacji o tym co się działo w terenie, a co mianowicie mogło interesować policję i inne esyunki współpracujące z okupantem. Osadnicy byli środowiskiem, gdzie najczęściej zatrzymywała się policja, penetrująca okolice w różnych sprawach. Stosunek ich do ludności miejscowej nie był życzliwy. Nie byli też lubiani przez sąsiadów. Żyli przeważnie izolowani w swoim środowisku, utrzymując między sobą częste kontakty towarzyskie.

Istnienie rozrzuconej w terenie tej grupy ludzi, wrogich lub co najmniej nieprzyjaznych naszej akcji konspiracyjnej, szczególnie w końcowym etapie przygotowań do zbrojnego zrywu, nie mogło być tolerowane przez nasze podziemie. Grupa osadników, przybyłych na nasz teren, z woli wroga, musiała być zlikwidowana przez zastraszanie. Tak postanowiło kierownictwo rejonu.

Pewnej wiosennej nocy, zaraz po wypadzie na Dubinki, oddział "Błyskawica" mając wykaz osadników i ich rozmieszczenie na terenie gminy podbrzeskiej, dokonał akcji zastraszania. Partyzanci grupami wpadali do miejscowości, gdzie byli osadnicy i jednocześnie nawiedzili wszystkich tam zamieszkałych. Poszukiwali broni, którą z miejsca zabierali. Następnie dorosłym mężczyznom, z wyjątkiem starców, nakazywali układać się na ławie

lub na ziemi i zadawali gumową pałką lub wyciorem 15 - 20 cięgów. - Więcej otrzymywali "szaulisi". Po wymierzeniu kary wymuszali od wszystkich domowników przyrzeczenie, że w ciągu 24 godzin opuszczą zajmowane gospodarstwa. W przeciwnym razie przy następnej wizycie partyzanci obiecywali zastosować karę większą.

W Chmiziu oprócz mego gospodarstwa osadnicy zajmowali gospodarstwo sąsiada Piercewicza. Były tu dwie dość liczne rodziny, które zaprzyjaźniły się z żyjącym tu za miedzą miejscowym gospodarzem Klimaszewskim - udającym Litwina z racji umiejętności mówienia po litewsku. Co prawda mowa nie przesądzała o przynależności narodowej. Wszyscy w rodzinie osadników całkiem biegle mówili po polsku, nawet nieraz w rozmowie między sobą, lecz w spotkaniu towarzyskim uważali za stosowne rozmawiać i śpiewać po litewsku.

Była sobota - wieczór, zaraz po wiejskiej kolacji u Klimaszewskiego szykowała się zabawa, na którą poza moimi osadnikami zaczęli zbierać się jako zaproszeni goście, nawet z dalszych miejscowości. Z okazji tej zbiórki partyzanci mieli zadanie ułatwione. Wielu mężczyzn, szczególnie młodych, partyzanci w domach nie zastali - wyszli lub wyjechali na zabawę. Do Klimaszewskiego też poszła grupa partyzantów wzmocniona liczebnie. Gospodarstwo Klimaszewskiego leżało w polu zdala od sąsiednich budynków. Partyzanci nie zauważając podszli pod sam dom, w którym ogłuszające dźwięki akordeonu i skrzypiec zachęcały do popularnej wiejskiej poleczki. Po obstawieniu okien i drzwi, kilku partyzantów z automatami w rękach i granatami za pasem, jak piorun z jasnego nieba, weszli przez sień do obu izb i do tej w której tańczono i do stołowej, gdzie szykowano zakąskę.

- Rączki do góry, podejść twarzą do pieca, zachować się w spokoju, nie ruszać się ! Kto ma broń proszę mówić ? będzie rewizja ! Przyszliśmy was rozweselić ! - Oświadczył jeden z partyzantów.

W obu izbach u Klimaszewskiego, rozpoczynając od samego gospodarza i jego syna, po kolei wszystkim zebranych na wieczorku mężczyznom, przy płaczu starych kobiet i dziewcząt, wymierzono należne cięgi. Potem u leżących i innych obecnych wymuszono przyrzeczenie, że w ciągu 24 godzin opuszczą zajmowane gospodarstwa. Nakaz nie dotyczył Klimaszewskiego, który gospodarował tu od wielu lat. Po wymierzeniu kary partyzanci zebrali się przy suto zastawionym stole i w ciągu kwadransa opróżnili wszystkie załadowane wieprzowiną półmiski, popijając bimbrem, który w kilku butelkach stał obok zakąsek.

Józef Krakowski, syn osadnika na moim gospodarstwie, przypadkowo uniknął cięgów. Wybierając się na zabawę, jak to zwyczaj nakazuje, pragnął zabrać z sobą butelkę samogonu. A, że w domu nie było udał się do sąsiada, miejscowego gospodarza Norberta Zajączkowskiego, który niemal zawsze zaopatrywał potrzebujących tego napoju. W czasie kiedy Zajączkowska nalewała do butelki samogon, mąż jej Norbert był w obejściu gospodarstwa i na podwórzu tuż przy drodze wiodącej do traktu, spotkał grupę pośpiesznie maszerujących partyzantów w kierunku mego gospodarstwa i sąsiada Piercewicza. Jeden z nich przyjął się Zajączkowskiemu dokładnie, zapytał o nazwisko - powiedział idź do domu i nie wychodź. Zajączkowski wszedł do izby, kiedy Józef trzymając samogon, zęgnął się z gospodarzami i śpieszył z odejściem. Norbert zatrzymał go i pokrótce opowiedział kogo przed chwilą spotkał na dworze.

Józef słuchając relacji zbladł, zdenerwował się i w lot pojął, że partyzanci śpieszyli do niego, ponieważ należał do "szaulisów" i posiadał karabin. Niezwłocznie wybiegł z izby i pomknął przez pola w kierunku wsi Zajezerce. Ominął wieś i tuż za nią wpadł do lasu, miejscami zabagnionego. Długo wsłuchiwał się w ujadanie psów, dochodzące od strony zabudowań, w których był osiedlony i od Klimaszewskiego dokąd śpieszył na zabawę. Po godzinnym przebywaniu w lesie posłyszał strzelaninę i wzmożone szczekanie psów w całej okolicy.

Była wiosenna noc. Pomiędzy konary i wierzchołki drzew, na tle ciemnego nieba, przebłyskiwały gwiazdy. Józef wciąż nasłuchiwał i co pewien czas zapadał po kolana w bagno, szukając lepszego miejsca dla słuchu, a jednocześnie wyteęzał wzrok wpatrując się w polną drogę biegnącą poza lasie. Myślami był przy rodzinie i Klimaszewskim, a kiedy usłyszał strzelaninę zdecydował jeszcze zaraz w nocy iść do Podbrzezia do wójta i prosić go o pomoc. Może przyśle policję i "szaulisów" albo coś doradzi. Narazie sam nie wie co się mogło wydarzyć. W każdym razie jeśli jest tak, jak mówił Hajączkowski - jest niedobrze.

Po dłuższym człapaniu w miejscu i nasłuchiwaniu, kiedy już zamierzał wyjść na drogę i iść do Podbrzezia, posłyszał oddalony szmer. Nie miał wątpliwości, że ktoś idzie. Szmer stawał się coraz wyraźniejszy. Był blisko drogi lecz stał w bagnie. Na szczęście stał nieruchomy, ukryty w zaroślach. Przysiadł, kierując wzrok od dołu tam skąd pochodził szmer. Wreszcie między kszakami, na tle przebłyskującego gwiazdami nieba, dostrzegł ciemne sylwetki, z wystającymi lufami karabinów. Oczom, nie wierzył, że to byli polscy partyzanci. Słyszał jak idąc półgłosem między sobą rozmawiali. Wydało mu się, że było ich bardzo dużo.

Szli dwurzędem drogą polną, skrajem lasu., wzdłuż granicy Siemaszki dalej do Sadowskiego na gościniec, z którego różnymi drogami można było wyjść do rejonu Sużan.

Józef nie mylił się, tuż koło niego przeszła grupa z oddziału "Błyskawica", która po wykonaniu zadania opuściła Chmiziutkę, Klimaszewskiego i maszerowała do miejsca postoju. Odchodząc z domu zabawowego partyzanci nakazali obecnym w ciągu godziny nie opuszczać lokalu. Na postrach oddali szereg strzałów, które wywołały psią wrzawę w całej okolicy, wzmagając zdenerwowanie siedzącego w miejscu Józefa.

Po przejściu partyzantów Józef jeszcze czas dłuższy przebywał w miejscu na skraju lasu, nasłuchując i rozglądając dookoła. Przemoknięty po pas, szcękając zębami z zimna, wyszedł z lasu i brzegiem jeziora Niemeczyńskiego prawie biegiem wrócił do domu. W domu rodzina zapłakana oczekiwała jego powrotu. Matka zaraz po odejściu partyzantów pobiegła do Zajączkowskich, dokąd szedł po samogon. Tam dowiedziała się, że po wyjściu od nich Józef poszedł przez pola, gdzieś na Zajeźierce. Domownicy bardzo ucieszyli się z jego powrotu. Wszyscy razem wypili zachowaną butelkę samogonu, słuchając opowieści o nocnej przygodzie w lasu na rojście. Po krótkiej naradzie postanowili w ciągu niedzieli spakować manatki i wynająć furmanki tak, by w poniedziałek rano opuścić gospodarstwo - wyjechać do Podbrzezia pod opiekę wójta, który był sprawcą ich osiedlenia.

W poniedziałek rano rodzina Krakowskich z mego gospodarstwa, jak również inni osadnicy, nawet ci, których partyzanci nie odwiedzili, opuścili zajmowane przez nich gospodarstwa i udali się pod opiekę wójta. Z mego gospodarstwa osadnicy narazie zabrali swoje graty.

W oborze pozostała jedna moja krowa, której z powodu pośpiechu nie mogli uprowadzić.

Zebrani w gminie osadnicy sprawiali wiele kłopotu. Wójt musiał ich rozkwaterować częściowo w pobliżu siedziby gminy, częściowo spowodował przesiedlenie na tereny litewskie. Żaden z nich nie chciał wracać na pozostawione gospodarstwo, w obawie przed partyzantami pomimo, że Wójt obiecał zorganizować obronę przy pomocy policji i szaulisów. Czasowo rozlokowani przez wójta osadnicy utrzymywali się przeważnie dzięki pomocy materialnej gminy. W ciągu paru tygodni, prawie co dzień pod opieką policji i uzbrojonych "szaulisów" osadnicy odwiedzali pozostawione gospodarstwa. W obawie przed partyzantami przyjeżdżali furmankami w godzinach przedpołudniowych i zaraz wracali, by do Podbrzezia przyjechać przed zmrokiem. Wracając zawsze z gospodarstwa coś zabierali - paszę lub jakiś grat. Niezadługo osadnicy zaczęli stopniowo opuszczać Podbrzezie i wyjeżdżać na własną rękę znalezione miejsce.

Zaraz po wyjeździe osadników, przy pomocy sąsiadów, okna i drzwi mego domu obiliem deskami. Z obory zabrałem pozostawioną czasowo krowę. Świadkowie sąsiedzi obecni przy wyjeździe osadników słyszeli od nich, że po załatwieniu sprawy w gminie zamierzali wrócić po krowę i paszę, ponieważ osiedlą się gdzie indziej.
- Krowę ulokowałem w oborze, w sąsiednim Niemenczyku.

Tego samego dnia w południe do Chmizjutki przyjechała na furmance policja z moim osadnikiem i osadnikami sąsiadów. Przywołali sołtysa i zaczęli wypytywać kto zabrał krowę i dokąd wyprowadził. Grozili ukaraniem, jeśli krowa nie odnajdzie się. Sołtys celowo złożył winę na partyzantów, którzy w nocy przycho-
dzą.

W poszukiwaniu inwentarza i również mnie, policja kilka razy przyjeżdżała do Chmiziotki, przypuszczając mylnie, że tam wprowadzę się. Pewnego razu wraz z policją sąsiedniej gminy rzeszańskiej, policja podbrzeska z osadnikiem sprawiła nalot na Niemenczynek, wypytując Łabanowskiego i jego dzierżawcy, gdzie ja mieszkam i czy nie ma u nich uprowadzonej przeze mnie krowy. Przeglądali bydło w Niemenczyku lecz tej krowy nie znaleźli, ponieważ parę dni temu przed tym, przypuszczając że będzie podjęte dochodzenie, w nocy bydło przeprowadziłem do brata w Skierdżinie.

Podobne kłopoty przeżywał prof. Jagmin, któremu gospodarstwo w Budach również zajął osadnik. Po wypłoszeniu osadnika, gospodarstwem opiekował się upoważniony robotnik, z którym profesor utrzymywał żywy kontakt.

W końcu marca "Błyskawica" połączył się z oddziałem "Brona", tworząc załóżek 6- tej brygady, którą dowodził major "Konar". W prędkim czasie brygada przeszła za Wilię i ponaszerowała w rejon Swira powiatu Święciańskiego.

12 • Tragedia " Jaskółki ".

W Niemenczyku^{ny} za oknem mego pokoju, przydzielonego przez p. Bolesława Łabanowskiego, w czasie kiedy gospodarstwo moje zmuszony byłem opuścić, było dość obszerne dworskie podwórze. Po bokach jego były usytuowane zabudowania gospodarcze : spichrz z jednej strony, czworak z drugiej. Po przeciwległej stronie podwórza, naprzeciw mego okna, w jednym budynku mieściła się obora i stajnia. Z lewej strony tego budynku stały szczątki murowanych słupów, świadczących o istniejącej ongiś bramie, z wyjazdem na trakt, przechodzący skrajem niewielkiego, przynależnego do majątku jeziora. Trakt wiodł w lewo do pobliskich Pikieliszek, w prawo do Niemenczyna - miasteczka nad Wilią. Na wprost podwórza, prostopadle do tego traktu była polna droga wiodąca do zaścianków Franciszkańce, Białozoryszki i dalej w różnych kierunkach.

Inna znowuż droga wiodła z podwórza obok spichrza / gdzie również stały resztki murów po bramie /, do nieco oddalonej dworskiej stodoły i obok niej z wyjazdem na gościniec Gieglówka - Niemenczynek z kierunku poprzecznego do traktu.

Po drugiej stronie budynku mieszkalnego znajdował się stary sad z ogrodem warzywnym. W sadzie otoczonym dwoma rzędami przeszło stuletnich lip, ulokowana była niemała pasieka, dająca ulubione zajęcie jej właścicielowi p. Łabanowskiemu ...

Był 8 -my maja - dzień mego patrona Św. Stanisława biskupa. Jaskrawe promienie wschodzącego zza lubowskiego lasu słońca oświetlały wierzchołki sędziwych lip niemenczykowskiego dworu. Tego dnia obudziłem się wcześniej z powziętym z wieczora zamiarem pójścia z wędką na ryby do pobliskiego jeziora. Wędkowanie było

moim ulubionym sportem, do którego wciągnąłem się przy wydatnym udziale mego ojca. Sztuki wędkarskiej pod jego kierownictwem, jako mały chłopiec, nauczyłem się odwiedzając pobliską Wilię, a przy okazji wyjazdów w gościnę do żyjących na wsi krewniaków - na jeziorach. Właśnie i tu na jeziorze Niemenczynkowskim i sąsiednim Pikieliskim - dopóki żyła jedna z sióstr ojca - parę razy w roku przyjeżdżaliśmy na ryby. To też znałem wszystkie podejścia do najlepszych stanowisk, w pojęciu wędkarza.

Sportu tego nie zaniechałem i później, kiedy byłem uczniem czy studentem. Miałem dobrych kolegów i przyjaciół, z którymi znaczną część wiosny i lata odwiedzałem podwileńskie jeziora w promieniu sięgającym aż do granicy polsko - litewskiej - jeziora Dubińskiego.

Ze znajomością jezior kształtowało się poznanie terenu, które w czasie pełnienia podjętych / obowiązków/ zadań konspiracyjnych miało poważne znaczenie ...

Zamiar mego wędkowania był jednak mącony myślą o niebezpieczeństwie jakim groziła obława, organizowana co pewien czas przez policję litewską wspólnie z "szaulisami" lub przez oddziały tak zw. "plechawicziusów" - zorganizowane przez Niemców do walki z partyzantami.

Od przeszło miesiąca gospodarstwo moje, tuż za miedzą pola niemenczynkowskiego, osadnicy litewscy opuścili - zostali wypłoszeni przez oddział "Piotra". W opuszczonej gospodarstwie jednak przebywać nie mogłem, ponieważ najpierw częściej, potem coraz rzadziej, przeważnie w południe przyjeżdżał spory oddział policji litewskiej z zamiarem pochycenia ewentualnie osiadłego właściciela.

Rozmyślając nad tym jaką szansę ucieczki mogę mieć będąc z wędką nad brzegiem jeziora w przypadku pojawienia się obławy,

otworzyłem okno, rozejrzałem się. Poza świergotem szpaków i innego ptactwa w sadzie akcentował się donośny głos blisko siedzącej kukulki, a za jeziorem gdakanie kur, przerywane pianiem kogutów. Od jeziora dochodził głos czubatego nurka.

Wyszedłem na podwórze, by kontynuować dalsze obserwacje i wsłuchiwanie się, patrząc w kierunku mego gospodarstwa i na trakt wiodący do Pikieliszek, skąd najczęściej w drodze do Podbrzezia z gminy przyjeżdżała obława. Wczesnym rankiem promienie słońca podwórza nie sięgały. Za słupami nie istniejącej bramy i dalej nad jeziorem unosiła się lekka mgła, za którą ukazywały się kontury niektórych zabudowań, położonej ^{u siebie} na przeciwległym brzegu jeziora wsi Zajezierce. Na drodze panował spokój.

Kiedy zdawało się, że obserwacje, również i nasłuch nie nasuwały przeszkód by z wędką pójść do jeziora, niespodziewanie na drogę wiodącą od stodoły w podwórze, może z gościńca od Gieglówki, a może drogą polną wzdłuż sadu? - weszło kilku uzbrojonych ludzi.

W mgnieniu oka, dyskretnie ustąpiłem w bok i znikłem z pola widzenia przybyszów. Natychmiast usłyszałem fragment polskiej nowy - " tam ktoś był " i

Zacząłem wracać, widząc wyraźnie różnie ubranych ludzi z orzełkami na polowych rogatywkach. Nieco za nimi ukazała się furmanka jednokonna, na której leżały toboły i siedziało 3 - 4 ludzi również uzbrojonych. Szybko zorientowałem się, że to oddział 8 - 10 partyzantów. Ani dowódcy, którego pseudonim "Jaskółka" poznałem później, ani innych przedtem nie znałem.

Po wejściu na podwórze zatrzymali się. Dowódca podszedł do mnie z zapytaniem :

- Kto jest właścicielem majątku i gdzie go można zobaczyć ?

Następnie pytał o drogę do Purnuszek .

Po uzyskaniu informacji dowódca zabrał dwóch partyzantów i poszedł w stronę kuchni do mieszkania państwa Labanowskich.

Po niedługim czasie partyzanci wyszli od Labanowskiego. Dostali trochę bielizny i wędlin. Dobytek załadowali na furmankę i po krótkiej rozmowie z jednym z braci Awłasewiczów - połowników majątku, upewnili się co do kierunku zamierzonego marszu, wyszli z podwórza koło obory na drogę wiodącą do pobliskiego zaśc. Franciszkańce - Michała Sadowskiego. Tam zaproszeni przez gospodarza, zatrzymali się na śniadanie, które przeciągnęło się zapewne ponad godzinę.

Po odejściu partyzantów, których wizyta była - jak słyszałem - miłą niespodzianką we dworze i wsi, gdzie w czasie okupacji poraz pierwszy widziano ludzi uzbrojonych i ze znakiem orła białego, na dworze trwały dłuższe rozmowy mieszkańców Niemency^{ka} i przychodzących tu w różnych potrzebach ludzi z Zajezierców.

Pomyślałem, że nie z mojej wyprawy na ryby. Wróciłem do swego pokoju i zacząłem golić się. W trakcie golenia, za oknem na dworze, powstał gwar i jakieś gwałtowne ruchy. Przez zamknięte okno zobaczyłem dużo uzbrojonych ludzi, którzy z różnych stron zaczęli schodzić się na podwórze. Szybko też rozpoznałem oddział żołnierzy litewskich - "plechawieziusów", współpracujących z Niemcami. Był ich chyba pluton z dwoma ręcznymi karabinami maszynowymi. Pozatem żołnierze byli uzbrojeni w karabiny ręczne i granaty.

Na dwór nie wyszedłem, stałem przy oknie chwilę rozmyślając jak wynknąć się z tego towarzystwa^y. Wydawało się, że za chwilę wpadną do mieszkania z rewizją. Z rozmowy, jaką na dworze prowadził oficer, najpierw z połownikiem Awłasewiczem, a niezadługo

z Łabanowskim, zorientowałem się, że ścigają naszych partyzantów, których nazywają "bandytami". Pościg trwa od Rzeszy, - miejsca postoju plutonu. Pytali :

- Ilu partyzantów było, co zrabowali, jak uzbrojeni, czy dawno odeszli i w jakim kierunku ?

Słyszałem jak Awłasewicz i Łabanowski wykręcali się z odpowiedzią - nie chcieli udzielić prawdziwych informacji. Oficerowi pytającemu ostatecznie zależało na czasie i ustaleniu kierunku odejścia partyzantów, ponieważ za bramą podwórza rozchodziły się drogi w trzech kierunkach.

Po śladach kół świeżo przejeżdżającej furmanki Litwini zorientowali się dokładnie w kierunku ucieczki partyzantów. W wielkim pościgu oddział żołnierzy z rozpiętymi kołnierzami mundurów, podkasanymi rękawami i jeszcze spoceni z karabinami maszynowymi na plecach - pociągnął grupami śladem pozostałym po odchodzących partyzantach " Jaskółki ".

Było już koło południa kiedy ścigający oddział żołnierzy, za Woroniszkami zauważył grupę partyzantów, z odległości ponad kilometr. Wojsko zeszło z drogi i grupami kryjąc się za rosnące na polach, po obu stronach drogi zarośla i kszaki, w szybkim tempie zbliżało się do partyzantów, którzy narazie pogoni nie widzieli.

Oddział "Jaskółki" zbliżał się do szerokiego, głębokiego jaru koło m. Radziule, niezbyt daleko od miejscowości, gdzie w styczniu ubiegłego roku miałem utarczkę z oddziałem niemieckim. Przed wejściem do jaru " Jaskółka" i jego ludzie zobaczyli wyraźnie przebiegające między zaroślami grupy żołnierzy, w odległości nie bliżej niż pół kilometra.

Litwini narazie nie strzelali. Prawdopodobnie zamierzali otoczyć ściganych.

Niestety oddział partyzanski dał się zaskoczyć.

"Jaskółka" rozkazał szybki marsz - bieg na wzgórze za wąwozem.

Furmankapowozona przez jednego z partyzantów miała uciekać do lasu w kierunku Jęczmieniszki. Reszta partyzantów z karabinem maszynowym zajęła pośpiesznie na wzgórzu stanowisko ogniowe.

Rozpoczęła się strzelanina. Litwini wstrzymali marsz i będąc po obu stronach drogi, otworzyli gęsty ogień, również z obu karabinów maszynowych.

W krótkim i gwałtownym pojedynku ciężko ranny został partyzant obsługujący karabin maszynowy. Również ranni zostali dwaj inni. Ogień ścigających nie słabł, lecz natarcie straciło pęd - kilku żołnierzy było zabitych i rannych. "Jaskółka" widząc tragiczną sytuację pochwyciła karabin maszynowy i skokami z resztą ludzi cofała się w kierunku najbliższego osiedla i lasu. W odwrocie już niedaleko osiedla "Jaskółka" zostaje ranny, a jego ludzie zabici lub ranni. Pościg litwinów szybko rozwija się - dobijają rannych. Dowódcę oddziału "Jaskółka" ranny nie poddaje się. Ścisnąc w rękę odbezpieczonej granat, pada wraz z jego wybuchem.

Litwini miejscowym gospodarzom nakazali posbierać zwłoki zamordowanych partyzantów i zakopać gdzieś na polu.

Na zarekwirowanych furmankach ułożyli swoich zabitych i rannych żołnierzy i niezadługo odmaszerowali do miejsca postoju Rzeszy.

W kilka godzin po odejściu niszczycielskiej grupy - już o zmroku, z inicjatywy miejscowej ludności, zwłoki pomordowanych zostały odkopane i w zrobionych na przędcie trumnach przewieziono i pochowane na najbliższym wiejskim cmentarzu.

Przebieg walki i postępowanie żołnierzy litewskich z rannymi, z braku innych źródeł podałem w wersji okolicznych mieszkańców. Część informacji pochodzi prawdopodobnie od jednego uratowanego z pogromu partyzanta, z którym jednak nigdy nie widziałem się.

Tragedia "Jaskółki" i jego ludzi wstrząsnęła do głębi miejscowym społeczeństwem. Zaskakującym był fakt zorganizowanego pościgu za oddziałem, który zdążył przejść znaczną odległość od swojej pozycji wyjściowej. Do wyjaśnienia tego wyznaczeni byli łącznicy w siatce. Według uzyskanych informacji oddział "Jaskółki", prawdopodobnie z jego też inicjatywy, zorganizował się gdzieś w rejonie jeziora Zielonego, zwanego również Krzyżakim. Stamtąd zamierzał przejść w rejon Niemenczyzna - Sużan, by dołączyć do znacznie większego oddziału "Piotra 7".

"Jaskółka" maszerował jeszcze nocą, omijając większe osiedla. Po drodze gdzieś niedaleko Rzeszy - siedziby zarządu gminy, gdzie jak się okazało, stacjonował oddział "plechawicziusów" - "Jaskółka" wstąpiła do jednego z zaścianków, należącego do zażyłego gospodarza P, żądając wypożyczenia jednego konia z wozem. Po odejściu na nowe miejsce postoju inwentarz obiecał zwrócić. Pod groźbą broni rolnik oddał uzbrojonemu człowiekowi to o co on prosił - oddał bez większego ociągania się, tym bardziej, że w oddali dostrzegł stojącą grupę innych ludzi.

Z zarekwirowaną furmanką oddział szybko pomaszerował swoją drogą, a rolnik P. zapewne nie był przekonany, że konia z wozem wręczył partyzantom. Przypuszczał, że został ograbiony przez bandytów. O partyzantach bowiem w tej okolicy nie słyszano.

Po krótkiej naradzie z rodziną P. niezadługo po odejściu partyzantów udał się do pobliskiej Rzeszy z zamiarem złożenia meldunku na posterunku policji. Komendant przyjął skargę i zawiadomił dowódcę oddziału przybyłych przed kilku dniami żołnierzy. Ogłoszono alarm i bez mała cały oddział poderwał się na obławę, w ich pojęciu "bandytów".

Śladem przemarszu "Jaskółki", ścigający oddział żołnierzy przybył do Niemienzyka^{n/} i dalej, aż do spotkania z partyzantami, gdzie rozegrała się tragédia.

W kilka dni potem rozegrała się tragédia druga - konsekwencja pierwszej, powstała w wyniku nieporozumienia i wielkiej pomyłki rolnika P.

Po łatwym ustaleniu przyczyny zorganizowanego pościgu za uchodzącym oddziałem partyzanckim, sprawa trafiła do sądu polowego, który - moim zdaniem - dość pochopnie wydał wyrok śmierci na ojca i syna P. Wyrok został niezwłocznie wykonany.

13. Tragiczna zabawa w Szaktaniszkach.

W maju 1944 r wczesnym rankim wybrałem się do Niełowickiego, który administrował majątkiem Pikieliszki, położonym nad malowniczym jeziorem tejże nazwy. Do wojny majątek stanowił własność Marszałka Józefa Piłsudskiego, nadaną dekretem generała Lucjana Żeligowskiego, za czasów Litwy Środkowej. Marszałek w ostatnich latach swego życia bardzo chętnie tu przebywał. Szczególnie upodobał sobie położoną na jeziorze małą wysepkę, gdzie miał urządzonego stół z ławkami. Za każdym pobycem w majątku samotnie odwiedzał wyspę, dopływając doń łódką na wiosłach. Na wyspie spędzał czas na czytaniu albo pisaniu. Lubił też obserwować otoczenie, kierując wzrok na przyległe do jeziora pola majątkowe, łąki nad rzeczką oraz na położoną nad jeziorem po jego przeciwległym brzegu zaścianek Wierzbiszki i wieś Szaktaniszki. Pomiędzy zaściankiem i wsią, do jeziora przylegały też grunty zaścianka Chmiziotka.

W czasie pobytu Marszałka w Pikieliszkach nie mało tajniaków kłębiło się nad brzegiem jeziora, ukrywając się przed jego wzrokiem na polu w zbożu i koło zabudowań Wierzbiszek. Jeśli przypadkowo zauważył tajniaka ze swojej wysepki, Marszałek zaraz podpływał łodzią do brzegu, przywoływał go, legitymował i nakazywał opuścić stanowisko. Nieraz widząc pracujących w polu braci: Jana i Stanisława Paszkowskich z Wierzbiszek, przypływał łodzią, by coś powiedzieć lub zapytać.

Do Niełowickiego poszedłem, jak zwykle, by uzyskać sprawozdanie z sytuacji, tym razem na odcinku obsady bunkrów niemieckich w Pikieliszkach i innych miejscowościach przy trasie Wilno - Podbrzezie - Giedrojcie. Zbliżanie się w szybkim tempie frontu walk radziecko - niemieckich do granic Wileńszczyzny

i Nowogródzczyzny, nakazywało uintensywnienie przygotowań do mobilizacji ludzi i środków, niezbędnych do zbrojnego wystąpienia. Pilnej uwagi z naszej strony wymagał ruch oddziałów niemieckich i współdziałających z nimi litewskich, na tym właśnie trakcie, gdzie były wzniesione umocnienia. Interesowały one nas z dwóch względów. Po pierwsze, jako niebezpieczeństwo w czasie naszych przygotowań. Po drugie, jako możliwość wrogiego oporu, na którego pokonanie należało przewidzieć odpowiednią siłę.

Idąc do Niełowickiego zawsze miałem alibi. Na wszelki przypadek moją obecność w majątku i rozmowę z administratorem mogłem tłumaczyć sprawami gospodarczymi, po sąsiedzku.

Niełowickiego zastałem w czasie śniadania. Wszedłem do jego gabinetu dokąd niezadługo przyszedł sam. Zaraz przy powitaniu zapytał, czy też nie słyszałem o wczorajszym wypadku w Szałtaniszkach! Widząc moje wielkie zdziwienie opowiedział jak jeden z siatki - nazwiskiem Biłat z Szałtaniszek minionej nocy zabił litewskiego podoficera i że sprawa ta może nam przysporzyć kłopotów!

Szczegóły przebiegu wypadku, według dostarczonej Niełowickiemu wczesnym rankiem informacji były następujące.

W niedzielę wieczorem w Szałtaniszkach odbywała się wiejska zabawa, na której poza miejscowymi chłopcami i dziewczynami zjawił się pijany podoficer z oddziału Flechawicziusa. W trakcie zabawy część uczestników była przed domem w ogrodzie, a wśród nich także i siostra Biłata. Na dwór wyszedł też i podoficer, który wziął pod ramię Biłatównę i pod preteksem odprowadzenia go pociągnął dziewczynę do pobliskiego lasu. Poinformowany o tym brat poszedł w ślad za nimi. Pijany podoficer tego nie zauważył.

Siostrą widząc, że brat idzie przy jego obecności czuła się bezpieczniej. Po przejściu dość znacznego odcinka leśną ścieżką Litwin obalił dziewczynę na ziemię i zaczął się do niej dobierać. Broniła się, starając się wyrwać. Idący - z tyłu brat podszedł niepostrzeżenie do układającego się na dziewczynie żołnierza. Szarpnięciem ręki wyciągnął z pochwy wiszący przy jego pasie bagnet niemieckiej broni i z całej siły wbił między łopatki napastnika. Podoficer zerwał się, stał i potężnie ryknął. Wydawało się, że skoczy^{na} ~~z~~ biała dziewczyny. Momentalnie jednak padł nieżywy. Wyzwolona od napastnika siostra, wspólnie z bratem, zawlekli trupa kilkadziesiąt kroków od ścieżki i ułożyli w gąszczu w jakimś wgłębieniu. A na to miejsce nanieśli suchych gałęzi, którymi trupa całkowicie zakryli.

Po powrocie do domu Biłat opowiedział rodzicom o wypadku z podoficerem. Rodzina spodziewając się nieuniknionej represji, postanowiła natychmiast opuścić gospodarstwo. Po wypędzeniu do lasu bydła i koni, wszyscy wyszli z domu, w tajemnicy przed wsią udając się do dalszych sąsiadów.

W poniedziałek we wczesnych godzinach rannych przysłany oddział żołnierzy przeszukał dokładnie las i znalazł zabitego podoficera. Za zbiegłą rodziną Biłata, na których padło podejrzenie, wszczęto poszukiwania.

W czasie gdy Niełowicki o tym mi opowiadał, zauważył przez okno wchodzącego na podwórze oficera litewskiego z kilku żołnierzami, uzbrojonych w karabiny z nasadzonymi na lufy bagnętami. Niełowicki natychmiast przerwał rozmowę, powiedział bym nie opuszczał jego gabinetu - wyszedł do sąsiedniego pokoju na spotkanie wchodzących żołnierzy. Przez zamknięte drzwi słyszałem, jak po

krótkim przywitaniu przywitaniu oficer podniesionym głosem - mówiąc po litewsku - zadawał szereg pytań. Zrozumiałem, że Niełowicki tłumaczył oficerowi, mówiąc biegle po litewsku, że jako przybysz z Litwy nie zna dostatecznie miejscowych ludzi.

Z Biłatem nie miał w ogóle do czynienia i o całej jego rodzinie nie powiedzieć nie może. O wypadku zabójstwa podoficera dowiaduje się właśnie z ust przybyłego przed chwilą oficera i że bardzo współczuje z powodu tak haniebnej śmierci. Po kilkudziesięciu minutach rozmowy oficer z żołnierzami opuścił teren majątku. Poszli brzegiem jeziora koło cmentarza na trakt przechodzący przez Szałtaniszkami.

Niełowicki pilnie obserwował odchodzących żołnierzy i kiedy przekonał się, że są oddaleni od dworu, przyszedł do mnie, prosząc bym nie śpieszył z odejściem. Z rozmowy z oficerem wynikało, że poszukiwanie Biłatów trwa i będzie prowadzone tak długo aż ich nie znajdą.

Po odczekaniu chyba z godzinę, kiedy w okolicy i na drodze wydawał się być spokój, pożegnałem Niełowickiego - postanowiłem wracać do domu. Wszedłem na ścieżkę koło jeziora, którą niedawno przeszli żołnierze, dyskretnie obserwując okolicę zbliżyłem się do traktu. Wydawała mi się, że w takiej sytuacji iść traktem jest właściwiej niż przez pola, które mogły być obserwowane przez ukrytych żołnierzy.

Idąc traktem do Szałtaniszek, już w nieznaczonej odległości od wsi, znalazłem się w dolinie, gdzie pole mego widzenia było bardzo ograniczone. Pochodząc do wzniesienia, nagle w odległości 150 m. ujrzałem oddział żołnierzy, maszerujący w moim kierunku i trzymających karabiny z najeżonymi bagnetami. Szedłem nie zwalniając kroku, aż do spotkania. Idący oficer, dając mi znak ręką kazał stać

i z kilku żołnierzami podszedł, pytając jak się nazywam, gdzie mieszkam i skąd idę. Na zadawane pytania szybko zacząłem odpowiadać, trochę po litewsku, przeważnie jednak po polsku. Wyjaśniłem, że jestem rolnikiem z Chmiziutki, położonej tuż za Szaltaniszkami. Wracam z majątku, gdzie byłem w sprawie maszyny do czyszczenia mieszanki i kupna brakujących do sadzenia ziemniaków. Pytał również, czy nie widziałem kogoś z rodziny Biłata. Po uzyskaniu ode mnie - jego zdaniem - wystarczającej odpowiedzi, oficer kazał mi iść do domu. Odchodząc słyszałem jak powiedział do żołnierzy :

- taki oberwaniec niech idzie !

Istotnie, ubrany w krótki kożuszek, trochę łatany, więcej jednak postrzępiony, w starych łatanych butach i starej czapie, wyglądałem chyba nie lepiej niż oberwaniec. Tak też ubierałem się ilekroć oddalałem poza gospodarstwo w znanych mi sprawach.

Zaraz po powrocie do domu, a było to jeszcze przed południem, nad Szaltaniszkami buchnęły kłęby dymu i ognia. Domownikom moim wydawało się, że płonie wieś. Służący chłopak, na moje zezwolenie, pobiegł z zamiarem zobaczenia co się pali. Już w drodze dowiedział się od mieszkającego przy trakcie sąsiada Błażewicza, że w Szaltaniszkach płoną zabudowania Biłata. Właśnie niedawno podpalili je żołnierze litewscy, którzy otoczyli płonące zabudowania nie pozwalając sąsiadom gasić. Dom, stodoła i obora spłonęły doszczętnie w obecności wojska i przy wielkim zastraszeniu sąsiadów w obawie przed pożarem, swoich budynków. Byli ono bezradnymi świadkami zemsty żołnierzy za śmierć kolegi.

Po spaleniu zabudowań wojsko odeszło. Rodzina Biłata, w obawie przed dalszą represją, aż do wycofania się Niemców, a z nimi i wojska i policji litewskiej, czyli do pierwszych dni lipca, nie

pokazywała się we wsi. Zaraz po upuszczeniu naszych ziem przez okupanta, jeszcze przed zimą tamtego roku, Biłat przy pomocy sąsiedzkiej, postawił nowe zabudowania i zamieszkał szczęśliwie nie doznawszy uszczerbku w inwentarzu.

14. Partyzanci w Glinciszkach

W połowie czerwca 1944 r. w godzinach rannych do Glinciszek przybył niewielki oddział partyzantów, celem zarekwirowania bydła i z młyna mąki, Sprawa rekwizycji była zawczasu omówiona z administracją majątku. Tym razem z następcą mego kuzyna Mackiewicza, który na jesieni 1943 r. przeszedł do majątku, położonego bliżej Wilna.

Kilku partyzantów, po załadowaniu mąki na wozy i zabraniu potrzebnej ilości wołów, odjechało ze zdobyczą w kierunku Sużany. Jednocześnie za namową partyzantów administracja powiadomiła polecenie w Podbrzeziu, że oni dokonali napadu, zabierając bydło i mąkę. W ten to sposób administracja zamierzała usprawiedliwić majątkowy ubytek.

Reszta partyzantów z erkaemem i automatami, nie zauważona przez administrację i służbę majątkową, skryła się w życie tuż przy trakcie wiodącym z Podbrzezia, na przeciw alei, ciągnącej się od traktu na podwórze majątku. Partyzanci ponad godzinę leżeli w zbożu, oczekując na ekspedycję policyjną. Traktem tym od strony Giedroic w kierunku Podbrzezia aż do Wólna, co pewien czas przejeżdżały furmanki, wiozące coś niecoś na targ. Furmanki celowo nie były przez partyzantów zatrzymywane, by nie zdradzić miejsca zasadzki.

Policja po otrzymaniu z majątku meldunku, powiadomiła stacjonujących żołnierzy litewskich, którzy na szarwarkowych furmankach natychmiast pojechali do Glinciszek. Kiedy furmanki z żołnierzami znalazły się na wysokości alei majątkowej tuż na zakręcie, partyzanci otworzyli ogień z erkaemu i automatów. W kierowaniu ogniem mieli jednak bardzo trudne zadanie, ponieważ nie chcieli wybijać koni i woźniców, a żołnierze siedzieli na wozach. Pierwsze serie pocisków

poszły przeważnie górą, tylko nie znaczna ich część zahaczyła siedzących na tyłach furmanek żołnierzy. Na gwałtowne zniemacka strzały konie z przestachu poniosły. Niektóre furmanki przy niepohamowanym skręcie przewróciły się. Żołnierze wypadali z wozów i zaczęli uciekać w różnych kierunkach strzelając na oślep. Zaskoczenie było całkowite. Partyzanci puścili kilka serii za uciekającymi, przytem musieli tak kierować ogniem, by nie razić ludzi przebywających w majątku, od których wiele dobrego doznali. Po ostrzelaniu przepłoszonych żołnierzy, partyzanci pośpiesznie wycofali się w ślad za grupą, która uprowadziła bydło!

Żołnierze litewscy tym razem większych strat nie mieli, poza kilku rannymi. Z zadowoleniem przyjęli fakt zniknięcia partyzantów, których ścigać nie odważyli się w obawie nowej zasadzki. Po doznanej porażce oddział zebrał się w majątku oczekując na dalsze instrukcje swego dowództwa, prowadził dochodzenie wśród administracji i robotników dworskich.

Dowództwo stacjonującego oddziału w Podbrzeziu, na wieść o doznanej porażce, zadanej przez ukrytych w polu partyzantów, było wściekłe. Administracja majątku, wśród innych, była już od dawna podejrzewana o współpracę z naszą siatką konspiracyjną.

Dotychczas jednak nie wyciągali żadnych konsekwencji, lecz bez ustanku śledzili, szukając powiązań z kierownictwem zarządu majątków, tak zw. "Ostlandem", gdzie szefem z ramienia cywilnej administracji był zaangażowany Komar - Polak pochodzący z Litwy.

Tym razem Litwini postanowili pomścić nie tylko ostatnią porażkę lecz i inne przedtem doznane. W zaciętrzewieniu byli tak nieobliczalnie wściekli, że wysłali z Podbrzezia jeszcze dodatkowy oddział żołnierzy i nakazali zlikwidować wszystkich podejrzanych

o współpracę z partyzantami. Po przybyciu do Glinciszek i połączeniu się z oddziałem tam oczekującym, żołnierze wpadli do mieszkań prywatnych administracji i robotników, podejrzanych o współpracę zastrzelali na miejscu lub kłuli bagnetami, nie szczędząc kobiet i dzieci. Tylko nielicznym z wytypowanych na śmierć udało się zbiec. Miał też szczęście i administrator majątku który prawdopodobnie uprzedzony przez życzliwego żołnierza, w ostatnim momencie zbiegł poza obręb gospodarstwa. Z pamięci mojej wypadła liczba ofiar w bestialski sposób pomordowanych mieszkańców Glinciszek. Wśród nich znalazł się kierownik miejscowej szkoły - Konieczny, który wraz z żoną zginęli pokłuci bagnetami.

Lecz nie tylko mieszkańców Glinciszek mordowali żołnierze litewscy. Pod ciosami ich kolb i bagnetów ginęli ludzie przejeżdżający lub przechodzący traktem obok majątku, jeśli nie potrafili mówić po litewsku. Haniebnego ciosu nie uniknął także przechodzący żebrak.

Po rozprawieniu się w bestialski, dotychczas nie notowany sposób, z bezbronną ludnością żołnierze wracali do Podbrzezia - miejsca swego postoju, otoczonego uzbrojonymi bunkrami, chroniącymi przed atakami partyzantów. W tym czasie prawdopodobnie w drodze z Wilna, minąwszy Podbrzezie, jechał parokonnym powozem naczelny administrator majątków "Ostlandu" - Komar, w towarzystwie należącego do administracji jakiegoś oficera niemieckiego. Dowódca wracającego oddziału zatrzymał powóz, wylegitymował Komara, kazał wysiąść, a żołnierze go zaraz otoczyli. Woźnica z niemieckim oficerem otrzymał polecenie kontynuowania jazdy. Zaledwie powóz ruszył rozległy się strzały i Komar w konwulsyjnych drgawkach osunął się do przydrożnego rowu. Za chwilę nie żył. Oficer

niemiecki zatrzymał powóz i zażądał od Litwina wyjaśnienia, co spowodowało zastrzelenie zarządcy Komara? Dowódca litewski krótko oświadczył, że jest w posiadaniu dowodów współpracy Komara z polskimi partyzantami, którzy za jego aprobatą grabią majątki Ostlandowskie.

Niesłychane krwawe represje współpracujących z okupantem oddziałów litewskich, były już ostatnimi wystąpieniami w naszym rejonie, a może nawet i w ogóle! Za parę tygodni nadszedł dzień, kiedy jak za machnięciem różdżki czarodziejskiej wszyscy ci, którzy współpracowali z Niemcami, zginęli z powierzchni naszej ziemi. Na wieść o zbrojnym zrywie polskiego podziemia, obcy naszej sprawie element, bez najmniejszego oporu, szukał schronienia w ucieczce do tych zakątków swego kraju, gdzie czyny jego nie były znane.

x

x x

W rejonie Sużan czasowo przebywała 3-cia brygada "Szczerbca": Była dobrze uzbrojona, posiadała oddziały zmotoryzowane na zdobycznych samochodach i motocyklach. Pewnego razu niezadługo po haniebnym mordzie w Glinciszkach, jakiego dokonali żołnierze litewscy, brygada okazała zaprezentowała się na nabożeństwie w kościółku w Sużanach - wsi kościelnej, położonej około 20 km na północ od Biemenczyna! Po wystawieniu ubezpieczenia na drogach wiodących do Sużan, partyzanci wypełnili niewielki kościółek i plac przed nim, podziwiani przez zebraną ludność z okolicznych miejscowości!

Po nabożeństwie na placu przed kościołem odbył się wiec manifestacyjny. Do zebranych po wyjściu z kościoła okolicznych mieszkańców i partyzantów przemówił komendant brygady "Szczerbca", który wspominał o krwawej masakrze, jakiej dokonali żołnierze

litewscy na ludności cywilnej w Glinciszkach. W gorących słowach potępił ten czyn haniebnny, wywołujący ludzkie oburzenie i z naciskiem podkreślił, że zuchwalstwo najmniejszej zgrai żołdaków będzie srodze ukarane. - Zbrojne ramię Polski walczącej z okupantem - jakim są oddziały AK - w sposób skuteczny niesie odwet na zbrodniarzach niemieckich. W dniach najbliższych o sile polskiego ramienia również będą zmuszeni przekonać się wszyscy litewscy sługusi okupanta niemieckiego - a więc żołnierze, policja i szaulisi. Na zakończenie oświadczył, że oddziały partyzanckie zapewniają miejscowej ludności skuteczną ochronę przed szykanami okupacyjnych władz litewskich. Prosił też o przekazanie wezwania do rodzin żołnierzy, policjantów i szaulisów, by nakłoniły swoich synów i ojców do opuszczenia wrogiej służby i powrotu do zajęć pokojowych.

„Przemówienie Ł Szczerbca” było przyjęte z wielkim entuzjazmem. Atmosfera strachu, która rozeszła się po litewskiej represji w Glinciszkach zaczęła ustępować w poczuciu siły, jaką deklarował okazać komendant brygady.

W ciągu najbliższego tygodnia oddziały partyzanckie przeszły na tereny litewskie i zniszczyły wiele głównych ośrodków organizacji szaulisów i policji, rozmieszczonych wzdłuż byłej granicy litewsko-polskiej. Zorganizowany opór, jaki napotkali partyzanci, był przez nich pokonywany żelazem i ogniem, a wieść o tym szybko rozeszła się pod strzechy rodzin litewskich.

Od tego czasu wielu żołnierzy, policjantów i szaulisów szukało okazji porzucenia służby okupantowi niemieckiemu, a niemal powszechnie przygaszony został zapal do represji przeciw naszemu podziemi.

Po odejściu brygady "Szczereba" słowa zachwytu długo były w pamięci parafian suzańskich i wszędzie tam, gdzie ta brygada przebywała i walczyła.

15. Imieniny Jana w Wierzbiszkach

Imieniny jeśli są obchodzone, w domu gościnnym, dają okazję do spotkań towarzyskich na których poza krewniakami solenizanta, bardzo często bywają sąsiedzi i ludzie zaprzyjaźnieni.

Na imieniny Jana Paszkowskiego w Wierzbiszkach zostałem zaproszony osobiście jeszcze kilka dni przed tym. Od gospodarza dowiedziałem się, że na imieninach będzie wielu młodych ludzi z okolicy, znanych mi z nazwisk i z przynależności do naszej siatki. Wśród tych ludzi, łącznie z gospodarzem, prawdopodobnie nie było żadnego, któryby wiedział o mojej przynależności do konspiracji. Kilku z nich przypuszczenia swoje, odnośnie mego stanowiska w stosunku do podziemia, opierało raczej na domysłach niż na bliższej znajomości rzeczy. Przypuszczenia sąsiadów, jak to w późniejszej rozmowie okazało się, oparte były na faktach mego wykształcenia i stopnia oficerskiego - na czynnikach predyspozycji społecznej, wymagającej zajęcia właściwej pozycji, w krytycznej dla Kraju sytuacji.

Na imieniny siedłem z zamiarem uzupełnienia informacji o dalszych ruchach żołnierzy niemieckich, policji i wojska litewskiego w naszym rejonie. Od przeszło tygodnia z różnych stron dochodziła wiadomość, że Niemcy ewakuują swoje biura i podręczne magazyny z miast powiatowych i zarządów gmin. Również administracja litewska, policja i wojsko ewakuują rodziny na przedwojenne tereny Litwy.

Krążyły też pogłoski, że zarówno żandarmeria niemiecka - jak i wojsko, lada dzień miały opuścić zajmowane w miasteczkach i osiedlach koszary. Część miała obsadzić bunkry, trwając tam przez cały czas w gotowości obronnej, aż do dalszych rozkazów. Reszta - nadwyżka z inwalidami i mniej przydatnymi do akcji

bojowej wraz z nadwyżką broni, miała ewakuować się dalej od szybko nadchodzącego frontu.

Z tym - zmieniającym się co dzień - obrazem sytuacji przyszedłem po południu na imieniny Jana Paszkowskiego, do malowniczo położonego zaścianku Wierzbiszki. Jak się spodziewałem na imieninach, oprócz domowników solenizanta i zamieszkałej w drugim końcu podwórza rodziny młodszego brata Stanisława, tudzież rodziny ich szwagra Józefa Sokołowskiego - było pozatem chyba ponad 20 osób z niedalekiej okolicy. Spóźniłem się. Trafiłem na małą przerwę, kiedy gospodyni z pomocnicą troszczyły się o zaopatrzenie stołu w nowe porcje smakowitego mięsiva, pachnących wędlin "litewskich", sera białego, masła i różnych dodatków. Gospodarz - solenizant w tym czasie znosił i ustawiał na stole pełne butelki suwówki gorzelanej, również i samogomu. Znalazło się też kilka butelek mocnego krupniku /napój na miodzie i przyprawach korzennych/ - dla amatorów, jako napój imieninowy. Na szerokiej ławie koło półek spiżarni, stały dwie pełne, duże konwie piwa domowego wyrobu.

Po krótkiej ceremonii powitalnej, gospodarz zaprosił mnie, jako nowo przybyłego do stołu, również i tych, którzy w czasie przerwy kręcili się w izbie i w ogrodzie koło domu. Przy długim stole rozstawionym wzdłuż ściany w poprzek izby, zająłem wyznaczone mi miejsce obok brata solenizanta - Stanisława. Miejsce było pod postatkim, ponieważ część gości, pomimo wezwania gospodarza, do stołu narazie nie przyszła. Niewiele czekając na ponowną zachętę gościnnego gospodarza, goście zaczęli wzajemnie częstować się świeżo podanymi zakąskami i napełniać kieliszki. Piliśmy różne toasty i życzenia dla solenizanta i jego żony. Nie brakło

też toastu na pomyślne zakończenie wojny i powrót spokojnych czasów. Kiedy biesiadnicy byli najedzeni i chyba dostatecznie napici, toasty skończyły się tradycyjnym śpiewem "sto lat" dla miłych gospodarzy. Zaraz potem przysły różne piosenki wojskowe, rozpoczynając od dawnych legionowych i przechodząc na "Rozszumiały się wierzby płaczące" i inne. Doborem tematyki piosenek goście nie byli skrepowani kontrowersją polityczną. Byli swoi, poczciwi, serdeczni, usposobieni patriotycznie - bez patosu - ludzie. W tym środowisku napewno nie było zdrajców, szpicli i donosicieli. Śpiew i rozmowa tchnęły pełnią swobody w tym zacisznym zaścianku, oddalonym od najbliższej położonej wsi. na przeciwległym brzegu jeziora, w linii prostej około 500 m.

W miłym nastroju czas szybko mijał, goście, poza małym wyjątkiem nie zdradzali pośpiechu z odejściem do domu. Dzień imienin Jana - 24 czerwca /sobota/ był długi, że godzina 8-9 wieczorem, nie zapowiadała nocy, która jak zwykle w tym czasie kalendarzowym należała do najkrótszych. Kiedy śpiew ustawał, a zaczynały się sąsiedzkie pogawędki i różne "kawały", gospodarz który lubił wesołe towarzystwo i nie gardził kieliszkiem, zapraszał do dalszego jadła i picia. W tym czasie, któryś z gości, będąc nad brzegiem jeziora przy drodze za stodołą, zauważył grupę żołnierzy idących luzem z bronią przewieszoną na ramieniu lufami w dół. -Żołnierze, narazie nie rozpoznani przez obserwującego, szli wolno drogą polną od majątku Pikieliszki. Poinformowany o tym gospodarz trochę czuł się nieswojo. Widząc jego wahanie jak się zachować w tej sytuacji, doradziłem - zresztą przez wszystkich aprobowany - spokój i kontynuowanie biesiady. zaproponowałem, by gospodarz w moim towarzystwie wyszedł na podwórze, na spotkanie idących

żołnierzy i ewentualnie zaprosił ich na poczęstunek.

Nie wiedziałem jacy to są żołnierze, ale miałem wiele pewności, że zaproszenie do gościnnego stołu będzie przyjęte z właściwą aprobatą:

Z gospodarzem wyszliśmy na dwór, zapaliliśmy skręconego z surowego tytoniu papierosa i dyskretnie zaglądając na drogę za stodołą, zauważyłem że żołnierze istotnie szli bez pośpiechu, a niosąc karabiny i automaty lufami w dół, wyglądali znacznie mniej groźnie od tych, których spotkałem przed kilku dniami, wracając z Pikieliszek od Niełowickiego. Kiedy grupa około 15 żołnierzy zbliżyła się do stodoły, usiłowaliśmy rozpoznać do jakiego też wojska należą. Kolor mundurów nie wskazywał, że to Niemcy. Wydawało się, że mogli to być Litwini ale dlaczego mieli broń opuszczoną? Jeśli Litwini to gospodarz gotów rozmawiać z nimi znany mu językiem. Krótkie nasze rozmyślanie zostało przerwane wkroczeniem oddziału na podwórze. Zagadkę rozwiązał młody oficer, który z lekkim uśmiechem próbował coś mówić do nas - niektóre słowa po niemiecku, więcej jednak językiem nieznanym. Zorientowałem się, że byli to Węgrzy. Oficer widząc, że nie może z nami dogadać się, przywołał żołnierza Słowaka, którego rozumieliśmy. Żołnierz niespodziewanie stał się tłumaczem oficera, który mówił, że żołnierze są Węgrami, chcą poznać okolicę i coś nabyć do zjedzenia. Stacjonujący od wczoraj wieczór w Pikieliszkach, dokąd przyszli na miejsce Niemców, którzy odjechali do Wilna. Oficer i żołnierze byli zadowoleni, że trafili w środowisko polskie i byli zaproszeni do ^ziby na przyjęcie. Przy sposobności nadmieniałem, że przyjęcie jest z okazji imienin gospodarza Jana.

Goście obserwowali naszą rozmowę, widzieli nasz uśmiech

i zadowolenie żołnierzy. Widząc, że wprowadzamy przybyłych do mieszkania wstali, a na wypowiedziane przez Słowaka "dobry wieczór", odpowiedzieli - dobry wieczór. Biesiadnikom wyjaśniłem, że mamy do czynienia z żołnierzami węgierskimi, którzy cieszą się z naszego środowiska. Przybyłych gości posadzono za stołem, na który przyszło nowe nakrycie, zakąski i wódka. Żołnierze rozmawiali między sobą językiem dla nas nieznanym.

Za stołem usiadłem obok oficera, za którym siedział węgierski Słowak. Z oficerem rozmawiałem trochę po niemiecku, trochę za pośrednictwem Słowaka. Po dobrej zakąsce i kilku kieliszkach mocnej wódki i krupniku, oficer bez ogródek powiedział, że wojna dla Niemców jest już przegrana, że oddział węgierski za parę dni na pewno w ślad za Niemcami odejdzie do Wilna, a może razem ze swoją jednostką wycofa się na zachód. Mówił, że słyszał od Niemców, jakoby w okolicy są polscy partyzanci i zgodnie z niemieckim rozkazem obowiązkiem oddziału węgierskiego ma być ich zniszczenie! - Mówiąc to spojrzał na biesiadników, na mnie - lekko się uśmiechnął. Po czym przeszedł na temat osobisty. Opowiadał, że babka miała krewnych w Polsce. Ojciec posiada gospodarstwo za Budapesztem, a on jest wykształconym rolnikiem.

Po przeszło godzinnej gościnie, żołnierze ze swoim sympatycznym oficerem podziękowali gospodarzowi za przyjęcie i pożegnali się z nami. Żegnając się ze mną oficer powiedział, że takiego spotkania z Polakami tam gdzie w czasie wojny był nie widział. Miły nastrój tego wieczoru pozostanie długo w jego i żołnierzy pamięci. Obiecał po wojnie napisać - zanotował adres gospodarza. W imieniu gości i gospodarza podziękowałem oficerowi i żołnierzom za przyjazne słowa i niezakłópcny nastrój imieninowy. Przy odejściu żołnierzy

węgierskich goście zaśpiewali "Sto lat". W chwilę potem żołnierze opuścili izbę i tą samą drogą poszli tam skąd przyszli.

Było już około północy, kiedy po omówieniu przyjemnego spotkania, poraz pierwszy w wojnie, z obcymi żołnierzami goście rozchodzili się do domów. Spotkanie okazało się tym przyjemniejsze, że z ust oficera dowiedzieliśmy się, jaka jest postawa niemiecka na interesujących /przede wszystkim mnie/ odcinkach oraz na co się zanoszą w ciągu najbliższych kilku dni.

Odchodząc do swego domu, dziękowałem za przyjęcie i żegnałem gościnnych gospodarzy: Jana i jego żonę - Paszkowskich, ich najbliższą rodzinę - brata Stanisława oraz wszystkich, życzliwych mi sąsiadów, od których w ciężkich dla mnie warunkach wojny doznałem wiele serdeczności. Żegnając nie przypuszczałem, że dla mnie, a może niestety i dla nich było to ostatnie przyjęcie, w atmosferze pełnej nadziei wolności nadchodzącego jutra.

Dalszy bieg wypadków i mego w nich zaangażowania oraz nie spełnienia pokładanych nadziei wolności naszego Kraju, oderwały mnie od przyjaznego środowiska bezpowrotnie.

16. Koncentracja oddziałów brygady - akcja "Burza"

Tydzień po imieninach Jana byłem u brata w Skierdżimie. W rejonie suzańskim załatwiałem sprawę zaopatrzenia w żywność oddziałów w przypadku koncentracji, która lada dzień miała być zapowiedziana.

W poniedziałek rano 3 lipca wracałem rowerem do domu w Chmiżutce, gdzie od kilku tygodni w porozumieniu ze mną prowadził gospodarstwo sąsiad ze wsi Zajezerce Franciszek Łozowski. Wszedł on na gospodarstwo niezadługo po przepędzeniu osadników litewskich.

Już w drodze do domu otrzymałem informację, że tegoż dnia nad ranem załoga niemiecko-litewska opuściła całkowicie okoliczne miasteczka, jak Niemenczyn, Podbrzezie, Rzesza i inne. Przy czym Podbrzezie i Rzesza przez cofających się Niemców zostały spalone - Rzeszę, niewielką wieś kościelną, siedzibę zarządu gminy, prześladował los. W czasie dwóch wielkich wojen była palona. W pierwszej wojnie podczas odwrotu podpalili kozacy - sponęło kilka przydrożnych budynków. W ostatniej wojnie podpalili Niemcy - spłonęły niemal wszystkie budynki, położone przy szosie. Tym razem sponął stary, drewniany kościółek pod wezwaniem św. Stanisława.

Po powrocie do domu znalazłem wezwanie bym niezwłocznie zameldował się na odprawę w maj. Korwie. Natychmiast przebrałem się w strój, który tylko z nazwy był polowy. Włożyłem spodnie samodziałowe wełniane - do butów, buty robocze z cholewami. bluzę -koszulę z odkładanym kołnierzem bez krawatu, koloru khaki, na głowę furazerkę bez orła. Zabrałem stary pistolet - ^{pr.}prabellum z dwoma magazynkami naboju i chyba z 50 naboju luzem wsypałem do obu kieszeni. Pistolet zawiesiłem pod bluzę z przodu, pod pasem w spodniach.

Byłem gotów do drogi. Jeszcze przed południem memu pomocnikowi w gospodarstwie Władkowi poleciłem zaprzęć konia i zawieść mnie do Korwia odległego około 12 km. Jechałem traktem przez Szalitaniszki - Pikieliszki. W słoneczny, upalny dzień w południe, dojeżdżając do wyznaczonego miejsca odprawy, niespodziewanie zostałem wyprzedzony przez wojskowy samochód ciężarowy, przepełniony żołnierzami niemieckimi. Ubrojeni w automaty, w ciężkich hełmach na głowach jechali tym bocznym traktem przez Korwie w kierunku Mejszagoły.- Za chwilę znalazłem się w obrębie dworskich zabudowań. Zatrzymałem się przed pierwszym domem i widzę jak w głębi rozległego podwórza kręcą się jacyś żołnierze, narazie trudni do rozpoznania. W tym momencie z domu wychodził robotnik, którego zapytałem:
- Jacy tam żołnierze chodzą?

- Niemcy - odpowiedział. Od niego też dowiedziałem się, że oddział partyzancki jeszcze w nocy opuścił Korwie i przeszedł za jezioro do oddalonego ze 3 km folwarku Sawkiszki.

Dziękując za informację nakazałem szybko zawrócić mój powóz na drogę do Sawkiszek.- Jadąc pomyślałem, jakie to udane miejsce odprawy w Korwie, moje dowództwo wyznaczyło !

W Sawkiszkach podjechałem pod dom siedzibę folwarku, gdzie zostałem zatrzymany przez pełniącego wartę partyzanta. Wysiadłem, furmankę zwolniłem, nakazując powrót do domu do właściwych zajęć gospodarskich. Na moje krótkie wyjaśnienie wartownik skierował do mieszkania - do komendanta oddziału. Koło budynków i w ogrodzie leżały grupki ludzi z bronią. Niektórzy byli na polnej drodze w obrębie gospodarstwa.

W mieszkaniu zastałem wielu ludzi, przeważnie w ubraniach cywilnych. Było już po obiedzie. Właściciel gospodarstwa z żoną

częstowali wszystkim tam obecnych miodem, świeżo wybranym z pasieki. Wśród zebranych rozpoznałem kilku znajomych mi z widzenia oficerów rezerwy. Przywitałem się. Komendant czasowo był zajęty jakimś oddziałem na dworze. Był to jeden z oficerów zawodowych w stopniu porucznika z 1-go lub 5-go pułku piechoty legionów pseudonim "Kaziuk" lecz powszechnie zwany Wiktorem por. W. Korycki.

Po nadejściu komendanta zameldowałem swoje przybycie. W krótkiej rozmowie dowiedziałem się, że na odprawę się spóźniłem, chociaż nie z mojej winy. Poinformował mnie, że rozkazem dowództwa Armii Krajowej Okręgu Wileńskiego, w ramach planowanej akcji "Burza", część ludzi z siatki konspiracyjnej naszego rejonu należącego do Inspektoratu A mjr dypl. "Pohoreckiego" została powołana na koncentrację nowoorganizowanej 2 brygady, której komendantem jest on "Kaziuk" vel "Wiktor". Brygada wchodziła w skład zgrupowania "Pohoreckiego" nr 1. Brygada nasza "Kaziuka" w dniach 8 -11 lipca została podporządkowana zgrupowaniu nr 2 majora "Węgielnego" i otrzymała nr 2. Od 12 -17 lipca brygada "Kaziuka" wróciła do zgrupowania 1-go i otrzymała nr 2. W skład brygady weszły oddziały, znajdujące się w terenie, które w miarę rozwoju akcji i uzbrojenia miały przekształcić się w kompanię.

Z siatki zostałem powołany z pseudonimem "Szczęsny", z przydziałem do organizowanego sztabu brygady, jako oficer rezerwy łączności na stanowisko odpowiednika szefa łączności. Zadania moje wynikały z rozkazu komendanta. Ogólnie rzecz biorąc, głównym zadaniem był dobór odpowiednich ludzi, celem zapewnienia łączności między brygadą, a znajdującymi się w terenie oddziałami.

Zadania brygada otrzymywała od dowództwa zgrupowania. W najbliższych kilkunastu godzinach, do głównych zadań brygady należało:

- a/ osiągnięcie odpowiedniego stopnia organizacji bojowej,
- b/ zlikwidowanie rozrzuconych w terenie placówek oporu okupanta,
- c/ dezorganizowanie i niszczenie będących w odwrocie oddziałów upł, które prawdopodobnie będą starały się przedzierać drogami z pominięciem Wilna,
- d/ zamknięcie dróg wylotowych z Wilna na odcinku Kalwaria - Bołtupie - Trynopol do Wilii na wysokości Wołokumpi /za Wilią/ na Antokolu i
- e/ uderzenia na broniące się oddziały niemieckie.

Włączony do Akcji AK, znalazłem się w trybach rozkazów wojskowych, a wyjście z siatki konspiracyjnej oderwało mnie również od codziennych kontaktów z gospodarstwem. Zarówno dla mnie, jak i wielu powołanych do akcji sąsiadów, wystąpienie zbrojne na tak powszechną skalę stało się od dawna oczekiwaną koniecznością rozliczenia najeźdźcy za lata ciężkiej okupacji. Dla pozostałych mieszkańców było to poważnym zastrzykiem wzmocnienia siły moralnej i wiary w odzyskanie utraconej niepodległości Kraju.

Po rozmowie z Komendantem do wieczora byłem zajęty przeglądem przybywających do brygady nowych ludzi. Poza niektórymi, znajomymi oficerami i szeregowymi przybywającymi ze wsi, wielu też dochodziło z Wilna i okolic, położonych z tej strony Wilii. Do wieczora przybył między innymi zastępca Komendanta major rezerwy Czesław Makowski pseudonim "Stary" - przed wojną prezes Wojewódzkiego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych w Wilnie. W czasie wojny zamieszkały w osadzie wojskowej Zapolce koło Mejszagoły. Przybył też inż. Czesław Słuchocki pseudonim "Topór" - przed wojną pracownik Towarzystwa Inniarskiego w Wilnie. Właściwie biorąc do brygady przybywali nowi ludzie co dzień, aż

do czasu koncentracji brygad koło Miednik Królewskich.

Przez cały następny dzień byłem zajęty przeglądem meldunków nadchodzących z rozmieszczonych w terenie oddziałów. Między innymi do wyróżniających się aktywnością oddziałów brygady, poza stacjonującym w Sawkiszkach, należały: w rejonie Podbrzezia, Podbrodzia, Bujwidz i Lubowa. Wspólnym zadaniem dla wszystkich oddziałów w pierwszym rzędzie było zlikwidowanie lokalnych ośrodków oporu wroga.

W rejonie Podbrzezia, podstawowy oddział w sile różnie uzbrojonych 15 - 20 ludzi, poza zlikwidowaniem obsady bunkrów w Podbrzeziu, miał zlikwidować stacjonującą policję litewską i ująć wójta gminy, odpowiedzialnego za osiedlenie osadników litewskich. Zadanie było ułatwione - bunkry opuszczone, policja uciekła jeszcze przed dzień akcji. Wójt, który od paru dni przebywał poza swoim mieszkaniem, prawdopodobnie uprzedzony przez zaufanego człowieka w ostatniej godzinie zdażył umknąć na Litwę.

W rejonie Podbrodzia, pomiędzy Sużanami i Podbrodziem organizował się i operował oddz. kawalerii w sile podstawowej 20 - 25 Jeźdźców uzbrojonych w karabiny i szable. Oddziałem dowodził oficer rezerwy /MN/. Ze względu na ruchliwość oddziału brakowało informacji.

W tym rejonie operował też drugi oddział kawalerii, w sile ponad 30 jeźdźców dobrze uzbrojonych. Oddziałem tym dowodził "Łupaszko", który wbrew rozkazom Komendy Okrędu AK nie podporządkował się naszej brygadzie, ani innej. Zanosił się na rozbrowienie "Łupaszki", który wyczuwając sytuację wymknął bez śladu. Jak się później okazało "Łupaszko" w tym czasie dowodził 5 brygadą, należącą do I-go zgrupowania. Brygada ta do maja 1944 r. na-

leżała do Inspektoratu "BC" mjr dypl "Węgielnego", który dowodził zgrupowaniem nr 2.

W rejonie Bujwidz, położonym za Wilią w odległości około 15 km na wschód od Niemenczyna operował oddział w sile podstawowej około 20 ludzi, różnie uzbrojonych, przeważnie w karabiny i granaty. Oddziałem dowodził oficer rezerwy /MN/. W oddziale między innymi był najmłodszy z moich braci Romek. Oddział nadzorował ruch upł na linii kolejowej Wilno - Podbrodzie, w rejonie lasów niemenczyńskich.

W rejonie Lubowa operował oddział w sile podstawowej około 8 - 10 ludzi, uzbrojonych w jeden erkaem, karabiny i granaty. Dowodził podoficer rezerwy /kierownik wiejskiego sklepu w Lubowie/. Zadaniem było nadzorowanie traktu Staromalackiego wzdłuż Wili, na odcinku Tartaki - Brataniszki.

Podstawowy stan naszej brygady w pierwszych dwóch dniach koncentracji, nie przekraczał wiele 100 ludzi. Co dzień, aż do końca naszej kampanii do brygady przybywały liczne partie. Niektórzy przychodzili z bronią. Między innymi przyszły też luźne grupy z Litwy. W czasie akcji stworzony został oddział zwiadowców na rowerach, którym dowodził "Teodor" /Wiceprezydent Wilna - Teodor Nagórski/. Stan brygady przy końcu kampanii wynosił ponad 1000 partyzantów.

Późnym wieczorem 4 lipca otrzymałem rozkaz Komendanta, by do godzin rannych następnego dnia zebrać meldunki o sytuacji w oddziale Lubowskim, Bujwidzkim, a także uzyskać informacje o oddz. kawalerii. Szczególnie zależało nam na oddziale Bujwidzkim, który miał się dozbroić w broń maszynową i był za Wilią w sytuacji wyjątkowej. Meldunki mogłem uzyskać w sposób utarty ze składnic

meldunkowych, dokąd były dostarczane przez łączników oddziałów. Ze względu na wagę meldunków i znajomość rozmieszczenia składnic w rejonach operacyjnych oddziałów brygady, zdecydowałem wykonać zadanie osobiście.

Z Sawkiszek wyszedłem już w nocy, pieszo polnymi drogami i ścieżkami, nasłuchując przeszedłem ^zosę Wilno - Podbrzezie koło Pikieliszek. W niczym niezakłóconej ciszy dowlokłem się do Chmiutki - było już po godzinie 2-ej. Zapukałem do okna - wyjrzał mój gospodarz Franciszek i otworzył drzwi. Prosiłem, by obudził mnie około 5-ej i w moim pokoju, na zakryte kocem łóżko położyłem się w ubraniu. Z rana zamierzałem najpierw dotrzeć do odległego o 3 km Lubowa.

17. Pod Niemenczynkiem

Znużony całodziennym przemarszem między Sużanami - Chmiziutką - Korwim - Sawkiszkami - Chmiziutką i zajęciem organizacyjnym w ciągu pierwszego dnia w komendzie mobilizowanej brygady, po ułożeniu się na łóżku zaraz zasnąłem. Nie przespałem trzech godzin, jak z twardego snu zostałem poderwany gwałtownym budzeniem przez mego gospodarza Franciszka, który stojąc nade mną pośpiesznie i w zdenerwowaniu mówił :

- Co mam robić ? Przyszli ludzie z jakiegoś oddziału zabierają nam ostatniego konia i wóz. Na trakcie wiodącym od Żelosy do Niemenczynka zatrzymała się jakaś kolumna partyzantów, by w okolicy wymienić zdrożone konie i zepsute wozy.

Słuchając tej krótkiej relacji, zapytałem :

- Gdzie są ci partyzanci ?

- U nas na podwórku - odpowiedział.

Przekonany, że mam do czynienia z którymś z naszych oddziałów, zerwałem się, chowając z przyzwyczajenia pistolet za pasem pod bluzą. Wybiegłem na podwórze i z odległości 80 metrów zobaczyłem, że koło stodoły przy wozie stoi kilku wojskowych z karabinami przewieszonymi przez ramię. Wśród nich, trzymając siwą szkapę stał Franciszek - rozmawiał. Szybko podchodziłem i z odległości kilkunastu kroków pytałem ...

- Z jakiego wy oddziału ? Gdzie wasz komendant ?

Jeden z nich bez wahania odpowiedział :

- Jedziemy z daleka. Komendant nasz znajduje się w Niemenczynku. To mówiąc wskazał palcem na miejsce postoju Komendanta.

W międzyczasie zbliżyłem się do stojącej grupy ludzi i ku memu przerażeniu na ich czapkach zobaczyłem szare niemieckie orły.

- Pomyślałem, przecież to chyba jakieś wojsko niemieckie ! Nie okazując przerażenia, jak najspokojniej ^{led} dawałem się w rozmowę. Mówiliśmy wciąż po polsku, ku memu wielkiemu zdziwieniu. Szybko wynioskowałem z rozmowy, że mam do czynienia z policją białoruską, która wraz z grupą Niemców, cofa się z północnych powiatów powiatów Wileńszczyzny. Żeby jednak nie pozostawić żadnej wątpliwości, co do właściwej przynależności znajdujących się na podwórzu żołnierzy, powiedziałem informująco do stojącego p bok Franciszka, że panowie ci jadą razem z Niemcami. W ten oględny sposób odwołem myśl Franciszka od mylnie przez niego przyjętej policji białoruskiej za naszych partyzantów. Jak później wynikało z rozmowy z Franciszkiem troska moja o jego uświadomienie była jak najbardziej właściwa, ponieważ przez cały czas myślałem, że ma do czynienia z partyzantami, przebranymi w niemieckie umundurowanie.

Żołnierze z którymi rozmawiałem, stanowili już drugą grupę, poszukujących do wymiany koni i wozów. Grupa poprzednia, zanim Franciszek mnie poinformował, zaprzęgała mego konia do wozu i pospiesznie odjechała. Przed stodołą, przy zastawionym przez nich wozie ze złamanym kołem, stała przywiązana stara, siwa szkapa, którą Franciszek potem trzymał, w obawie by ta druga grupa nie zabrała. Wyglądało na to, że oni zamierzali zabrać tę szkapę z pozostawionym przez poprzedników wozem, ponieważ mają słabego konia i wóz z rozbitym przodem.

Z moimi trzema rozmówcami zacząłem się targować. Zaprosiłem do mieszkania na zakąskę. Franciszka poprosiłem, by znalazł litr samogonu, a jego żonie by usmażyła jajecznicę na boczku. Dowiedziałem się, że policjanci pochodzą ze wsi powiatu brasławskiego

i nie okazują żadnego entuzjazmu do odwrotu na tereny niemieckie. Korzystając z mego odkrycia oznajmiłem, że do towarzystwa zaproszę mego sąsiada, który w brasławskim ma bliską rodzinę. Jest nim mój dobry przyjaciel Marian Pieciukiewicz, zamieszkały w czasie wojny z żoną Aldoną i dziewczynkami w Niemenczynku u teścia - Bolesława Łabanowskiego, mego dobrego sąsiada i przyjaciela. Policjanci na moją propozycję chętnie wstąpili do mieszkania na zakąskę, bowiem jak mówili, byli bardzo głodni, a w czasie szybkiego odwrotu nie popasywali.

Żona Franciszka zakrzętnęła się koło przyrządzenia zakąski. Franciszek wyszedł ze mną na dwór. Kazałem mu zaprząć szkapę do wozu, odprowadzić do sadu w zarośla i dać siana. Potem jak policjanci będą zajęci śniadaniem i rozmową, by konia z wozem odprowadził do pobliskiego lasu - "dziegutni".

Ja tymczasem udałem się do Niemenczynka po Mariana. Szedłem na przełaj ścieżką przez pole nauczycielki Pomietlakowej. Dochodząc do Niemenczynka, ze wzgórza zobaczyłem jak na dłoni długą kolumnę wozów, ciągnącą się do Szałtaniszek. Przy wejściu w podwórze Niemenczynka okazało się, że koniec kolumny ginie gdzieś na trakcie wiodącym przez las od Żełosy. Długość kolumny liczyłem na przeszło dwa km. Zorientowałem się, że w Niemenczynku urządziło postój dowództwo niemieckie, w składzie około 50 żołnierzy, uzbrojonych poza karabinami i automaami w kilka erkaemów.

Mariana i całą jego rodzinę zastałem w domu, zajętych z powodu postoju Niemców i policjantów. Nakłoniłem go, by zechciał popatrywać się do mnie na jakieś pół godziny, celem dotrzymania towarzystwa w rozmowie z krajanami, którzy zamierzają ogołocić

mnie z konia i wozu.

Idąc z Marianem w drodze powrotnej do Chmiziutki, dowiedziałem się od sąsiadów, kręcących się koło Nimenczynka w poszukiwaniu zabranych koni, że kolumna taboru przyszła od Niemenczyna traktem przez Orzełówki - Żełosa. Na postoju zatrzymała się o wschodzie słońca. Z miejsca, z niemieckiego rozkazu, policja zapełniająca wozy taboru rozbiegła się do przydrożnych gospodarstw w poszukiwaniu do wymiany koni i wozów. Część gospodarzy przeważnie tych którzy wcześniej wstają, zorientowała się na co zanowi się, schowała konie i wozy w lesie i zaroślach. Dużo jednak było poszkodowanych. Okazało się, że wśród policjantów byli tacy, którzy pod pretekstem zarekwirowania konia liczyli na wódkę. W takich przypadkach policjanci z gospodarzem łatwo dochodzili do porozumienia. Czasem też za samogon podawali konia lepszego za gorszego, a następnie z kolei przychodzili do wymiany z gorszym.

Z Marianem przyszliśmy w czasie kiedy policyjni goście zaczęli przekąskę po pierwszej szklaneczce samogonu. Po zaprezentowaniu Marianowi gości usiedliśmy ze stołem. Przy tym Franciszek przyniósł jeszcze pół litra samogonu i po wypiciu nie więcej niż czwartej części szklanki wyszedł na dwór i tak jak z nim ustaliłem pojechał wozem z nadłamanym kołem do lasu, skąd wrócił wieczorem.

Nie pamiętam jaki sens miała rozmowa Mariana z policjantami, którzy szybko okazali się pijanymi. Niechętnie mówili o miejscowościach skąd pochodzili, ani też o swoich ^{stojankach} stanowiskach rodzinnych. Natomiast bardzo martwili się z powodu jazdy w nieznanym, bez wyraźnego dla nich celu. Czuli, że Niemcy, którzy

Wciągnęli ich na służbę, przegrywając wojnę umykają czym prędzej do swego kraju. Ich policjantów białoruskich narazie ciągnęli ze sobą, by w tłoku łatwiej ująć przed partyzantami, którzy już gdzieś dnia poprzedniego napadali na kolumnę w marszu. Co będzie z nimi - policjantami, jeśli szczęśliwie cała kolumna przedostanie się na teren niemiecki? A może tam nie dojadą? Przecież od bliskich Niemców dowiedzieli się, że przed nimi są bardzo niebezpieczne oddziały polskiej partyzantki, której ożywiona działalność z dnia na dzień nasila się w całym Kraju. Żeby znaleźć się na ziemi niemieckiej trzeba przejść przez całą Polskę, gdzie w każdej godzinie przemarszu czeka zorganizowany napad. Właśnie po tamtej stronie są rodacy, dla niejednego z nich krewni.

Przez cały czas siedzenia za stołem gnębi ich na głos wypowiedziane pytanie - co robić? Rzucić broń i uciekać za front, czy z bronią przejść na stronę partyzantów, ale gdzie oni są?

Tak myślała większość policjantów, których Niemcy zmusili do ewakuacji.

Według informacji goszczonych policjantów kolumna taboru w której oni się znajdowali liczyła ponad 150 furmanek, zarekwirowanych w pow. brasławskim. Na wozach poza Niemcami jechało około 200 policjantów. Wozy poza ludźmi, bronią i paszą dla koni były obciążone żywnością. Niemcy wieźli konserwy, papierosy, koniak i wódkę: Policjanci - słońcę, groch, kaszę, mąkę. Ponadto do kolumny należał oddział ponad 50 konnych policjantów.

W obawie przed partyzantami, którzy jak mówili Niemcy, skoncentrowali się dookoła Wilna, kolumna celowo omijała miasto. Posuwała się szlakiem przez Podbrodzie - Niemenczyn - Orzełówki - Żełosa.

W tej sytuacji szybko zorientowałem się i pomyślałem, że jest ze wszechmiar pożądanym, by cały ten zespół niezdecydowanych i owładniętych strachem ludzi rozbroić. Przyjąłem założenie, że jeśli nawet nieliczna grupa partyzantów z ukrycia z nienacka zaatakuje kolumnę niemiecką znajdującą się w Niemenczynku - prawie w jej środku, to Niemcy, a szczególnie policjanci zostaną zdemoralizowani - co pociągnie za sobą rozprężenie oddziału. Ponadto byłem pewien, że jeśli nawet łącznik z Szałtaniszek, dokąd doszło czoło kolumny, nie dostarczy odpowiedniego meldunku do komendy naszej brygady w Sawkiszkach, to odłos strzałów przy cichej słonecznej pogodzie, będzie dostatecznym powodem, by komendant wysłał w naszym kierunku patrole zwiadowcze. Wówczas, należało przypuszczać, że może być zorganizowana zasadzka na szlaku marszu kolumny.

Miałem plan działania. Będąc przy stole na prędcie przekąsiłem jajecznicę smażoną na wędzonym boczku, ostentacyjnie napiłem haustem samogonu i bez pożegnania Mariana, zajętego rozmową z policjantami, wymknąłem się na podwórze. Szybkim krokiem koło spichrza wyszedłem na polną drogę, wiodącą przez pole Chmiziutki. Stamtąd na drogę koło sąsiada Klimaszewskiego i dalej Filipowiczowej, skierowałem się do lasu lubowskiego.

Idąc polną drogą widziałem jak konny oddział policjantów popasał w obrębie zabudowań Wojciechowskiego. W oddali na drogach między wysokim żytem, dojrzałym przed żniwami oraz koło zabudowań gospodarczych kręciły się grupki policjantów z karabinami. Niektórzy mieli za pasem granaty.

Po wyjściu z lasu zmierzałem do maj. Lubowa, gdzie był nasz oddział, liczący około 10 ludzi, uzbrojonych w jeden erkaem,

karabiny i granaty. Oddziałem dowodził bojowy podoficer rezerwy. Szedłem z zamiarem poderwania oddziału do napadu na niemieckie dowództwo, stacjonujące w Niemenczynku. Między lasem, a majątkiem, na przestrzeni około 1,5 km był wieloletni ugór, porośnięty krzakami olchy. Tuż przed majątkiem od drogi dojazdowej ciągnęła się klonowa i brzozowa aleja.

Idąc przez pole ugorowe rozmyślałem co też ten oddział robi? Czy ma rozeznanie sytuacji co się dzieje na najbliższym mu odcinku drogi między Żełosną, a Niemenczynkiem. Według naszych założeń w dniu dzisiejszym oddział powinien być w pogotowiu do podjęcia akcji bojowej. Tak rozmyślając doszedłem do majątku na odległość około pół km. Wpatrując się w aleje, ku mojej radości, zauważyłem nasz oddział uzbrojony i posuwający się wzdłuż alei na bok linii mego marszu. Przyspieszyłem kroku, a kiedy byłem blisko, dowódca idący na czele rozpoznał mnie. Na zapytanie dokąd zamierza iść, powiedział, że wie o postoju taboru niemieckiego i zamierza zaatakować koniec kolumny, gdzieś od lasu koło Żełosy.

Przedstawiłem szczegóły sytuacji w terenie i zaproponowałem uderzenie na sztab niemiecki w Niemenczynku, po dojściu w ukryciu lasem w rejon zabudowań Ławińskiego, skąd najbliższej dokonać ataku. Nadmieniałem, że dojście na stanowisko, z którego będzie można zaatakować Niemców znam, ponieważ niedawno kilka razy zimą w tym rejonie jeździłem po drzewo. Dowódca zgodził się, jeśli poprowadzę oddział. Tak też zrobiłem: Wyznaczyłem dwóch partyzantów, z którymi uzbrojony w pistolet poszedłem w straży przedniej. Reszta oddziału z ich dowódcą szybkim marszem posuwała się w ślad za nami. Spieszyliśmy, żeby zdążyć przed wymarszem kolumny. W lesie minęliśmy małe zabagnione jeziorko, położone w pobliżu łąki

Ławieńskiego. Łażnia znajdowała się tuż na skraju zarośli łączących się z lasem. Na wprost łożni w pewnej odległości stała stodoła, do której wydłużonym pasem od lasu dochodziły zarośla.

Przed dojściem na skraj lasu w zaroślach zatrzymałem się z moimi partyzantami. Zaraz nadeszła reszta oddziału. Rzut oka na przedpole za zaroślami wyjaśnił, że koło domu kręci się kilku policjantów. Również koło stodoły wylegiwały się grupki ludzi z bronią.

Po dojściu oddziału pokrótce omówiłem szczegóły naszej akcji, która przedstawiała się następująco.- Dowódca otworzy z erkaem ogień górą nad zabudowaniami Niemenczynka po alei lipowej, by nie razić zaprzyjaźnionej mi rodziny Łabanowskich i innych miejscowych ludzi. Następnie skieruje ogień na gniazda karabinów maszynowych npl, jeśli otworzą ogień i będą zestawione zdala od budynków. Byłem pewien, że Niemcy skorzystają z posiadanych Karabinów maszynowych. Ogień karabinowy rozkazałem skierować na policjantów będących przed domem i przy stodole. Jednocześnie dwóch partyzantów w ukryciu krzaków zbliży się do stodoły i obrzuci granatami. W przypadku silnego kontrataku, co moim zdaniem było mało prawdopodobne, oddział wycofa się w głąb lasu za jezioro. W przypadku rozbicia kolumny, oddział w miarę możliwości podejmie rozbrojenie żołnierzy i policjantów lub będzie śledził dalszy ruch npl, nie dopuszczając do rozłączenia się po okolicy.

Po omówieniu zadania bojowego partyzanci zajęli wyznaczone stanowiska i na zapowiedziany przeze mnie strzał z pistoletu otworzyli gwałtowny ogień, obrzucając wskazany obiekt granatami.

W ciągu minuty nad stodołą buchnął dym i ogień. Policjanci bez strzałów zaczęli czołgając się wymykać z pola rażenia. Na odgłos naszego erkaemu po paru minutach Niemcy otworzyli ogień z czterech erkaemów, ustawionych za drzewami na skraju sadu. Strzelali ogniem ciągłym na oślep w kierunku lasu. Pociski z brzękiem przelatywały nad nami. Z chwilą, jak nasz erkaem wymacał ich stanowiska, dwa erkaemy niemieckie umilkły. Po półgodzinnej strzelaninie Niemcy przerwali ogień i w pośpiechu załadowali się na furmanki i zdezorganizowana kolumna ruszyła w zamierzonym kierunku.

Policjanci, którzy byli przy wozach, przerażeni nagłym atakiem partyzantów, nie czekając na niemiecki rozkaz, zaczęli oddalać się w kierunku Szałtaniszek. Ci zaś, którzy znajdowali się wśród okolicznych gospodarstw, w ciągu strzelaniny bali się ruszyć do kolumny. Przypuszczali, że lada chwila może być zaatakowana przez partyzantów, których liczba w wyobraźni przejętych ludzkim lękiem, była co najmniej dziesięciokrotnie większa od rzeczywistej.

Do odjeżdżającej kolumny nie wszyscy policjanci dołączyli. Cały oddział konnej policji, popasający w zaścianku Wojciechowskiego pozostał, szukając kontaktu z partyzantami. Pozostały również luźne grupy policjantów, biwakujące w okolicznych zaściankach.

Z odejściem kolumny taboru, oddział nasz-posiadając już niewielką ilość amunicji, powrócił do swego miejsca postoju, oczekując dalszego rozkazu. Ja tymczasem poszedłem przez las z zamiarem wyminięcia Niemenczynka i powrotu do Chmiziutki. Przed wyjściem z lasu posłyszałem jakąś rozmowę po białorusku. W ukryciu zbliżyłem się na skraj lasu i zauważyłem jak drogą między łąnem żyta a lasem szło dwóch ludzi, których za zakrętem drogi zasłaniało

wysokie żyto tak, że tylko lufy karabinów były widoczne. Wyciągnąłem z pasa rewolwer, sprawdziłem naboje w magazynku i bez szmeru wszedłem w żyto. Okazało się, że szli policjanci, trzymając karabiny na pasie. Gdy mnie minęli zaraz wyskoczyłem z żyta z pistoletem w rękę i wezwałem :

- Stać! Ręce do góry! Opuścić broń na ziemię! Naprzód marsz! Padnij! Pasy zdejm!

Rozkaz mój, ku memu zdziwieniu w pełnym zrozumieniu wykonali jednocześnie. Zabrałem karabiny i pasy z ładownicami i bagnetami. Jeszcze leżącym kazałem rozpiąć mundury, wywrócić kieszenie w mundurach i spodniach, by przekonać się czy też nie ukrywają broni krótkiej lub granatów. Po upewnieniu się, że są bezbroni kazałem leżeć kwadrans na drodze, a potem iść gdzie im się podoba. Sam tymczasem obciążony bronią wróciłem do lasu, by tam przechować karabiny i amunicję. Tym razem z lasu wyszedłem na prost Niemczynka. Po drodze wstąpiłem do Mariana dowiedzieć się o losie policjantów częstowanych w Chmiziutce. Okazało się, że Marian tuż po moim odejściu, pozostawił pijanycę. Zaś żona Franciszka powiedziała mi potem, że jak się zaczęła strzelanina w pośpiechu poszła przez pola do taboru.

Dokładnych informacji o zachowaniu się Niemców udzielił Łabanowski. Mówił, że jak wybuchły granaty i zapaliła się stodoła Ławińskiego, a pociski karabinów maszynowych ścinały gałęzie gęsto rozrośniętych parkowych lip, wszyscy trzej oficerowie niemieccy popadali na ziemię i kazali padać gospodarzom. Jednocześnie rozkazali natychmiast wyciągnąć ciężkie karabiny maszynowe, ustawić na skraju sadu i otworzyć ogień w kierunku z którego atakują partyzanci. Widząc popłoch wśród policjantów - niektórzy

byli z rodzinami - zaraz nakazali ładowanie skrzynek amunicji i granatów na pierwsze, lepsze wozy. Skrzynie były częściowo zdjęte z wozów, uszkodzonych pod ciężarem. Rozkaz dalszego odwrotu nastąpił tak szybko, że oficerowie nie zastanawiali się nad stanem ludzi, którymi dowodzili. Nie przejmowali się tym, że wielu z nich przebywało z dala od taboru i tam pozostało w czasie wymarszu.

Przechodząc przez podwórze mego domu koło sadu zobaczyłem zbliżającego się policjanta z karabinem. Jednego z tych, którzy oderwali się od taboru. W krótkiej rozmowie zorientowałem się, że chętnie pozostanie u któregoś z gospodarzy, aż przejdzie front działań wojennych, by potem wrócić w swoje strony. Zaproponowałem mu pomoc w tej sprawie. Kierowałem go do mego kuzyna Bolesława Bogdanowicza w Lewonach koło Sużan, do pomocy w gospodarstwie. Gdy wyraził zgodę, dałem mu pisemne skierowanie, adresowane do kuzyna. Był to Piotr - nazwiska nie pamiętam. Kazałem mu oddać karabin i kilka sztuk amunicji, jaką posiadał. Piotr NN wziął moje skierowanie z wypisaną marszrutą w rejon Sużan, podziękował za opiekę i niezwłocznie jako cywil poszedł w drogę. Tym razem nie obawiając się partyzantów. Jak się wkrótce okazało doszedł szczęśliwie do miejsca przeznaczenia i pozostał tam czas dłuższy - aż do końca wojny.

Zaraz po odejściu Piotra przyszedł do mnie łącznik od sąsiada Zdrojewskiego z kartką informującą o chęci przejścia na stronę partyzantów oddziałów konnych policjantów, stacjonujących od rana w pobliżu lasu. Ponieważ dowódca tego oddziału był u Zdrojewskiego, postanowiłem nawiązać osobistą łączność. W niespełna 10 minut byłem już w mieszkaniu Zdrojewskiego, gdzie zastałem nieznanego

mi człowieka w mundurze policjanta z odznakami oficera. Zdrojewski z tym oficerem siedzieli przy stole z zakąską i wódką. Na moje wejście powstali, a Zdrojewski przedstawił mi swego gościa, jako dawnego znajomego. Nadmienił przytem, że jest on polskim oficerem rezerwy 23 pułku ułanów, przed wojną stacjonującego w Postawach. Brał udział w kampanii wrześniowej. W żywej rozmowie, którą zainicjował sam Zdrojewski, pełniąc rolę pośrednika, oficer ów oświadczył, że pragnie nawiązać kontakt ze sztabem naszej brygady. Wraz ze swoimi ludźmi i bronią zamierza przejść na naszą stronę. W tym celu oddalił się od kolumny, pod pretekstem paszenia koni. Stan oddziału liczył około 50 ludzi uzbrojonych w 2 erkaemy, 5 automatów, 45 karabinów kawaleryjskich, kilka pistoletów - parabellum, kilka skrzynek amunicji i granatów. Ludzie w oddziale są pewni, prawie wszyscy są rolnikami, pochodzą z powiatu brasławskiego. Wśród nich jest kilku podoficerów rezerwy polskiej armii - brali udział w wojnie 1939 r. Zarówno oficer, jak i reszta żołnierzy oddziału przeszła na służbę pomocniczą policji białoruskiej, żeby uchronić się od wyjazdu na przymusowe roboty do Niemiec.

W czasie odwrotu administracji niemieckiej, policji i różnego draństwa, wśród miejscowych policjantów istniejąca konspiracja zaczęła szerzyć propagandę, by razem z Niemcami cofać się w kierunku Wilna, ewentualnie na dalsze tereny polskie, gdzie można będzie połączyć się z oddziałami Armii Krajowej. Pod pretekstem ewakuacji, rzekomo przed pochodem Czerwonej Armii, szeregi miejscowej służby policyjnej zaczęły gwałtownie wzrastać. A ponieważ komendantami policji w miasteczkach i gminach byli przeważnie ludzie miejscowi, włączenie do ewakuującej się grupy policyjnej

nie sprawiało większego kłopotu. Można to było uzyskać czasem za butelką samogonu. Gorzej było z bronią i umundurowaniem służbowym. To też wykorzystane były przy tej okazji wszystkie posiadane zapasy starej broni, pochodzącej często z rekwizycji po wojnie 1939 r. W gorączce ewakuacji były przypadki, kiedy w ukryciu przed Niemcami, niektórzy kandydaci na policjantów, za wiedzą miejscowego komendanta przychodzili z dyskretnie ukrytą, swoją bronią, którą następnie ewidencjonowano, jako przynależną do magazynu policyjnego. Wśród masy ewakuujących się policjantów można było widzieć znaczną część ludzi w cywilnym ubraniu z karabinami i po kilka naboń w komorze.

Nie wszyscy jednak ewakuowali się z zamiarem przejścia w szeregi AK. Byli i tacy, którzy usilnie współpracowali z Niemcami, a służąc im narażali miejscowych obywateli na śmierć i więzienie. Oni ewakuowali się z Niemcami w obawie przed wyrokiem sprawiedliwości, który ich oczekiwał z chwilą odejścia opiekunów. Były to jednak nieliczne wypadki. Niektórzy z nich rzucali służbę i chronili się na własną rękę.

Z wielką uwagą wysłuchiwałem informacji od dowódcy konnego oddziału pomocniczej służby policyjnej. Sam jednak nie chciałem zadecydować o włączeniu tego oddziału do naszej brygady. Obiecałem sprawę załatwić w porozumieniu z moim komendantem. Osobiście uważałem, że oddział kawalerzystów oderwany od prowadzonej przez Niemców kolumny należy włączyć do brygady, dając mu odpowiednie zadanie. Zanim jednak miało to nastąpić - przypuszczalnie w ciągu jednej doby, rozkazałem kawalerzyście, by jego ludzie natychmiast zdjęli oznaki niemieckie. Czapki niemieckie przerobili na polowe furazerki. Starali się zdobyć oryginalne lub wyciąć z tektury białe orły.

Na lewych rękawach nałożyć opaski biało-amarantowe. Miejsce postoju oddziału wyznaczyłem czasowo w lesie, w rejonie Niemenczynka. Łączność z brygadą zaleciłem utrzymać za pośrednictwem Zdrojewskiego. W razie napadu ze strony Niemców, bądź Litwinów, bronić się.

Kończąc krótką rozmowę pożegnałem Zdrojewskiego i jego gościa. Spieszyłem do oczekujących mnie dalszych obowiązków.

Zaraz po moim odejściu kawalerzysta upewnił się u Zdrojewskiego, czy aby naprawdę sprawa przyjęcia jego oddziału do tutejszej brygady będzie załatwiona korzystnie. Zdrojewski potwierdził moje propozycje i ze swej strony przynaglił wykonanie polecenia.

Kwalerzysta po powrocie do swego oddziału zarządził zbiórkę i stwierdził nieobecność 4 ludzi, którzy prawdopodobnie na własną rękę starali się znaleźć kontakt z miejscowymi oddziałami partyzantów. Cały swój oddział przeprowadził do lasu Gasperowicza na pograniczu z lubowskim, nie dalej niż kilometr od poprzedniego miejsca postoju. Kilku ludzi wysłał do okolicznych gospodarstw w poszukiwaniu białego i czerwonego płótna na opaski oraz blachy z puszek po konserwach do wykonania orłów na czapki. Ze znalezieniem białego płótna i blachy kłopotu nie było. Gorzej natomiast z płótnem czerwonym. Z pomocą w załatwieniu tej sprawy przyszły dziewczyny wiejskie, które zamiast płótna ofirowały posiadane przez nie czerwone wstążki, używane czasem do wplatania w warkocze.

Do wieczora odpowiedni materiał był znaleziony, a w ciągu paru godzin cały pluton konnych policjantów białoruskich przyjął wygląd powstańców narodowych, w oczekiwaniu na rozkazy brygady.

18. Akcja w Korwie

Po rozmowie z kawalerzystą, gościem Zdrojewskiego, powziąłem decyzję niezwłocznego powrotu do brygady. Interesowała mnie sprawa losu kolumny taboru, który w postoju koło Niemenczynka został naszym atakiem zdeorganizowany, rozbity i poszedł w dalszą drogę.

Wracając od Zdrojewskiego po drodze wstąpiłem do Chmiziutki, by dowiedzieć się czy przypadkiem coś się nie zdarzyło. Po odejściu Piotra nikt więcej się nie pokazał. Franciszek zaopiekował się wychudzonym, starym, siwym koniem, którego w drodze wymiany na naszego tęgiego i młodego otrzymał od uciekających policjantów. Zaopiekował się sprawami gospodarstwa, ponieważ jak nadmieniał moja wizyta w domu prawdopodobnie jest już ostatnia, aż do końca kampanii, czyli w terminie nieustalonym. Powiedziałem, że za chwilę odejdę i nie wiem kiedy wrócę - idę do oddziału.

Odchodząc z domu wziąłem długi płócienny worek i poszedłem do lasu lubowskiego, by zabrać schowane tam karabiny, pasy z ładownicami i bagnetami, po rozbrojonych policjantach. Po zabraniu do worka broni wróciłem do Chmiziutki, by zabrać również schowany w sadzie karabin i pas z bagnetem po rozbrojeniu Piotra. Tym razem w domu nie pokazałem się, by nie denerwować rodziny Franciszka i niepostrzeżenie z worem załadowanym bronią około spichrza i stodoły poszedłem do wsi Zajezerce. Tam przy pierwszej stodole, należącej do mego kuzyna Stanisława Ł., wór z bronią ułożyłem w stosie gałęzi niedawno przywiezionych z lasu. Nie mówiąc o tym kuzynowi poprosiłem, by za pół godziny zawiózł mnie pod Korwie, gdzie mam pilny interes wojskowy, Mego konia z wozem z rana zabrali policjanci. Kuzyn próbował odmówić z powodu, że się źle czuje, że wobec tego może pożyczyć konia memu gospodarzowi!

Franciszkowi, który zawiezie mnie tam gdzie trzeba. Przekonałem go jednak, że w tej sprawie nie może ze mną jechać Franciszek, a jeśli kuzyn swojej pomocy odmówi, to niech się liczy z tym, że nie będą go bronić przed rekwizycją jaką zapewne będą prowadzili nasi partyzanci, których jest dziś bardzo dużo. Ten argument trafił mu do przekonania, ponieważ przed kilku godzinami - jak powiedział - był świadkiem ucieczki policjantów ze wsi, którzy przyszli w poszukiwaniu koni i wozów. Uciekli na odgłos gwałtownej strzelaniny w lesie za Niemenczynkiem. W pośpiechu jeden z nich zostawił czapkę, inny znowuż plecak załadowany słoniną, którą przynieśli z zamiarem usmażenia jajecznicy.

Kuzyn zgodził się podwieść mnie tak jak o to prosiłem, w rejon Korwie. On poszedł szykować się ^{do} długi, a ja tymczasem w koniec wsi, a stamtąd na brzeg jeziora z przylegającym gęstym olszniakiem, do tego od lat dziecińczych ulubionego miejsca kąpieli. Był to brzeg jeziora, położony na przeciw traktu biegnącego na wzniesieniu tuż obok jeziora. Wśród na ogół zabagnionych i niedostępnych brzegów małego jeziora obrane przeze mnie miejsce na odcinku mniejszym niż 50 metrów, było dostępne, bez wodnych zarośli.

W upalny lipcowy dzień po południu z wielką przyjemnością patrzyłem na połyskującą srebrzystą taflę jeziora. Pośpiesznie rozebrałem się i wszedłem do wody. Odczułem chłód, który z chwilą zanurzenia się szybko minął. Popłynąłem przez jezioro zdaleka od brzegu. Szybko wróciłem, ubrałem się i prawie biegiem przyszedłem do kuzyna, który w tym czasie kończył szykowanie siedzenia, zakrywając część małego wózka wzorzystym samodzielnym dywanikiem. Kiedy to robił pobiegłem do chrustu, gdzie miałem ukryty wór z bronią i zanim on się obejrzał przyniosłem broń do wozu.

Na twarzy kuzyna uwidoczniło się wielkie przerażenie.

- Co jest w worku? - zapytał.

- Broń, którą muszę zawieść - powiedziałem. Mówiłem, że nie ma czasu nad tym zastanawiać się i cały worek wpakowałem pod siedzenie. Wskoczyłem na wóz i wziąłem lejce. Natychmiast wszedł na wóz kuzyn, a kiedy siadał obok mnie wręczyłem mu lejce i wskazałem kierunek jazdy. Ze wsi wyjechaliśmy polną drogą do Wierzbiszek. Jadąc przez podwórze tego zaścianku, spotkaliśmy Jana Paszkowskiego, któremu zwierzyłem się, że odjeżdżam do oddziału partyzanckiego. Czule pożegnałem sympatycznego sąsiada. Ob z kolei życzył mi szczęśliwej podróży i rychłego powrotu do domu.

Dalej jechaliśmy drogą koło jeziora Pikieliskiego, wiodącą następnie przez szosę Podbrzezcie - Wilno. W tym czasie, jak wyjątkowo kiedy, na szosie nie było żadnego ruchu. Za szosą zaraz wyjechaliśmy w jedną z polnych dróg z wyrachowaniem, by ominąć większe wsie, jak Pikieliszki i Dowczany. Gdzieś za Dowczanami, w rejonie Sawkiszek, na odludziu w małym olszniaku poprosiłem kuzyna, by się zatrzymał. Podziękowałem, serdecznie go uściskałem. Był zdziwiony, a jednocześnie zadowolony, że nie potrzebował jechać dalej z moim denerwującym go bagażem. Wsiadłem z wozu, zabrałem worek, niezbyt lekki i ani się obejrzałem, jak kuzyn nie oglądając się pomknął do domu. W tym czasie słychać było serie karabinów maszynowych i strzały pojedyncze, dochodzące gdzieś z kierunku Korwia. Zaniepokoiłem się.

Bagaż mój okazał się dość ciężki. To też nie wiele namyślając się postanowiłem go czasowo gdzieś przechować. Ale gdzie? Rozejrzałem się w zarośla i ku zadowoleniu w odległości 40 - 50 kroków zauważyłem świeżo wycięty i ułożony w jedno miejsce wóz

olchy. Poszedłem tam, obejrzałem z bliska i zjechałem kilka olch ze zwiędłymi liśćmi. W przygotowane miejsce przyniosłem i ułożyłem broń, zakrywając liściastymi wierzchołkami olch.

Przez cały czas mego marszu słychać było odgłosy jakiejś walki. Do Sawkiszek było jeszcze około 2 kilometrów. Idąc bez obciążenia szybko znalazłem się w obrębie zabudowań tego zaścianku. Było przed zachodem słońca to też zdziwiłem się ciszą jaka tam panowała. Z za budynku wyszedł z karabinem na pasie jakiś partyzant. Poznał mnie. Na moje zapytanie, gdzie jest oddział? Powiedział, że wszyscy przed paru godzinami wyszli do Korwia gdzie jakoby miał być obóz policji białoruskiej. Strzały, które niedawno ucichły, to pochodziły właśnie od Korwia. W Sawkiskach pozostał tylko on sam, by oczekiwać na przychodzących łączników. Po dokonanym wypadzie na obóz policjantów oddział z Komendantem "Wiktorem" miał powrócić do Sawkiszek.

W czasie naszej rozmowy wrócił jeden z partyzantów z meldunkiem od oddziału z Podbrzezia. Wykorzystałem go do przywiezienia pozostawionej w olszaniaku broni. Uczynny gospodarz pożyczył nam konia z zaprzęgiem. Powoził przybyły partyzant, z którym pojechałem do znanego miejsca w olszaniaku, zabrałem broń i w ciągu niewiele ponad pół godziny wróciliśmy na miejsce postoju.

Zaraz potem zaczęli przychodzić grupami ludzie z wyprawy. Wśród pierwszych grup zjawił się komendant "Kaziuk". Przywitaliśmy się, lecz rozmowę odłożyliśmy na potem, jak wróci reszta oddziału z jeńcami, zdobytą bronią i prowiantem.

Na końcu maszerującej grupy partyzantów, wchodzących na podwórze, ukazała się spora kolumna jeńców, otoczona partyzantami trzymającymi w pogotowiu karabiny z nasadzonymi bagnetami.

W grupie jeńców, liczącej chyba ze 100 osób w większości byli Niemcy, resztę stanowili policjanci białoruscy. Za jeńcami jechało kilka furmanek obciążonych bronią - w tym 4-5 ciężkich karabinów maszynowych - i prowiantem: konserwy, spora ilość sucharów, papierosy i różne wódki.

Kiedy wszystko zostało uporządkowane, jeńców zamknięto w jakimś budynku gospodarczym i trzymano pod strażą; broń i prowiant przydzielono odpowiednim komórkom sztabu brygady, "Kaziuk" zarządził odprawę, na której omówiona była cała akcja i podział łupów.

Po odprawie w krótkiej rozmowie z "Wiktorem" złożyłem sprawozdanie z akcji pod Niemenczynkiem i z propozycji przejścia na naszą stronę oddziału konnych policjantów białoruskich, którzy na moje polecenie oczekują w lesie na zadanie w ramach naszej brygady. "Kaziuk" podziękował za przeprowadzenie akcji. O rezultatach tej akcji był też informowany przez jednego łącznika z Szałtaniszek. Przez cały czas jeden oddział brygady, stacjonujący w Sawkiszkach był w pogotowiu. Wystawione czujki i wysłane patrole miały obserwować ruch kolumny taboru idącej traktem w kierunku Korwie.

Jak informowali potem jeńcy, kolumna posuwała się wolno i bardzo ostrożnie. Przed wsiami zatrzymywała się i wysyłała patrole zwiadowcze. Na wozach ustawione były w gotowości bojowej ciężkie karabiny maszynowe z obsługą niemiecką.

O przebiegu akcji pod Korwieniem wyraźnego obrazu nie mam. Przeżycia osobiste tego dnia dominowały nad informacją o s o ostatecznym zlikwidowaniu kolumny niemiecko-białoruskiej. Z końcowej relacji "Strasburgera" /Czesława Flejerskiego/ wynika,

że głównymi operatorami rozegranej akcji byli: Komendant brygady "Kaziuk" i dea drużyny bojowej podch.rezerwy "Strasburger".

"Kaziuk" po otrzymaniu informacji o rozgromieniu kolumny npl pod Niemenczynkiem zamierzał zastąpić jej drogę z zasadzki parę km za Krowiem. W tym celu "Kaziuk" kazał "Strasburgerowi" zabrać będący w pogotowiu bojowym oddział 14 ludzi i wszyscy razem wyruszyli z Sawkiszek. Obeszli jezioro należące do majątku Korwie i zatrzymali się przy trakcie Kōrwie-Mejszagoła, oczekując na kolumnę npl. Około godz. 15 - 16 "Kaziuk" otrzymał meldunek, że oczekiwana kolumna zatrzymała się w maj.Korwie, prawdopodobnie z zamiarem nocowania!

W tej sytuacji "Kaziuk" uznał, że do zaatakowania kolumny na postoju, siły oddziału partyzanckiego są za małe. Nakazał "Strasburgerowi" ubezpieczony postój oddziału. Sam natomiast wrócił do Sawkiszek, celem zebrania większej siły.

"Strasburger" spodziewając się rychłego nadejścia pomocy, podciągnął drużynę do ogrodu przed domem majątkowym, zwanym pałacem, w którym jak się okazało zakwaterowali Niemcy, szykując się do noclegu. Partyzanci otworzyli z automatów i karabinów gwałtowny ogień po oknach pałacu. Tutaj, podobnie jak pod Niemenczynkiem, Niemcy byli zaskoczeni i odpowiedzieli ogniem kilku karabinów maszynowych. Strzelali na oślep ogniem ciągłym. Partyzanci podeszli na stosunkowo bliską odległość i zalegli, a "Strasburger" znalazł się około 30-40 metrów przed tyralierą. Za nim wybiegł młody partyzant "Janek" z okrzykiem, że jest w pobliżu dowódcy. W tym czasie został ugodzony kulą w brzuch - przeraźliwie krzyczał. Do ранego podbiegł lekarz Trzeciak z sanitariuszami. W czasie opatrunku ranny zmarł.

"Strasburger" odskoczył za cemenową studnię i stamtąd po kilku seriach z automatu razem z innym partyzantem zaczął wykrzykiwać głośno po niemiecku do żołnierzy i po rosyjsku do policjantów białoruskich :

- Tu polscy partyzanci! Jesteście otoczeni! Przerwij ogień! Poddajcie się! W przeciwnym razie będziecie wybici!

Po kilkakrotnym wezwaniu do poddania się dowódca, niemiecki oficer, rozkazał przerwać ogień i zażądał rozmowy z dowódcą partyzantów. W rozmowie z "Strasburgerem" oficer obiecał złożyć broń, jeśli otrzyma słowo honoru, że Niemcy uzyskają wolność. Kiedy otrzymał odpowiednie przyrzeczenie załoga zaczęła składać broń w jedno miejsce, a żołnierze stawali w oddali.

Na widok podchodzącej, stosunkowo nielicznej grupy partyzantów miernie wyglądających, Niemcy zdębieli. Po, między nimi zaczęło się szemranie i zarzuty dowodzącemu oficerowi? przed kim on kazał im złożyć broń. Zanosilo się na to, że żołnierze chwycą za broń, a obsługa jednego cekaemu zamierzała otworzyć ogień. Interwencja dowódcy, znajdującego się w grupie rozbrojonej, zamiar zlikwidowała i uchroniła partyzantów od niechybnej zagłady.

Partyzanci jednym skokiem dopadli najbliższych ckm. W pośpiechu zaczęło się rozbrajanie Niemców i policjantów.

W trakcie rozbrajania nadszedł "Kziuk" z 4 partyzantami i zażądał rozstrzelania Niemców. "Strasburger" sprzeciwił się i oświadczył, że danego słowa honoru należy dotrzymać. Po krótkiej wymianie zdań "Kaziuk" zgodził się na zabranie jeńców.

W starciu nastąpiła całkowita likwidacja kolumny niemiecko-białoruskiej. Po naszej stronie poza wypadkiem śmiertelnym jednego partyzanta, innych ofiar nie było. Strat w ludziach

przeciwnika nie pamiętam. W ręce naszej brygady, poza jeńcami trafiły posiadane przez npl wszystkie ckm oraz wiele innej broni i amunicji tudzież spora ilość prowiantu.

Zbiżał się zmrok. Z rozkazu "Kaziuka" partyzanci zabrali ze sobą jeńców, załadowane wozy zdobyczą i odeszli na miejsce postoju do Sawkiszek. Na placu, gdzie stały wozy taboru kolumny niemiecko-białoruskiej, pozostało bardzo dużo furmanek, załadowanych prowiantem policjantów: słoniną, kaszą, grochem, paszą dla koni itd. Przed odejściem partyzanci nie byli w stanie przebadać wszystkie wozy i różnych wozaków cywilnych, zmobilizowanych do transportu z dalekiej brasławszczyzny. Z rozkazu "Kaziuka" wszystkie furmanki pozostały na noc na miejscu, tam gdzie się znajdowały.

Tyle w streszczeniu dowiedziałem się o wyniku wyprawy pod Korwie.

Wracając do poruszonego przeze mnie tematu przejścia oddziału konnych policjantów pod komendę naszej brygady, "Kaziuk" zgodził się z moją propozycją. Nazajutrz wczesnym rankiem został wysłany goniec ze specjalnym rozkazem do Zdrojewskiego z którym kontaktował się dowódca oddziału policjantów. Zgodnie z rozkazem oddział ten pozostał w rejonie Niemenczynka, z zadaniem dalszego penetrowania odcinka drogi, wiodącej od Niemenczynka przez Orzełówki-Zełożę-Niemenczynek. W tym rejonie oddział przebywał kilka dni, aż do przejścia brygady za Wilię.

Do oddziału kawalerzystów wróciło tych 4 ludzi, którzy na własną rękę usiłowali nawiązać kontakt z partyzantami. W poszukiwaniu kontaktu pod przewodnictwem jednego z nich dotarli do prof. Jagmina, który w czasie akcji "Burza" przebywał z rodziną u

Masalskiego w Gulbinach, folwarku położonym nad jeziorem tej nazwy. Jak później po akcji profesor mnie poinformował, tym przewodniczącym grupy u policjantów białoruskich, poszukujących kontaktu z partyzantami, był Sergiusz Piasecki, autor powieści pt. Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy. Ten, który za staraniem Melchiora Wańkowicza wyszedł z dożywotniego więzienia, sądzony za przemyt i sprawy inne. Profesor Jagmin, pismem skierowanym do mnie przez łącznika, polecił tę grupę kilku ludzi pod przewodnictwem "Sierioży" - nie ujawniając jego imienia i nazwiska. Ja z kolei skierowałem ich za pośrednictwem Zdrojewskiego do oddziału, z którego oni odeszli.

Nazajutrz rano, z polecenia "Kaziuka", przypadła mniew udziałem rola przebadania i zrewidowania ludzi i furmanek, pozostających na noc w Korwiu. Wziąłem ze sobą dwóch ludzi podchorążego i podoficera. Wszyscy byliśmy uzbrojeni w automaty i po 3 granaty. Wczesnym rankiem usiedliśmy na furmankę i objeżdżając jezioro od strony wsi przybyliśmy do pierwszych zabudowań. Tam pozostawiliśmy furmankę i poszliśmy w poszukiwaniu kogoś ze starszych, opiekujących się taborem. Z trudem udało się nam odnaleźć kilku przelęknionych ludzi - cywilów; Wielu z nich zaraz po bitwie i odejściu partyzantów uciekło z furmankami. Niektórzy nawet pozostawili swoje konie i wozy. Wśród ludzi z którymi rozmawialiśmy nie okazał się ani jeden policjant, czy wojskowy. Mówili, że w ich wozach ani w innych nie ma żadnej broni i amunicji, że chcą bezpiecznie wracać do stron rodzinnych. Na swoich wozach mają trochę słońiny i mąki, które mogą nam pozostawić. Obiecałem po dokonaniu przez nas rewizji wozów, zwolnić wszystkich pozostających tam ludzi.

Kiedy po rozmowie z ludźmi mieliśmy przystąpić do rewidowania wozów, z drogi od strony majątku doszedł do nas wzmagający się warkot ciężarowych samochodów. Wszyscy trzej odskoczyliśmy od furmanek za najbliższe budynki. Trzymając odbezpieczone automaty staliśmy oczekując na niewidoczne samochody. Kolegom powiedziałem, że jeśli będą Niemcy i zaczną wysiadać przy wozach, otworzymy ogień. O rozpoczęciu ognia ma zdecydować moja pierwsza seria. Następnie obrzucimy samochody granatami i szybko wycofamy się na brzeg jeziora, skąd zarosłami w kierunku na Sawkiszki. Liczyłem na to, jak ustaliłem z "Kaziukiem", że na odłos strzałów, natychmiast przyjdzie nam z pomocą wystawiony oddział alarmowy. Jeśli Niemcy nie zatrzymają się, pozwolimy im jechać dalej. Sprawę ich likwidacji pozostawimy jednemu z naszych oddziałów w zasadce koło mostku na drodze przed Mejszagołą, którądy muszą przejeżdżać.

Za chwilę pomiędzy konarami przydrożnych klonów w oddali na drodze, skąd dochodził warkot, ukazały się dwa wielkie samochody ciężarowe, załadowane stojącymi żołnierzami. Wszyscy byli w hełmach, niektórzy trzymali automaty w pogotowiu do strzału. Samochody wypełnione po przeszło 20 żołnierzy w każdym, nie wstrzymując tempa jazdy z szybkością około 50 km na godzinę, minęły nas z odległości 50 kroków i pomknęły w kierunku Mejszagoły. Mijających nas żołnierzy uwaga skierowana była na znajdujące się na placu wozy. Jednak widoczny pośpiech nakazywał im jazdę bez zatrzymania się.

Po chwili od przejazdu Niemców, zanim rozpoczęliśmy rewidować wozy, doszły do nas ogłosy serii z karabinów maszynowych i automatów, połączone niemal z jednoczesnym wybuchem granatów. Stało się tak jak zaplanowano. Oddział nasz z zasadzki zaatakował niemieckie samochody gwałtownym ogniem z erkaemów, automatów i granatów.

Samochody zostały rozbite, a następnie spalone. Prawie połowa Niemców została wybita, około 20 wzięto do niewoli, których trzymał nasz oddział, wydzielony do operacji pod Mejszagołą.

Zrewidowaliśmy kolejno wszystkie wozy. W tych bezpańskich pozostawionych przez właścicieli, znaleźliśmy 3 erkaemy, 2 automaty, sporo karabinów, granatów i amunicji. Prawie na wszystkich wozach było po trochu słoniny i chleba. Zdobycz załadowaliśmy na 5 tęgich wozów, z którymi wracaliśmy do oddalonych parę kilometrów Sawkiszek. Przed odjazdem wszystkim ludziom zajętych pod furmanki, kazaliśmy wracać ze swoim dobytkiem do domu. Kazaliśmy również, by w miarę możliwości zabrali ze sobą i te bezpańskie konie z wozami. Uważaliśmy dla nich akcję za skończoną:

W drodze powrotnej w pobliżu Sawkiszek spotkał nas oddział kilkunastu ludzi, wysłany przez "Kaziuka" zaniepokojonego naszą przedłużającą się nieobecnością. Spotkani partyzanci widząc nas z załadowanymi wozami bardzo się ucieszyli. Dowódca oddziału zaraz wysłał na rowerze gońca do "Kaziuka" z meldunkiem o naszym szczęśliwym powrocie:

Za kilkanaście minut, wyprzedzeni wysłanym oddziałem, wjechaliśmy na podwórze, gdzie po śniadaniu odbywało się porządkowanie i czyszczenie broni.

Oczekującemu naszego powrotu "Kaziukowi" złożyłem meldunek o wykonanym zadaniu. Po rozładowaniu wozów z broni i prowiantu ludziom z ich własnym dobytkiem kazałem wracać do domu w ślad za ich poprzednikami, których zapewne na drodze do Niemenczynka zdążą jeszcze dogonić.

19. Marsz na Wilno.

W Sawkiszkach po południu odbyło się posiedzenie sądu polowego, powołanego do rozpatrzenia sprawy przynależności obywateli polskich do wrogiej policji białoruskiej, zorganizowanej przez okupanta. Sądzonych było około 50 osób, które występując zbrojnie dokonywały rekwizycji mienia miejscowych obywateli i czyniły opór przeciw partyzantom. Przesłuchano świadków, powołanych spośród kilku osób cywilnych miejscowych, niektórych policjantów i Niemców. Oskarżeni policjanci nie przyznali się do winy. Powołani na świadków Niemcy wszyscy twierdzili, że cała ich działalność prowadzona była pod przymusem, opartym na prawie wojennym. W tych szeroko omawianych okolicznościach sąd nie dopatrył się wyraźnej winy oskarżonych i całą grupę uniewinnił. Wszyscy zostali zwolnieni z kłazem powrotu w strony rodzinne. Przed tym jednak partyzanci, którzy mieli zniszczone buty, wymienili z policjantami na lepsze.

Pod wieczór odbyła się zbiórka oddziałów brygady, stacjonującej w rejonie Sawkiszek. W krótkim przemówieniu "Kaziuk" przedstawił zadanie brygady, wyznaczone przez dowództwo zgrupowania: Zadaniem tym było zamknięcie dróg wyjścia Niemców z Wilna, na odcinku od szosy Mejszagolskiej do szosy Podbrzeskiej, na wysokości Bojary-Wyszary-Kalwaria oraz wsparcie oddziałów "Juranda", działających wzdłuż szosy Kalwaria-Bołtupie-Wilno.

Zaraz potem uformowana została kolumna marszowa oddziałów brygady. Wydzielono oddział straży przedniej, pod dowództwem podch.rezerwy B.Kope^{ci}ś. Na końcu kolumny przed strażą tylną i niewielkim taborem bojowym umieszczono kolumnę jeńców z eskortą. Kolumna brygady marszem ubezpieczonym wyszła z

Sawkiszek w kierunku Skrudany-Milki-Żudziszki.

Za Skrudanami w rejonie Milek "Kaziuk" zarządził postój. Zgodnie z powziętą wcześniej decyzją, wzięci do niewoli Niemcy w czasie marszu mieli być zwolnieni. O tym jednak zarówno jeńcy, jak i eskorta nie byli poinformowani. Decyzja zwolnienia była powzięta z powodu potrzeby odciążenia brygady przed akcją bojową od dodatkowej służby wartowniczej i wyżywienia, którego szczupłe zapasy przeznaczone były przede wszystkim dla partyzantów.

Niemcom kazano zdjąć buty, spodnie i mundury do wymiany z partyzantami, najbardziej potrzebującymi tych rzeczy. W tym momencie wśród zgromadzonych na drodze Niemców powstało pełne przerażenie poruszenie. Widząc to podszedłem do jednego ze starszych wiekiem żołnierza, który ociągając się usiłował zdjąć buty. Zanim do niego przemówiłem, ani się obejrzałem jak padł przede mną na kolana i z wielki przerażeniem w oczach, z drganiem twarzy, zaczął coś mamrotać. Z wypowiedzianych w zdenerwowaniu jego końcowych słów zrozumiałem, że błagał by go nie zabić, - nie zastrześcić : ma żonę, dzieci itd. Myślał on jak i reszta Niemców, że kazaliśmy rozbierać się przed egzekucją - za chwilę ich rozstrzelamy.

Zrozumiałem sytuację i przyczynę wielkiego zdenerwowania tych ludzi, otoczonych partyzantami, trzymającymi w pogotowiu karabiny z nasadzonymi bagnetami. Głośno, tak by wszyscy słyszeli przemówiłem po niemiecku, że polscy partyzanci jeńców nie rozstrzelują. Wszyscy oni będą za chwilę zwolnieni - pójdą w swoją stronę skąd przyszli. Przed tym jednak powinni nam oddać swoje całe buty i ubranie, których nam brak. Z gromady Niemców dochodziły mnie słowa, że możemy zabrać im wszystko co mają. Chętnie nam oddadzą

byle tylko darować im życie.

Jak im to powiedziałem, w ciągu pięciu minut cała gromada jeńców była przebrana w nasze cywilne łachy i gotowa odejść. Na rozkaz "Kaziuka" eskorta odstąpiła od nich. Powiedzieliśmy, że są wolni i mogą szybko wracać do domu. Powiedzieliśmy tak, jakby ich dom był tuż za miedzą, pomimo, że w rzeczywistości w marszu do tego domu na pewno nie jednego z nich spotkały różne przygody. Może nawet wielu nie zdążyło ujsć przed szybką falą działań frontowych ...

Zwolnieni jeńcy głośno nam dziękowali i pytali w jakim kierunku najlepiej iść do domu. Mówiliśmy, że wprost w kierunku zachodzącego w tej chwili słońca. Chwilę staliśmy wpatrzeni w grupę przebranych w łachy ludzi, którzy jeszcze wczoraj byli groźni, pewni siebie i zwycięstwa. Obecnie, gnani uczuciem darowanego życia, biegli w kierunku zachodzącego słońca - dla nich symbolu gasnącej potęgi i nadziei. Patrzyliśmy wspaniałomyślnie zanim za chwilę biegnąca grupa, różnych wiekiem żołnierzy niemieckich, otoczona kłębami drożnego kurzu, skryła się za najbliższym wzniesieniem. Ten obraz dziejowy pozostanie na zawsze w pamięci nie tylko partyzantów lecz i przyglądających się temu okolicznych mieszkańców, szczególnie dzieci, których spora gromadka towarzyszyła nam w marszu, aż do zmroku.

Maszerowaliśmy dalej w kierunku odwrotnym niż wypaszczeni Niemcy. Przed nami niedaleko widniały zabudowania wielkiej wsi Żudziszki. Szedłem na czele kolumny razem z "Wiktorem" i innymi partyzantami, należącymi do małego sztabu. Co jakiś czas zarówno ja jak i inni z czoła kolumny całaliśmy się aż do kilku wozów taboru bojowego, by sprawdzić jak się czują nasi partyzanci, czy

Któremu z nich w czasie marszu coś niedolega. Szki czwórkami rozmawiając na temat zabranych Niemcom rzeczy i opowiadając żołnierskie kawały. Przyglądałem się tym ludziom bliżej. Widziałem ich w różnym wieku i zawodzie. Obok chłopców szesnastosiemnastoletnich, szli starsi panowie - chyba po Sześćdziesiątce. Obok inżynierów, techników i prawników maszerowali i to dość licznie miejscowi rolnicy. Obok żołnierzy, którzy mieli dwie wielkie wojny za sobą, kroczyli nowicjusze, z wojną i z bronią *we* obyci. W jednej czwórce szli: ojciec prawnik z synem - uczniem gimnazjalnym. Na twarzach tych różnych ludzi wyraźnie akcentowała się chęć podjęcia walki o wyzwolenie wszystkim nam kochanego Wilna. Niektórzy mieli na piersiach zawieszzone ryngrafy z wizerunkiem Matki Boskiej Ostrombramskiej, gorąco czczonej przez wielkie rzesze wiernych i to nie tylko na ziemiach b. Wielkiego Księstwa Litewskiego

Obraz maszerujących partyzantów przypominał starą, mało znaną piosenkę z czasów legionów, w której cele marszu w tamtych czasach i naszego były wspólne.

A oto słowa :

- Okwieciła się nam ziemia wiosną
i sen spełnia się dzisiaj wyśniony.
Idzie wiosna niesie wieść radosną
Idą w bój, idą polskie legiony.
Idą starcy, mężowie i dzieci.
Každy w ręku karabin zaciska
Grają trąby, las bagnetów świeci.
Czyżby chwila wyzwolenia bliska.
Idą polscy żołnierze mściciele
Prowadź że ich zwycięsko aniele.

Marsz, marsz legiony na bój wyśniony
O mury Warszawy, Lwowa i Wilna
Kto Polak prawy, czyja dłoń silna
Ten zawsze z nami, marsz z legionami
Marsz, marsz, marsz

Zapadł zmrok gdy wchodziliśmy do Żudziszek. Od początku wsi po obu stronach ulicy stali i przyglądali się nam ludzie, wypatrując znajomych. Zjawiły się też sanitariuszki z opaskami czerwonego krzyża na ramieniu i przewieszonymi przez ramię chlebakami, wypełnionymi lekami pierwszej pomocy i bandażami.

Zgodnie z instrukcją przy przemarszu oddziałów punkty sanitarne wysyłały sanitariuszki, które miały obowiązek zaopiekować się chorymi i rannymi partyzantami.

Na ulicy we wsi, obok ludności miejscowej, byli też wczasowicze z Wilna, którzy w letnich miesiącach przebywali u krewnych na wsi. Mieszkańcy wsi bardzo życzliwie witali partyzantów. Częstowali kanapkami, czekoladą, cukierkami i papierosami. Niektóre kobiety poczytywały za obowiązek dekorowanie partyzantów ryngrafem Matki Boskiej Ostrobramskiej. W tym celu miały zakupionych po kilka sztuk.

W miłym nastroju minęliśmy Żudziszki, żegnani przez ich mieszkańców. W kompletnych ciemnościach pochmurnej nocy lipcowej znaleźliśmy się gdzieś na polnej drodze. Przed nami był oddział straży przedniej w sile plutonu, dowodzony przez wspomnianego podchorążego. Niedaleko za wsią oddział straży przedniej w ciemnościach zbłądził. Zamiast trzymać się kierunku wprost na majątek Wielka Rzesza wszedł na jakąś inną boczną drogę. Wysłani przezeń gońcy do nas nie trafili. Przypadek ten zmusił nas do dłuższego postoju

i do wysłania patroli celem odnalezienia naszej straży przedniej. Upłynęło niewiele czasu, a wysłane patrole na polne drogi w różnych kierunkach odnalazły zagubiony oddział, który niebawem wrócił do nas

Ponieważ może najlepiej spośród wszystkich znajdujących się w brygadzie oficerów znałem ten rejon, "Kaziuk" polecił, bym przejął dalsze dowodzenie oddziałem straży przedniej i maszerował w kierunku maj. Wielka Rzesza-Lendziniszki i dalej w rejon lasu Bojary-Wyszary koło Kalwarii pod Wilnem.

Moja znajomość terenu okolic Rzeszy oraz gmin sąsiednich ukształtowała się od dawna. Różne czynniki wpłynęły na to, że wiele wsi i zaścianków wraz z drogami dojazdowymi poznałem w okresie od pierwszej wojny światowej, aż do działań partyzanckich włącznie.

Najpierw w czasie okupacji niemieckiej, w pierwszej wojnie światowej aż do listopada 1918r., jako 13 - 15 letni chłopiec, zamieszkały z rodzicami i młodszym rodzeństwem w Wilnie, zmuszony głodową sytuacją aprowizacyjną w mieście, co najmniej raz w tygodniu chodziłem w towarzystwie matki lub moich rówieśników na Litwę w rejon Pozelwia, Olity itd. Chodziłem po zakup grochu, mąki, słoniny itp. produktów.

Idąc po zakupy na dalekie wsie litewskie oraz wracając z produktami, zmuszony byłem, podobnie jak setki innych ludzi wędrujących po chleb, omijać miasteczka gminne również wystrzegać się na większych drogach spotkań z wałęsającymi się żandarmami niemieckimi. Żandarmi w miastach powiatowych i gminnych, poza rekwiizycją kontyngentów, wyławiali na drogach mężczyzn, których kierowano na roboty przymusowe, odbierali pieniądze i przedmioty wartościowe wynoszone na wieś do wymiany na produkty żywnościowe, które również były rekwirowane.

Omijając miejscowości nawiedzane przez żandarmów znajdowałem coraz to nowe dróżki i ścieżki, którymi z wielką dozą bezpieczeństwa można było wracać do domu z żywnością.

Po wojnie poznawałem wiele dróg jeżdżąc rowerem z wędką na coraz nowe jeziora i rzeczki.

Wreszcie gruntowne studia terenu gminy rzeszańskiej podjąłem w latach 1927 - 29, w czasie kiedy zbierałem materiały i opracowywałem monografię gospodarstw rolnych w gminie rzeszańskiej. Monografię wykonałem jako pracę inżynierską do egzaminu na Uniwersytecie Poznańskim. Pracę ogłoszono drukiem w Roczniku Nauk Rolniczo-Leśnych w roku 1933 pt. "Gospodarstwa Rolne w gm. rzeszańskiej pow. wileńsko-trockiego".

Przejmując komendę nad oddziałem straży przedniej dobroiłem się w nowy pistolet automatyczny i 3 granaty na pasem. Na dowódcę szpicy wyznaczyłem znajomego mi sąsiada Szałtaniszek kpr. "Lisa". W panujących ciemnościach posuwaliśmy się wolno. Przez pewien czas byłem przy szpicy. Zależało mi na podejściu do majątku Wielka Rzesza i opanowaniu znajdującej się tam niemieckiej załogi, która według posiadanych informacji jeszcze z rana była w majątku i przygotowywała się do ewakuacji.

Daleko przed majątkiem, w odległości około 80 kroków od drogi zarysowały się kontury jakichś zabudowań. Pomyślałem, że będzie dobrze jeśli wstąpię do chaty dowiedzieć się co się dzieje w majątku. Zszedłem z drogi i wpatrzony w chatę szybko na przełaj zmierzałem do celu. Nie wyczułem jak wpadłem w zarośniętą dość głęboki rów melioracyjny. Wylazłem z rowu i przy ujadaniu przywiązanego na łańcuchu psa zbliżyłem się pod okno domu. Na moje lekkie pukanie odezwał się męski głos. Prosiłem o informację, czy w Rzeszy

są jeszcze Niemcy.

Wywiązała się krótka rozmowa. Mężczyzna w rozmowie z domownikami upewnił się, że jeszcze prawie do zachodu słońca załoga niemiecka przygotowywała się do ewakuacji. Niemcy prawdopodobnie zostali na noc.

Wróciłem na drogę, przywołałem "Lisa", z którym omówiłem akcję wypadu na majątek. Do akcji zaangażowałem drużynę ze straży przedniej. Rozdzieliłem funkcje pomiędzy uczestników.

W kompletnej ciszy podeszliśmy pod zabudowania majątku, chwilę przedtem wysłałem dwóch partyzantów do domu w ogrodzie, w którym zamieszkiwała rodzina jednego z miejscowych robotników. Oczekiwałem na partyzantów, którzy mieli dostarczyć najbardziej aktualnej informacji o Niemcach. Ku naszemu rozczarowaniu z uzyskanej informacji dowiedzieliśmy się, że w majątku niema już ani jednego Niemca. Po załadowaniu dobytku na wozy, już po zachodzie słońca ojechali w kierunku Wilna.

W tej sytuacji kilku partyzantom poleciłem zrewidować mieszkanie zajmowane przez administrację niemiecką. Sam z oddziałem, który obstawiał drogę koło majątku pomaszerowałem w nakazanym kierunku do wsi Lendziniszki. Niezadługo zaczęło świtać, a przed nami do lasów, dokąd zmierzaliśmy, było jeszcze wiele drogi.

To też przyspieszyłem marsz oddziału, by jak najprędzej przejść wieś i skryć się w lesie, przed prawdopodobną akcją samolotów niemieckich.

Weszliśmy w długą wiejską ulicę. Po obu jej stronach stały zabudowania mieszkalne, miejscami prawie przylegające jedno do drugiego. Tuż za domami widniały podwórza i reszta zabudowań gospodarczych. Tu i ówdzie na dworze stało bydło, które z powodu dość wysokiej temperatury nie mogło przebywać w ciasnych i dusznych oborach.

Przez cały czas szliśmy w ciszy nie rozmawiając ze sobą. W milczeniu przeżywaliśmy fiasko naszego zamiaru przechwycenia Niemców. Zaraz po wejściu w obręb pierwszych zabudowań nie uszliśmy uwagi czujnych wiejskich psów. Odwiecznym zwyczajem widząc w nas obcych wśród nocy, zaczęły gwałtownie ujadać. Na odgłos tych pierwszych, które nas zauważyły, odezwały się wszystkie psy, jakie tylko znajdowały się we wsi i w pobliskich zaściankach. Wiele z nich wybiegło na ulicę i ujadając cofało się w obręb swoich zabudowań.

Gwałtowne ujadanie psów obudziło niejednego z mieszkańców, których sylwetki ukazały się w oknach. Niektórzy stojąc w drzwiach ze zdziwieniem spoglądali na luźnie przechodzący oddział partyzantów. Tuż za nami wybiegały na ulicę dziewczyny z opaskami czerwonego krzyża na ramieniu, z chlebakami pełnymi opatrunków i niezbędnymi lekami. Stojąc na ulicy w czasie przemarszu partyzantów świadczyły o gotowości niesienia pomocy sanitarnej.

Wchodząc do wsi wysłałem łączników do maszerującej za nami brygady. Przekazałem meldunek o przyspieszeniu marszu straży przedniej, ponieważ według uzyskanych we wsi informacji tuż przed nami przeszły dwa transporty niemieckie, które na załadowanych skrzyniami furmankach ciągnęły w kierunku Wilna. Prawdopodobnie były to ewakuowane z załogi z pobliskich majątków. Zamierzałem dognać uciekinierów. To też po przesłaniu meldunku, dotychczas szybkie tempo marszu jeszcze bardziej wzmogłem.

Prawie biegiem posuwaliśmy się ulicą Lendziniszek w nadziei pochwycenia niemieckich transportów, które obciążone wielkim ciężarem po piaszczystej drodze nie powinny daleko ujść. W czasie pościgu jeszcze w obrębie wsi, zjawiły się nad nami dwa niemieckie samoloty. Słyszając ich złowrogi warkot w porę skryliśmy się koło zabudowań.

Samoloty przeleciały nad nami na wysokości chyba z 300 metrów , dokonując kilka okrążeń. Napewno wywiad niemiecki poinformowany był o akcji partyzanckiej na Wilno i starał się dokonać rozeznania ruchu naszych oddziałów, maszerujących z różnych kierunków. Krycie się przed lotnikami na kilkadziesiąt minut wstrzymało nasz marsz. Było już całkiem widno, kiedy po wyjściu z ukrycia w szybkim tempie minęliśmy wieś. Za chwilę w oddali za nami znowu posłyszeliśmy warkot samolotów. Tym razem jednak lotnicy czynili obserwacje na naszych tyłach. My zaś w niespełna pół godziny dotarliśmy do wyznaczonego miejsca marszu, osiągnęliśmy las w lewo od Lendziniezek w rejonie Bojary-Wanaginia. Po wysłaniu patroli zarządziłem postój, oczekując na przybycie "Kaziuka" z brygadą.

Niezdługo nadciągnął "Kaziuk". Zarządził postój brygady. Nie minęło godziny jak gdzieś na odcinku szosy Kalwaria /6 km od Wilna/-Wanaginia /10 km/ wywiązała się gwałtowna strzelanina. Wysłane na skraj lasu patrole zwiadowcze zauważyły przez lornetkę na szosie kilka niemieckich samochodów, a w polu rozwiniętą tyralierę żołnierzy w hełmach. Niemcy strzelali z broni maszynowej w kierunku lasu majątku Werki.

Rycząco przekazany meldunek jednego z dowódców patroli upewnił nas w przekonaniu, że wrywający się z Wilna Niemcy zostali zaatakowani przez współdziałający z nami oddział "Juranda".

"Kaziuk" natychmiast wysłał dwa dobrze uzbrojone plutony, których zadaniem było wsparcie "Juranda" od zachodniej strony szosy, prostopadle do osi ruchu Niemców. Z chwilą otwarcia gwałtownego ognia przez nasze oddziały Niemcy pośpiesznie zwinęli tyralierę i samochodami pomknęli w kierunku Rzeszy, zabierając ze sobą kilku rannych i zabitych żołnierzy. W ten sposób wyrwali się z okrążenia.

W niefortunnej ułtarzce z Niemcami, prawdopodobnie w warunkach jakiegoś zaskoczenia w bitwie pod Krawczunami 13 lipca poległ dowódca I-szej brygady /2-go zgrup./ "Jurand" i kilku partyzantów. Kilku rannych zawieziono do Niemenczynka, gdzie pod opieką pani Aldony Pieciukiewicz zorganizowano doraźny szpital polowy. Poległych partyzantów wraz z "Jurandem" prawdopodobnie pochowano na cmentarzu w Kalwarii.

Oddziały brygady marszem ubezpieczonych poszły lasem na zachód od Jerozolinki - Kalwarii w kierunku Wyszary-Bołtupie /2 km od Wilna/. W rejonie Bołtupie dowódca zgrupowania wstrzymał marsz brygady na Wilno, które w tym czasie było już w większości opanowane od strony Nowej Wilejki przez brygadę "Szczerbca" oraz od południa przez brygady inne.

Zgodnie z nowym rozkazem dowódcy zgrupowania, brygada nasza była przeznaczona do akcji przeciwko wymykającym z Wilna resztkom Niemców. Do tego celu uznano za najodpowiedniejszy rejon Mejszagoły, gdzie zbiegały się główne drogi wiodące z Wilna. Jedna z nich prowadziła od zielonego mostu na Wilii ulicą Wilkomirską, wprost do Mejszagoły. Druga - przez ulicę Kalwaryjską, dalej Jerozolimkę - Rzeszę - Korwie również do Mejszagoły. Poza to do Mejszagoły prowadziła droga z pominięciem Wilna, od Niemenczyna przez Pikieliszki - Korwie.

20. Wydarzenia w Gładkiszkach.

W lesie Wyszary, koło Bołtupia pod Wilnem, był krótki postój brygady. Znużeni nocnym marszem partyzanci zalegli oczekując na posiłek, który był gotowany w kuchniach polowych. W międzyczasie niektórzy wydobywali z plecaków własne zapasy żywności: przeważnie chleb, słoninę wędzoną lub boczek i dzieląc się z kolegami jedli z wilczym apetytem. Również szybko zjadany był prowiant pochodzący ze zdobyczy w akcji pod Korwim. W dniach od 8 do 11 lipca 1944r. brygada "Kaziuka" została przydzielona czasowo do zgrupowania nr 2 "Węgielnego".

Po południu brygada maszerowała w rejon Mejszagoły, by spełnić wyznaczone jej zadanie. Szliśmy drogami polnymi. Dzień był upalny bezwietrzny. Od strony Wilna dochodziły odgłosy silnych detonacji. Jednocześnie wyrastały chmury dymu. Był to rezultat zacieklej obrony niemieckiej przed atakiem wdzierających się do miasta oddziałów partyzanckich, jeszcze przed wkroczeniem czerwonej armii.

Maszerowaliśmy drogami pomiędzy szosą mejszagolską, a kalwaryjską, mniej więcej tą samą trasą jak w marszu na Wilno. z obu stron od tych dróg byliśmy ubezpieczeni spodziewając się zetknięcia z większymi zmotoryzowanymi oddziałami niemieckimi, wymykającymi z miasta głównymi drogami.

Klucząc polnymi drogami, a nawet po bezdrożach już o zmroku przeszliśmy szosę mejszagolską w rejonie Gładkiszek, położonych kilka kilometrów na południo-wschodzie od Mejszagoły. Była ciemna noc. Przed nami gdzieś koło Mejszagoły w kilku miejscach słychać było warkot samolotów, detonacje, a na horyzoncie odbłask pożarów. Nad nami od Mejszagoły pokazały się smugi świetlnych pocisków. Prawdopodobnie był atak samolotów radzieckich na jakieś niemieckie

oddziały.

Nad ranem znaleźliśmy się w majątku Gładkiszkach, gdzie mieliśmy postój. Po wystawieniu placówek i czujek partyzanci rozlokowali się w stodołach do snu. Sztab brygady kwaterował w głównym budynku dworskim, który okazał się opuszczony przez stałych mieszkańców. Ja i inni oficerowie ułożyliśmy się do snu na rozestłanej słomie. Bez posiłku i rozmowy, przemęczeni marszem wszyscy od razu zasnęliśmy.

Było już światło, kiedy w jednej placówce przybiegł do komendanta goniec i zameldował, że w pobliżu patrol nasza niepostrzeżenie trafiły na kręcącą się po polnych drogach artylerię niemiecką, prawdopodobnie w sile jednej baterii.

Zarządzono alarm.

Według informacji "Strasburgera" otrzymał od komendanta rozkaz rozbrojenia błądzących Niemców. W tym celu z drużyną partyzantów udał się w kierunku ustalonym przez patrol zwiadowczy. Po zorientowaniu się w zamierzonym przez Niemców kierunku marszu, "Strasburger" zorganizował zasadzkę w zaroślach przy drodze, którą posuwała się artyleria. Na czele jechał konno pułkownik z innymi oficerami, a za nimi w niewielkiej odległości 4 działa z jaszczami amunicji i załogą. Kiedy oficerowie wjechali w zarośla partyzanci wybiegli na drogę. Kazali stać i złożyć broń. Oświadczyli, że artyleria jest otoczona przez zmasowane siły partyzanckie, w przypadku oporu będzie zniszczona. Niemcy zgodzili się pod warunkiem, że nie będą przekazani czerwonej armii.

Bez najmniejszego oporu nastąpiło rozbieranie artylerzystów. Z rozkazu komendanta oficerowie zostali oddzieleni od reszty żołnierzy. Załozce polecono rozbroić działa i w tym stanie przekazać

nam. Poza działami otrzymaliśmy kilka karabinów maszynowych, automatów, karabinów, kilka nowych parallum, lornetki, mapy.

Otrzymaliśmy też kilkadziesiąt koni artyleryjskich i wierzchowych z zapasem owsa i prowadantu dla ludzi.

Kiedy Niemcy zameldowali gotowość przekazania nam rozbrojonych haubic "Kaziuk" wyznaczył będącego wśród partyzantów ogniomistrza z zadaniem sprawdzenia stanu rozbrojenia i dobrania sobie ludzi do obsługi artylerii. W czasie sprawdzania rozbrojenia haubic, przy manipulowaniu zamkiem jedno działo odpaliło. Silny wybuch wstrząsnął powietrzem. Było to w porze obiadowej, kiedy na szczęście większość partyzantów kręciła się koło kuchni polowych, stojących w nizinie w oddali za podwórzem, gdzie rozbrajano haubice.

Niestety były jednak wypadki: 2 partyzantów zabitych, około 10 rannych, a wśród nich prawdopodobnie przybyły z komendy wileńskiego okręgu AK na inspekcję brygady major NN.

W sprawie nie wykonania rozkazu rozbrojenia haubic przez obsługę niemiecką odbył się doraźny sąd polowy, który rychłym wyrokiem skazał całą tę obsługę, około 10 osób, na śmierć przez rozstrzelanie. Wyrok sądu został odczytany przed ustawionymi na specjalnej zbiórce wszystkimi artylerzystami, łącznie z oficerami. Wyrok został wykonany przez wyznaczony pluton egzekucyjny na oczach jeńców i partyzantów w wykopie żwirowni, oddalonym około 500 metrów od podwórza majątku.

Zabraną artylerzystom broń i inne rzeczy zostały rozdzielone wśród potrzebujących partyzantów. Również i ja przy tej okazji kwalifikowałem się do zlikwidowania braków wyposażenia wojskowego. Przy podziale łupów otrzymałem: nowy pistolet "parabellum", lornetkę polową, konia wierzchowca z siodłem oraz nowe spodnie wojskowe i buty artyleryjskie. Własne spodnie i buty zdażyłem już kompletnie zedrzeć. Ten strój poniemiecki nieco później niemal nie przepłaciłem

życiem. Jeden pluton, ze zdobytej baterii otrzymała nasza 2-ga Brygada przed odejściem do pierwszego zgrupowania, a drugi pluton pozostał w drugim zgrupowaniu.

Od świtu w czasie naszego postoju w Gładkiszkach wzmożyły się przeloty radzieckich samolotów i bombardowanie rejonu Mejszagoły, gdzie koncentrowały się, będące w odwrocie oddziały niemieckie. Była to już jedna z ostatnich akcji w rejonie operacyjnym naszej brygady.

W czasie postoju w Gładkiszkach do brygady zaczęły napływać przeważnie młodzi ludzie z Wilna i ze wsi z prośbą o wcielenie do oddziału. Wśród nich znalazło się kilka dziewcząt, uczennic starszych klas gimnazjum im. Elizy Orzeszkowej i szkół innych. Niektóre z nich były w siałce, pełniły funkcję sanitariuszek i łączniczek. Teraz widząc, że bracia i siostry znajdują się w oddziałach partyzanckich, przyszły z prośbą o przyjęcie ich i przydzielenie jakiej kolwiek funkcji. Na kilkakrotnie ponawianą usilną prośbą dziewcząt "Kaziuk" zgodził się je przyjąć z przydziałem do oddziału sanitarnego, który stawał się coraz bardziej przepełniony sanitariuszkami. Z tego też zespołu w miarę potrzeby były angażowane łączniczki.

Tegoż dnia po południu do komendy brygady przybył dowódca odcinka operacji wojsk radzieckich pułkownik z kilku oficerami i szeregowymi. Było to pierwsze nasze spotkanie z przedstawicielami armii radzieckiej, która po wejściu do Wilna posuwała się bojem za cofającymi się Niemcami. Pułkownik oświadczył, że przybywa z polecenia dowódcy frontu, celem nawiązania kontaktu z dowództwem partyzantów i ustalenia współdziałania w ciągu najbliższych dni. W rozmowie z pułkownikiem "Kaziuk" otrzymał polecenie obsadzenia swoimi ludźmi pierwszej linii kontaktu z npl, na wyznaczonym odcinku w rejonie

Mejszagoły skąd przewidywano kontr-ataku. Pomimo złożonego przez "Kaziuka" oświadczenia, że brygada nasza nie dysponuje większą ilością broni ciężkiej, a zapas amunicji i granatów jest niewystarczający do prowadzenia walki pozycyjnej, pułkownik radziecki wrzucił ramionami lecz swojej "prośby" nie zmienił. Przed odejściem prosił przekazać dowództwu radzieckiemu wszystkich wziętych do niewoli żołnierzy niemieckich. Szczególnie zależało mu na oficerach. Ponieważ przetrzymywanie jeńców sprawiało nam wiele kłopotu, przekazaliśmy ich dowództwu radzieckiemu.

Tymczasem już o zmroku brygada nasza otrzymała rozkaz dowódcy zgrupowania partyzantów okręgu wileńskiego AK, by zajmowany odcinek przekazać 4-ej brygadzie i bezzwłocznie wymaszerować na nowe miejsce postoju, w rejon Gulbin, a stamtąd dalej aż do rejonu koncentracji wszystkich brygad i oddziałów partyzanckich okręgu wileńskiego. Później okazało się, że było to na południo-wschód od Wilna w miejscowości Wołkorabiszki.

Zgodnie z rozkazem, brygada po sformowaniu kolumny marszowej opuściła swoje miejsce postoju i wymaszerowała w nakazanym kierunku. Weszła ona w skład 1-go zgrupowania, którym od 12 lipca dowodził mjr Aleksander Wasilewski ps. "Olesiński". Odchodząc wysłaliśmy gońca do dowódcy radzieckiego z meldunkiem, że z rozkazu naszego dowództwa udajemy się na inne miejsce postoju, a na nasze miejsce przybywa 4-ta brygada, która zajmie odpowiednie stanowiska.

Był to jak zwykle nocny marsz brygady. Za oddziałem straży przedniej, ciągnęły oddziały bojowe ze swoimi wozami, załadowanymi bronią, amunicją i prowiantem. Przed strażą tylną ciągnęła zdobyczna artyleria z nowoorganizowaną obsługą. W czasie marszu na nami na horyzoncie świeciły łuny pożarów i dochodziły odgłosy detonacji.

Pochodziło to z przebijania się przez front radziecki, będących w odwrocie resztek oddziałów niemieckich, które opuściły Wilno.

Nad ranem przy przejściu szosy Wilno-Mejszagoła spotkaliśmy oddziały piechoty radzieckiej, maszerujące w kierunku Mejszagoły.

Maszerowaliśmy przez Rzeszę, gdzie przeszliśmy szosę Wilno-Podbrzezie i szliśmy polną drogą w kierunku młyna w Gulbinach. Był słoneczny upalny dzień lipcowy. Na pagórkach wypalonych słońcem, bieleły łany dojrzałego zryta, które w tym roku wyjątkowo wcześnie nadawało się do sprzętu. Tu i ówdzie stały pierwsze kopki, po 10 snopów każda, zebranego zboża.

Był przednówek, we wsi brakowało chleba i mąki. Dla brygady, liczącej już kilkaset ludzi narastały kłopoty z wyżywieniem. Uzyskane z przemiału zboża zapasy mąki szybko zużywały się, na pieczeniu chleba, który był podstawowym pożywieniem partyzantów. Staraniem intendenta wypiek większej ilości chleba był powierzony kilku gospodyniom wiejskim, w różnych miejscowościach. Z zaopatrzeniem w mięso większych trudności nie było. Na ubój szło bydło rekwirowane w majątkach, które były pod zarządem niemieckim. Mięso niestety w czasie upałów szybko się psuło tak, że partyzanci mogli je otrzymać jedynie z kuchni polowych, które przyrządzały posiłki. Nie wszędzie jednak kuchnie do oddziałów docierały. W tych, najlepszych przypadkach partyzanci otrzymywali chleb, a z resztą produktów musieli radzić we własnym zakresie. Uzupełnieniem zapasów aprowizacyjnych była zdobycz znacznej ilości sucharów, mąki i słoniny w akcji pod Korwim. Otrzymane przy podziale suchary partyzanci zjadali przeważnie w czasie marszu, kiedy strawy kuchennej nie było.

Jechałem na młim wierzchowcu, w towarzystwie paru kolegów. Przed nami wysłani byli partyzanci przez kwatermistrza, celem znalezienia odpowiedniego miejsca na biwak.

21. Biwak nad jeziorem Gulbińskim.

Około południa, drogą od Rzeszy, przyszedliśmy na południowy skraj jeziora Gulbińskiego. Często kolumny zatrzymało się na wysokości młyna. Staliśmy chwilę rozmyślając, gdzie mianowicie będzie najlepiej rozlokować się na czas parudniowego postoju.

Jezioro było wydłużone w kształcie kieszki ponad 2 km długości i około 200 metr. szerokości, wyciągniętej z północy na południe. Południowy koniec jeziora na półkilometrowym odcinku wyginał się w kierunku południowo-wschodnim i kilkumetrowym przewężeniu łączącym się z drugą krótką jego częścią zwaną jeziorem Małym Gulbińskim. Po wschodniej stronie jeziora tuż od brzegu, teren stopniowo podnosił się i był porośnięty mieszanym lasem. Na północ od przewężenia w prostej linii około pół km, znajdował się północny koniec jeziora Krzyżackiego, zwanego również Zielonym. Jezioro to, podobnej długości do Gulbińskiego, ciągnęło się w kierunku południowo-wschodnim, podchodząc pod trakt staromalacki.

Rejon biwaku dla oddziałów brygady wyznaczony został w lesie, za jeziorem Gulbińskim aż do północny koniec jeziora Krzyżackiego. Susza panująca w tym czasie sprawiła, że przejście na drugi brzeg jeziora przez przewężenie, było całkiem możliwe nie tylko dla pieszych ale i dla wozów. Wkrótce cała nasza brygada znalazła się w pachnącym, rozgrzanym przez słońce lesie. Poszczególne oddziały rozlokowały się oddzielnie. Nie mieliśmy namiotów, a biwak na otwartym powietrzu na ogół zastrzeżeń nie budził, gdyż noce były krótkie i niezbyt chłodne.

Resztę dnia partyzanci wypełnili czyszczeniem broni, kąpielą w jeziorze i czynnościami porządkowymi. Oddalanie się poza rejon obozowiska w lesie, czyli rozłóżenie się po okolicy, było

wzbronione. Z nadejściem zmierzchu wszyscy z wyjątkiem oddziału służbowego, ułożyli się do snu, przeważnie na leśnej murawie, bez żadnego posłania i nakrycia. Tylko pojedynczy ludzie mieli ze sobą płaszcze i koce. Najlepiej przystosowany do noclegu w tej sytuacji był oddział kawalerii i artylerzyści. Nakrywali się ości kocami, wyjętymi spod siodeł. Również ja i inni oficerowie, mający konie z siodłami, korzystaliśmy z tego rodzaju nakryć, chociaż ubranie nasze stawało się przesiąknięte końskim potem, którego specyficzny zapach czuć było z daleka:

Nocleg w lesie koło jeziora okazał się bardzo dokuczliwy. Zaraz ze zmierzchem roje komarów siadały na obnażone części rąk i twarzy. Właziły wszędzie, brzęcząc wciąż nad uchem. Bolesne ukłucia dochodziły nawet przez letnie ubranie. Opędzanie się od natrętnych komarów nie wiele pomagało. Niepomagało również palenie tytoniu. Cała noc mijała w bezsenności.

Od rana w obozie naszym trwało ożywienie. Zaczęły napływać grupy partyzantów przebywających w terenie. Wysłane do okolicznych miejscowości patrole poinformowały komendę brygady, że we wsi Gulbiny, od wczorajszego wieczoru, kwateruje oddział żołnierzy radzieckich. Otrzymaliśmy też meldunek, że żołnierze radzieccy zabrali naszym partyzantom dwie pary koni i była próba zabrania ich większej ilości.

Sprawę rekwizycji naszych koni postanowiliśmy wyjaśnić w dowództwie radzieckim, stacjonującym w pobliżu jeziora, w folwarku w Gulbinach u Masalskiego. Z polecenia "Kaziuka" na rozmowę z dowódcą radzieckim zostałem wyznaczony w towarzystwie trzech partyzantów. Pojechalśmy konno z przepisowym "reprezentacyjnym" uzbrojeniem w automaty, z opaskami biało-czerwonymi na lewym ramieniu.

Jechaliśmy stępą dobrze znaną mi drogą, również do znanego

folwarku i jego właściciela. Było już dobrze po porze śniadaniowej lecz przed obiadem, kiedy dojeżdżaliśmy do celu naszej podróży.

W bramie wjazdowej w podwórze stał żołnierz na warcie, z którym zaczęliśmy rozmowę na temat widzenia się z dowódcą.

W trakcie tej krótkiej rozmowy, z położonego w głębi podwórza niskiego domku folwarcznego, na werandzie ukazał się pułkownik radziecki w towarzystwie paru oficerów - prawdopodobnie poinformowany o naszej wizycie przez drugiego wartownika, stojącego przy wejściu do domu i słuchającego naszej rozmowy.

Przy wjeździe na podwórze zsiadłem z konia i po przekazaniu go pod opiekę jednemu z konnych partyzantów, poszedłem do stojącego pułkownika. Byłem nieco zażenowany tematem rozmowy, jaką musiałem przeprowadzić. Obawiałem się, że jeśli padną szczegółowe pytania w sensie na przykład: skąd wiadomo, że konie zostały zabrane przez żołnierzy radzieckich, a nie oddane komu innemu przez naszych ludzi? Albo, czy potrafimy rozpoznać nasze konie? Pomyślałem, że ani ja, ani moi partyzanci nie potrafimy dokładnie scharakteryzować koni, które zdobyliśmy od policji białoruskiej lub artylerzystów niemieckich.

Zbliżyłem się do pułkownika, zasalutowałem. Podał rękę pytając skąd jesteście i czego życzymy. Mówiłem po rosyjsku. W kilku słowach przedstawiłem cel naszego przybycia. Prosił o szczegóły dotyczące naszej jednostki. Był w towarzystwie dwóch oficerów. Jeden z nich notował moją wypowiedź. Informowałem, że jednostka nasza stanowi brygadę partyzancką, której oddziały od wczorajszego popołudnia są rozmieszczone w lasach, tuż za jeziorem Gulbińskim. Był nieco zdziwiony naszą obecnością w tym rejonie. Jeden z obecnych oficerów patrząc na mapę sztabową wrzucił ramionami. Z tego wywnioskowałem, że ruchy naszych oddziałów były notowane na mapach dowództwa.

Odniosłem wrażenie, że zdziwienie pułkownika wynikało z interpretacji słowa "brygada". W jego pojęciu musiała to być jednostka duża. Uważał jednak, że dociekanie rozmiarów naszej brygady, przez wojskowego fachowca, może być pojęte niewłaściwie przez towarzyszących mu niższym stopniem oficerów. Na ten temat rozmowa urwała się.

Pytał również mnie o stopień wojskowy, ponieważ nie miałem żadnych odznak. Informowałem, że w brygadzie naszej noszenie oznaczeń stopni wojskowych było traktowane dowolnie. Komendant, jak też większość oficerów i podoficerów - partyzantów nie mieli kompletnego wojskowego umundurowania. Pomimo to, jako dowódcy wśród partyzantów swoich byli znani, a to narazie organizacyjnie wystarczało. Jeśli idzie o mnie, to występowałem w charakterze oficera łączności w sztabie brygady, w stopniu por.rezerwy z wojny 1939r.

Bardzo często było i tak, że w wyższym stopniu oficer czy podoficer brygady, organizacyjnie podlegał dowódcy niższego stopnia wojskowego. Np.dowódca oddziału "Stary", w stopniu majora rezerwy, podlegał komendantowi brygady, w stopniu porucznika?.

Kiedy na zakończenie mego meldunku poprosiłem o spowodowanie zwrotu dwóch par koni, przyrzekł zaraz to uczynić. Przywołał jakiegoś oficera i nakazał sprawę naszą załatwić bezwzględnie, ponieważ w motywacji nadmieniłem, że konie nam są potrzebne w dalszej akcji, jaką prowadzi nasza brygada. W ten sposób rozmowa pułkownika radzieckiego ze mną została zakończona. Pożegnał się, odszedł do domu.

Przy końcu mojej rozmowy z pułkownikiem z mieszkania wyszedł dobrze mi znany właściciel folwarku p.Masalski, z którym przywitałem się i otrzymałem zaproszenie na kawę. Przytem poinformował mnie, że na kawę został zaproszony również pułkownik, z którym będę mógł kontynuować rozmowę przy stole. Masalski poprowadził mnie do położonego koło

domu sadu, gdzie przy ustawionym stole, poza bliskimi domownikami gospodarza, siedział prof. Jagmin z żoną i córką.

Masalski zaprezentował mnie siedzącym przy stole. Usiadłem obok prof. Jagmina, był bardzo zdziwiony i zmieszany spotkaniem ze mną. Profesor był ze mną w siatce konspiracyjnej. W dalszym ciągu pozostawał w siatce i obawiał się, że go ujawnię. Poinformował, że przebywa tu z rodziną od kilku dni. Z Wilna wyjechał jeszcze przed akcją partyzancką. Był też w Budach, odwiedził swoje gospodarstwo, pozostawione pod opieką robotnika-zarządcy.

Przy stole rozmowa nasza trwała krótko na temat ostatnich wydarzeń wojennych. Pułkownika radzieckiego nie doczekałem się. Zresztą sprawę z nim załatwiłem. Do stołu natomiast podszedł oficer radziecki i oświadczył, że konie zostały przyprowadzone i znajdują się na podwórzu do odebrania.

Pożegnałem Masalskiego i Jagmina łącznie z resztą towarzystwa przybywającego przy stole. W ślad za oficerem, pośpiesznie udałem się do oczekujących mnie ludzi i razem z nimi podeszliśmy do żołnierzy radzieckich trzymających dwie pary wychudzonych koni. Jedna para była z uprzężą, możliwą do dalszego użytku. Druga - bez uprzęży. - Idący ze mną oficer zapytał? - Czy to te konie? Innych nie ma. Cóż mamy robić? - pomyślałem. Skoro innych nie ma, należy brać to co dają. Mogą przecież zmienić decyzję i powiedzieć, że naszych koni w ogóle nie ma. Wziąłem również pod uwagę i to co mówił mi Masalski, że żołnierze radzieccy, zaraz po przyjeździe, wczoraj poszukiwali koni w okolicy. W tej sytuacji, zdaniem Masalskiego, było mało prawdopodobne, żebym jakieś konie otrzymał.

Zabraliśmy konie i pośpiesznie pociągnęliśmy do naszego obozu, gdzie już od paru godzin "Kaziuk" niepokoił się naszą nieobecnością.

Po przekazaniu koni do oddziału, zjadłem spóźniony obiad, a potem towarzyszyłem "Kaziukowi" w przeglądzie rozłokowanych oddziałów w lesie. Większość partyzantów zajęta była czyszczeniem broni, porządkowaniem garderoby, praniem onuc, skarpet itp.

Do okolicznych miejscowości brygada wysłała patrole, których zadaniem było zapobieganie samowoli łazikujących partyzantów. Poza paru wyjątkami, wałęsania się partyzantów nie stwierdzono. W czasie obchodu okolicznych zaścianków w rejonie Gulbin, jeden z patroli przechodząc ścieżką przez żyto, natknął się na trupów dwóch partyzantów, leżących z karabinami oraz w niewielkiej odległości, na zamordowanego niejakiego Kosakowskiego, prawdopodobnie jednego z właścicieli okolicznych folwarków. Tajemnica śmierci tych ludzi ani w czasie naszego postoju, ani potem nie została wyjaśniona.

Dłuższy pobyt na biwaku nie był przewidziany. To też zgodnie z rozkazem dowódcy zgrupowania, brygada znalazła się w marszu w ogólnym kierunku na południe od Wilna 20-30 km, trasą mniej więcej ustaloną. Po osiągnięciu tego rejonu brygada miała otrzymywać dalsze rozkazy.

22. Postój w Lubowie.

Około północy w ciemnościach oddziały uformowały kolumnę marszową na leśnej drodze w kierunku północno-zachodni brzeg jeziora krzyżackiego. Przyzwyczajeni do przemarszów nocnych, sprawnie i w względnej ciszy, weszliśmy za jeziorem na nieokazaną drogę pełną wyboi i kamieni. Szliśmy drogami przez zaśc. Ustronie i Pocztonkę. Dochodziliśmy do Lubowa jak zaczynało świtać.

Dwór Lubów należał od dawna do miejscowego obywatela Sliźnia. W czasie wojny dwór znalazł się pod zarządem niemieckim. Posiadał młyn wodny, w którym w czasie okupacji, pomimo ostrej reglamentacji można było zmleć większą ilość zboża bez specjalnych świadectw. Sprawiał to przychylny stosunek samego młynarza do tego rodzaju usług. Młynarz popierał również działalność naszego podziemia, narażając się lotnym kontrolom administracji litewskiej, współpracującej z okupantem.

W Lubowie rozlokowaliśmy się zajmując wszystkie budynki, przede wszystkim wielką i na przednówku pustą stodołę.

Głównym celem naszego postoju w Lubowie była organizacja zaopatrzenia w środki żywności, których niedostatek coraz bardziej odczuwaliśmy. Trudności aprowizacyjne powstały od początku koncentracji oddziałów brygady. Trudności narastały gwałtownie w miarę przybywania rozrzuconych w terenie oddziałów, które przyjmowały nowych ludzi i koncentrowały się do wykonania zadań brygady.

Przemarszem całej brygady za Wilię na południe od Wilna, już zawczasu wymagał rozwiązania problemu aprowizacji, tym bardziej, że w dejonie koncentracji wszystkich brygad i oddziałów okręgu wileńskiego Armii Krajowej, należało się liczyć z kompletnym brakiem możliwości zaopatrzenia w żywność.

Za pośrednictwem łączników do Lubowa zostali zwołani, wyznaczeni w konspiracji wójtowie gmin, położonych zdaleka od rejonu, gdzie przebywały na koncentracji oddziały brygady. Byli to wójtowie gmin: podbrzeskiej, niemenczyńskiej i rzeszańskiej. Wśród nich przybył mój brat Wacław spod Sużan, który był wójtem gminy niemenczyńskiej. Przybyli na zebranie przywieźli na furmankach nieco prowiantu. Wójtowie otrzymali polecenie zorganizowania dostawy: mąki, słoniny- mięsa i innych produktów, w ciągu najbliższych dni do wyznaczonych miejscowości, skąd będą pobrane przez intendenta brygady.

Kilka sztuk bydła, a w tym olbrzymiego buhaja przypędzili partyzanci z maj. Pikieliszek. Część zabranego bydła partyzanci po drodze rozlokowali w okolicznych zaściankach, by potem w razie potrzeby zabrać do kuchni. Były to przeważnie krowy dojne, które przez opiekujących się nimi gospodarzy mogły być zamienione na jałówki lub buhajki.

W ślad za partyzantami przyszły kobiety z Pikieliszek ze skargą do Komendanta, że przy rekwizycji bydła dworskiego, pomyłkowo zostały zabrane krowy robotników. Zarządzono dochodzenie i poszukiwanie wśród przypędzonego bydła krów spornych, których jednak w tej partii nie znaleziono. Ponieważ kobiety z płaczem nalegały na zwrot krów, Komendant polecił sprawę załatwić. Otrzymałem wykaz gospodarzy, u których partyzanci pozostawili krowy na przetrzymanie. Kobietom kazałem zgłosić się tam, celem rozpoznania i zabrania swoich krów. Ja tymczasem konno, z trzema konnymi partyzantami udałem się pod wskazane w wykazie adresy, celem wyjaśnienia gospodarzom, by okazali krowy kobietom, zgłaszającym się z naszego polecenia. W przypadku rozpoznania, krowy musiały być zwrócone ich

właścicielkom.

Po drodze najpierw zajechałem do Niemenczynka, gdzie parę krów było na przetrzymaniu u poławnika Łabanowskiego. Wjeżdżając na podwórze spotkałem Łabanowskiego i jego córkę p.Aldonę, która prosiła bym zaszedł odwiedzić rannych partyzantów z oddziału "Juranda", których tu przed paru dniami przywieziono na leczenie. Zsiadłem, konia oddałem jednemu z konnych towarzyszy i w ślad za p.Aldoną wszedłem przez kuchnię do pokoju stołowego, z zamiarem przejścia w głąb pomieszczenia, gdzie znajdowali się ranni. W pokoju stołowym spotkałem wchodzącego lekarza radzieckiego w stopniu majora. Przy powitaniu przedstawiłem się. Był uprzejmy, rozmowny. Widząc białą-czerwoną opaskę na ramieniu zapytał, czy nie przywożę mu rannych partyzantów, ponieważ tu mieści się szpital polowy, w którym znajduje się kilku rannych. Wyjaśniłem, że cel mojej wizyty jest inny, a przybywam tu, by odwiedzić rannych, wśród których być może znajdują się znajomi. Major prosił bym z rannymi nie wdawał się w rozmowę, ponieważ stan ich zdrowia wymaga spokoju tymbardziej, że przed chwilą był robiony opatrunek.

Z majorem i p.Aldoną szybko przeszedłem przez pokój, w którym na zasłanych łózkach leżeli ranni. Dwóch z nich cierpiało najbardziej - ciężko oddychali. Partyzanci "Juranda" odnieśli rany koło Kalwarii, w utarczce z grupą Niemców, wmykających z obleganego przez partyzantów Wilna. Było kilku zabitych, a wśród nich dowódca oddziału "Jurand". Zabitych pochowano prawdopodobnie na cmentarzu w Kalwarii, gdzie też znajduje się kościół, przed wojną odwiedzany łącznie z kapliczkami przez rzesze pątników, ściągających z zakątków Wileńszczyzny.

Z Niemenczynka pojechałem załatwić powierzoną mi sprawę wśród

okolicznych gospodarzy. Do Lubowa wróciłem pod wieczór. Zostałem zbiórką oddziałów, przegląd broni i oporządzenia. Na zbiórce były tylko oddziały piesze, wzmocnione liczebnie nowymi ludźmi, którzy dochodzili z Wilna i ze wsi w ślad za posuwającą się brygadą.

Oddział cyklistów z dowódcą "Teodorem", był wysłany w jakiejś sprawie do pierwszego miejsca postoju w Sawkiszkach. Oddziały konne, w tym oddział konnych policjantów białoruskich, który przeszedł na naszą stronę, były wysłane za Wilię, gdzieś do rejonu Kojran.

Oddzielenie oddziału cyklistów i konnych na czas przemarszu za Wilię, było jak najbardziej na rękę dowództwu, ze względu na trudności aprowizacyjne, które pomimo doraźnego zaopatrzenia w żywność, w dalszym ciągu istniały. Na wozach oddziału znalazł się pewien zapas mąki i kaszy jęczmiennej, pobranych z młynów w Gulbinach, Kalinie i Lubowie, oraz nieco słoniny i wędlin, dostarczonych przez wójtów. W kuchniach polowych ulokowano partię wołowiny, przeznaczonej na jednorazową strawę. Kilka sztuk bydła, przeznaczoną na rzeź, była przywiązana do wozów kuchennych i przygotowana do marszu. Żelazną porcję mięsa w postaci żywca, stanowił olbrzymi buhaj, który miał być zjedzony w ostateczności z braku dalszych dostaw.

Przygotowaną do dalszego marszu brygadą, zastała jeszcze jedna noc w Lubowie.

23. Marsz za Wilią.

Z Lubowa wyszliśmy rano. Maszerowaliśmy w kierunku Wilii drogą wiodącą do wsi Brataniszki i Tartaki. Wszędzie, gdzie tylko przechodziliśmy przez osiedla, wychodziła na drogę ludność, przyjaźnie i żywo nas witając. Pytała - dokąd idziemy? - Przecież Niemców za Wilią już nie ma! - Kiedy będzie polski rząd?

Na to ostatnie pytanie, dogłębnieⁿ interesujące każdego obywatela, niestety odpowiedzi dać nie mogliśmy. Sami nie wiedzieliśmy, kiedy na naszych ziemiach ukształtuje się prawowita władza. Wierzyliśmy jednak niezłomie, że dzień taki nadejdzie w niedługim czasie.

Dochodziliśmy do Wilii, której wartko płynące wody od wieków, wyłobiły głębokie koryto. Z naszej strony wstęga rzeki widoczna była gdzieś daleko na horyzoncie południowym. Wpatrzeni w krajobraz daleko płynącej wody, wśród okalającego lasu, nie zauważyliśmy jak przed nami ukazał się most strategiczny. Po obu końcach mostu chodzili pojedynczy żołnierze radzieccy.

Po przejściu mostu maszerowaliśmy przeważnie drogami leśnymi. Partyzanci śpiewali różne piosenki: wojskowe i ostatnie przedwojenne szlagiery. W upalny dzień przemarsz lasem był mało nużący.

Szliśmy do Kojran, do rejonu gdzie przed wojną corocznie latem obozowały pułki wileńskie, należące do pierwszej dywizji piechoty legionów. Jednego z tych pułków, przebywającego na poligonie ćwiczebnym zaskoczyła mobilizacja wojenna w 1939r.

Wychodzących i wracających z poligonu żołnierzy szale i tłumnie witali mieszkańcy Wilna. W myśl¹ naszych powstawały obrazy tamtych lat, dla wielu z nas - lat dzieciństwa okresu szkolnego.

Rozmyślając o tamtych, niezbyt odległych, a jakże innych czasach, mimo woli powstawało gnębiące nas wszystkich pytanie: co będzie z

nami? Wyszliśmy w pole na bój z okupantem, żegnani myślą o nas i błogosławieństwem wielu tysięcy życzliwych serc wileńskich. Czy danym nam będzie wrócić do ukochanego Wilna, by razem z jego mieszkańcami przeżyć radosne chwile zwycięstwa? Zdawaliśmy sprawę, że wysiłek nasz w ramach długotrwałych zmagani Armii Krajowej i innych ugrupowań wojskowych naszego Kraju, był mierny w zestawieniu z działaniem sił zbrojnych państw antyniemieckiej koalicji. Odwrót Niemców z Wilna i wschodnich ziem Polski daleki był jeszcze od zwycięskiego końca wojny. Wierzyliśmy, że dzień ten nadejdzie i przepojeni nadzieją byliśmy gotowi podjąć dalszy wysiłek, by wykonać zadania, jakie postawi nam kierownictwo akcji zbrojnej.

Po wyjściu z lasu znaleźliśmy się wśród złocistych łanów dojrzałego żyta. Dokuczliwy upał zbijał z nóg słabszych fizycznie partyzantów. Niektórzy, obuci w pantofle, nadające się do spaceru w mieście, obtarli nogi i często szli boso. Ci, którzy nie mogli iść, otrzymali zezwolenie jazdy na furmankach naszego dość szczupłego taboru. Na jednej z takich furmanek jechał bliski mi kolega Czesław Słuchocki, który opiekował się moim skromnym partyzanckim ekwipunkiem.

W towarzystwie innych oficerów jechałem konno. W czasie jazdy lasem, spocone konie były napastowane przez roje różnych owadów. Spośród nich najbardziej dokuczliwe były gzy końskie, które z obu stron obsiadywały końską szyję i nakłuwały do krwi. Próbowałem odganiać ręką lub witką z liśćmi. Niewiele to jednak pomagało. Najradykałniejszym sposobem okazało się zabijanie siedzących na końskiej szyi natrętów. Łatwiej było poradzić z natrętnymi, dbobnymi muszkami, które wlażyły do uszu końskich. Tych można było skutecznie odganiać długą witką z liśćmi. Najlepiej do tego nadawały się:

leszczyna i brzoza.

Po wyjściu z lasu roje dokuczliwych owadów długo jeszcze towarzyszyły koniom i ludziom. Spiekota słoneczna wymagała pragnienia. Wszyscy chcieli pić. Mało kto miał manierkę lecz już dawno bez wody. Fatalnie się złożyło, że na długiej trasie naszego marszu szczególnie w lesie nie było ani studni, ani rzeczki czy sadzawki. W widocznych zdala od drogi zabudowaniach, zapewne były jakieś źródła lecz żeby się napić, należało zejść z trasy około kilometra.

Przeszliśmy znaczny odcinek drogi, aż trafiliśmy na niewielki strumyk, za którym w niewielkiej odległości stały zabudowania kilku gospodarstw, a w ich obrębie były dwie studnie. Zarządzono postój. Znużeni upałem partyzanci szybko rozeszli się wzdłuż strumyka i do studni po wodę. Pili wszyscy: ludzie, konie i buhaj, który szedł na końcu kolumny, przywiązany do wozu kuchennego.

Odpooczynek trwał godzinę. Potem znowu marsz drogami wśród pól z pochylonymi kłosami dojrzałego żyta i zielonego jeszcze owsa, który za powiewem wiatru lekko falował. Przyjemny zapach nagrzewanego słońcem zboża, co pewien czas znikał w kłębach kurzu, unoszącego się nad kolumną marszową, rozciągniętą na kilometr.

Coraz częściej spotykaliśmy ludzi pracujących w polu przy sprzęcie żyta. Były to jednak zespoły bardzo małe 2-3 osobowe. Kiedy przechodziliśmy ludzie przerywali pracę, zbliżali się do kolumny, długo się nam wpatrywali, jakby w ten sposób starali się utrwalić w pamięci obraz żołnierzy - mścicieli, wymarzony w latach ciężkiej okupacji. W ten sposób witali nas wszędzie w polu, w gospodarstwach, czy na ulicach wiejskich. Witali nas, by zegnać, wzruszonym wyrazem twarzy i serdecznym życzeniem rychłego zakończenia wojny - szczęśliwego powrotu do domu.

Do wsi Kojrany weszliśmy pod wieczór. Oddziały rozlokowały się przeważnie w stodołach. Wielu też partyzantów znalazło pomieszczenie w mieszkaniach, w izbach zwanych "stancjami". Tam na słomie lub siabie, przyniesionym ze stodoły, urządzano wyśmienite spanie i odpoczynek.

Mieszkańcy wsi przyjęli nas bardzo życzliwie, nie szczędzili pomocy w aprowizacji: dostarczali mleka, chleba, ziemniaków. Strawę przeważnie otrzymywaliśmy z kuchni polowych. Tylko niektórzy zakwaterowani w izbach, korzystali z pieców gospodarzy i żywili się we własnym zakresie.

W czasie postoju, trwającego w ciągu kilku dni, wyznaczony był oddział służbowy, który pełnił warty, wystawiał czujki i wysyłał patrole. Głównymi drogami w stronę Wilna co pewien czas przejeżdżały samochody radzieckie, przechodziła piechota. W okolicy również można było spotkać niedobitków żołnierzy radzieckich, którzy przeważnie uzbrojeni niewielkimi grupami błądzili po polnych i leśnych drogach. Patrole nasze tylko w jednym przypadku przytrzymały 3-ch Niemców, których po razbrojeniu zaraz przekazaliśmy przebywającemu w okolicy oddziałowi radzieckiemu. Pozatem patrole nasze w dwóch wypadkach znalazły przy drogach trupy dwóch żołnierzy niemieckich, bez broni i butów.

Co dzień, z rana i wieczorem, zgodnie z rozkazem Komendanta, w oddziałach odbywały się apele i modlitwa zakończona pieśnią. Rano śpiewano "Kiedy ranne wstają zorze". Wieczorem po kolacji, "Rotę" i "Wszystkie nasze dzienne sprawy". Kiedy partyzanci stojąc na zbiorce na podwórkach w rejonach swego postoju śpiewali modlitwę, mieszkańcy wsi wychodzili z domów, stawali za oddziałem i razem śpiewali.

Któregoś dnia, w czasie postoju w Kojranach "Kaziuk", podobnie jak i inni komendanci brygad, wezwany był na odprawę do dowództwa zgrupowania AK. Po powrocie z tamtej odprawy "Kaziuk" poinformował swoich oficerów, że zgodnie z postanowieniem dowództwa okręgu wileńskiego AK, brygady partyzanckie mają stanowić załączek pułków wileńskich. W dniach najbliższych będą przeorganizowane, umundurowane i uzbrojone do dalszej walki z okupentem. Sprawa ta jakoby była uzgodniona z dowództwem radzieckim.

Partyzanci z zadowoleniem przyjęli tę wiadomość, chociaż naprawdę mało kto wierzył, że tak będzie jak byli informowani.

24. Marsz na koncentrację zgrupowania brygad A.K.

Kojrany opuściliśmy żegnani serdecznie przez miejscową ludność, która w ciągu wielu lat w okresie międzywojennym, zżyła się z żołnierzami przebywającymi tu każdego lata na poligonie ćwiczebnym. Nikt z nas, ani mieszkańców Kojran nie przypuszczał, że był to ostatni pobyt żołnierzy - partyzantów.

Tym razem kierunek marszu prowadził przez Nową Wilejkę, gdzieś tam do rejonu Miednik. Szliśmy jak zwykle drogami polnymi, w szyku luźnym, w kolumnie mocno rozciągniętej. W drodze spotykaliśmy oddziały żołnierzy radzieckich, maszerujące w kierunku Wilna. W oddziałach często widywaliśmy dziewczyny z bronią. Wyglądały bardzo przemęczone uciążliwym marszem.

Przez Nową Wilejkę^k przechodziliśmy główną, szeroką ulicą. Jechałem konno w grupie innych oficerów brygady na czele kolumny. Za nami maszerowali partyzanci uformowani czwórkami. Na końcu ciągnęły kuchnie polowe, a przy jednej z nich, nasza żelazna porcja mięsa - rosły buhaj, przyciągający uwagę mieszkańców miasta i żołnierzy radzieckich.

Partyzanci śpiewali popularne piosenki, jak: "Rozszumiały się wierzby płaczące", "My pierwsza brygada" i inne wojskowe. Słyszając melodię tych piosenek, miejscowa ludność podniecona nieopisanym prostem uczuciem radości i przyjaźni, wybiegła na ulicę lub pośpiesznie otwierała okna, by lepiej widzieć i słyszeć maszerujących żołnierzy, wśród których byli i ci przynależni do stacjonujących tu przed wojną pułków piechoty i kawalerii. Ludność manifestacyjnie witała nas okrzykiem :

- Niech żyją partyzanci! Niech żyje Polskie wojsko!

Kobiety, dzieci i mężczyźni podbiegali do maszerujących partyzan-

tów, wręczali kwiaty i szli obok, odprowadzając na koniec miasta. Kwiatami dekorowane były nasze konie i wozy oraz rzucone pod nogi maszerujących. Ta wyjątkowo podniosła, pełna rodzinnego uczucia scena, w czasie naszego przemarszu przez niezapomniane miasto była kilkakrotnie fotografowana przez wielu ówczesnych amatorów. Niestety, żadnego z tych zdjęć nie otrzymałem. Nie wiem również czy któryś z naszych partyzantów jest w posiadaniu tego historycznego zdjęcia z wyrazem tak przyjaznego uczucia mieszkańców podwileńskiego miasta. Z ubolewaniem też stwierdzam, że nie mam zdjęć innych, zrobionych w czasie postoju w Sawkiszkach, na biwaku za jeziorem lub gdzie indziej. Dopiero teraz, po wielu latach, kiedy obrazy dokumentujące fragmenty ówczesnego życia naszej brygady, nikną w mrokach pamięci, widzę jaką to bezcenną wartość mogą mieć zrobione wówczas zdjęcia. Przypuszczam jednak, że znajdują się ludzie, którzy przechowując te historyczne zdjęcia, uchronią od zapomnienia zryw licznej grupy obywateli, kierowanej jedynie poczuciem obowiązku względem swego Kraju.

W Nowej Wilejce przeszliśmy tor kolejowy, połączenia Wilno-Nowo-Swięciany, kierując się na południe, prawdopodobnie w rejon Wołkorabiszki. Nie mogę przypomnieć gdzie mieliśmy ostatnie postoje przed wstrzymaniem naszego marszu przez czerwoną armię.

W drodze na ostatnie miejsce postoju, już po południu, przez cały czas obserwowaliśmy częste przeloty krążących nad nami samolotów radzieckich. Dziwiliśmy się temu tym bardziej, że samoloty obserwacyjne latały bardzo nisko nad nami. Narazie nie zdawaliśmy sprawy, że celem tych przelotów była obserwacja przemarszu oddziałów partyzanckich armii krajowej.

Po dojściu do wyznaczonego miejsca postoju komendant brygady

otrzymał od dowództwa zgrupowania rozkaz przybycia na odprawę komendantów brygad do m.Bohusze, gdzie przy udziale gen. "Wilka", dowódcy oddziałów armii krajowej okręgu wileńsko-nowogródzkiego, miała odbyć się rozmowa z przedstawicielami czerwonej armii: Na odprawę, z ramienia naszej brygady, po naradzie z oficerami, komendant w swoim zastępstwie delegował majora rez."Starego" - Czesława Makowskiego. W charakterze adiutanta na ochotnika zgłosił się podchor.rez. "Strasburger" - Czesław Plejewski.

Według notowanej relacji tego ostatniego, na odprawę udał się on wraz ze "Starym" w dniu 17 lipca 1944 r. na godz. 19-tą do leśniczówki w m.Bohusze, oddalonej około 12 km od miejsca postoju naszej brygady. Na odprawie z przedstawicielami dowództwa czerwonej armii miały być omówione ostatecznie warunki naszego współdziałania z armią radziecką i organizacji pułków wileńskich.

Długie godziny z niepokojem oczekiwaliśmy powrotu naszych przedstawicieli z odprawy. Byliśmy oszołomieni informacją, dostarczoną nam około północy przez łącznika dowódcy zgrupowania. Dowiedzieliśmy się, że wszyscy przedstawiciele brygad zaraz po przybyciu do wyznaczonego miejsca spotkania z dowództwem radzieckim, zostali internowani. Okazało się, że gen."Wilk" z jego sztabem był aresztowany wcześniej.

Jednocześnie z tą informacją otrzymaliśmy rozkaz dowódcy zgrupowania /pseudonimu i nazwiska nie pamiętam/, nakazujący marsz brygad armii krajowej w kierunku lasów Rudzickich, prawdopodobnie z zamiarem przejścia w rejon puszczy Biłłowieskiej i dalej pod Warszawę, która znajdowała się w ręku Niemców.

25. Ostatni etap

Zgodnie z rozkazem dowódcy zgrupowania, brygada nasza miała pełnić straż tylną kolumny marszowej. Przystępując do wykonania tego rozkazu "Kaziuk" zaraz o północy zwołał odprawę wszystkich oficerów: nakazał ewidencję ludzi w oddziałach, broni i amunicji. Wszystkim wyznaczył odpowiednie funkcje. Ja zostałem wyznaczony na oficera łącznikowego do dowódcy zgrupowania. Zdobyte na Niemcach haubice z braku warunków w dalszej akcji, zostały rozbrojone i pozostawione na opuszczonym przez nas miejscu postoju. Zaraz po odprawie w oddziałach trwały przygotowania do marszu. Przy skąpym świetle świec i latarek elektrycznych, a nawet w kompletnej ciemności, partyzanci w nocnej ciszy zabierali swój sprzęt, opuszczali mieszkania i wychodzili na drogę, zajmując wyznaczone rozkazem miejsce. W niespełna pół godziny od otrzymania rozkazu brygada była gotowa do wymarszu.

Należy nadmienić, że ponad 300 partyzantów naszej brygady pozostało w oddziałach za Wilią, w poprzednio zajmowanych rejonach, z powodu utraty łączności z głównymi siłami brygady, a to w związku z szybkim jej przemarszem, kierowanym rozkazami dowództwa zgrupowania.

Z rozkazu dowódcy brygady miałem odnaleźć w marszu dowódcę zgrupowania i zameldować się jako oficer łącznikowy. Z moją misją do dowódcy zgrupowania wyjechałem konno w asyście trzech konnych łączników, jeszcze przed wymarszem brygady. Wszyscy byliśmy uzbrojeni w automaty. Ja dodatkowo miałem parabellum, jak również lornetkę polową, kompas i mapy. Przed samym wyjazdem, memu bliskiemu koledze, inż. Czesławowi Słuchockiemu, z którym byłem w stałym kontakcie, zleciłem pieczę nad moim pod-

różnym kuferkiem z bielizną i różnymi drobiazgami, łącznie z pełną manierką samogonu, który miał być wypity po szczęśliwym zakończeniu akcji.

Muszę nadmienić, że w brygadzie naszej obowiązywał srogi zakaz picia alkoholu w czasie marszu lub akcji bojowej. Przekroczenie tego zakazu groziło sądem polowym.

Tuż przed wyjściem z oświetlonej izby, wspólnie z "Kaziukiem" na rozłożonej mapie oznaczyłem kierunek i drogę przemarszu kolumny zgrupowania brygad AK oraz drogę mojej jazdy z m p naszej brygady do kolumny marszowej, w której gdzieś tam miał się znajdować dowódca zgrupowania. Ponieważ nie miałem latarki elektrycznej, a tylko zapalniczkę, dającą nikłe światło, szczególnie drogi wiodącej do kolumny marszowej, starałem się utrwalić w pamięci i wyobraźni, by w ciemnościach nocy, niemal po omacku wejść na drogę właściwą.

Pożegnałem dowódcę "Kaziuka" oraz kolegów i z moimi łącznikami wyruszyłem w drogę. Było około północy. Ciemno dookoła. Konie, przyzwyczajone do nocnych marszów, parskwały i powoli stąpając niechętnie wychodziły z podwórza na wiejską drogę.

Po wyjeździe z podwórza w ciągu kilkunastu minut jechaliśmy drogą skrajem wiejskich zabudowań. Jechaliśmy wpatrzeni w szarą otchłań przed nami. Z lewej strony ciągnęły się jakieś zarośla, które kryły do reszty jakikolwiek odcień światła. Z prawej - raz po raz mijaliśmy wiejskie zabudowania, położone z dala od drogi. W większości zabudowania tkwiły w zaroślach, a tylko tam gdzie były bez osłony ukazywały się nad nimi szare skrawki nieba. Jechaliśmy nie rozmawiając. Tym razem psy nie okazywały swego zainteresowania nami. Widocznie już dostatecz-

nie były oswojone ruchem partyzantów w ciągu poprzedniego dnia i nocy. Może też był respektowany wydany przez nasze dowództwo nakaz gospodarzom, by na noc zamykali psy w budynkach. Jedynie tylko co pewien czas zdala za nami dochodziły coraz bardziej słabnące, ledwo dosłyszalne odgłosy formujących się do marszu oddziałów, rozkwaterowanych częściowo w przeciwnym końcu tej wsi, częściowo w gospodarstwach sąsiednich. Wszystko to pozostawało za nami.

Minęliśmy zabudowania wiejskie i po upływie godziny, mniej więcej zgodnie z wyliczeniem dojechaliśmy do skrzyżowania naszej drogi z drogą nieco szerszą. Skręciliśmy w lewo i byliśmy już na drodze, którą według przyjętych założeń, tam gdzieś przed nami powinna posuwać się kolumna partyzantów. Pewności jednak ani ja, ani moi towarzysze, nie mieliśmy. Wprawdzie wzrok nasz na tyle już dostosował się do ciemności, że mogliśmy rozróżniać ciemniejsze plamy krzaków przydrożnych, na tle jednolitego bardziej szarejącego pasma drogi. To było wszystko co wzrokować mogło nas orientować.

Po przejechaniu paru kilometrów zaczęło się robić nieco widniej. Przed nami z prawej strony zaznaczył się kompleks zabudowań. Droga nasza wiodła tuż koło pierwszego budynku. Jak się niebawem okazało był tu koniec wsi, usytuowanej prawie prostopadle do kierunku naszej jazdy.

Niedaleko przed wsią ponagliliśmy łydkami nasze konie, z zamiarem szybszego wyminięcia zabudowań. W tym momencie poczułem, że siódło moje ma tendencję zsuwania się pod konia. Szybko zeskokczyłem. Sprawdziłem siódło i stwierdziłem, że popręg ledwie się trzyma na rozprutym szwie. Jednemu z moich łączników

daję do trzymania konia, a w towarzystwie drugiego idę do pierwszego zabudowania. Po małych okienkach w budynku orientuję się, że jest tam jakieś mieszkanie. Stajemy koło jednego z okien - pukam ! Odzywa się męski głos. Dogadujemy się. Zaspany mężczyzna otwiera drzwi i zaprasza do mieszkania. Zapala małą świecą lampkę. Pospiesznie mówię o przygodzie z siodłem i proszę o szybką pomoc. Gospodarz chwilę zastanowił się, powiedział, że ma dratwę i ~~fydło~~ oraz może spróbować przyszyć popręg. W tym czasie kiedy przyniesiono moje siodło, a gospodarz podjął jego reperację, łącznikom moim nakazałem krótki postój, z tym jednak, by jeden z nich pozostał na dworze przy koniach.

W czasie przyszywania popręgu pytałem gospodarza, ktp jest w okolicy, czy przypadkiem nie widział partyzantów ? Na moje zapytanie gospodarz natychmiast się wzruszył, przerwał pracę i zaczął opowiadać co widział przed dobrą godziną. Mówił, że w tej wsi nigdy nie widział tylu partyzantów, ilu niedawno przeszło. Opowiadał, że z nastaniem zmroku / prawdopodobnie około godz. 22-iej /, drogą przez skraj wsi którą jedziemy, w ciągu dwóch godzin ciągnęły oddziały piechoty i kawalerii z taborami, załadowanymi ciężkim sprzętem tak, że konie z trudem szły. Partyzanci we wsi wzięli kilka koni, ponieważ droga wyboista i potrzebna była większa siła zaprzęgu. Oddziały maszerowały dwoma kolumnami. Kolumna druga, nieco mniejsza, szła drogą inną, prowadzącą przez drugi koniec wsi w odległości około pół kilometra. Tamtędy szła przeważnie kawaleria i wozy pancerne, może czołgi ! W tym czasie cała wieś wybiegła na ulicę, by obserwować to nigdy nie widziane widowisko. Przez wieś partyzanci szli do północy. Szli w ciszy, tylko od czasu do czasu słychać było

lekki szmer. Zaraz po przejściu partyzantów rozmówca nasz, jak też i jego rodzina ułożyli się do snu, z którego musiałem ich obudzić.

W trakcie opowieści naszego gospodarza, stojący na dworze z końmi łącznik zapukał do okna, popatrzył na mnie i przywołał kolegę, który zbliżył się do okna. Partyzant wybiegł na dwór, lecz szybko wrócił meldując mi, że przed chwilą stojący na dworze łącznik, jak również i on słyszeli pochodzące z głębi wsi ujadanie psów i głosy radzieckich żołnierzy. Informacja zaintrygowała mnie. Co to może znaczyć? - Pomyślałem. Nie wiem skąd mogli się wziąć żołnierze radzieccy! A może to są nasi partyzanci, pochodzący z północnych powiatów Wileńszczyzny, którzy mieli zwyczaj kłać po rosyjsku? Postanowiłem sprawdzić.

Zanim gospodarz uporał się z popręgiem, korzystając ze światła przeanalizowałem na mapie moją sytuację w marszu do oznaczonego celu. Wieś przy której skraju mamy postój była duża, rozrzucona na odcinku około pół kilometra. Zaraz przy naszym końcu wsi mapa pokazała małą polną dróżkę wiodącą do drogi naszej. Pomyślałem, że wyjeżdżając ze wsi nie trzeba wracać do skrzyżowania, które można ominąć, na niewielkiej odległości.

Kiedy popręg był naprawiony kazałem osiodłać konia i dziękując gospodarzowi za świadczoną usługę wyszedłem na dwór. Wciąż było ciemno. Nie siadając na koń przeszliśmy kilkadziesiąt kroków w kierunku skąd słyszeliśmy jakiś harmider - brzęk metalstwa i urywane głosy, tłumione ujadaniem psów. Zatrzymałem się. Dwom łącznikom z końmi nakazałem czekać, a z jednym poszedłem skrajem ulicy w głąb wsi, żeby zbliżyć się bardziej do miejsca skąd pochodził harmider. Podeszliśmy na odległość chyba z 50

metrów. Ze zdziwieniem obserwowaliśmy, jak w słabym świetle dwóch latarek grupa żołnierzy radzieckich uwijała się przy ustawianiu masztu radio-stacji polowej. Przez chwilę obserwowaliśmy w pośpiechu wykonywaną instalację, domyślając się jedynie sensu tego urządzenia łączności, służącego korespondowaniu większych jednostek wojskowych.

Wróciliśmy do naszych koni z myślą wykonania powierzonego zadania. Wsiadliśmy na koń i we czwórkę stępa skierowaliśmy się na naszą drogę. Już prawie przy końcu tej bocznej wiejskiej drogi, krzyżującej się z naszą główną postanowiłem skrócić w prawo na upatrzoną na mapie dróżkę, by nie wracać poprzednim śladem, czyli koło podwórza gospodarza, świadczącego mi usługę. Jadąc w ^{pr}awo dróżką, która wiodła wagonem przez łąkę, w krótkim czasie wjechaliśmy w jakieś ogrodzenie wykonane z żerdzi i drutu kolczastego. Nie było żadnej rady jak zawrócić na znaną drogę. Zawróciliśmy przyspieszając jazdę byliśmy na głównej drodze.

Ujechaliśmy parę kilometrów, zaczęło świtać, a maszerującej przed nami kolumny nie widać. Gdyby nie ubity ślad na gościńcu przez maszerujących ludzi, skłonny byłbym przypuszczać, że zbłądziłem. Rozmyślając o tym, przy słabym jeszcze brzasku dnia nie zauważyliśmy jak wjechaliśmy obok leżącej przy drodze kompanii żołnierzy radzieckich. Wszyscy oni spali snem kamieniem. Po wyminięciu ich, już chyba z odległości ze stu metrów zauważyłem jak 2-3 ludzi wstało / a byli to prawdopodobnie oficerowie / i zaczęło krzykiem budzić żołnierzy. Przy tym biegali przez leżących, kopiąc ich i klnąc nawoływali do wstawania.

Nie wiem kiedy ta pobudka zakończyła się, ponieważ jadąc

szybko oddział leżących żołnierzy pozostawiliśmy daleko za nami. Potem w rozmowie z dowódcą zgrupowania okazało się, że w czasie przemarszu kolumny tą drogą żołnierzy radzieckich nie było. Prawdopodobnie zostali ściągnięci z dalszego ~~przebiegu~~ postoju i na wyznaczoną drogę przyszedli w nocy po przejściu naszej kolumny, być może tuż przede mną.

Niezadługo zrobiło się całkiem widno. W oddali na łąkach unosiły się opary i wśród panującej dookoła porannej ciszy, jak zwykle o tej porze słychać było głos derkacza. Po wschodniej stronie naszego kierunku jazdy niebo jaśniało brzaskiem porannej zorzy. Lekki wiaterek orzeźwił nas, a z tym zniknął ostatni ślad senności. Jechaliśmy wciąż gościńcem, na którym wydeptane koleiny świadczyły, że tędy przeszło wojsko. Ale czy tylko nasze? Przed nami opodal drogi ukazała się jakaś mała wieś, której kilka zabudowań stało rozmieszczonych z prawej strony. Dojeżdżając w ciszy na wysokość tych zabudowań, na drodze od nich prowadzącej, zauważyłem stojący odkryty samochód, a w nim paru wyższych oficerów radzieckich, pochylonych nad szeroko rozłożoną mapą sztabową. Na przejeżdżających nas chwilę patrzyli i bez słowa znowu pochylili się nad mapą.

Nie wiedziałem dokładnie co to wszystko znaczy, ale informacja o internowaniu dowództwa AK, nocny harmider przy budowie radiostacji polowej, ten oddział leżących przy drodze żołnierzy i oficerowie w samochodzie tkwiący nad mapą, wydały mi się zapowiedzią jakiejś nieprzyjaznej dla nas akcji ze strony dowództwa radzieckiego. Nad tym jednak długo nie zastanawiałem się. Spieszyłem, by za wszelką cenę wykonać rozkaz: odnaleźć kolumnę marszową i dowódcę zgrupowania. Wiedziałem, że za mną

powinna posuwać się nasza brygada, jako straż tylna. Ponagliłem moich łączników do jazdy kłusem i znacząc nasz przejazd kłębam kurzu, unoszącego się spod końskich kopyt, szybko pozostawiliśmy za nami wpátrzonych w mapę oficerów radzieckich.

Było tuż przed wschodem słońca, kiedy gdzieś w oddali z kierunku naszej jazdy posłyszeliśmy warkot radzieckich samolotów wojskowych. Kilka pojedynczych samolotów krążyło nad naszą drogą, nikiąc daleko przed nami i pojawiając się z tyłu.

Na pierwszym wzniesieniu, skąd przed nami widoczne były na pagórkach fragmenty drogi, zatrzymałem się, by obserwować okolicę. Wpatrując się przez polową lornetkę, daleko na horyzoncie, chyba w odległości ponad trzy kilometry, zauważyłem część jakiejś kolumny wojska, która w krótkim czasie znikła z pola widzenia za drzewami i budynkami. Okazało się, były to oddziały naszego zgrupowania.

Po chwilowym postoju wyciągniętym kłusem pędziliśmy naprzód. Konie biegły rańnie, kierowane przez nas dwójkami jeden obok drugiego. W czasie jazdy mijaliśmy szojące opodal drogi zabudowania pojedynczych gospodarstw, w których obejściach nie było widać żadnego ruchu. Zapach miejscami niezżętego zboża i śpiew unoszących się nad polami skowronków, towarzyszyły nam w czasie dalszej jazdy aż do spotkania z kolumną zgrupowania.

Nareszcie za zakretem drogi ukazał się przed nami długi, zdawałoby się bez końca wąż furmanek, usytuowanych na przemian z grupami pieszych partyzantów. Dojechaliśmy szybko, ponieważ cała kolumna posuwała się bardzo wolno, co chwilę zatrzymując się. Wozy i ludzie zajmowali całą szerokość dość wąskiego gościńca. Żeby ich wyminąć musieliśmy zjechać na skraj drogi, czę-

ściowo też i na przyległe pole. Kolumna zatrzymała się kiedy minęliśmy pierwszą partię wozów. Na chwilę zatrzymaliśmy się też i my. Obserwowałem ludzi siedzących na wozach i tych stojących w grupach. Pragnąłem ujrzeć kogoś ze znajomych ewentualnie jakiegoś dowódcę, by się dowiedzieć o miejscu pobytu dowódcy zgrupowania. Najjednym z wozów przy kuchni polowej zauważyłem znajomego sierżanta zawodowego przynależnego przed wojną do któregoś z pułków legionowych w Wilnie. W krótkiej rozmowie dowiedziałem się gdzie jest jego bezpośredni dowódca. Wskazał mi na jednego z partyzantów, stojącego z mapą w rękę w grupie kilku innych. Podjechałem i prosiłem go o informację o dowódcy zgrupowania. Niestety nie wiedział w którym miejscu kolumny może on się znajdować.

Wróciłem do moich łączników stojących opodal na skraju drogi, z zamiarem jazdy dalej wzdłuż nieruchomej kolumny. Tymczasem siedząc na koniu miałem wyjątkowo dobre pole widzenia. Podniosłem do oczu lornetkę i starałem rozejrzeć stojące oddziały. Kiedy skierowałem wzrok na będące w oddaleniu z lewej strony drogi jakieś zabudowania, rozpoznałem kilka czołgów radzieckich, stojących w sadzie pomiędzy drzewami. Przy nich uwijali się żołnierze.

W czasie gdy to obserwowałem, zauważyłem również, że na wysokości zabudowań koło których stały czołgi, kolumna nasza ruszyła powoli do przodu. Czoła kolumny nie widziałem. W tej sytuacji postanowiłem kontynuować naszą jazdę wzdłuż kolumny, aż do znalezienia dowódcy zgrupowania. Jadąc do przodu, mijając grupy partyzantów i wciąż powtarzając pytałem:

- Do dowódcy zgrupowania - gdzie ?

Prikaz złažit ^{ci}ovuzjk.

Zanim jednak przyszło do rozmowy, z wysłannikami radzieckiej armii, dowódca zgrupowania już wobec swego sztabu powiedział że koniec naszego marszu, ponieważ wysłannik od grupy czołgów biegnie z rozkazem rozbrojenia. Zrozumiałem, że ze sprzymierzonymi walczyć nie będziemy, a z krwawym trudem zdobytą broń musimy złożyć.

Na zakończenie mojej służby oficera łącznikowego dowódca zgrupowania oznajmił, że w żadnym rozkazie operacyjnym nie przewidywał rozbrojenia oddziałów Armii Krajowej. Z chwilą otrzymania od dowództwa radzieckiego polecenia złożenia broni, rola dowódcy zgrupowania oddziałów AK została skończona.

Jak dotychczas dowódca zgrupowania nie wiedział w jakich miejscowościach maszerujące brygady otrzymały od dowództwa radzieckiego rozkaz złożenia broni. Sądziłem wówczas, że rozkaz ten był przekazywany naszym brygadam w różnych miejscowościach ich przemarszu. Przypuszczałem słusznie, że rozkaz rozbrojenia zastał również i naszą brygadę, maszerującą w straży tylnej, gdzieś niedaleko za nami.

Pomyślałem : nadszedł koniec naszym żołnierskim marzeniom dalszej walki z okupantem.

Wiadomość o wstrzymaniu marszu i nakazie rozbrojenia, przekazany przez wysłanników dowództwa radzieckiego, błyskawicznie obiegła całą kolumnę partyzantów. Poruszenie było ogromne. Jedni nie wierzyli, inni zaczęli złorzeczyć naszemu dowództwu, ulegając nawet haniebnej myśli o zdradzie. Takiego oburzenia zmasowanych żołnierzy nie widziałem od 1939 r., kiedy na czele niedoformowanego plutonu kawalerii, pod naporem radziec-

kich czołgów , 25 września przekraczałem granicę polskolitevską w rejonie Sejn.

Wrzenie powstało w całej kolumnie. Tworzyły się grupy partyzantów, którzy przebojem chcieli iść naprzód , pomimo perswazji swoich oficerów. Tu winienam przyznać, że obserwując z ubocza ten odruch ogólnego oburzenia, płynącego z głębi żołnierskiego serca, aczkolwiek był dobrze pojmovny przez naszych oficerów, był w różny sposób przez nich hamowany. Ogromny wysiłek mądrych ludzi, wysiłek perswazji i przekonywania , powoli , stopniowo przenikał do rozsądku coraz liczniejszych grup kolegów partyzantów. Projekt wystąpienia zbrojnego w łamaniu bariery hamującej nasz marsz naprzód, szybko tracił poparcie wśród coraz to nowych zdecydowanych na najgorsze jeszcze uzbrojonych grup ludzi.

Dla najbardziej opornych rozbrojeniu i internowaniu pozostawała tylko jedyna droga wymknięcia z okrążenia ^{przez} żołnierzy radzieckich. Ten odruch żołnierski nie mógł być przez naszych oficerów w żaden sposób hamowany. Toteż, chociaż nieliczni, z tej drogi powrotu do domu skorzystali.

26. W drodze do domu.

Nie wiem z kim biegnący oficer radziecki rozmawiał. Niewiele rozmyślając, po krótkiej słowach dowódcy zgrupowania, zameldowałem mu moje odejście do brygady. Przypuszczałem, że zdążę dotrzeć ^{do} do rozbrojeniam.

Wsiadłem na podprowadzonego mi konia i w towarzystwie moich łączników wycofywałem się wzdłuż kolumny w kierunku, z którego przyjechałem. Nie odjechaliśmy chyba 200 metrów jak z prawej strony w oddalonym od drogi zaroślach zauważyłem grupę partyzantów. Pomyślałem - może tam nasza brygada? Ponagliliśmy konie i po chwili byliśmy w upatrzonych zaroślach. Widząc kilku oficerów, zsiadłem z konia i podszedłem na rozmowę. Niestety, byli tam nieznanymi mi ludzie. Nie pamiętam jaka to była brygada.

Rozmawiałem z dowódcą - mężczyzną średniego wzrostu o charakterystycznych długich wąsach. Mówił, że jego brygada przemaszerowała tu do lasu jeszcze w nocy i po skończonym postoju za chwilę zamierza dołączyć do głównej kolumny zgodnie z otrzymanym rozkazem. Kiedy z kolei poinformowałem go o znanej mi sytuacji, mój rozmówca nie chciał wierzyć, że jest już koniec naszego marszu. Zaproponowałem mu, by na potwierdzenie mojej relacji wysłał łączników w kierunku stojącej w oddali głównej kolumny, która została nawiedzona przez radzieckiego wysłannika, domagającego się złożenia broni.

Nie wiem jak ten sympatyczny dowódca brygady postąpił. Zaraz bowiem zaczęły krążyć samoloty radzieckie, które gdzieś tam oddały kilka serii z karabinów maszynowych. Jak się później okazało były to strzały ostrzegawcze, w przypadkach próby ucieczki niektórych oddziałów partyzanckich.

~~oddziałów partyzanckich.~~

Z moimi łącznikami wróciłem do wciąż stojącej głównej kolumny. Zsiadliśmy z koni, by przez chwilę zorientować się w sytuacji, jaka istnieje tam dokąd zamierzam jechać. Widzę jak do stojącej kolumny, grupami i pojedynczo z bocznych dróg dochodzą partyzanci. Rozmawiam z jedną tych grup. Okazało się, że byli to ludzie z naszej brygady z oddziałów przebywających z tej strony Wilii w rejonie Bujwidz. Dowiaduję się, że brygada nasza maszerująca w straży tylnej, z brzaskiem dnia została zmuszona do złożenia broni na polecenie wysłanników dowództwa radzieckiego. Na wieść o tym część partyzantów uległa rozproszeniu z zamiarem wycofania się w najbliższe lasy. Część wymknęła przez zarośla w ślad za kolumną główną.

Przypatrując się dochodzącym partyzantom wśród nich rozpoznaniem mego najmłodszego brata "Romka", który w towarzystwie czterech kolegów, uzbrojonych w karabiny i granaty, zamierzał dołączyć do kolumny. Brat i jego koledzy potwierdzili informację o losie naszej brygady. Rychło też zorientowałem się, że nawiązanie kontaktu z brygadą jest rzeczą niemożliwą.

Łączników moich postanowiłem zwolnić z obowiązków służbowych. Poinformowałem, że w wytworzonej sytuacji oczekuje nas przymusowe rozbrojenie. Jako żołnierze Armii Krajowej z armią radziecką walczyć nie będziemy, lecz w dalszym ciągu obowiązuje nas zasada unikania niewoli i internowania. Z tego żołnierskiego obowiązku nie jesteśmy zwolnieni. Tymi słowami pożegnałem moich kolegów. Odchodząc powiedziałem, że będzie najlepiej, jeśli każdy z nas na własną rękę potrafi znaleźć wolną drogę do domu.

Podszedłem do brata i jego kolegów, szesnastu-siedemnastu

letnich chłopców. Uważałem, że tymi niedoświadczonymi żołnierzami, w tej tragicznej dla nas chwili, mam obowiązek zaopiekować się. Zaproponowałem, by razem ze mną próbowali wyjść z rejonu okrążenia, co się stało faktem oczywistym. Zgodzili się iść ze mną. Poprowadziłem przez pole do najbliższego lasu, należącego do maj. Rakańce. W lasu zatrzymaliśmy się na chwilę, by coś zjeść. "Romek" i jego koledzy mieli trochę chleba i w manierkach mleka. Podzielili się ze mną chlebem i mlekiem, ponieważ również odczuwałem głód, a do jedzenia nie miałem nic.

W czasie posiłku moi nowi towarzysze kilka razy nadmieniali, że zamierzają wyjść z lasu i dalej na szosę. Byli pewni, że w tym rejonie łańcuch okrążenia przez żołnierzy radzieckich nie był zwarty. Chcą ryzykować przejście z bronią.

Kończąc posiłek powiedziałem, że nie podzielam ich zdania i nie zgadzam się iść na oślep. Należy zorientować się jaka jest sytuacja za laskiem, w którym siedzimy. W tym celu jednemu z kolegów "Romka" poleciłem, by poszedł jakieś dwadzieścia metrów w prawo na skraj lasu i obserwował przedpole, łącznie z odcinkiem szosy, od której w niewielkich odstępach czasu dochodzą warkot samochodów. Ja poszedłem nieco w lewo, "Romek" z resztą kolegów miał oczekiwać mego powrotu, zapowiedzianego za 5-10 minut. W tym też czasie miał wrócić obserwator z prawej strony.

Do skraju zarośli w moim kierunku obserwacji miałem kilkadziesiąt kroków. Na skraju zatrzymałem się i zacząłem przez lornetkę obserwować przedpole. Uwagę moją skoncentrowałem przede wszystkim na widocznym odcinku szosy, wiodącej od strony Wilna, a odległej odemnie ponad pół kilometra. W tym czasie ruchu na szosie nie zauważyłem. Wpatrując się w biegnącą ¹² nasypem szosę, w pewnym momencie,

tuż za nią zobaczyłem poruszające się osiodłane trzy grzbiety końskie. Pomyślałem, że chyba są tam jacyś żołnierze? Może nasi? Ku memu zdziwieniu nie potrzebowałem długo czekać. Zaraz bowiem przez szosę na moją stronę przeszło dwóch żołnierzy radzieckich, którzy pośpiesznie skierowali się do stojących opodal zabudowań dróżnika. Za chwilę w ślad za poprzednimi poszło jeszcze trzech.

Na razie przerwałem dalszą obserwację i pośpiesznie wycofałem się z zamiarem poinformowania brata i pozostałych towarzyszy o moim spostrzeżeniu. Nie minęło dziesięciu minut, jak wróciłem na miejsce umówione. Niestety brata, ani jego kolegów nie zastałem. Najpierw pomyślałem, że chłopcy ciekawi sytuacji, po moim odejściu, poszli po cichu w ślad za wysłanym przeze mnie kolegą. Zacząłem po cichu nawoływać: Romek! Romek! Romek! Potem coraz głośniejsze wołanie powtórzyłem. Nikt się jednak nie odezwał. Zaniepokojony poszedłem skrajem lasu w prawo, potem w lewo. Nigdzie na ich ślad nie trafiłem. Nie chciałem wierzyć żeby chłopcy poszli tak jak prze przed chwilą w lesie zamierzali uczynić.

A jednak tak nierozważnie uczynili. W kilka dni potem dowiedziałem się, że w czasie przejścia przez szosę brat mój z kolegami zostali zatrzymani przez żołnierzy radzieckich i podobnie jak wielu innych partyzantów w ogólnej liczbie około 20 tysięcy zostali rozbrojeni i internowani w obozie ^{pod} Miednikami.

Było to ostatecznie w życiu spotkanie z najmłodszym bratem Romkiem. Po przewiezieniu wraz z innymi partyzantami na roboty do lasów dalekiej Kaługi, zmarł zimą w końcu 1944r. Drugi mój brat Kazik ps. "Sęk" wymknął się z okrążenia pierwszego zgrupowania oddziałów AK i do domu wrócił tuż przede mną.

Tymczasem w lesie pozostałem sam. Godząc się z losem rozmyś-

lałem jak wy dostać się z okrążenia, którego łańcuch, byłem pewien, że znajduje się gdzieś w pobliżu. Jeszcze raz wróciłem na skraj lasu i uzbrojony w lornetkę od nowa zacząłem przeglądać okolicę. Tym razem chciałem wiedzieć co się dzieje w najbliższym sąsiedztwie z lasem, w którym przebywałem.

Skraj lasu był usytuowany na wzniesieniu. Przede mną w kierunku szosy i domku dróżnika, do którego weszli żołnierze radzieccy, nieco w lewo widoczna łąka. Na niej część skoszona, a siano złożone w dużych kopkach. Na skraju tej łąki po stronie lasu, nieco w sadzie stały zabudowania majątku Rakańce. Zarówno na podwórzu koło budynków, jak i w sadzie żadnego ruchu nie widziałem. Pomyślałem, że z powodu wczesnego ranku ludzie miejscowi zapewne są pogrążeni we śnie. Partyzanci, czy żołnierze radzieccy tam jeszcze chyba nie doszli.

Następnym odcinkiem obserwacji był na wprost położony łąk żyta, za którym małym skrawkiem znaczyły się zarośla olchy, a za nimi aż do szosy na znacznej powierzchni ciągnęła się łąka. Od strony majątku, dróżką skrajem żyta i łąki, jakiś człeczyna, którego tylko głowa i ramiona były widoczne - prowadził krowę. Dw człeczyna w krótkim czasie znikł z pola mego widzenia. Pozatym dookoła panowała cisza, przerywana co pewien czas echem dalekich ledwie dosłyszalnych strzałów pojedynczych i seryjnych.

Wciąż nie chciałem wierzyć, że Romek z kolegami zdążył przejść przez żyto, zarośla i łąkę. Jeszcze raz podjąłem próbę poszukiwań. Wyszedłem z kryjących mnie zarośli i jakąś miedzą wśród żyta, poruszając się wolno, doszedłem na skraj łąki. Tam na prawo, za zaroślami w niewielkiej odległości pasło się bydło, koło którego chodził chłopiec. Wolno podszedłem i by nie płoszyć raptownym

pojawieniem się, z pewnej odległości półgłosem zapytałem, czy nie widział tu gdzieś młodych partyzantów! Chłopiec poinformował, że tu gdzie od pół godziny pasie bydło, żadnego partyzanta nie widział. W czasie kiedy gnał bydło na pastwisko widział tylko dwóch żołnierzy radzieckich przechodzących dróżką przez zarośla. Po odejściu od mego informatora parę razy nawoływałem brata lecz bezskutecznie. Szedłem w kierunku skoszonej łąki, gdzie widziałem kilka dużych kopek siana. Szedłem z myślą, żeby pod jedną z tych kopek pozostać do nocy. Przechodząc wzdłuż gęstych zarośli posłyszałem rosyjską rozmowę. Byli to dwaj żołnierze radzieccy, uzbrojeni w karabiny z nasadzonymi bagnietami. Szli z drugiej strony zarośli w przeciwnym kierunku. Usiadłem i chwilę czekałem aż się skryją za nasypem szosy, ponieważ tam zacierali.

Siedząc koło żyta zapaliłem fajkę i przypominałem, że dwór Rakańce był często wspomniany przez Romualda Węckowicza, redaktora wydawanego w Wilnie Tygodnika Rolniczego. Dwór należał do jego braci. Postanowiłem wstąpić do dworu z zamiarem odwiedzenia Węckowiczów, których również znałem. Liczyłem również na to, że zastanę tam Romualda.

Podniosłem się i brzegiem łąki tuż koło żyta powoli zacząłem zbliżać się do dworskiego domu od strony sadu. Przytem zwolna podchodząc przez cały czas starałem się wzrokiem i słuchem rozpoznać panującą tam sytuację, pomimo, że z dłuższej obserwacji wynikało, że nie ma ruchu partyzanckiego, ani żołnierzy radzieckich. Przez otwartą werandę wszedłem do jakiegoś pokoju i wśród panującej ciszy zapytałem czy jest kto w tym domu? Na moje zapytanie odezwał się głos męski i z sąsiedniego pokoju przyszedł starszy mężczyzna. Ze zdziwieniem i z pewnym niepokojem spojrzał

na mnie uzbrojonego w automat i parabellum za pasem. Od razu przedstawiłem się jako znajomy Węcłowiczów, wyrażając chęć widzenia któregoś z ich braci.

Z koleż przedstawił się mi ów mężczyzna jako zarządca majątku z ramienia Węcłowiczów. Z miejsca poinformował, że Węcłowiczowie przed paru dniami opuścili majątek i udali się do Wilna. Zapytał w czym może być mi pomocny i czy zechcę chwilę poczekać na skromny posiłek. Zgodziłem się, a mój rozmówca poszedł pośpiesznie do kuchni i polecił przebywającej tam kobiecie /prawdopodobnie swojej żonie/, by ugotowała zacierkę z mlekiem.

Po powrocie z kuchni wypytywał mnie, czy jestem sam? Bowiem jeszcze wczoraj do późnego wieczoru było tu dużo partyzantów. Byli głodni, zjedli wszystek chleb i wędliny, jakie były we dworze. Zjedli - nie żałował, a dziś niestety ani kromki chleba. To też może mnie poczęstować tylko zacierką. Nie zdążył opowiedzieć wrażenia z pobytu partyzantów jak zaproszono nas do stołowego pokoju, gdzie podano parującą zacierką.

W czasie spożywania posiłku okazało się, że zarządca nic nie wie o losie partyzantów, jaki nas spotkał dziś z rana. Kiedy mu wszystko po krótko opowiedziałem bardzo się zdenerwował i kazał kobiecie obserwować drogi wiodące do dworu. Wyraźnie obawiał się o mnie: Zjadłem dwa pełne talerze zacierki, podziękowałem i prawdopodobnie nie zauważony przez nielicznych zresztą robotników dworskich, poszedłem poprzednim śladem w kierunku łąki.

Skrejęm łąki i pomiędzy rzadkimi krzakami łozy, szedłem zdala od szosy w kierunku na północ do widocznych na horyzoncie zabudowań. Zamierzałem zorientować się czy jest jakieś wyjście z okrążeńia. Wyszedłem na koniec wsi, ciągnącej się prostopadle do

obstawionej szosy. Tam na ostatnim podwórku zastałem rezolutnego gospodarza, przygotowującego się do żniwa. Był on już dobrze zorientowany w rozbrojeniu partyzantów. Słyszał o tym od samych partyzantów, którzy w oddziale ^{Kiel} likunastu osób przed godziną przechodzili przez wieś. Mówili, że uciekli z rejonu rozbrajania. Szli w kierunku szosy, gdzie, jak twierdził mój rozmówca, zostali zatrzymani i uprowadzeni przez żołnierzy radzieckich.

To, co zauważyłem sam, jak i to co opowiadał rezolutny gospodarz, utwierdziło mnie w przekonaniu, że łańcuch okrążenia znajduje się niedaleko i że żołnierze radzieccy od wyznaczonego im miejsca zbytnio nie oddalają się. Rola ich polegała na zatrzymywaniu partyzantów, usiłujących wyjść z okrążenia w czasie rozbrajania. Potem poszli w głąb okrążonego rejonu w celu poszukiwania reszty, uchylających się od rozbrojenia. Wiedziałem, że będąc uzbrojonym dłużej poruszać się nie mogę. A kiedy uczynny gospodarz zaproponował bym pozostał u niego ^{na} ciągu paru dni, aż łańcuch okrążenia będzie zdjęty - podziękowałem, lecz się nie zgodziłem, ponieważ nie chciałem narazić go na przykre konsekwencje w przypadku ujawnienia mojej przynależności do Armii Krajowej. Pomimo, że władze Radzieckie w sprawie tej wówczas żadnego zarządzenia nie ogłosiły, istniała jednak obawa, że zanim to nastąpi, groźba odpowiedzialności za schronienie członków naszej organizacji, stawała się realna, szczególnie w świetle aktualnych wydarzeń. Z dalszej rozmowy uznałem, że pozbycie posiadanej broni przeze mnie jest konieczne. Pośpiesznie wróciłem na łąkę, koło dworu i zawiniętą w gumowej pelerynie bron, amunicję i lornetkę, zakopałem w rowie melioracyjnym.

Radziecki łańcuch okrążenia rejonu naszej koncentracji stał

nieruchomy. Dowództwo radzieckie za wszelką cenę unikało wytworzenia takiej sytuacji, w której mogłoby dojść do zbrojnego starcia pomiędzy wojskiem, a partyzantami. Ponieważ dojść do tego mogło przy znacznym zbliżeniu rozstawionych posterunków i wysłanych patroli, w stosunku do kolumny partyzanckiej i zgrupowanych w terenie oddziałów to sprawiło, że ruch żołnierzy radzieckich poza łańcuch okrążenia był wstrzymany. Przynajmniej w tym czasie, zanim większość partyzantów nie zdecydowała złożenia broni i jej nie złożyła, łańcuch okrążenia był nieruchomy i pozostawał w pewnym oddaleniu od zmasowanych partyzantów.

U gospodarza zostawiłem również furazerkę z orłem i bluzę drelichową z opaską biało-czerwoną na rękawie. Z tak zwanego umundurowania pozostały na mnie tylko spodnie i buty z długimi cholewami, jako zdobycz po rozbrojonych artylerzystach niemieckich pod Mejszagołą.

Bezbronny, rozmundurowany, w koszuli, wycofałem się w kierunku skąd przyszedłem, uznając, że lepiej iść szlakiem niebezpiecznym lecz znanym, aniżeli na oślep szukać innego. Wróciłem aż za Rakance. Zbliżyłem się zaroślami do szosy, na której widziałem kilka furmanek jadących w kierunku Wilna. Na furmankach siedziały rodziny z dziećmi. Obok różni ludzie przez nikogo nie zatrzymywani. Chwilę czekałem przyglądając się ruchowi na szosie, aż nadjechała wolno jakaś furmanka, która w polu mego widzenia nie była zatrzymywana. To widząc postanowiłem przy następnej furmance przejść na drugą stronę szosy. Tak też uczyniłem.

Za szosą niedaleko zaszedłem do jednego domu, by pod pretekstem napicia się wody, dowiedzieć się co jest w okolicy. Gospodarze uczynni, patrząc na mnie w mig zorientowali się jakim jestem

podróżnym. Zaprosili do izby w drugim końcu domu, podali wodę i zamknęli drzwi na klucz, ponieważ przez podwórze przeszli żołnierze radzieccy. Przez okno widziałem jak żołnierze dość często przechodzili przez podwórze w kierunku sąsiedniego łąnu żyta, na wzgórzu. Nie pytając nic gospodarzy i nie oczekując na podanie proponowanego mleka, podziękowałem za okazaną mi życzliwość. Opuściłem mieszkanie. Będąc na drodze zauważyłem, jak na wzgórzu w życie żołnierze rozmawiali z zainstalowanego tam aparatu telefonicznego.

W momencie kiedy szosą w kierunku Wilna przejeżdżały trzy furmanki obciążone tobołami i ludźmi, wyszedłem z podwórza i tuż za jedną z tych wolno jadących furmanek poszedłem. Myślałem, że w ten dość pomysłowy sposób dojdę do Wilna lub przynajmniej do jego podmiejskiej okolicy. Za furmaną przeszedłem chyba kilometr, aż na wysokości jakiegoś gospodarstwa, przyległego z prawej strony szosy, stojący na warcie żołnierze radzieccy zatrzymali furmanki i jadącym mężczyznom łącznie ze mną, kazali wejść w podwórze gospodarstwa. Weszliśmy bez ociągania się. Tam w głębi zauważyłem siedzących i leżących grupę kilkudziesięciu partyzantów bez broni. Prawie wszyscy ze zmęczenia, w dodatku przebywając w skwarze słonecznym, drzemali. Byłem nieco zaniepokojony moim losem w przypadku ewentualnego rozpoznania mnie przez internowanych partyzantów. Tymczasem jeden z wartowników przywołał oficera radzieckiego, któremu zameldował o zatrzymaniu furmanek. Do oficera podeszli zatrzymani mężczyźni, a z nimi i ja. Mężczyźni prosili o wypuszczenie ich, ponieważ z rodzinami wracają do domu. Oficer spojrzał na nich i na stojące na szosie furmanki oraz wartownikom nakazał wypuścić. Zrozumiałem, zapewne wbrew przekonaniu nieznanym mi mężczyznom, że

decyzję oficera mogą również i ja wykorzystać. Zwalnieni mężczyźni prawie biegiem skoczyli do wozów, a w bardzo małej odległości za nimi podążyłem i ja. Mężczyźni szybko wsiedli na furmanki i oglądając się na mnie, pozostałego z tyłu, ponaglili konie i momentalnie oddalili się. Odniosłem wrażenie, że zdali sprawę, jak niekorzystne dla nich stało się moje towarzystwo przy wozach.

Na szosie zostałem sam, szybkim krokiem zmierzając w stronę Wilna. Nie minęło pół godziny, jak naprzeciw mnie z rowu przydrożnego wyszło trzech żołnierzy radzieckich: podoficer uzbrojony w pepeszę i dwóch szeregowych z karabinami, na których jak zwykle w radzieckiej armii, były nasadzone długie, sztyłkowe bagnety. Kazali stać i unieść ręce do góry. Obmacali kieszenie. Przytem uwagę moją zwrócił fakt, że wszyscy trzech spatrywali się w moje buty i spodnie. Półgłosem między sobą mówili, że mają doczynienia z Niemcem. Podoficer coś jakby po niemiecku pytał z jakiego jestem oddziału /niemieckiego/? i gdzie są inni żołnierze. Przemówiłem po rosyjsku, że niemieckiego nie znam i że jestem miejscowym obywatelem. Podoficer krzyknął, że kłamie i jestem szpiegiem. Złożonym do strzału automatem kazał mi zejść na prawo do rowu.

Zdrętwiałem, - zdałem sprawę na co się zanosí. Chydna śmierć zdarzała mi w oczy. Rozumiałem, że żadne wyjaśnienia wobec postawy podoficera mnie nie uratują. W tym momencie szosą od strony Wilna ukazał się osobowy samochód i szybko zbliżał się do nas. Błysnęła myśl ratunku. - Przecież w samochodzie mogą być oficerowie radzieccy, którym chyba wyjaśnię kim jestem. Machnąłem ręką i zamierzałem skierować się na środek szosy. Podoficer uderzył automatem po rękę. Zauważyłem, że samochód wstrzymuje bieg, otwierają się drzwi, a w nich wygląda oficer ze złotymi naramiennikami. Tuż przed nami samo-

chód zatrzymał się, a wysiadający oficer zapytał w czym rzecz?

Podoficer zameldował, że ma Niemca, którego przed chwilą zatrzymał na szosie. Coś chciał mówić dalej, lecz ja przerwałem i zdenerwowanym głosem powiedziałem po rosyjsku, że to nie prawda, że jestem miejscowym obywatelem, a nie jakimś Niemcem. Oficer popatrzał na moje spodnie i buty, i zapytał: - Skąd i dokąd idę w tym wojskowym stroju?

W tym czasie z samochodu wysiadł drugi oficer.

Pytanie było dość zaskakujące. Przede mną powstały dwie alternatywy. Przyznać się jak było naprawdę z moim umundurowaniem, to znaczy przyznać się do przynależności Armii Krajowej i do ucieczki w czasie rozbierania. Tego powiedzieć nie chciałem nie dlatego, że groziło internowanie, którego starałem się uniknąć, lecz, że memu wyjaśnieniu o pochodzeniu niemieckiego umundurowania nie uwierzą, ponieważ nie mam żadnego znaku przynależności do Armii Krajowej. Przyjąłem alternatywę inną, której wersję na prędko sformułowałem w następującym zeznaniu wobec obu oficerów i żołnierzy radzieckich,

- Jestem obywatelem zamieszkałym w Wilnie. - Podałem adres mego wileńskiego mieszkania. - W ostatnich tygodniach byłem przez Niemców więziony w Wilnie, za uchylanie się od pracy. Byłem w stroju więziennym w czasie kiedy czerwona armia wyzwalała miasto. Byłem już wolny lecz w stroju więziennym nie czułem się właściwie. Za namową żołnierzy radzieckich przebrałem się w niemieckie spodnie i buty, których w magazynie niedaleko więzienia było wiele. Tak przebrany poszedłem do domu, do rodziny, której jednak nie zastałem, ponieważ parę dni przed bitwą o Wilno wyjechała na wieś do krewnych koło Miednik. Byłem tam lecz przed moim przyjściem rodzina w towarzystwie krewniaków odjechała do Wilna. Obecnie

wracam do domu.

Oficerowie uważnie wysłuchali mego zeznania. Ale chcąc sprawdzić wiarygodność mego miejsca pochodzenia, zaprosili na krótki egzamin, od wyników którego, jak się potem okazało, zależało moje życie. Poszliśmy na skarpę za rowem. Usiedliśmy. Jeden z nich wyjął z mapnika wielką mapę sztabową, sklejoną z kilku odcinków. Rozkładając mapę powiedział, że jeśli jestem stałym mieszkańcem Wilna, powinienem wiedzieć ile tam jest mostów na Wilii? Następnie pytali mnie o odległości z Wilna do niektórych miasteczek, jak np. Mejsza-
goły, Niemenczyna, Trok itd. oraz inne charakterystyki okolic podwileńskich. Na wszystkie stawiane mi pytania odpowiedziałem bez większego namysłu. I to wzbudziło przekonanie, że nie jestem tym za którego przyjął mnie podoficer.

Po egzaminie jeden z oficerów poczęstował mnie papierosem i oznajmił, że mam wiele szczęścia, że ich spotkałem. Gdyby nie to spotkanie podoficer zamierzał mnie w tym rowie zastrzelić, ponieważ w jego żołnierskim mniemaniu byłem uznany za wążsającego się Niemca, a z takimi pojedynczymi żołnierzami radzieccy postępują krótko. Odchodząc do samochodu oficerowie powiedzieli, że jestem wolny i mogę wracać do domu. Podoficerowi nakazali odejść do kontynuowania służby na szosie.

Odchodzącym oficerom podziękowałem za wybawienie od śmierci, a w obawie o dalsze spotkania z patrolującymi żołnierzami poprosiłem o jakieś zaświadczenie z odbytego badania. Po chwilowym namyśle jeden z nich poinformował, że w dalszej drodze nikt mnie nie może zatrzymać. Na wszelki przypadek na kartce wyjętej z notesu napisał, że byłem przebadany przez oficerów radzieckich i że wracam do domu w Wilnie. Kartkę tę z podpisem nieczytelnym i bez stempla miałem

jako jedyny dokument w drodze do domu. Właściwie biorąc był to dokument niewiele znaczący.

Wybawiony z ciężkiej opresji, narazie tą samą drogą, ruszyłem szybko w stronę Wilna. Słońce prażyło coraz bardziej. Odczuwałem brak nakrycia głowy. Szedłem niewiele rozglądając się na strony. Uciekałem jak zwierzę, któremu udało się minąć osaczenie. Szosą do Wilna dość często mijały samochody wojskowe. Do Wilna, poza jadącymi furmankami pieszych nie widziałem.

Po przeszedł godzinny intensywny marsz szosą zszedłem na jakiś gościniec w prawo. Zmierzałem w kierunku Nowej Wilejki, by stamtąd lasem wzdłuż Wilii zbliżyć się na wysokość dróg, wiodących do domu w Chmiziułce. Decyzję ominięcia Wilna w promieniu o dalszym zasięgu, powziąłem w obawie narażenia się na okrążenie oddziałów Armii Krajowej, działających w mieście. Jak się potem okazało obawa moja była słuszna.

Gościńcem, czyli większą drogą, szedłem krótko. Przeważnie szedłem drogami polnymi, nieraz na przełaj różnymi miedzami przez łąki, omijając większe wsie. W jednym z pojedynczych gospodarstw, położonym w obrębie wielkiej łąki przez którą przepływała rzeczka, zatrzymałem się by napić wody i coś zjeść, ponieważ od posiłku w Rakańcach nic nie jadłem. Gospodyni dość wielkiego gospodarstwa z miejsca zaproponowała zsiadłe mleko i chleb z masłem i serem. W czasie spożywania posiłku przyszedł z pracy przy sianie na łące gospodarz z trzema córkami. Przyszli wszyscy, ponieważ z dala wydało im się, że do domu powrócił syn gospodarza, który był w brygadzie "Szczerbca". Zobaczywszy mnie domyślili się, że jestem z AK. Pytali w jakim oddziale byłem? Czy wielu wyszło z okrążenia? Z rozmowy wynikało, że wieść o rozbrojeniu partyzantów doszła ich

przypadkowo.

- Dziś rano - mówił gospodarz - jedna z córek jechała rowerem do Wilna. Tuż przed Wilnem została zatrzymana przez gęsto obstawionych żołnierzy radzieckich, którzy oświadczyli, że do Wilna iść nie wolno. Jeśli jednak pójdzie to z Wilna nie wypuszczą. Przy niej jechały furmanki legitymujące się stałym miejscem zamieszkania w Wilnie. Furmanki przepuszczono. Od ludzi jadących od strony Miednik córka dowiedziała się o zatrzymaniu i rozbrajaniu partyzantów.

Udzielone mi informacje potwierdziłem, ludzi "Szczerbca" nie widziałem i nie wiem ilu partyzantów mogło się wymknąć z okrążeńia. Pałac fajkę chyba z godzinę pogwarzyłem z gospodarzem. Wzmagał się upał, gospodarze zatrzymywali bym zaczekał do wieczora, kiedy będzie lżej iść. Spieszyłem w dalszą drogę, ponieważ przed nocą zamierzałem być w rejonie Kojran, a dojście tam według moich obliczeń wymagało sporo czasu. Po opuszczeniu gospodarzy szedłem we wskazanym mi kierunku brzegiem łąki, przy końcu której wykąpałem się w napotkanej rzeczce. Po orzeźwiającej kąpieli szedłem dalej drogami polnymi i ścieżkami w kierunku Nowej Wilejki.

Do Nowej Wilejki wszedłem gdzieś w rejonie miejscowego szpitala. Moja przypadkowa droga wiodła przez to miasto w stronę Wilna. Szeroką ulicą szedłem obok szpitala, w którego ogrodzie chodziło wielu rannych partyzantów. Przechodząc koło ogrodzenia zatrzymałem się i dwóch najbliższych spacerujących poprosiłem o poinformowanie ilu jest rannych w szpitalu i z jakich oddziałów? Poczęstowałem tytoniem, którego im brakowało. Pałac skręconego papierosa powiedzieli, że rannych jest w tym szpitalu ponad

paraset osób. Są to ludzie przeważnie z brygady "Szczerbca", która nacierała na Wilno od strony Nowej Wilejki. Ciężkim bojem, przy wielkich stratach ludzkich, przełamała opór Niemców i dotarła do przedmieścia Wilna.

Z kolei opowiedziałem o wydarzeniu dnia dzisiejszego. Nie chcieli wierzyć, że tak to wszystko się skończyło. Kiedy do naszej rozmowy zaczęli dochodzić inni ranni, uważałem za właściwe przerwać opowiadanie. Pod pretekstem dalekiej drogi do domu, pożegnałem kolegów i szybko odszedłem w obranym kierunku. Przechodząc koło budynku szpitalnego widziałem wielu rannych, siedzących w otwartych oknach na parterze i piętrach.

Było już wiele po południu, kiedy wyszedłem z miasta i skierowałem się na północ, w pewnym oddaleniu od Antokoła - przedmieścia Wilna. Minąłem Antokol i pagórkowatym terenem za lasem podwileńskim coraz bardziej oddalałem się od Wilna. Słońce schodziło ku zachodowi, kiedy na przeciwko mnie, idącego samotnie polną drożką zauważyłem zbliżających się dwóch żołnierzy radzieckich z karabinami przewieszonymi przez ramię. Mając w pamięci niedawne przeżycie pomyślałem, że dalej iść nie pozwolą. Żołnierze zatrzymali mnie pytając dokąd idę? Odpowiedziałem, że do domu i wymieniłem pobliską wieś. Nakazali pośpiech, ponieważ zbliża się godzina policyjna, o której pierwszy raz słyszałem.

O zachodzie słońca przywędrowałem do maj.Kojrany i tuż przy drodze zaszedłem do gospodarza Ławrynowicza, którego nazwisko pozostało mi w pamięci, ze względu na takie same nazwisko jednego z moim nie żyjących szkolnych kolegów. Poprosiłem o nocleg, ponieważ byłem przemęczony i zdawałem sprawę, że w nocy iść nie mogę. Gospodarz bez zastrzeżeń zgodził się i zaprosił mnie do pokoju,

gdzie jak domyśliłem się, poza domownikami było parę osób przybyłych z sąsiedztwa. Siedzieli przy stole i zakąsywali. Gospodarz wskazał mi siedzenie za stołem. Usiadłem. Podano talerz, wędlinę, masło i chleb. Szybko jadłem wypijając przytem ze dwa kieliszki wódki. Ciekawe, że przy stole nikt mnie o nic nie pytał, chociaż z twarzy współbiesiadników wyczytałem, że zdawali sprawę z kim mają doczymienia.

Przy stole siedziałem krótko, gdyż nie chciałem towarzystwa krępować. Podziękowałem i z gospodarzem wyszedłem na werandę. Zapadał zmrok, poprosiłem więc o wskazanie miejsca w stodole, gdzie bez żadnego posłania ułożę się do snu. Zamierzałem wstać możliwie najwcześniej, najpóźniej o wschodzie słońca. Prosiłem również gospodarza, by mnie obudził jeślibym za długo spał. Tak rozmawiając doszliśmy do stodoły, w której końcu było pełne pachnącego siana. Gospodarz wskazał mi miejsce na sianie i sposób wejścia po drabinie. Po czym pożegnał mnie, a ja podziękowałem za gościnność. Byłem senny, że zanim gospodarz wyszedł ze stodoły, zasnąłem snem kamiennym.

Obudziłem się, kiedy przez szpary w ścianie stodoły przenikały promienie wschodzącego słońca. Przez otwór nad drzwiami z świergotem wlatywały i wylatywały jaskółki, które na wiązaniach krokwi i dachu miały gniazda. Ile razy spałem w stodole, w której wnętrzu jaskółki miały gniazda, lubiłem obserwować jak te miłe ptaki fruwały delikatnie przez małe otwory nie zawadzając skrzydełkami. Wówczas miałem wiele czasu, by ze spokojem temu się przyglądać. Teraz po obudzeniu się szybko zeskoczyłem z siana i wyszedłem na dwór zamykając za sobą drzwi stodoły.

Na dworze obok stodoły i mieszkania mego gospodarza ludzi nie

było. Tylko gdzieś z obrębu sąsiednich zabudowań dochodziło porykiwanie gnanego na pastwisko bydła. Wyszedłem na drogę i korzystając z porannego chłodu szybkim krokiem zmierzałem do widniejącego w dali lasu, który znajdował się na kierunku mego marszu. Wszedłem w las sosnowy, pachnący żywicą i przepełniony porannym świergotem wesołego ptactwa. Niezadługo przeszedłem szeroki gościniec, wiodący w kierunku Bezdan, stacji kolejowej, słynnej z historii napadu za czasów carskiej na pociąg. Napadu z ramienia organizacji niepodległościowej dokonała grupa bojowników na czele z Józefem Piłsudskim.

Następnie przez cały czas szedłem lasem lub porębami i wypaleniskami. Szedłem na północ z dala od szosy łączącej Wilno z Niemenczynem. Co pewien czas od szosy dochodził warkot samochodów, na pewno wojskowych.

Szosa przekroczyłem gdzieś na wysokości miejscowości Krzyżaki, tuż za jeziorem Zielonym /Krzyżackim/, położonym za Wilią. Po przejściu szosy skierowałem się wprost w stronę daleko płynącej Wilii. Był jeszcze ranek, pora śniadania na wsi, kiedy opodal nędznie prezentujących się zabudowań jakiegoś gospodarstwa, znalazłem się nad brzegiem Wilii. Tam rozglądałem się za czołnem do przeprawy na drugi brzeg rzeki.

W poszukiwaniu czołna poszedłem dość daleko brzegiem w górę rzeki. Nic nie znalazłem, cofnąłem się i wstąpiłem do mieszkania tego nędznego gospodarstwa. W domu zastałem krzątającą się w kuchni kobietę i dwoje dorastających dzieci. Oczekiwała na męża i syna, którzy na małych rybackich czółenkach popłynęli w dół rzeki łowić ryby. Powiedziałem, że chcę przedostać się na drugi brzeg rzeki. Gospodyni wyraziła nadzieję spełnienia mojej prośby

i zaproponowała bym zaczekał powrotu męża, ponieważ czółno zapasowe, które leży na brzegu jest dziurawe. Tymczasem zaprosiła mnie do stołu, przy którym nie ociągając się usiadłem na szerokiej ławie, ustawionej wzdłuż ściany. Zaraz przyniosła gliniany dzban z mlekiem, świeżego udoju, nalała do ustawionych na stole kubków i ukrajała kilka kawałków razowego chleba. Jeden z papełnionych kubków postawiła przede mną, prosząc bym się częstował mlekiem i chlebem. Sama z dziećmi również jadła, jako przekąskę, ponieważ śniadanie właściwe miało być za godzinę. Na śniadanie, na które również byłem zaproszony, miały być placki tak zwane "bliny" z żytniej mąki na zakwasie.

Po moim śniadaniu czułem się nasycony, toteż z racji zapowiedzianych przez gospodynię "blinów" nie zamierzałem tam dłużej pozostawać. Po chwili, kiedy powrotu gospodarza z połowu ryb nie doczekałem, dziękując gospodyni za śniadanie, postanowiłem odstąpić od poszukiwania czółna z przewoźnikiem. Decyzję tę powziąłem po tym, jak gospodyni poinformowała, że najbliższy sąsiad, który miał czółno mieszka w odległości około trzech kilometrów. Zdecydowałem przedostać się na przeciwległy brzeg Wilii o własnych siłach, w sposób od dawna przeze mnie praktykowany.

Odchodząc poprosiłem piętnastoletniego syna gospodyni, by wskazał mi odcinek rzeki, pozbawiony podwodnych kamieni i wirów, których miejscami w bystro płynącej Wilii było wiele. Utrudniały one spływ tratw i dla przepływających stanowiły poważne niebezpieczeństwo. Chłopiec za radą matki zaprowadził mnie dość daleko w górę rzeki, wskazując miejsce nadające się do przeprawy. Zatrzymałem się. Rzut okiem na rozległy odcinek rzeki, którą miałem płynąć, upewnił mnie, że niebezpieczeństwa z powodu kamieni

podwodnych i wirów nie ma. Wiry bowiem występowały przeważnie przy zakrętach, szczególnie w przypadku zmiany podłoża koryta rzeki lub na dolnych skrajach jej płytkich odcinków.

Rozebrałem się. Resztki ubrania jakie miałem na sobie, a więc: spodnie i koszulę wpakowałem w wysokie cholewy artyleryjskich butów, które związałem paskiem od spodni. Przyrządziły w ten sposób pakunek kalesonami przymocowałem na karku: buty w pozycji stoszącej. Chłopiec, który z podziwem przyglądał się moim czynnościom, kiedy już wchodziłem do wody, pobiegł wzdłuż brzegu i przytaszczył długą żerdź. Stał trzymając ją w ręku i patrzył jak opuszczając grunt pod nogami zacząłem płynąć.

Płynąłem wolno i bez większego wysiłku, poddawałem się raczej prądowi rzeki. Płynąc oglądałem się na stojącego na brzegu chłopca. Widziałem, jak z żerdzią szedł w dół rzeki, w miarę znoszenia mnie bystrym prądem. Domyślałem się, że owa żerdź miała mu służyć pomocą w przypadku ratowania mnie.

Na przeciwległy brzeg przedostałem się bez specjalnego wysiłku. Znalazłem się niemal na wprost domu troskliwej gospodyni. Wyszedłem na brzeg i zacząłem się ubierać. Chłopiec, który przez cały czas szedł wzdłuż rzeki, widząc mnie na drugim brzegu, rzucił żerdź i pobiegł do domu poinformować matkę. Gospodyni z córką i synem wyszła na brzeg rzeki, życząc mi dalszej szczęśliwej drogi. Byłem wzruszony tą ludzką pełną serdecznej troskliwości opieką. Ten wybieg chłopca z żerdzią, prawdopodobnie był dziełem pomysłu jego matki, która chcąc mnie asekurować w czasie przeprawy przez rzekę, nakazała synowi, by pilnował zanim nie przepłynę na drugi brzeg. Za to wszystko przed odejściem z brzegu jeszcze raz głośno dziękowałem i po kilku machnięciach ręką, w kierunku stojących na

drugim brzegu przyjaznych ludzi, wszedłem w jar porośnięty krzakami.

Po przedostaniu się za Wilię czułem się jak w domu, chociaż do mojej Chmiziutki prowadziła droga dość daleka. Przez Ustronie, Pocztonkę i Połowkinie. Ranna kąpiel w rzece przysposobiła mnie bardziej do szybkiego marszu. Z przyrzeczonego jaru wyszedłem na polną drogę. Dzień, jak i poprzednie stawał się upalny.

Bezwietrzne i bezchmurne niebo sprawiało, że skwar coraz bardziej przepajał atmosferę. Spocony w początkowym tempie marszu zwolniłem krok, a na głowę przeciw rażącym promieniom słońca założyłem jeszcze wilgotną po upraniu chusteczkę. Dochodziłem do Ustronia, folwarku dobrze mi znanego, położonego z prawej strony drogi mego marszu!

W czasie pracy konspiracyjnej w Ustroniu byłem kilka razy. Między innymi była tam nasza składnica meldunkowa, którą prowadził ówczesny zarządca ps. "Kumkar". Od czasu wymarszu za Wilię, nie wiedziałem co tam się dzieje. Chciałem wstąpić na rozmowę z zaufanym człowiekiem, lecz w zmienionej sytuacji z tego kontaktu zrezygnowałem nie chcąc go narażać na zarzut prowadzenia niebezpiecznej konspiracji.

Minąłem Ustronie. Zaraz za tym pięknie położonym folwarkiem na drodze mego marszu, pokazały się idące na przeciw mnie w pełnym uzbrojeniu grupy partyzantów. Za nimi w oddali z zakrętu polnej, porosłej drzewami drogi, wyłaniała się cała kolumna z taborami. Wielce zdziwiony obserwowałem zbliżających się ku mnie ludzi. Wśród nich rozpoznałem jednego z oficerów naszej brygady, który w czasie naszego wiwału za jeziorem Gulbińskim, przebywał z oddziałem koło litewskiej granicy w oczekiwaniu na "Zmogusa" -

dowódcę oddziału zorganizowanego na Litwie.

Zatrzymałem się. Przy powitaniu znajomy oficer wyraził nie mniejsze niż ja zdziwienie. Usiedliśmy przy drodze na rozmowę. Partyzanci idący przed oficerem zatrzymali się i również posiadali koło drogi. Stopniowo zatrzymywali się też i inni nadchodzący. Do nas zbliżyło się kilku partyzantów, którzy byli świadkami mej rozmowy z oficerem. Rozpoczynając moje opowiadanie o tym co zaszło dnia poprzedniego, nie wiedziałem potrzeby utrzymywania sprawy tej w tajemnicy przed partyzantami, która dla większości tajemnicą już nie była. Odwrotnie byłem dogłębnie przekonany, że ujawnienie całej prawdy, może jeszcze wielu uchronić przed obozem internowania. A to uważałem za mój obowiązek.

Oficer i otaczający mnie partyzanci z wielkim zaciekawieniem wysłuchali mego opowiadania o dokonywanym przez wojsko radzieckie rozbijaniu oddziałów AK. Słuchacze narazie nie chcieli temu uwierzyć. Przytem powoływali się na dobry stosunek stacjonujących w rejonie Gulbin żołnierzy radzieckich, których nasi w czasie przemarszu spotykali. Ten poprawny stosunek wytłumaczyłem brakiem generalnego rozkazu do wszystkich wojsk radzieckich, nakazującego likwidację AK. Prawdopodobnie do tej likwidacji zostały przeznaczone jednostki specjalne. Takie potraktowanie mogło sprzyjać wyprowadzeniu możliwie większej ilości partyzantów za Wilię do rejonu koncentracji, by tam w sposób łatwiejszy dokonać otoczenia i rozbiorzenia.

Przedstawione przeze mnie argumenty zaczęły trafiać do przekonania moich słuchaczy. Zastanawialiśmy się co zrobić z masą uzbrojonych partyzantów. Na naradę zamierzałem zaprosić oficerów, znajdujących się gdzieś w kolumnie. W międzyczasie przyszli wysłańcy

dowódcy, zatrzymującej się w oddali kolumny. Partyzantom tym przedstawiłem moją byłą od wczoraj funkcję oficera łącznikowego 13-ej brygady do dowódcy zgrupowania. Poprosiłem ich dowódcę i oficerów innych na pilną naradę na drodze koło Ustronia.

Minęło chyba z pół godziny jak w towarzystwie kilku oficerów przyjechał konno dowódca kolumny. Za nimi zaczęli przybywać inni oficerowie. Z wstępnej rozmowy z dowódcą okazało się, że w kolumnie marszowej były oddziały jakiejś brygady, która prawdopodobnie po naszym odejściu, współdziałając z armią radziecką, utrzymywała odcinek koło Mejszagoły. Odeszła za nami następnej nocy, zatrzymując się w lasach koło Rzeszy, a następnie w rejonie Gulbin. Dziś - mówił dowódca - brygada weszła na drogę wiodącą w stronę Wilii, z zamiarem przekroczenia rzeki, prawdopodobnie śladem naszej brygady i kontynuowania marszu do wyznaczonego rejonu koncentracji.

Przed kolumną na drodze marszu znalazły się również niektóre oddziały naszej brygady. Poza oddziałem znajomego oficera i "Zmogusa" z Litwy, między innymi również znaczna część plutonu kolarzy i ze dwa plutony kawalerii. Oddziały te oraz luźne grupy partyzantów z Wilna przybyły z opóźnieniem do rejonu biwaku za jeziorem Gulbińskim i poszły w ślad za brygadą.

Zebranych oficerom opowiedziałem o losie całego naszego zgrupowania przebywającego za Wilią. Potwierdziły to uzyskane przez dowódcę kolumny informacje w czasie dzisiejszego przemarszu. Informacje te dotarły z rana od łączników z Wilna. Dowódca jednak przyjął to za jakieś nieporozumienie lokalne i podjął marsz do nakazanego przez dowództwo AK rejonu koncentracji.

Po mojej relacji sprawa nie budziła wątpliwości co do dalszego losu oddziałów partyzanckich. Dowódca postanowił wstrzymać marsz

w stronę Wilii. Mówił mi, że zamierza wycofać się w lasy do rejonu Niemenczyn-Podbrodzie, a dla pełnego rozeznania sytuacji wysłał jednego z oficerów do Wilna. Inne oddziały i grupy partyzanckie zadeklarowały połączenie z główną kolumną pod dowództwem nieznanego mi komendanta brygady, maszerującej spod Mejszagoły.

Pożegnałem komendanta i innych, przypadkowo spotkanych partyzantów. Życzyłem im szczęśliwego powrotu do domu. Szedłem drogą, na której stały oddziały partyzanckie. Na wozach stały ciężkie karabiny maszynowe i leżały skrzynie z nabojami karabinowymi i granatami. Na kilku wozach leżeli i siedzieli ranni i chorzy partyzanci. Być może większość tych spotkanych i mijanych przeze mnie partyzantów nie wiedziała i nie wiem kiedy dowiedziała się o losie kolegów za Wilią. Z tym odczuciem minąłem stojącą kolumnę i idąc naprzód oglądałem się z daleka, aż nieruchoma kolumna znikła z pola mego widzenia.

W dalszej drodze, jeszcze przed Pocztonką, spotykałem luźne grupy partyzantów, pytających o maszerujący przed nimi większy oddział. Myślałem, że byli to ludzie brygady spod Mejszagoły. Udzielałem im krótkiej odpowiedzi. Byłem już tak przemęczony drogą i opowiadaniem, że nie mogłem powtarzać to, co niedawno mówiłem. Nie chciałem opowiadać i dlatego, by nie wzbudzić niezasadzonego podejrzenia mnie o złośliwą propagandę, co się również nierzadko zdarzało, a wówczas sprawa stawała się nieprzyjemna.

Przeszedłem przez Pocztonkę i Połowkinie - wieś na drodze przed Niemenczynkiem i Chmiziutką. Szedłem w bardzo upalne popołudnie z chusteczką na głowie, zabezpieczającą przed porażeniem słonecznym. Do Chmiziutki dotarłem zmęczony i głodny w porze tak zwanej obiadowej. Gospodarze moi Franciszek Łozowski z żoną,

odpoczywali w czasie największego upału. Od rana pracowali przy żniwach, które już trwały od paru dni.

Przebywające na podwórzu dzieci obudziły gospodarzy, informując o moim powrocie. Gospodarze patrząc na mnie przy powitaniu, byli bardzo zdziwieni, widząc mnie w koszuli i z chusteczką na głowie. Nie wiele mówiąc poprosiłem o wodę do picia i macia. Zanim umyłem się i wymoczyłem zmęczone nogi, gospodyni przyniosła zakąskę: wędlinę, ser i chleb. Gospodarz przyniósł trochę wódki - nalewki na wiśniach i przysiadł do wspólnej zakąski. Jadłem szybko i dużo. W tym czasie opowiedziałem niektóre, bardziej interesujące fragmenty mojej partyzanckiej przygody. Resztę opowiedziałem potem w ciągu innych dni. Po posiłku udałem się do mego pokoju i w posłanym łóżku, w którym spałem przed kilku tygodniami od razu zasnąłem. Spałem do wieczora. Wstałem zaproszony na kolację. Potem znowu znalazłem się w łóżku.

Nazajutrz z rana, zanim zacząłem interesować się gospodarstwem przede mną jak na jawie stanęły obrazy tych kilkunastu dni. przeżytych w szeregach Armii Krajowej, a akcji "Burza". W bilansie minionych wydarzeń, na tle różnych sukcesów, tych wymiernych osiągnięć, w sposób dominujący uwypatnił się sukces największy, niewymierny lecz ogromem oczywisty i zasługujący na przekazanie pamięci tych, którzy świadkami wydarzeń nie byli. Sukcesem tym była postawa naszej miejscowej ludności, która w niczym nie ustępowała innym regionom Kraju w walce z okupantem. Postawa ta szczególnie uwypatniała się w zrywie tych z bronią, jak i tych, którzy przez długie miesiące niewoli, z narażeniem życia i mienia, tworzyli szerokie zaplecze partyzanckie, nie szczędząc wysiłku do pełnego zwycięstwa i wyzwolenia Kraju.

Pełna, częstokroć bezgranicznych poświęceń postawa społeczna wynikała z wielkiego umiłowania wolności i niepodległości Kraju. Umilowania wpojonego przez wychowanie obywatelskie w okresie międzywojennym, które pomimo wielu zastrzeżeń, potrafiło ugruntować ideały szlacheckie. W postawie tej ujawnił się również sukces wielowiekowego współżycia różnych narodów, wchodzących w skład b. Wielkiego Księstwa Litewskiego. Narody, które zaludniały ziemie Rzeczypospolitej, żyły między sobą przenieszanymi bez żadnych granic terytorialnych, a bardzo często ze sobą związane więzami rodzinnymi. Więzy te, trwające od pokoleń, pomimo że były rwane polityką carskich zaborców sprawiły, że ludność tego Kraju tworzyła rodzinę społeczną, skłóconą nieraz w czasie pokoju, lecz zwartą w oporze w czasie wojny i okupacji.

Rozbrojenie i internowanie żołnierzy AK przez czerwoną armię, w sposób niepojęty wstrząsnęło nie tylko samych partyzantów, lecz całe społeczeństwo naszego Kraju, tym wrogim aktem było oszołomione. Na nic przydały się propagandowe wyjaśnienia, że likwidacja AK na naszych ziemiach przyszła w związku z oderwaniem ich od Polski i włączeniem do republik radzieckich. Bolesnego dla nas obywateli tych ziem aktu historycznego, sporządzonego na mocy uchwał powziętych w Teheranie, Jałcie, bez udziału przedstawicieli rządu polskiego - ogół społeczeństwa naszego nie znał lub nie rozumiał. Byliśmy bardzo mali i słabi w stosunku do silnych graczy wielkiej polityki, którzy nas zrozumieć nie chcieli.

Przywódcom podziemia i Armii Krajowej władze radzieckie postawiły zarzut rozwijania wrogiego stosunku do Związku Radzieckiego wśród obywateli ziem od Rzeczypospolitej oderwanych. Przyszły prześladowania i represje za przynależność do Ak. Zryw społeczny

do wolności potraktowano jako akt wrogi dla władzy radzieckiej pomimo, że w czasie kiedy trwała działalność naszego podziemia i rozwijała się akcja Armii Krajowej, nad naszym Krajem ciążyła tylko hitlerowska okupacja.

W panującej atmosferze niewiarygodnych ustaleń politycznych, w sposób bardzo mglisty zarysowała się przed ogółem naszego społeczeństwa perspektywa niepodległości i rozwoju Kraju po kończącej się wojnie. Również i przede mną, po powrocie do Chmizjutki, stała się tylko perspektywa przetrwania wojny.

x x
 x

Na tle oceny postawy obywatelskiej w walce z okupantem, zarówno naszych żołnierzy w wojnie 1939r. jak i partyzantów w akcji "Burza" w 1944r. oraz całego zaplecza społecznego, związanego z działaniem zbrojnym - nasunęły się refleksje, które zapewne mogą stanowić poważny czynnik w poszukiwaniu źródeł naszego niepowodzenia. Myślę, że postawa obywatelska ogółu mieszkańców całego naszego Kraju w walce z najeźdźcą, stanowiła bardzo poważną siłę, która wykorzystana odpowiednio, mogła inaczej ukształtować los naszej wojny. Siła ta, gdyby była zorganizowana jeszcze przed wojną, a mam na myśli powszechne przygotowanie do walki na tyłach zagonów wroga, może wówczas operacje naszych wielkich jednostek byłyby skuteczniejsze, a straty ogólne w ludziach mniejsze. Zapewne przygotowanie i mobilizacja do walki totalnej ze śmiertelnym wrogiem całego narodu, w sposób odpowiedni rzutowałaby na samą koncepcję strategii wojennej, dostosowanej bardziej do przeważającej siły przeciwnika.

Niestety do walki partyzanckiej przysposobieni nie byliśmy. Początek organizacji podziemia przypadł dopiero w czasie okupacji. Pierwszym i długo jednym oddziałem partyzanckim był oddział majora Henryka Dobrzańskiego - "Hubali", który udowodnił, jak wielkie ślasy można zadawać najeźdźcy przy zaangażowaniu nawet stosunkowo małej siły. Był to początek nowej strategii wojennej. Działające w Kraju tysiące różnych oddziałów partyzanckich, w okresie okupacji, w sposób oczywisty potwierdziły skuteczność akcji zbrojnej, podejmowanej na tyłach wroga.

x x x x x

Stanisław Symonowicz ps "Kalina"

Moje wspomnienia "za Wilią" traktuję w Fazie końcowej naszej samoobrony przed niszczycielskim działaniem okupacji bolszewickiej w latach 1944 - 1945 na Wileńszczyźnie, w Ujęciu następującej tematyki

1. Konspiracja ciąg dalszy
2. Represje Bolszewickie pod Sużanami
3. W drodze do Chmiziotki
4. Nowy 1945 w Niemenczynku
5. NKWD deptczy po piętach
6. Walka ze współpracownikami NKWD "Siekсотami"
7. Walka z bolszewikami
8. Nocna obława w Niemenczynku
9. Na rozdrożu
10. Akcja przesiedleńcza
11. Rozwiązanie Armii Krajowej
12. Przygotowanie do ewakuacji z Wilna
13. Odjazd w Nieznane
14. Pierwszy etap pracy pokojowej
15. Pracy pokojowej ciąg dalszy

Fragmęnt życiorysu. Urodziłem się w Wilnie 12 kwietnia 1903r: ojciec Stanisław Symonowicz, matka Konstancja z domu Błus. W 1925r z egzaminem maturalnym ukończyłem gimn. im. Joachima Lelewela w Wilnie. W 1929r z egzaminem inżynierskim ukończyłem Uniwersytet Poznański. W 1947 r w Uniwersytecie Poznańskim uzyskałem stopień doktora nauk rolniczych.

Działalność wojenna: Samoobrona Wileńska w latach 1917-1920
 2) Wojna obronna w latach 1939-1940. 3) Armia Krajowa w latach 1940-1945.

Moje stopnie wojskowe: porucznik rez. od 1939r
 kapitan od 1990r

Odnaczenia wojenne:

krzyż walecznych, medal wojska, krzyż Armii Krajowej
 krzyż partyzancki, Krzyż za udział w wojnie 1918-1921r.

Stanisław Symonowicz

udział w walce o niepodległość *Kraju*, po przeszło półtorawiekowej niewoli. Progo ceniliśmy wywalczoną niepodległość i nie mogliśmy obojętnie obserwować zrzucenia losu, jakie szykowało nam "radzieckie wyzwolenie".

Z "Kaziukiem" utrzymywałem stały kontakt, przeważnie w moim mieszkaniu. Nigdy nie dowiedziałem się ani o jego miejscu pobytu, ani o kierownictwie naszego podziemia w czasie okupacji radzieckiej. Pozostało to dotychczas tajemnicą. Byłem zastępcą "Kaziuka" w naszym ośrodku dywersji. Na spotkaniach omawialiśmy wykonanie akcji i układaliśmy rozkazy w teren dla oddziałów leśnych, bez wymienienia ich nazw, których naprawdę wszystkich nie znałem. Rozkazy najpierw przez jakiś czas były przepisywane na maszynie, osobistym staraniem "Kaziuka". Po paru miesiącach, kiedy nasi chłopcy zdobyli z jakiejś spółdzielni litewskiej maszynę do pisania, rozkazy pisał sam ja. Wprawdzie na razie służyło mi to bardzo wolno tak że na stronę maszynopisu zużywałem prawie godzinę, lecz w krótkim czasie doszedłem do dostatecznej wprawy. Z maszyną do pisania był jednak poważny kłopot. Posługiwałem się przeważnie nocą a po wykonaniu zadania sarkowo maszynę jak i wszelkie materiały obwalałem i zabezpieczałem przed zniszczeniem, gdzieś w stodole w tajemnicy przed żoną i małymi dziećmi. Maszyną posługiwałem się w czasie, kiedy mój gospodarz Franciszek przebywał na swoim gospodarstwie w Zajeziercach.

Rozkazy podpisane przez "Kaziuka" lub przez mnie, były przez nas kierowane do istniejących i do nowych punktów łączności. Najbliższy punkt łączności mieścił się u Zdrojewskiego - byłego wachmistra w sąsiadującym gospodarstwie w Niemenczynku. W tymże Niemenczynku w najbliższym ośrodku majątku mieliśmy też utworzony nowy punkt łączności, gdzie funkcję łączniczki pełniła Aldona Pieciukiewicza. Rozkazy nasze wychodziły w teren do siatki i oddziałów leśnych za pośrednictwem tych komórek a tym, że łączność z kierownictwem w Wilnie była utrzymywana przez i za pośrednictwem łączniczki Aldony. Pseudonimów nie pamiętam.

Punkt łączności w Niemenczynku u Aldony w krótkim czasie, stał się stałym miejscem spotkań dowódców oddziałów leśnych z "Kaziukiem". Ponadto korzystając z gościnności Babanowskich, rodziców Aldony, Niemenczynek bardzo często był odwiedzany przez różnych znajomych z Wilna i uchodźców wojennych z Warszawy. Między innymi w domu Babanowskich przez czas dłuższy przebywał prof. Witold Stanisławski, rektor Uniwersytetu Stefana Batorygo w Wilnie, który w siatce konspiracyjnej prowadził referat propagandy.

W Niemenczynku w czasie spotkania "Kaziuka" z "Korsarzem", dowódcą oddziału leśnego, doszło do bardzo ostrej rozmowy pomiędzy nimi na temat akcji sabotażowej. "Kaziuk" stanowczo domagał się, by oddział "Korsarza" jak również i inne, zgodnie zresztą z pisanyimi rozkazami, uniknął

staro z żołnierzami radzieckimi a całą uwagę skierował na zdobywanie zapotrzążeń w żywność i likwidowanie ogniw terenowej władzy radzieckiej. "Korsarz" w trosce o broń, niezbędną dla nowych, przybywających do jego oddziału ludzi, czynił wypadki na nieliczne grupki żołnierzy, przesuwane z miejsca na miejsce i nie obiecywał zmiany swego stanowiska. Nagroby sądym połowym przez "Kasiuka" przerwał ostrą dyskusję i odwrócił dając do zrozumienia, że rozkaz wykona. Jednak z wykonaniem tego rozkazu zbyt ^{nie} spieszył.

Wyżywienie oddziałów partyzanckich stanowiło poważny problem, wobec zapowiadanych i stosowanych przez władze radzieckie represji do tych którzy w jakiś sposób dopomagali partyzantom. Głównym źródłem zapotrzążeń partyzantów w żywność stała się rekwizycja, dokonywana w drodze nocnych wypadów na spółdzielnie wiejskie w sąsiedztwie litewskim i majątki państwowe. Ze spółdzielni zabierano mąkę, kaszę, cukier, tłuszcz, konserwy, wódkę i inne. Z majątków rekwizowano bydło i trzodę chlewną. Zakwizowane produkty szły na wyżywienie partyzantów i w znacznej części przeznaczane były dla biednych, przeważnie wiejskich rodzin partyzanckich, pozbawionych wyżywienia na skutek internowania właścicieli i wywiezienia ich w głąb Rosji. Jedną z takich porcji wołowiny, pochodzącej z zakwizowanego bydła, z braku innych możliwości dostawy do Wilna, smażony był na wieździe. Zawieszony około 200 kg mięsa pod wskazany adres przy ul. Kalwaryjskiej, naprzeciw zielonej cerkwi...

Wieczorem odwiedzałem bardzo często pod protektem gry w preferans. To kart nasiadaliśmy w czwórce: abanowski-ojciec Aldony, Marian Piciukiewicz-mąż Aldony, Zdrojewski-mąż bliźni i ja. Przy sposobności spotkania w sposób dyskretny otrzymywałem przeważnie za pośrednictwem Aldony różne tajne gazetki, informujące o sytuacji politycznej, szczególnie interesującej nas, Wilnian. Gazetki i ulotki po przeczytaniu przechowywałem w słomianym dachu stodoły.

Z okazji święta narodowego 11. listopada 1944 Aldona urządziła okolicznościowe przyjęcie, na którym poza domownikami było kilka osób innych, a wśród nich paru aktorów teatrów wileńskich, na tym przyjęciu nie byłem. Był tam uroczysty nastrój. Przy akompaniamencie fortepianu, popisowej gry abanowskiej-zatki Aldony, towarzystwo śpiewało różne piosenki. Około godz. 22-giej, niespodziewanie jak spod ziemi ujawiło się kilku partyzantów w towarzystwie swego dowódcy "Łódzia". Nie zapowiadając wizytę partyzantów goście byli zaniepokojeni i coś niecoś ze względu na bezpieczeństwo zdenerwowani. "Łódzia" zapewniwszy sobie zabezpieczenie obstawę na dworze, usiadł przy fortepianie i wygrywał melodie tanga, zaśpiewał ze swoimi chłopcami piosenkę "Tango Sowietojakie" śpiewaną chętnie przez partyzantów z Wilna. "Tango Sowietojakie" bowiem powstało na czasach niemieckiej okupacji na przedmieściu Wilna, swym

„Nowostrojka”. Pomimo krapujących gości - partyzantów, miejscowe towarzystwo ochłonęło z tego spotkania i bawiło się wspólnie do północy. Potem partyzanci opuścili Niemenczynek i oddalili się w kierunku nie zapowiadzianym.

Partyzanci dość często odwiedzali Babanowskich. Bola, jaką pełniła w naszej siatce Aldona, znali tylko wtajemniczeni. Ze względu na niebespieczeństwo ojciec i matka roli tej nie znali. Wypodobnie nie o wszystkim też wiedział jej mąż - Marian Pieciukiewicz. Za odwiedziny partyzantów i podziemną robotę, Aldona z mężem i córkami w prędkim czasie znalazła się w więzieniu, a następnie na zesłaniu w Brzeskojarskim kraju. Marian, mąż Aldony, po różnych dochodzeniach znalazł się daleko na północy w Warkucie, gdzie też znajdowało się wielu zesłańców z różnych - dzielnic nieodległościowych: np. Kokociński, Turogiński, ks. Bonażko, Tesecki i inni.

Wiele też razy partyzanci odwiedzali mój dom, w Chmiśtowie. Poza bratem Kasikiem - "Bekiem", jego kolegą Witkiem - "Jeźdźcem" i kilku innymi z ich grona, w różnych sprawach przychodzili: "Korsarz", "Łoźdiś", "Stanisław". Ten ostatni ponadto stałe przebywał w sąsiednim gospodarstwie nauczycielki wiejskiej - Popietlakowej, u jej córki - Ani.

Kontakt z oddziałami leśnymi, składającymi się najczęściej z 10-15 partyzantów, utrzymywaliśmy za pośrednictwem 4-5 zaufanych partyzantów pozostających bezpośrednio pod moim rozkazem. Byli to: "Bek", "Jesion", "Stanisław", "Orkan" i inni. W ścisłym kontakcie ze mną pozostawali: "Bek" i "Jesion", którzy bezpośrednio informowali o ruchu oddziałów leśnych i pełnili niejako funkcję żandarmerii. Z oddziałów leśnych najbardziej aktywnych na uwagę zasłużyli: "Korsarz", "Łoźdiś" i "Pakira".

Pomimo, że oddziały leśne w zasadzie podlegały kierownictwu ośrodka dywersji, to jednak w warunkach ścisłej konspiracji trudno było wyznaczyć odpowiednią dyscyplinę. Ruch oddziałów leśnych i ich akcje były najczęściej związane z rozkazem ich bezpośrednich dowódców i zależały od sytuacji położenia danego oddziału w terenie, wśród wrogiej akcji silnych jednostek radzieckich. Rozkazy nasze powstrzymywały oddziały leśne od akcji zbrojnej przeciwko armii radzieckiej. Sens działania naszych oddziałów skierowany był przeciwko różnego rodzaju politrukowi i ich namiestnikom, dobieranym spośród miejscowej ludności, najczęściej za przyczyną cesarstwa jakichś przywilejów. Była to akcja nader skuteczna. Korzenie wrogiej nam władzy były w miejscu podważane i to właśnie było naszym przykładem dla wielu z tych, którzy zamierzali stać się partyzantami osobiście.

Akcja przeciwko politrukowi i ich podopiecznym stawiała się coraz bardziej uzasadniona i znajdowała wielkie uszanowanie wśród ogółu społeczeństwa, szczególnie wówczas, kiedy stwierdzano były brutalne mordy

popelnione na miejscowej ludności na skutek donosów przeprowadzonych przez kandydatów na społecznych morderców, jakimi znalazły się na szczęście nieliczne jednostki miejscowego pochodzenia.

Zuopatrzenie oddziałów leśnych w broń i amunicję odbywało się w drodze wypadów na oddziały milicyjne, a często też poprzez naszych kaskadów dochodziło do rozbrojenia małych oddziałów żołnierzy radzieckich, najczęściej konwojentów kolumn transportowych. Broń i amunicja musiały być zdobywane za wszelką cenę, ponieważ innego źródła nie było. Prawdziwie nieco broni pozostawało w siatce po partyzantach, którym udało się uciec z rejonu rozbrojenia lub którzy nie doszli do rejonu koncentracji naszych oddziałów, a dowiedziawszy się o rozbrojeniu, potrafili broń ukryć. Było to jednak bardzo słabe źródło uzbrojenia naszych oddziałów i to też sprawiło, że do większej zbrojnej akcji dojść nie mogło.

Wszystcyśmy sądowali ^{o tym} sprawę z trudności w zdobywaniu i przechowywaniu broni, ponieważ władza radziecka zaraz po rozbrojeniu naszych partyzantów, pod rygorem sądu wojennego, nakazała skończyć broń w komendzie milicji. To też oskolwiek z pewnym naręczeniem osobistym, postanowiłem odnaleźć swoją broń ukrytą w rowie opodal zabudowań maj. Rakasce, położonym w rejonie obstawy przez żołnierzy radzieckich w czasie rozbrojenia.

Broń: automat, parabelum, chlebak z amunicją, dwa granaty i lornetkę polową skończyłem do gumowej peleryny i sakopakiem na torfowisku w rowie melioracyjnym, położonym opodal sądu maj. Rakasce.

W miesiąc po powrocie do domu, dokładnie w świętecznym dniu 15 sierpnia, w towarzystwie sony i 9-letnie córki Zosi, wyruszyłem się furmanką w poszukiwaniu skozonej przez mnie broni. W Chmielutki wyjechaliśmy w godzinach rannych kierując się przez przedmieście Wilna - Antokol polnymi drogami do Nowej Wilejki, a stamtąd znana mi trasa dojechaliśmy do rejonu maj. Rakasce. Tam w dole przy rzeczce zostawiłem furmankę i poszedłem w poszukiwaniu rowu melioracyjnego, w którym miałem zamierzone miejsce schowania broni. Nie wiele czasu poświęciłem na odnalezienie swojej kryjówki, która, jak to od razu zauważyłem, była nie tknięta. Koszyrzkałem się dookoła, by stwierdzić, czy nie ma jakiegoś świadka mojej zamierzonej operacji z bronią. Kiedy upewniłem się, że nikt mnie nie widzi weszłem w rów i w jego bocznej ścianie z torfii ręcznie odkopałem płytko przykrytą gumową pelerynę, w której znajdowała się broń.

x x x

Pracując zmieniałem trasę. Pojechałem szosą przez maj. Niemiec w kierunku na Lipówkę, południowe przedmieście Wilna. Jedąc przez Niemiec przypomniałem, jak to w lipcu 1920 r. z kolegami gimnazjalnymi stacjonowałem w szwadronie zapasowym, czyniąc wypad, ~~z~~ do okolicznych gospodarstw w poszukiwaniu ośmi dla ~~z~~ pułku ułanów. Było to niecałkowicie przed odwróceniem naszych wojsk przed nacierającą kawalerią czerwonej armii.

Te drogi mijaly nas samochody radzieckie, jadace w roznych kierunkach. My soe mijalismy sporo furmanek, przewaznie wracajacych z pobilskiego kościoła. Do miasta dojechalismy okolo godz. 16-17 przez nikogo nie zatrzymywani. Przez miasto po braku jechalismy wolno, kierujac sie na ulice Zawojna-Zielony most- ulice Kalwaryjska, a na sroze biegnaca przez Boktupie, Jeruzolomska, Managinia, Kzesze i Ciegłówkę. Skąd po skręceniu na prawo droga boczną po przebyciu okolo 3 km. dojechalismy szczegolnie do domu.

Nyza chyba godz. 22. Po wyprzeżeniu konia sająłem się broni², która bez świadków schowałem w stodole w sromie.

Tak jak przewidywaliśmy działalność naszą nie uszła uwagi Rosjan. Władza radziecka dość szybko zaczęła czuć się jak u siebie w domu. Najpierw na terenach Litwy ogłosiła mobilizację młodych rekrutów męczyzn do wojska. Jednak na rządowe wezwanie tylko nieliczni zgłosili się do wyznaczonych punktów rejestracyjnych. Znaczna większość męczyzn zamiast iść na punkty poborowe poszła w podziemie, zasilając również oddziały partyzanckie, podobnie jak to było z branką do wojska za czasów carskich, która przyspieszyła wybuch powstania styczniowego na Litwie.

Niepodporządkowanie się zarządzeniom radzieckim miało tragiczne następstwa najpierw na Litwie a zaraz potem i na Wileńszczyźnie. Specjalne oddziały NKWD z wojskiem otaczały rejon kilku większych wsi, zabierali z domu męczyzn od 17 lat do 70, wyganiały na dwór w jedno miejsce we wsi i tam niektórych rozstrzeliwali na oczach zrozpaczonych rodzin, resztę pędziły do więzień, a stamtąd wywożono w głąb Rosji do obozów pracy w najcięższych warunkach bytowania. Wielu z nich nigdy nie uzyskało kontaktu z rodziną - zmarło na wygnaniu. W jednym z takich wypadków przejeżdżając przez wieś litewską po egzekucji byłem świadkiem rozpacz kobiet po stracie ojców, mężów, synów i braci. Był to mój ostatni wyjazd na Litwę w listopadzie 1944 r.

Przy zwiększonej czujności wszyscyśmy ograniczali nasze przejażdżki i przemarsze do najniezbędniejszych przypadków. Kryjówki nasze w rejonie zamieszkania opuszczaliśmy dopiero po stwierdzeniu stanu bezpieczeństwa na drodze, wiedząc do zamierzonego celu przemarszu. Rychło zorientowaliśmy się, że zorganizowane obławy na wsiach prawie wyłącznie odbywały się we wczesnych godzinach rannych i trwały do popołudnia, czyli w tym czasie była to godzina 14-15. Potem, a zwłaszcza w ciągu nocy, było można bezpiecznie poruszać się. To ten czas ten wykorzystywaliśmy do kontaktów osobistych w siatce. Również i oddziały leśne w tym czasie wykonywały swoje zadania. Władza radziecka nocnymi wypadami na ogół nie lubiła narządzać się na ryzyko spotkania z partyzantami, którzy na swoim gruncie mogą działać skutecznie, po ciemku.

Ponimo, że karne oddziały radzieckie przy gęstej obławie stała się netrowąki osiedla, uszczerbek w uzbrojonych grupach partyzanckich był wyjątkowo mały. Najwięcej jednak ucierpeli ludzie w siatce i ci, którzy w ruchu podziemia bezpośrednio nie byli zaangażowani. Byli oni przesładowani za pomoc partyzantom, jak udzielenie noclegu i żywności.

To, że pomimo wielkiego nakładu starań, władza radziecka nie potrafiła w zamierzonym czasie opanować terenu, świadcząca o patriotycznej postawie miejscowego społeczeństwa i naturalnym warunkom Wileńszczyzny ułatwiających ruch partyzantom i utrudniających przesłanie w teren oddziałów represyjnych.

Podobnych szlaków było wiele. Służyły one do przemarsszu oddziałów partyzanckich przy wykonywaniu zadań bojowych. Tędy też rozchodziły się grupy partyzanckie do swoich kryjówek na odpoczynek by na odpowiedni znak maszerować do zadań nowych.

Kilka dni przed Bożym Narodzeniem 1944 r do Chmiziotki przyszedł łącznik z Podbrzezia - siedziby ówczesnej gminy - ps "Mkot" Znałem go osobiście, przed wojną był instruktorem wojewódzkiego związku kółek i organizacji rolniczych na powiat Wileńsko - *trocki*. Przybył poinformował mnie, że jest upoważniony przekazać wiadomość naszego wywiadu a mianowicie: nazajutrz od rana ma być oblawa przy udziale politruków i wojska w rejonie gminy podbrzeskiej obejmującym w promieniu 10 km szosy miejscowości, m.in. Chmiziotkę. Sprawa zapowiadała się groźnie, podobnie jak to było na Litwie. Łącznik po krótkim odpoczynku i posiłku, na jego prośbę, został zapatrzonny w bochenek świeżo upieczonego chleba i poszedł do Wilna. Przed odejściem nadmienił, że w tej sytuacji swoją komórkę łącznikową zmuszony jest zlikwidować. Prosił, bym sprawę tę wziął pod uwagę w dalszej działalności. Od tego czasu jego wogóle nie widziałem. Po wojnie dowiedziałem się, że pracował w akcji osiedli kościuszkowskich. W kilka lat potem dowiedziałem się, że zmarł.

Jeszcze tego dnia zdecydowałem opuścić zagrożoną Chmiziotkę i odskoczyć pod Sużany, do rejonu, który wówczas wydawał mi się bezpieczny. Wiadomością o grożącym niebezpieczeństwie niezwłocznie podzieliłem się z najbliższymi współpracownikami: "Sekiem" i "Jesionem", których też poinformowałem o zamiarze rychłego wymarszu. Tymczasem a był to już wieczór, wpadłem do Niemenczynka i o sytuacji opowiedziałem przebywającemu tam prof. Witoldowi Stanisławiczowi, który również zdecydował jeszcze tego dnia przejść do znajomych gdzieś tam koło Mejszagoły.

Po powrocie z Niemenczynka był już zmrok. W Chmiziotce oczekiwali na mnie gotowi do wymarszu "Sek" i "Jesion" - uzbrojeni w automaty i granaty. Ja oprócz parabelum miałem dwa granaty w kieszeni. Nie wtajemniczając nich domowników w kierunku naszego wymarszu poszliśmy najpierw polem do drogi wiodącej koło jeziora Niemenczynek, potem dobrze nam znanyimi polnymi drogami na wieś Farnuski, las Jękmieniszki i las Sużany.

W Farnuszkach, w jednym z pierwszych gospodarstw, od naszego informatora dowiedziałem się, że przed paru godzinami nasi partyzanci dokonali egzekucji na miejscowym politruku. Przechodząc przez wieś należy mieć się na baczności i nie dać się zaskoczyć przez uzbrojonych ludzi którzy chodząc po wsi grozili zemstą. Przygotowani na niespodziankę - akcję bandy, przeszliśmy skrajem Farnuszek i dalej lasem. Była ciemna noc. Tuż za lasem z lewej strony naszej drogi w niezbyt dalekiej od niej odległości w jakimś zabudowaniu zauważyliśmy słaby

blask światła. Po krótkiej naradzie z moimi towarzyszami postanowiłem odwiedzić bezsennych gospodarzy. W zupełnej ciszy zbliżyliśmy się do zabudowań i po chwilowym nasłuchu "Jesion" podszedł do okna z którego błyskało światło, zapukał. Za chwilę dogadał się z gospodarzami i we trójkę weszliśmy do wnętrza izby.

Gospodarz w średnim wieku i jego żona jeszcze nie spali. Reszta domowników była w łózkach. W krótkiej rozmowie z gospodarzami dowiaduję się, że w sąsiedniej miejscowości w ciągu dnia bolszewicy dokonali łapanek mężczyzn a przed nocą odeszli prawdopodobnie do Podbrzesia, ponieważ stamtąd przyszli. Pod wieczór słychać było dość dalekie strzały automatów - krótkie serie z kierunku Podbrzesia. Dalej gospodarz informował, że bolszewicy w czasie łapanek strzelają również do psów podwórzowych, prawdopodobnie by na przyszłość zapewnić sobie odpowiednią ciszę. To też pies gospodarza był zamknięty w oborze a tym razem z psiej ciszy skorzystaliśmy my.

Po jakiejś godzinie pożegnaliśmy naszych informatorów, życzliwych ludzi, którzy nawet proponowali nocleg. Poszliśmy do lasu Sużańskiego, by stamtąd zejść się na chwilowy odpoczynek do bliskich nam rodzin. Idąc lasem ustaliliśmy, żeby nie wywoływać zdenerwowania tam gdzie zatrzymamy się na odpoczynek, będziemy bez broni, którą każdy z nas ukryje w podręcznym miejscu. "Sęk" miał zatrzymać się w gajówce, na skraju lasu koło Kalniszek, "Jesion" miał iść dalej aż do domu swojej żony i teściowej Tomaszewskiej, sąsiadki naszego brata Wacława w Skierdżiniu. Ja zaś zamierzałem znaleźć się właśnie u brata, który w tym czasie tam zamieszkiwał z żoną, dziećmi, ciotką Bronisławą i szwagrem Zygmuntem Pieślakiem.

Las Sużański przeszliśmy w ciszy, nie przeczuwając groźącego niebezpieczeństwa. "Sęk" odszedł do znajomej mu gajówki. "Jesion" przez pola i zarośla olszyny pociągnął do swego domu. Ja przyszedłem do brata. Był już wczesny ranek. Wszyscy z wyjątkiem dzieci krzatali się w domu. Po przywitaniu poprosiłem o wodę do mycia się przed zamierzonym snem. Pistolet pozostawiłem w bocznej kieszeni kóżucha, granaty miałem przy sobie. Ciotka Bronisława, która jak zwykle urzędowała na swoim stanowisku przy wiejskim piecu, na moją prośbę podała mi w wielkiej misie ciepłą wodę. Zacząłem się myć. Nagle, szwagier brata Zygmunt, wszedł do izby i na wstępie, jakby przeczuwając, że może to mnie interesować, powiedział, że w pobliżu słychać strzały.

Bezwłocznie przerwałem toaletę, nałożyłem bluzę, podróżny kożuszek i zamierzałem wyjść na dwór, zejść się w sytuacji, ale już przez okno zauważyłem jak zdala od strony stodoły, powoli zbliża się na podwórze kilku żołnierzy radzieckich. W ręku trzymali karabiny z nasadzonymi jak zwykle szydłowatymi bagnetami. Spodziewałem się, że za chwilę wejdą do mieszkania i los mój wydawał się być przesądzony. Był

to moment kiedy zamierzałem wyjść do sieni, ująć w rękę odbezpieczony granat a w drugą pistolet i kiedy przybysze znajdą się przed dzwiami domu, zrobić użytek z broni i cym prędzej wymknąć koło stodoły do najbliższego lasu.

Chwila rozwagi. Pytanie co potem będzie z bliską mi rodziną szybko zmieniło mój zamiar. Wiedziałem przy tym jak przelekniona bratowa - Stanisława wpatrzona w desperacką moją twarz, klęcząc przed obrazem modliła się. Być może wyczuwała mój zamiar. Brat ze szwagrem w tym czasie byli na dworze.

Korzystając z nieuwagi domowników, wszedłem za przepierzenie, gdzie przy piecu stała pleciona ze słomy "kosałka" napełniona owsem. Bez wahania i namysłu rosgarnąłem owies i na dnie kosałki ułożyłem dwa granaty i pistolet z nabojami. Potem zdjęłem kożuszek i zbliżyłem się do okna. Brat ze szwagrem byli już w izbie. Wtem otworzyły się drzwi, buchnęły kłęby pary sięnego powietrza i do izby weszło 4-5 żołnierzy w mundurach radsieckich. Jeden z nich, starszy wiekiem - podoficer, ubrojony w rkm, jak się okazało - Rosjanin. Reszta młodzi chłopcy, uzbrojeni w rosyjskie karabiny. Byli to Litwini, którzy przed kilku tygodniami zostali smobilizowania do wojska i skoszarowani w oddalonym około 20 km miasteczku Podbrodzia.

Późnym wieczorem dnia poprzedniego oddział wojska z Podbrodzia wy-masserował w rejon Sużan, gdzie w promieniu około 10 km grupkami obsta-wiały wiele miejscowości wsi i maścianków, przebywając w ukryciu gdzieś w zaroślach lub w polu na mrosie aż do rana. O świcie rozpoczęły swoją akcję - obławę mężczyzn.

Podoficer, który z żołnierzami wszedł do izby, ze zdziwieniem zauwa-żył, że tak dużo mężczyzn zastał w tym domu.. Na wyjaśnienie któregoś z domowników, że są to starsi ludzie poinformował, że zarówno on jak i inne grupy mają rozkaz zabierać ze sobą wszystkich mężczyzn w wieku od 17 do 70 lat.. Przytem nadmienił, że jeśli nie zabierze on, zrobią to inni, którzy po nim zapewne tu przyjdą.

Widząc na co się sanosi, wdałem się w rozmowę z podoficerem. Wyrasi-łem współczucie z powodu mrozu i zaproponowałem na rozgrzewkę samogonu i ciepłą zakąskę. Podoficer przystał na moją propozycję, postawił rkm przy ławie, dwom żołnierzom rozkazał pozostać na dworze a inni po-zostali w izbie. Ciotka Bronisława zaczęła szykować jajecznicę na słoninie. A kiedy okazało się, że w domu samogonu nie ma, trzeba było po na-pój udać się do bliskiego sąsiada. Do tego najlepiej nadawał się Zyg-munt. On to został wysłany po samogon do brata Kazimierza Pieślaka, gospodarującego w odległości 300-400 m. Ponieważ zgodnie z zarządzeniem nikt z domowników nie mógł oddalać się, na polecenie podoficera Zygmunt poszedł w towarzystwie jednego żołnierza. Za chwilę powrócił nasz wy-

słannik z litrem samogonu. Kiedy jajecznicą podana była na stół, samogon nalałem do dwóch postawionych szklanek. Jedną niepełną przeznaczyłem dla mego rozmówcy - podoficera, drugą z zawartością mniej niż połowa wzięłem w rękę i przepikłem do siedzącego za stołem Zygmunta. Podoficer za mną wypił zawartość szklanki, poprosił nalać trochę samogonu jednemu z obecnych żołnierzy i z wilczym apetytem zaczął żądać kęsy chleba z jajecznicą i słoniną. W międzyczasie kontynuowana była rozmowa o dzisiejszej obławie, prowadzonej w wielu najbliższych miejscowościach.

Bardzo krótko trwała ucsta nieproszonych gości. Do izby wbiegł stojący na dworze żołnierz i oznajmił swemu dowódcy, że od strony sąsiednich sąsiedniaków słychać gwizdki. To był znak na zbiórkę, poinformował podoficer, w pośpiechu opuścił izbę i wraz z grupą swoich żołnierzy oddalił się w kierunku wsi Lewony, graniczącej ze Skierdzingą. Najpierw od wsi Kalniaszki, a zaraz też od gospodarstwa Tomaszewskiej, dokąd skierował się "Jesion", dochoodziły odgłosy automatów. Jak się później okazało, w gospodarstwie Tomaszewskiej żołnierze strzelali do jamy z ziemniakami. Poszukiwali partyzanta, ponieważ w mieszkaniu na ławie znaleźli pas wojskowy i chlebak, które te przedmioty nasunęły myśl, że przybysz gdzieś ukrył się. Szukali we wszystkich zakamarkach zabudowań. Słomę i siano w stodole pruli bagnietami. "Jesion" w tym czasie szczęśliwie przesiedział na grochu, ułożonym na żerdziach wysoko pod dachem w stodole.

W ślad za żołnierzami wyszedłem na dwór i zorientowałem się, że droga prowadząca przez strumyk Kirnia do najbliższej partii lasu Sużańskiego, może być wolna od wojska. Postanowiłem przedostać się do lasu. Wpadłem do mieszkania, szybko i również chyba bez świadków sięgnąłem do skrytki po pistolet i granaty. Kiedy już byłem przygotowany do wymarszu zaproponowałem bratu i Zygmuntowi, by sprzegli do sani konia, wzięli piłę z siekierą i pod pretekstem pobrania drzewa wyjechali ze mną do lasu. Obawiali się, odmówili. Wobec tego pożegnałem domowników i bezzwłocznie oddaliłem się w kierunku lasu. Po drodze wpadłem do stodoły po lornetkę.

Do lasu doszedłem szczęśliwie. Dzień był wyjątkowo zimny a śniegu mało. Rozglądając się dookoła powoli wchodziłem w głąb lasu, idąc w niewielkiej odległości od drogi, by utrzymać pożądaną kierunek. W tym czasie w lesie panowała cisza, co pewien czas zakłócona spłoszonym ptactwem. Przeszedłem chyba ze dwieście metrów, gdy posłyszałem przyciszoną rozmowę kilku ludzi, sączących w poprzek kierunku mego marszu. Szybko rozpoznałem 4 uzbrojonych partyzantów. Dołączyłem do nich a po kilku nastu minutach było już nas ponad 10 osób. Opowiadali, że na odgłos strzałów niespodziewanej obławy udało się im zbiec do lasu, w pobliżu którego mieli nocleg. Zebranych partyzantów, wśród których było kilku

znajomych zaproponowałem wspólną akcję. Objąłem komendę. Opodal leśnej drogi wystawiłem eszujkę w obsadzie dwóch partyzantów z resztą prze - szedłem na skraj lasu, na stanowisko, z którego można było obserwować wiejską drogę wiodącą do od Lewon w kierunku Rakszany - Sużany.

Po paru godzinach siedzenia w lesie, coraz bardziej zaczęło doku - czać zimno. Partyzanci dreptali w miejscu, by nie dopuścić do odmrożenia nóg. Rozgrzewali ręce, rozcierali śniegiem palce, uszy, policzki i nos. Od strony Skierdziny i głębiej położonych Siewruk i Lewon uszły do - chodzący odgłosy pojedynczych wystrzałów i ujadanie psów. Kiedy już słońce chyliło się ku zachodowi na drodze do Rakszan, na wzgórzu, uka - zała się grupa mężczyzn, licząca ponad 100 osób. Przy pomocy lornetki dość łatwo rozpoznałem, że w grupie byli miejscowi gospodarze. Nieśli różne tobołki i szli dość gęsto otoczeni żołnierzami, jak wojenni jeńcy.

Był to rezultat dokonanej od rana obławy. Od razu myślałem podjąć akcję odbicia pędzonych ludzi i już zamierzałem wydać odpowiednie roz - kazy odnośnie szybkiego przemarszu w rejon Sużan, gdzie w ukryciu w sa - roślach można było dokonać ataku na konwój. Za chwilę jednak zamiar okazał się nierealny. Na drodze w pewnej odległości zobaczyliśmy silny oddział żołnierszy z karabinami maszynowymi. My zaś mogliśmy dysponować tylko bardzo słabą siłą ognia, która pomimo zamierzonego zaskoczenia nie rokowała powodzenia a mogła wywołać gwałtowne reakcje ze strony konwojentów.

Odczekawszy ponad pół godziny w lesie postanowiliśmy ruszyć się do swoich kryjówek, celem zorientowania się w nowej sytuacji. Pożegnawszy kolegów poszedłem w kierunku Kalniszek, gdzie nad ranem miał zatrzymać się "Sęk". Dochodząc do pierwszego domu we wsi dowiedziałem się, że w czasie ucieczki do lasu został zastrzelony młody mężczyzna - Gajda - mowicz z pobliskiego folwarku. Po odejściu obławy na podwórku ofiary zaczęli zbierać się sąsiedzi, by uczcić pamięć zamordowanego. W tym też momencie pies zabitego właściciela przyniósł czapkę swego pana, po - została na miejscu tragicznego wypadku. Pies po złożeniu czapki przed domem zaczął przeraźliwie wyć. Z rozmowy z gospodarzami okazało się, że w tej wsi zabrano tylko kilku mężczyzn a wielu z nich uszło do lasu. Do uciekających żołnierze strzelali. Poza Gajdamowiczem jeden z ucie - kających został postrzelony i zostawiając krwawy ślad na śniegu potra - fił schronić się w lesie a żołnierze tam jak zwykle bali się wejść.

Pod wieczór przeszedłem do Skierdziny, gdzie dowiedziałem się, że brat ze szewagrem Zygmuntem zostali również aresztowani i odstawieni do Sużan skąd powrócili dopiero po kilku dniach.

W wyniku niespodziewanej, przeprowadzonej na szeroką skalę obławy zostało aresztowanych bardzo dużo mężczyzn. Wśród nich znaleźli się moi dwaj stryjeczni bracia: Julian i Bolesław Bogdanowiczowie z Lewon.

Aresztowanych, po odpowiedniej segregacji wysłano do różnych zakątków swiązku radzieckiego, do obozów pracy. Wielu z nich ciężkich wprost nieludzkich warunków nie wytrzymało i zmarło na wygnaniu. Julian i Bolesław Bogdanowiczowie znaleźli się w Dźnbasie w kopalni, skąd na początku 1945 r udało im się szczęśliwie zbiec.

W Skierdżimie dowiedziałem się, że "Sęk" również wrócił z lasu i znajduje się w sąsiednim gospodarstwie Jerzego Pieślaka, przyszłego teścia. "Sęk" poinformował mnie o przeżytej przygodzie w leśniczówce, dokąd wstąpił po nocnym marszu. Kiedy zbierał się do odpoczynku i tu podobnie jak w Skierdżimie, o świcie na drodze do zabudowań ukazało się kilku żołnierzy radzieckich. Zanim "Sęk" rozsejrsał się dzielna gospodyni porwała leżący na ławie automat i magazynki z nabojami, owinęła we fartuch, szybkim krokiem sanieśza do chlewu, gdzie mieściło się kilka świń - i ułożyła głęboko w ściółce. "Sęk" w tym czasie sdażył skryć się w chlewie na strychu. Leśniczego w domu również nie było. Żołnierze po dokonaniu pobieżnego przeglądu w mieszkaniu i stodole oddalili się w kierunku Kalniszek.

Kiedy niebezpieczeństwo minęło "Sęk" za wskazówką gospodyni poszedł do chlewu po broń. I tu był zdumiony: automat i amunicja leżały w chlewie wyrzute ze ściółki przez świnię. Zabrał broń i uknął do lasu, gdzie wraz z innymi kolegami przebywał kilka godzin do końca obławy.

Kilka dni przebywałem w Lewanach u Bogdanowiczów i w Skierdżimie u brata. Z jednej strony starałem się zebrać informacje o zasięgu na - krojonej na szeroką skalę obławy, z drugiej - wyjaśnić los ofiar obławy. Z przykrością stwierdziłem, że sieć moich informatorów została mocno przerzedzona i to w ciągu jednego dnia łapanki. Znikąd nie mogłem uzyskać niezbędnych informacji. Czułem się bezradny i postanowiłem, że zanim nie zbiorę potrzebnych mi danych o ruchu żołnierzy radzieckich w okolicy, nie ruszę z miejsca. Przestrzegalem podstawowej zasady, by nie iść w nieznane, ponieważ i tak zbyt częste były niespodzianki w sytuacjach, które należały do tych znanych.

Jedynymi moimi informatorami w ciągu kilku dni byli: Piotr O. W Lewanach, przebywający od lipca 1944 r w gospodarstwie Bolesława Bogdanowicza i Kazimiersa ~~Pieślaka~~ w Skierdżimie. Oni to co dzień usiłowali zebrać informacje o miejscowościach, w których były prowadzone obławy, notowali przy tym przybliżoną liczbę osób zatrzymanych. Okazało się, że obławy trwały kilka dni. W niektórych miejscowościach żołnierze pojawiali się dwa i trzy razy. O tym, że obława trwała codzień można było słyszeć odgłosy automatów. Krótkie charakterystyczne serie, najczęściej w godzinach od 8 - 14 przeważnie były oznaką tragicznej śmierci chroniących się

ludzi lub rozpaczliwej samoobrony ofiar bolszewickich najeźdźców.

Internowanych mężczyzn codziennie partiami doprowadzano do więzienia w Wilnie, gdzie formowano odpowiednie grupy przeważnie do pracy w obozów pracy w głębi Rosji. Niektórych włączono do służby wojskowej. Od rodzin odwiedzających więźniów dowiedziałem się, że oblawa nasięgiem objęła całą Wileńszczyznę i w różnym natężeniu trwała aż do marca 1945 r do ogłoszenia amnestii i wezwania partyzantów do ujawnienia się

3. W drodze do Chmizjutki

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Myślałem o tradycyjnej Wigilii w gronie rodziny. W domu pozostawała żona z 12-letnim synem Henrykiem i 9-letnią córką Zofią i kobietą w średnim wieku, przybyłą z Wilna w charakterze pomocy domowej. Poza tem codziennie do prac w gospodarstwie, przychodził z pobliskiej wsi Zajezierce mój gospodarz Franciszek Łozowski lub jego żona.

Na święta chciałem wrócić do domu, tym bardziej, że byłem zaniepokojony nie znaną mi sytuacją, jaka wytworzyła się w ciągu kilku ostatnich dni z powodu radzieckich represji. Co się działo po moim odejściu w domu i u najbliższych sąsiadów nie miałem żadnych wiadomości. Co dzień wsłuchiwałem się w odgłosy strzelaniny, towarzyszącej represyjnym wysy-
tom radzieckim. Wydawało się, że z dnia na dzień strzelanina zanika, że wobec tego prawdopodobnie bezpiecznie będę mógł wyruszyć w drogę.

W dniu Wigilii, po noclegu w Lewonach z rana zaszedłem do Skierdżiny pożegnać się z bliską rodziną przed odejściem do domu na święta. Po drodze wstąpiłem też do najbliższego sąsiada i krewnego mojej bratowej Jerzego Pieślaka, by poinformować brata "Sęka" o moim samiarze. Zastałem go w domu i po krótkiej rozmowie w gronie otaczającej rodziny Pieślaków, przekazałem życzenia świąteczne i noworoczne. Życzyłem szczęśliwego spokoju a przede wszystkim rychłego powrotu syna Pieślaków porwanego przed kilku dniami w czasie łapanki. Niestety traktowany w nieludzkich warunkach w obozie pracy, podobnie jak wielu innych - zmarł. Żegnając "Sęka" poinformowałem, że w Chmizjutce prawdopodobnie pozostanę czas dłuższy, gdzie też po Nowym Roku będzie mógł wraz z "Jesionem" i innymi utrzymać ze mną kontakt.

Do Chmizjutki szedłem dobrze nam znanym szlakiem. W panującej dookoła ciszy przeszedłem las Sużański i po dłuższej trasie zbliżałem się do lasu Jęcmieniszki. Przed wyjściem z tego lasu doszły mnie odgłosy rad-
kich pojedynczych strzałów i krótkich serii automatów z kierunku mego marszu gdzieś z odległości 6-8 km. Przy bezwietrznej pogodzie określe-
nie odległości wydawało mi się prawidłowe.

Bez pośpiechu posuwałem się dalej, nie napotykając po drodze żywej

duszy. Po pewnym czasie zaczęło mi się wydawać, że strzelanina ucichła. Nasłuchując bez przerwy oddalałem się kilka kilometrów od lasu. Szedłem na przekaj mijając na znacznej odległości zabudowania gospodarstw. Zbliżałem się do rozrzuconych gospodarstw Purny⁴zki z myślą wstąpienia do pierwszego samotnie położonego gospodarstwa celem zasięgnięcia informacji. Idąc sagłębieniem terenu i zaroślami w kierunku upatrzonego gospodarstwa prawdopodobnie zostałem przez okno dostrzeżony przez tamtejszych ludzi. Kiedy podszedłem na odległość 100-150 m w drzwiach domu ukazała się kobieta, która znakiem ręki dała pojąć, że ma coś do powiedzenia. Jednocześnie wskazała kierunek z którego powinienem podejść do domu. Cofnąłem się nieco ku zaroślom, sprawdziłem pistolet, który ulokowałem z przodu za pasem pod kożuchem i prędko podszedłem pod wskazane miejsce przy budynku. Kobieta oczekiwała przy domu i kiedy już byłem w odległości ^{nie}ci dalej 30 kroków, szybko opowiedziała o trwającej we wsi obławie. Mówiła, że bolszewicy porwali wielu mężczyzn, a za uciekającymi strzelali. Teraz od dłuższego czasu strzelanina ucichła, lecz wojsko we wsi prawdopodobnie jeszcze nie odeszło, ponieważ na drodze do Podbrzezia, obserwując z okna domu, żadnego ruchu nie spostrzegła. Kobieta tą była miejscowa Rosjanka, wyznania starego obrządku prawosławnego. Ona, jak wielu podobnych obywateli naszego kraju, była przeciwna postępowaniu władzy bolszewickiej.

Po krótkiej i dostatecznie informującej rozmowie postanowiłem czym prędzej wycofać się z zagrożonego rejonu i wielkim łukiem obejść wieś. Cofając się doliną, musiałem też przejść przez niewielkie wzniesienie z którego na odległość chyba 200 m zauważyłem poruszające się rzędy bagnatów z lufami karabinów. Chwilę pochylony przysiadłem a następnie w pośpiechu skryłem się w terenie na krótko, by zdać sprawę co to za ruch? Rozglądając się w terenie z ukrycia rzadkich zarośli dostrzegłem na odległym wzniesieniu skrawek polnej drogi wiodącej do Podbrzezia. Pomyślałem, że jeżeli tajemnicza kolumna idzie w kierunku Podbrzezia to za kilkanaście minut sobaczą. Tak się też stało. Zanim naładowałem tytoniem fajkę i zapaliłem, na obserwowanym odcinku drogi ukazała się kolumna mężczyzn - ponad 100 osób, otoczona gęstym konwojem żołnierzy. W pewnej odległości na kolumną szedł niewielki oddział uzbrojony dodatkowo w dwa rkm.

Dopaliłem fajki i kiedy kolumna złożona z ofiar bolszewickich łowów i żołnierzy eskortujących znikła z pola mego widzenia, ruszyłem w dalszą drogę, kierując się przesłankami wojennej logiki, poszedłem na wprost wyraźnie widocznej wsi z przekonaniem, że napotkam na drodze niebezpieczeństwo minęło przynajmniej z tej okolicy. Tak też było. Lecz brak mego niebezpieczeństwa wcale nie oznaczał brak ludzkiego nieszczęścia w tym czasie. Przy wejściu w obręb zabudowań jednego z pierwszych gospodarstw

wsi Purnuszkach spotkałem grupę przerażonych i zdenerwowanych starszych mężczyzn, płaczących kobiet i dzieci. Tuż przed moim przybyciem wnieśli do mieszkania i ułożyli na ustawionej po środku izby szerokiej ławie okrwawione zwłoki młodego mężczyzny - gospodarza tej wsi - Stanisława Łozowskiego. Zebrani sąsiedzi, a wśród nich starzy rodzice nieboszczyka, pogrążeni w rozpacz radzili nad zrobieniem trumny. Rodzina oczekiwała powrotu matki osieroconych dzieci i żony nieboszczyka, która tegoż tragicznego dnia spełniając jakieś zarządzenie władzy pojechała do Mejszagoły i miała ła da chwila wrócić.

Z zeznania sąsiadów i świadków zajścia dowiedziałem się, że Stanisław Łozowski przed kilku dniami był wraz z innymi mężczyznami ujęty w łapance we wsi. Liczna grupa otoczona jak zwykle uzbrojonymi konwojentami, była gnana do Podbrzesia. Niedaleko tego miasteczka, w drodze przez wieś Moskaliszki bolszewicki konwój trafił w zasadzkę dobrze uzbrojonego oddziału partyzanckiego. W czasie gwałtownej krótkiej walki bolszewicki oddział osłaniający wraz z konwojentami uległ rozproszeniu. Jednocześnie rozbiegła się internowana grupa mężczyzn. S. Łozowski powrócił do domu i nie spodziewał się ponownej obławy. W czasie świąt w dniu wigilii był zajęty w gospodarstwie przygotowując paszę dla bydła. Wychodząc ze stodoły zauważył wchodzących na podwórze żołnierzy. Skoczył w bok, próbował uciec za budynek, lecz seria z automatu jednego z żołnierzy położyła go trupem w kałuży krwi.

Bezradny z silnym wrażeniem doznany tragedią nieszczęśliwego bezbronnego człowieka - jednej z wielu tysięcy ofiar krwawej władzy radzieckiej na Wileńszczyźnie nakazywającej swać siebie wyzwolicielką Polski opuściłem wieś. Szedłem zrezygnowany. Dzień zbliżał się ku końcowi, kiedy byłem już w niewielkim lesie, należącem do gospodarstwa Suchockiego oddalonym od Chmiziutki ponad 2 km. Droga naprzeciw mnie zbliżały się sanie, pierwsze jakie tego dnia spotkałem. Za chwilę jednokonne sanie zatrzymały się przede mną. Powosiła samotna młoda kobieta. Zaczęła z niepokojem wypytywać czy na drodze spokój. Kiedy opowiedziałem jej o tragicznym wypadku w Purnuszkach oraz wymieniłem imię i nazwisko zabitego mężczyzny, kobieta natychmiast doznała szoku, zaczęła płakać i głośno rozpaczając kilka razy wymieniła imię kochanego męża i podrywając konia szybko odjechała. Stałem chwilę z wzrokiem utkwionym w oddalające się sanie aż rozpaczliwy głos kobiety został przyciszony wieczornym poszumem lasu.

Do Chmiziutki przyszedłem wieczorem, serdecznie witany przez domowników. Opowiedziałem przeżycia jakich doznałem w Skierdżimie i w drodze do domu. Z kolei wysłuchałem pobieżnej relacji o zajściach jakie miały miejsce nazajutrz po naszym odejściu z Chmiziutki. Również i w tym rejonie była obława, która poza Chmiziutką objęła wiele sąsiednich wsi

i pojedynczych gospodarstw. Byli w moim domu, pytali gdzie jestem. Tym musieli kontentować się odpowiedzią, że wyjechałem do krewnych na Litwę.

W Chmizjutce został zamordowany Gieczewski, młody zięć mego sąsiada Norberta Zajączkowskiego. Ujętego w obławie młodego mężczyznę wygnano na dwór, gdzie trzymano go kilka godzin w koszuli na siaroczystym mrozie. Zrozpaczony teść usiłował podać zięciowi kożuch, lecz stojący obok kilku zatrzymanych ludzi bolszewik-politruk przepędził Zajączkowskiego, grożąc użyciem broni. Nieszadługo Gieczewski i inni zostali zastrzeleni rzekomo za współpracę z partyzantami.

Smutna była wigilia i święta Bożego Narodzenia 1944 r. W wielu domach w okolicy panowała żałoba po stracie najbliższych. Co dzień do - wiadywałem się o nowych ofiarach systematycznych łapanek. W domu przebywałem po parę godzin dziennie, najczęściej pod wieczór. Przypuszczałem że bolszewicka wima może powtórzyć się każdego dnia. Noc i większą część dnia spędzałem w ukryciu w lesie, w jakiejś stodole u sąsiadów, którzy wydawali się nie być zagrożonymi, bądź też w położonej na odosobnieniu *Kozłni*. Najczęściej odwiedzałem Niemenczynek, gdzie jeszcze w dalszym ciągu uzyskiwałem wiele wiadomości o łapankach i o sytuacji na froncie. Cały okres świąteczny aż do wigilii Nowego Roku, traktem od strony wsi Szaktaniski, co dzień po kilka sań załadowanych politrukami i żołnierzami przejeżdżało obok Niemenczynka w kierunku lasu Lubowskiego. Były to jakieś akcje nowe, organizowane obławy na pojedynczych ludzi, zarejestrowanych przez miejscowe władze bezpieczeństwa

4. Nowy Rok w Niemenczynku

Późnym wieczorem w wigilię Nowego Roku 1945, jak zwykle o tej porze wyszedłem na nocleg poza domem. Tym razem poszedłem do stodoły najbliższego sąsiada Błażewicza, po śmierci którego przed paru laty, gospodarstwo prowadziła żona z nieletnimi dziećmi. Gospodarstwo zaniedbane toteż i niewielka stodółka miała całkiem nie szczelne ściany częściowo z desek, częściowo z ustawionych snopów słomy. Wewnątrz nie wiele słomy a jeszcze mniej siana. W pomieszczeniu tym nocowałem rzadko a to dlatego, że stodółka była położona zbyt blisko domu jej właścicielki a przebywający na dworze pies natrętnie informował o mojej obecności. Pomimo to nocleg w stodółce miał też i atuty korzystne. Pierwszy to, że gospodarstwo pozbawione mężczyzn, mało interesowało bolszewików. Drugie - położone blisko mego domu ułatwiało utrzymanie kontaktu słuchowego i wzrokiem. Trzeci - do stodółki można wejść niezauważonym w nocy. Co prawda jednego razu zdarzyło mi się wleźć do stodółki gdzie kwaterował pies gospodyni. Zostałem zjadliwie oszczekany i zanim powstał alarm w

domu wymknąłem w poszukiwaniu nowego noclegu, przyspieszany ujadaniem mego prześladowcy. Wkrótce jednak z bliżej nie znanej mi przyczyny, pies na noc(nie) był zamykany w kuchni. Może domyślna gospodyni - sąsiadka, znając moją sytuację, celowo zapewniła mi spokój.

Tym razem zakopany w słomie spałem do świtu. Ubrany w watowane spodnie, sweter, samodzielną kurtkę, obleczone krótkim, nowym kożuchem i obuty wojskami nie odczułem nawet 20° C mrozu. O świcie zaszedłem do mego domu i po szybkim śniadaniu wyszedłem.

Szedłem na przełaj przez pola, prawie nie zapadając w twarde i niezbyt głęboki śnieg. Zamierzałem z noworoczną wizytą wstąpić do Niemenczynka. Po drodze jednak wstąpiłem do nauczycielki Pomietlakowej, której mąż był w armii zachodnich sprzymierzeńców. Od niej a raczej za jej pośrednictwem od narzeczonego jej córki "Stanisława", który systematycznie obserwował ruch na pobliskiej drodze, dowiedziałem się, że niespełna przed godziną na kilku saniach od Szaktaniszek przez Niemenczynek i dalej pojechali bolszewicy. Wobec tego zmieniłem kierunek marszu. Poszedłem do lasu Lubowskiego, omijając po drodze gospodarstwa moich sąsiadów Klimaszewskiego i Zdrojewskiego.

Na skraju lasu przesiedziałem parę godzin, obserwując przez lornetkę drogę z myślą, że może dojrzę powrót bolszewików o których mówiła Pomietlakowa. Znudziło mi się, postanowiłem wstąpić do Zdrojewskiego. Oglądając się na przedpole doszedłem do jego gospodarstwa. U Zdrojewskiego gospodarstwo prowadzi jego szwagier Wołejko Antoni z rodziną - brat pierwszej żony, która zmarła przed wojną. W czasie mojej wizyty, Wołejki z żoną nie było - wyjechali do rodziców. Zastałem samego Zdrojewskiego, który bardzo się ucieszył z naszego spotkania w panującej sytuacji początku 1945 roku. W czasie krótkotrwałego poczęstunku urządziliśmy złożyć wizytę Łabanowski, gdzie można też będzie zagrać w karty, ponieważ zarówno on jak i leciwy Łabanowski byli namiernymi wielbicielami preferansa. Wprawdzie podniosłem zastrzeżenie przeciw rychłemu odejściu do Niemenczynka, a to wobec denerwujących nas bolszewickich przejazdów pomimo noworocznego święta. Zdrojewskiemu opowiedziałem to o czym mówiła mi znajoma nam sąsiadka Pomietlakowa. Pomimo to po paru kielichach, Zdrojewski dyskretnie zaczął nalegać na przejście do Łabanowskiego. Był gospodarzem - uległem. Poszliśmy kawałek drogą, następnie na przełaj przez sad.

Weszliśmy do wielkiej dworskiej kuchni, gdzie w roli gospodyni przebywała córka Łabanowskiego - Helena. Do jej kompetencji należało przygotowanie pożywienia dla domowników oraz dla drobnego inwentarza, pozostającego we władaniu Łabanowskich. Bydło, konie i reszta innego inwentarza należała do dzierżawców majątku braci: Wiktora i Stanisława Awłasiewiczów.

W kuchni poza Haliną spotkaliśmy Bolesława Łabanowskiego z żoną i Aldonę z najstarszą córką na ręku. Marian-mąż Aldony, gdzieś z pokoju wybierał się do wyjścia do sąsiedniej wsi. Ja ze Zdrojewskim po przywitaniu się z gospodarzami w oczekiwaniu na przejście do innego pomieszczenia tymczasem usiedliśmy na kuchennej ławie, opodal dużego stołu.

Ledwie zdążyliśmy usiąść jak całkiem niespodziewanie otworzyły się drzwi i ku wielkiemu przerażeniu obecnych, do kuchni weszło dwoje ludzi. Jeden z nich w uniformie żołnierza radzieckiego, trzymając w ręku pistolet powiedział po rosyjsku - dzień dobry i nadnicnik, że zebrani w kuchni chyba oczekują na noworoczne przyjęcie. To mówiąc zbliżył się do drugiego osobnika, który miał na sobie polski wojskowy płaszcz a na głowie rogatywkę z białym orzełkiem. Między sobą o czynach mówili, przyczem osobnik w czapce z orzełkiem, przyglądając się siedzącemu obok mnie Zdrojewskiemu, wskazał na niego wzrokiem swemu rozmówcy. Bolszewik a był to politruk, zrozumiał znak lecz na razie nie akcentował swego zainteresowania Zdrojewskim. Wyciągnął nieco krwawiącą lewą dłoń i prosił stojącą z dzieckiem na ręku Aldonę, by podała wody do zmycia rany. Wydało mi się, że skaleczenie było niewielkie. Zresztą on sam powiedział, że wsiadając do sań gdzieś tam zadrapał. Przytym robił wrażenie pijanego.

Aldona owinęła rękę bandażem, przyczem zrobiła to z udającym współczuciem. Kiedy opatrunek miał na ręku politruk od razu podjął swoją funkcję. Podszedł do Zdrojewskiego, zapytał jak daleko stąd mieszka i powiedział, że chce razem z nim pójść do jego domu. W tym też czasie Marian (~~zamiast~~) zamierzał wyjść z domu, lecz pomimo argumentacji potrzeby politruk nakazał pozostać na miejscu.

Szybko zaczęła rozwijać się akcja. Politruk dobrał spośród oczekujących na dworze przy saniach 3 żołnierzy oraz nakazał Zdrojewskiemu i osobnikowi w rogatywce z orzełkiem, by szli razem. Cała ta grupa poszła przez sad do gospodarstwa Zdrojewskiego. Jednocześnie sformowana druga grupa żołnierzy licząca 5-7 osób, poszła drogą koło dworskiej stodoły, następnie przez pole do nauczycielki Pomietlakowej. Do Chmiutki tym razem nie doszli.

Pozostałem chwilowo w kuchni w towarzystwie rodziny Łabanowskiego. Zorientowałem się, na co się zanosi, nie wierzyłem, że mnie i Mariana - męża Aldony bolszewicy pozostawią w domu. Natychmiast powziąłem plan postępowania. Postanowiłem za wszelką cenę zwać z Niemenczynka, zanim politruk weźmie pod swoją opiekę. Żeby upewnić się jaka jest sytuacja na dworze, zaraz z odejściem politruka zajrzałem przez otwarte drzwi. Na dworze popasały konie zaprzężone 4-5 sań, przy których kręcili się woźnicy i kilku żołnierzy z karabinami. W tym też czasie widziałem od-

dalające się grupy obławy.

Zdając sprawę z sytuacji zaproponowałem Marianowi, by wraz ze mną natychmiast opuścić Niemenczynek. Słyszac to Łabanowski zaczął odradzać naiwnie twierdząc, że politruk nami nie interesuje się, ponieważ przed odejściem żadnego nakazu nie uczynił. Zbyt dobrze znałem bolszewików, nawet już z ostatnich kontaktów z nimi, by traktować poważnie twierdzenie Łabanowskiego.

Pod wpływem teścia Marian ustąpił. Ja natomiast niepohamowany w zamiarze, bez słowa dyskusji wzięłem w rękę stojące w kuchni wiadro z kuchennymi zlewkami i udając zamiar karmienia świń wyszedłem na podwórze. Miernym krokiem przeszedłem w pewnej odległości od sań, by nie rozpoznał mnie któryś z woźniców i zdecydowanie skierowałem się ku stojącemu w końcu podwórza chlewu, w odległości od kuchni ok. 100 kroków

Chlew położony był przy drodze wyjazdowej z dworu do biegnącego obok traktu. Tuż za traktem było jezioro Niemenczynkowskie w tym czasie zamrażnięte. Po przeciwnej stronie jeziora na wprost dworu leżała wieś Zajezierce przyległa do zabagnionej łąki okalającej jezioro. Na prawo od zabudowań wiejskich częściowo przylegając do jeziora, ciągnęły się zarośla i rzadki drzewostan sosnowy.

Nie pytany i nie zatrzymany szczęśliwie doszedłem do chlewa, przy którym postawiłem wiadro i bez pośpiechu skryłem się za budynkiem a następnie zszedłem w dolinę położonego jeziora. Tam dopiero szybkim krokiem parę razy oglądając się, przeszedłem jezioro i znalazłem się w Zajeziercach, gdzie też miałem od dawna znajomego, lubianego przeze mnie bardzo czynnego starszego człowieka ^{Gieniewicza} ~~Janistę~~ ~~Janistę~~. On spośród wszystkich mieszkańców wsi był najodważniejszy. Opowiadając o mojej przygodzie prosiłem by poszedł do dworu i dowiedział się o dalszym biegu wypadków.

Wincenty z osobistym zaciekawieniem poszedł a ja tymczasem przebywając przeważnie na dworze we wsi a następnie w pobliskich zaroślach obserwowałem Niemenczynek i trakt.

Po upływie paru godzin zobaczyłem jak z podwórza dworu przy końcu chlewa skąd przyszedłem, wyjechały sanie z żołnierzami i jakimiś ubranymi w kożuchy cywilami. Sanie ciągnęły traktem w kierunku Szaktaniszki-Piekieliczki. Niezadkuго rozpoznałem wracającego przez jezioro Wincentego.

Wincenty opowiedział to co się działo w Niemenczynku. Świadcami tego byli również Łabanowscy i dzierżawca Awłasewicz. Politruk z osobnikiem w rogatywce z białym orkiem i kilku żołnierzami po przeprowadzeniu rewizji w mieszkaniu Zdrojewskiego, gdzie też niczego obciążającego nie znaleźli, powrócił do Łabanowskiego prowadząc pod bagnetami okrwawionego Zdrojewskiego, którego w czasie rewizji bito. Prawie jedno-

czesnie powróciła grupa żołnierszy od Pomietlakowej, prowadząc pod bagnotami "Stanisława" - partyzanta i córkę gospodyni młodą dziewczynę (ucz.) Lusię. We dworze przed odjazdem zabrali brata dzierżawcy Awłasewicza i Mariana Pieciukiewicza. Politruk pytał też Łabanowskiego o mnie, lecz na wyraźnej odpowiedzi otrzymać nie mógł, ponieważ nikt z domowników dokładnie nie wiedział dokąd odszedłem.

Zatrzymanych ludzi bolszewicy zawieźli najpierw do Mejszagoly a stamtąd do więzienia w Wilnie. Pomietlakowa i Aldona jeździły dowiadywać się o losie swoich bliskich. One też poinformowały mnie, że w czasie transportu bito kolbami pistoletów: Zdrojewskiego, Pieciukiewicza i "Stanisława".

Po upływie kilku miesięcy został zwolniony Pieciukiewicz i córka Pomietlakowej. Zdrojewski był sądzony i skazany na 10 lat karnego obrotu pracy za przynależność do podziemnej organizacji walczącej o niepodległość kraju. O losie "Stanisława" nigdy nie dowiedziałem się.

W prędkim też czasie byłem poinformowany, że sprawcą najazdu bolszewickiego na Niemenczynek i okoliczne gospodarstwa był właśnie ów osobnik w polskim płaszczu z rogatywką na głowie. Był to jeden z partyzantów, młody chłopiec ps. "Żaba", należący do oddziału "Wołodi". Pochwycony przez bolszewików zapewne został przez nich we właściwy im sposób zmuszony do wskazywania ludzi z którymi oddział ostatnio kontaktował się. On też idąc śladem swego oddziału doprowadził ekspedycję politruka do Niemenczyńka, do Zdrojewskiego i "Stanisława", których potrafił zapamiętać.

I tym razem udało mi się wyjść z bolszewickiej matni...

5. NKWD depczą po piętach

Był już styczeń 1945 r. Obok masowej obławy organizowanej przez bolszewików w niektórych miejscowościach trwały coraz częstsze wypadki nielicznych grup żołnierszy radzieckich w towarzystwie politruków w poszukiwaniu osób, znajdujących się na liście jako podejrzanych o burzenie bolszewickich planów, ^{z murem} ~~zaczynających~~ do wprowadzenia władzy radzieckiej w naszym kraju. W dalszym ciągu obławę kierowano na młodych mężczyzn uchylających się od bezprawnie prowadzonego poboru do obcego wojska.

Groźne chmury zawisły nad naszą konspiracją. Masowe wyławianie ludzi ogniów terenowych, zastraszenie środowiska stanowiącego bazę ruchu partyzanckiego, wielki brak broni i amunicji i różne inne kłopoty sprawiły rozpaczliwie beznadziejną sytuację. Chwile wahań w pełnej bezradności atmosfery nawiedzały naszych partyzantów, którzy z braku amunicji nie mogli skutecznie przeciwstawić się najeźdźcy.

Niedostatek stałego kontaktu z kierownictwem naszej organizacji na

szczeblu wileńskim, był cechą dominującą już za okupacji niemieckiej. Zamiany dowództwa AK w środowisku siatki konspiracyjnej w terenie i w oddziałach partyzanckich nie były znane. Terenowe kierownictwo siatki konspiracyjnej, jak i dowódcy grup partyzanckich, tudzież wszyscy partyzanci wierzyli, że celem powszechnego wystąpienia zbrojnego będzie zachowanie niepodległości kraju. Wszyscy wierzyliśmy, że akcja zbrojna prowadzona będzie zarówno przeciw Niemcom jak i bolszewikom, jeśli naszej niepodległości zagrożą. Niestety, kierownictwo AK w ogóle do spełnienia tej wiary z różnych względów zdecydowanie nie było, pomimo, że bolszewicy podstępnie internowali i rozbili partyzantów AK pod Miednikami Królewskimi na Wileńszczyźnie. Stanowiło to poważny atut do wyciągnięcia wniosku z bolszewickich zamiarów względem naszego kraju. Ten brak zdecydowanej postawy zbrojnego oporu przeciw nowemu-bolszewickiemu najeźdźcy istniejący na szczeblu krajowym, fatalnie odbił się również i na *Kierownictwie* wileńskim, które trudno uwierzyć by bez sugestii kierownictwa krajowego wciągnęło oddziały partyzanckie na wielką koncentrację, ułatwiając bolszewikom otoczenie i internowanie.

W sytuacji zdecydowanej walki z bolszewikami na Wileńszczyźnie, kontakt z kierownictwem był w ogóle utrudniony a nawet wprost nie był do osiągnięcia. Z tego również zdawałem sprawę. Było to wytłumaczone rozwojem bardzo niekorzystnej sytuacji politycznej i akcji represyjnej. Byliśmy zdani wyłącznie na własną inicjatywę w poszukiwaniu praktycznej decyzji. To sprawiało, że podejmowane przez nas akcje nie były ani skoordynowane, ani ograniczone. Broniliśmy się w miarę naszych możliwości.

Szalejący terror bolszewicki nie deprawował lecz uodparniał nas i przysposabiał psychicznie do dalszej walki resztkami dysponowanych sił. Powoli zaczęliśmy przyzwyczajać się do obławy i do uganiania bolszewików za poszczególnymi ludźmi. My, gospodarze tych ziem, wiedzeni intuicją, znaleźliśmy sposoby wymykania z pierścienia obławy *wraz z* nam oddziałów i wciąż byliśmy czujni na łapanki pojedynczych ludzi. Tymczasem musieliśmy działać w poznawanych przez nas nowych warunkach, stworzonych przez nieprzyjaciela.

Pewnego dnia, kiedy pod wrażeniem trwającej w okolicy obławy, znalazłem się w domu niespodzianie, jak spod ziemi, zjawił się "Kaziuk". Ucieszyłem się, że w tej nowej, ciężkiej sytuacji, potrafiemy powziąć jakąś rozsądną decyzję. Tymczasem "Kaziuk" w krótkich słowach poinformował że jest zmuszony niezwłocznie opuścić nasz rejon i wyjechać na teren Polski, podobnie jak inni tzw. repatrianci" Przekazał mi kierownictwo rejonu tak, jakby miał wyjechać na czasowy urlop. Nie wspomniał o planach dalszej akcji w radykalnie zmienionych warunkach.

Pozostałem sam w nieznanym położeniu naszych oddziałów. Napisałem rozkaz przejęcia przeze mnie komendy ośrodka. Żeby uniknąć zamieszania

i paniki nie wspomniałem o odejściu "Kaziuka", a treść rozkazu tak ułożyłem, jakby wynikała z działalności sztabu naszego dowództwa. W rozkazie nakazałem utrzymanie dyscypliny i wiary w zwycięstwo naszej słusznej sprawy. Rozkaz przekazałem znanym nam kanałem, mocno naderwanej siatki konspiracyjnej.

Kontakty moje z dowództwem drobnych oddziałów partyzanckich w dalszym ciągu utrzymywałem przeważnie za pośrednictwem najbardziej zaufanych mi ludzi: "Sęka" i "Jesiona", którzy podobnie jak i ja byli w sytuacji zagrożonej. Również i in dopisywało szczęście - wielokrotnie wychodzili z pierścienia obławy. Nadal pełnili oni funkcję moich łączników z dowódcami oddziałów, nieraz brali również udział w walkach tych oddziałów z bolszewikami penetrującymi nasze wsie.

Ze względu na bezpieczeństwo bezpośrednich kontaktów z partyzanckimi oddziałami i poszczególnymi ogniwami siatki, starałem się nie utraymywać. Pomimo to masowe aresztowania ludzi z siatki konspiracyjnej, jak również partyzantów z oddziałów walczących, znanymi metodami doprowadziły NKWD na mój ślad i pełnioną przeze mnie funkcję w naszej organizacji. O tym niebawem dowiedziałem się.

Pewnej niedzieli stycznia, zaraz po południu, po rannej wędrówce w okolicy Zajezierce, zamierzałem odwiedzić Chmiziutkę. Tym razem do domu szedłem od strony Niemenczynka, na przełaj przez pola. Przekroczyłem drogę Gieglówka - Niemenczynsk i przez zaśnieżone pole wszedłem w dolinę z zamiarem sblżenia się do mojej stodoły. Jeszcze ze znacznej odległości rozglądając się w bok stodoły, w kierunku podwórza zauważyłem tam dwoje sań zaprzęzonych w pojedyncze koni. Pomyślałem, że może to być kuzynki mąż Józef Sławiński z Litwy, którego dawno już widziałem. Chciałem przyspieszyć krok, by znaleźć się przy gościach. Jednak pochwili zastanowienia zacząłem poważnie wątpić w przyjazd mego gościa, tym bardziej, że nie zauważyłem, by ktoś odprzegał konie. W ciągu paru sekund moich wątpliwości sytuacja wyjaśniła się. Z boku stodoły w odległości ponad 100 kroków zauważyłem żołnierza z szydłowatym bagnetem na karabinie. Żołnierz przeszedł za krzakami i prawdopodobnie nie zdążył mnie zauważyć. Nie mogłem też być zauważony z okna domu, położonego w głębi podwórza w znacznej odległości od stodoły.

Natychmiast zdałem sprawę z wizyty nieproszonych gości. W czasie marŝu skręciłem nieco w lewo, by lepiej skryć się przed wartownikiem chodzącym za stodołą. Idąc dalej stopniowo skręcałem do tyłu i przyspieszyłem krok. W ten sposób zrobiłem wielkie półkole i polną drogą doszedłem do Niemenczynka. Tam już ktoś ze wsi Zajezierce, przypuszczając że jestem u Łabanowskiego, pragnął ostrzec mnie i przekazać wiadomość o przejeździe bolszewików do Chmiziutki.

W Niemenczynku przeszło godzinę oczekiwałem na wyjazd bolszewików

z mego gospodarstwa. Szybko po ich wyjeździe życzliwi sąsiedzi odwiedzili mój dom i poinformowali o celu bolszewickiej wizyty. Dowiedziawszy się, że w mieszkaniu pozostały tylko dzieci: 12-letni syn Henryk i 9-letnia córka Zofia. Ona moja Bronisława i starsza kobieta przywieziona z Wilna w charakterze pomocy domowej, zostały aresztowane i wywiezione, jako zakładniczki do czasu zanim się zgłoszę do gminy w Podbrzeziu. Według zażyczonej przez dzieci rozmowy, przedstawiciel NKWD dopytywał się o mnie. Oczywiście, że żaden z domowników nie mógł tej informacji udzielić, ponieważ poza tym, że od czasu do czasu odwiedzałem dom, nie więcej nie wiedział. W mieszkaniu i różnych zakamarkach zabudowań gospodarczych dokonano szczegółowej rewizji, lecz poza starym pasem oficerskim niczego nie zabrano.

Ona z kobietą przywiezioną z Wilna znalazły się w areszcie gminnym, gdzie też przebywało wielu innych ludzi. Wszystkich aresztowanych przesłuchiwało co dzień. Towarzyszkę żony po kilku przesłuchaniach zwolniono. Onę natomiast badano w ciągu kilku tygodni, domagając się ujawnienia mego miejsca pobytu, jak również brata "Sęka" i innych partyzantów.

W Chmiziu pozostały tylko dzieci, które co noc odwiedzałem. Nieraz nocowałem w towarzystwie kilku uzbrojonych partyzantów. Najpierw codziennie potem co kilka dni w godzinach rannych do Chmiziu przyjeżdżali bolszewicy. Robili pobieżne rewizje i pytali dzieci, czy przychodzę do domu. Zawsze otrzymywali odpowiedź, że w domu nie przebywam. Jednego razu zapytali, czy to ja z partyzantami ostrzelałem ich z zarośli koło Kowszedoły, w czasie kiedy wracali do Podbrzezia. Nie wiem co dzieci odpowiedziały. Natomiast prawda była taka, że przejeżdżających szosą bolszewików, parę razy partyzanci ostrzelali. Do wążających się po różnych drogach bolszewików partyzanci strzelali z ukrycia, by w ten sposób zmusić ich do ograniczenia wyjazdów i organizowania oddziałów większych, przysposobionych przy przemarszu do obrony, która wymagała większego wysiłku i drożej kosztowała. W gruncie rzeczy chodziło o nękanie przeciwnika, który zdecydowanie zmierzał do podboju naszego kraju przy zaangażowaniu możliwie małej ilości środków i ludzi.

Parę razy przy pomocy życzliwych sąsiadów dzieci jeździły do Podbrzezia, gdzie otrzymywały zezwolenie widzenia się z matką. Przy tej okazji urzędujący enkawudzista stale dopytywał się o mnie i prosił dzieci, by dowiedziały się o miejscu mego pobytu. W zamian za to obiecywano zwolnić matkę z aresztu. Za każdym odwiedzeniem matki dzieci były zapraszane do częstszego przyjazdu. Enkawudzista myślał, że w częstej rozmowie z dziećmi potrafi czegoś o mnie dowiedzieć się. Tymczasem dzieci zachowywały się mądrze. Zwolnienie żony z aresztu nastąpiło na początku marca.

Jednocześnie z usilnym poszukiwaniem mnie na wsi, matki NKWD dosięgły domu moich rodziców w Wilnie. W czasie przebywania żony w areszcie w Podbrzeziu, została aresztowana matka moja z mieszkaniem w Wilnie przy ul. Nadleśnej. Matkę osadzono w więzieniu na Żukiezkach, gdzie w czasie wieloletnich badań dopytywano się o miejscu mego pobytu i brata Kazika. Stałe przesłania matki, że od wielu miesięcy nas nie widziała, a o miejscu pobytu nie ma pojęcia doprowadziły do tego, że po kilku tygodniach została z więzienia zwolniona.

6. Walka ze współpracownikami N K W D

Równocześnie ze stopniową likwidacją naszych ogniw organizacyjnych w terenie władza radziecka gwałtem coraz głębiej i szerzej zapuszczała swoje naczki w środowisko wsi. NKWD budował swoją tajną siatkę donosicieli tzw. "sieksotów" /siekretny sotrudnik/ - sekretnych współpracowników, rekrutujących się spośród miejscowych mieszkańców, przeważnie najgorszej kategorii obywateli. Oddziały nasze w sposób bezwzględny przede wszystkim ze względu na własne bezpieczeństwo niszczyły tego rodzaju wrogie kontrukcje, które tu i ówdzie rozwijały swoją działalność. Niektóre jednostki pomimo ostrzeżenia, z wielkim uporem zresztą nie bez namyśli o to zabiegów ze strony swoich popleczników nie odstępowały od tajnej funkcji na rzecz wroga.

Przykładem saciecznictwa we współpracy z wrogiem był niejaki rolnik koło Sużan, nazywał się Kranowski, kiedy wywiad nasz ustalił niezbicie, że to on z synem systematycznie informują o miejscach przebywania partyzantów i ich ruchu, został kilkakrotnie uprzedzony o grożącym mu następstwie, jeśli nie zaprzestanie informować. Ostrzeżenia jednak poszły mimo uszu Kranowskiego. Kiedy partyzanci z zamiarem zlikwidowania go wpadli do gospodarstwa. Bez kiedy ani ojca ani syna w domu nie zastali, w odwet spalili wszystkie zabudowania. Pomimo to w dalszym ciągu młody Kranowski próbował najczęściej bezskutecznie przy pomocy bolszewików uganiać się za partyzantami. Nastawał na ich życie nawet później w okresie ujawniania się, kiedy władza radziecka gwarantowała nietykalności. W końcu doczekał od dawna zasłużonej kary. Po zaprzestaniu działań naszych oddziałów, na tereny przez nich opuszczone wkroczyły oddziały partyzantów litowskich, które nie chciały skorzystać z amnestii ogłoszonej w marcu przez związek radziecki. Jeden z oddziałów litowskich ustalił miejsce pobytu wciąż ukrywającego się młodego Kranowskiego i w roku 1946 zamordował go.

O ile jawni nasi wrogowie współpracujący z NKWD byli łatwo wykryci i likwidowani, to "sieksoty" przysparzali wiele kłopotów. Działając w

ukryciu w ramach coraz większej siatki, zaczęli stwarzać poważne niebezpieczeństwo dla naszej konspiracji. Przez czas dłuższy z trudem udało się nam likwidować pojedynczych "sieksotów". Zamierzaliśmy załatwić sprawę przez zdobycie wykazu "sieksotów" z terenu gminy. Wywiad ustalił, że interesujący wykaz znajduje się pod osobistą opieką komendanta NKWD gm. Podbrzezie. Komendant z wykazem przechowywanym w wojskowej torbie, co pewien czas wyjeżdżał na wieś, najczęściej w towarzystwie 2-3 żołnierzy.

Informowani o dniu i kierunku jazdy komendanta, partyzanci urządzili zasadzkę przy drogach jego ewentualnego przejazdu. Rozlokowani po 2-3 w kilku punktach oczekiwali od rana. Komendant, który wyjechał na wieś inną drogą, wracając do gminy trafił na zasadzkę "Sęka" i "Jesion". Przez rzadkie zarośla enkawudzista - kapitan zauważył podejrzany ruch i próbował unieść pistolet. "Sęk" był jednak szybszy, oddał z automatu krótką serię trafiając w ramię komendanta. Na drugich saniach siedziało dwóch żołnierzy, którzy widząc biegnących partyzantów i wywołujących do poddania się odrzucili broń i podnieśli ręce do góry. "Sęk" podbiegł do rannego i bladego ze strachu komendanta zabral pistolet i skórszaną torbę z dokumentami. "Jesion" w tym czasie rozbroił żołnierzy. Komendantowi nakłótyli opatrunek i razem z żołnierzami pozwolili wracać do Podbrzezia.

W torbie komendanta wśród wielu różnych papierów znajdowała się lista z nazwiskami i adresami ponad 30 "sieksotów". Był to od dawna poszukiwany dokument, według którego nasi chłopcy w ciągu paru nocy odwiedzieli wszystkich wyszczególnionych współpracowników NKWD. Po krótkim przesłuchaniu okazało się, że wszyscy których zastano w domu, oświadczyli, że do udzielania informacji byli zmuszeni pod groźbą przesładowania i sztyki do obozów pracy. Było też kilku takich kandydatów z którymi enkawudziści jeszcze nie śmiały rozmawiać. Stąd ogromne ich zdziwienie przy nocnym spotkaniu z partyzantami.

Partyzanci po przeprowadzeniu pobieżnej rewizji u zarejestrowanych przez NKWD osób w poszukiwaniu broni, której nigdzie nie znaleziono nakazali zaprzestania informowania enkawudzistów, szczególnie w sprawach dotyczących partyzantów. Zagrozili karą śmierci. Strach i samieczenie powstały wśród "sieksotów", ponieważ wiadomość o ujawnieniu ich współpracy z NKWD szybko zaczęła rozchodzić się wśród sąsiadów. Nad niejednym "sieksotem" zawiązała groźba zemsty i samosądu. Pojedyncze wypadki tego były notowane.

Do pewnego czasu partyzanci odwiedzali "sieksotów" i zasięgli informacji o losach ich dalszej współpracy z NKWD. Z uzyskanych w tej sprawie meldunków wynikało, że po rozbrojeniu komendanta i ujawnieniu spisu "sieksotów", enkawudziści przerwali współpracę z nimi po-

nieważ pożądaną informacji już uzyskać nie mogli.

Ujawnienie "sięksotów" na pewien czas przyczyniło się do zlikwidowania bolszewickiego wglądu w akcję konspiracji. Dąło to naszym oddziałom do możności bezpieczniejszego stąpania po swojej ziemi. Bolszewicy, jako wróg zewnętrzny dobrze rozpoznany i widoczny, chociaż w dalszym ciągu był bardzo groźny, to jednak bez zaplecza, opartego na środowisku miejscowym, łatwych sukcesów osiągnąć nie mógł.

7. Walka z bolszewikami

Wydarzenia polityczne w ciągu stycznia 1945 r dla sprawy niepodległości kraju a przede wszystkim dla ziemi wileńskiej, nie zapowiadały nic dobrego. Rozwój działań wojennych zapewniał rychły koniec wojny. Związek radziecki, którego wojsko i władze bezpieczeństwa stwarzały warunki do ugruntowania okupacji naszego kraju, zapowiadał bez ogródek odebranie nam Wileńszczyzny oraz innych wschodnich i południowo - wschodnich Rzeczypospolitej. Na horyzoncie politycznym nie tylko, że nie było oznak poparcia naszych żywotnych interesów przez sprzymierzeńców, lecz odwrotnie była wyraźna aprobata saboteżerskich interesów Rosji. Rozpaczliwa walka naszego podziemia na Wileńszczyźnie z nowym okupantem - Rosją radziecką o niepodległość tej ziemi, nie znajdowała zdecydowanego poparcia w kraju. W odczuciu naszym stawała się coraz bardziej bezna - dziejna - traciła sens. Wprawdzie całe nasze podziemie ze wszystkich sił przeciwstawiało się okupacji, a w ciągu kilku tygodni trwały walki oddziałów partyzanckich z wojskiem radzieckim, to jednak pytanie co będzie dalej? - trapiło każdego, kto zażył udręki długotrwałej wojny.

W styczniu 1945 r rozesała się wiadomość, że tajne radio nadało 19. stycznia rozkaz gen Okulickiego, dowódcy AK zaprzestania działań wojennych i likwidacji oddziałów AK w całym kraju. Następnie w dniu 8. lutego 1945 r było przemówienie Prezydenta Rzeczypospolitej W. Raczkiewicza do żołnierzy AK, w którym podziękował za spełnienie obywatelskich obowiązków. Wykonanie tego rozkazu w ogóle było sprawą nie budzącą wątpliwości, lecz jak to praktycznie mogliśmy wykonać na Wileńszczyźnie - nie wiedzieliśmy. Żadnych komentarzy kierownictwo nasze nie dostarczyło, a wobec tego, by nie demoralizować partyzantów, staraliśmy się nie komentować tego rozkazu do czasu dalszego biegu wydarzeń.

Rozumiałem, że sprawa likwidacji oddziałów partyzanckich i naszego podziemia to w konsekwencji ujawnienie kilku tysięcy ludzi i narażanie na represje okupacyjnych władz radzieckich, ponieważ dotychczasowy ich stosunek nie zapowiadał pobłażania. W ten oto sposób wiedzieliśmy następstwa likwidacji naszej działalności przeprowadzonej zgodnie z rozkazem g n. Okulickiego.

Wytłórszyła się sytuacja przymusowa prowadzenia dalszej akcji według dotychczasowych założeń. Żania przyszło do likwidacji oddziałów partyzanckich na Wileńszczyźnie wogiem zanotować na podstawie relacji uczestników parę większych utarczek naszych oddziałów z wojskiem radzieckim w moim rejonie.

prawdopodobnie w końcu stycznia oddział nasz w sile kilkunastu ludzi, uzbrojony w karabiny, cześciowo w automaty i granaty, zamierzał ku wsi Rakosze gminy nejszagołskiej, by gdzieś w okolicy rozlokować się na zasadkę przeciw bolszewikom, którzy mieli przybyć na obławę. Już

o zmroku część partyzantów zaczęła poszukiwać kwater, część pozostała na saniach w niewielkiej odległości na drodze przed wsią. W pewnej chwili partyzanci poszukujący kwater dowiedzieli się, że we wsi kwateruje oddział bolszewików. Z niedowierzaniem idąc przez wieś zajrzeli w okno jednego z domów. Wówczas nasocznie przekonali się, że informacja była prawdziwa: ujrzeli kilku krasnarmiejców.

W tym czasie zapewne inni partyzanci poszukujący kwater spowodowali alarm bolszewickiego oddziału. Oknierze wybiegli z budynków, zajęli stanowiska ogniowe i raketami oświetlili prowadzącą do wsi drogę. Tym razem dla partyzantów powstała sytuacja bardzo niekorzystna wynikająca z zaskoczenia przez bolszewików.

Część partyzantów, która wraz z woźnicami znajdowała się przy saniach, została oświetlona raketami i ostrzelana z karabinów maszynowych. Rozpłoszone gospodarskie konie, serwały się i ponknęły drogą dalej od wsi. Partyzanci popadali do rowów przydrożnych i otworzyli ogień w kierunku wsi. Powstała długa strzelanina. Partyzanci w przydrożnych rowach byli przekonani, że koledzy poszukujący kwater we wsi wpadli w ręce bolszewików, zawięzanie atakowali, zamuszając do ataku w wrzecz. Nacierali w kierunku wsi, do której zbliżali się stopniowo pod ogniem bolszewicich karabinów maszynowych i broni ręcznej. Chociaż do walki na bagnety nie doszło, partyzanci w kilku miejscach obrzucili bolszewików granatami. Słabe siły i brak amunicji zmusiły partyzantów do samiechania skutecznie rozwijającego się natarcia. Wycofali się w ślad za cofającym się taborem, w którym jeden z woźniców - Suchocki z rejonu Niemenczynka był ciężko ranny w nogę - kulą.

x x x

Wiele lat po wojnie, w czasie mojej pracy zawodowej, kilka razy miałem sposobność zetknięcia się z człowiekiem o nazwisku Suchocki, również utykającym na jedną nogę. Chcąc dowiedzieć się dalszych szczegółów akcji partyzanckiej pod wsią Pakosze, kilka razy zapytywałem owego Suchockiego, czy nie brał udziału w tej akcji. Twierdził, że w tego rodzaju akcji nigdy udziału nie brał, ponieważ z powodu inwalidztwa do partyzantki nie mógł należeć.

Do roku przy sposobności zapytałem, jaka też była przyczyna jego inwalidztwa, jeśli w boju nie brał udziału. Ośmieliłem się o to zapytać, ponieważ od matki słyszałem, że Suchoccy byli jej bliscy krewni po wuju Józefie Sosnowskim. Wdając się w rozmowę z Suchockim otrzymałem potwierdzenie pokrewieństwa po wyściszczeniu przez niego znajomych mi bliskich członków rodziny mojej matki. Po bliższym zaznajomieniu się Suchocki już jako krowniak opowiedział mi historię powstania swego inwalidztwa.

Było to w lipcu 1920 r, w czasie odwrotu naszej armii w kierunku Warszawy. Kosacy z oddziału bolszewickiej kawalerii wpadli do folwarku Suchockich, by zarekwirować konie. W czasie kiedy krewniak nasz Suchocki z polecenia ojca ucieknął z koni do lasu, gonący kozak ciął go szablą po nodze, na którą pozostały kulawy. Stał inwalidatwo.

W czasie rozmowy Suchockiej wspomnieli, że tu przebiegał przyjazd bolszewików, przyjechali z sąsiedniego maj. Niemieja polscy ukani, którzy zarekwirowali owies, znajdujący się wówczas na śpichrzu. Zanim przyjeżdżał do siebie, że jednym z tych ukani byłam ja, rekwirujący zawartość śpichrza.

x x x

Będąc w Chmińcu otrzymałem informacje o tym, co się zdarzyło we wsi Pakosze. Z wielkim zainteresowaniem przyjąłem wiadomość o walce z bolszewikami, przypuszczając, że tam mógł zginąć mój brat, którego od kilku dni nie widziałem. W poszukiwaniu dokładnych informacji o walce poszedłem do tej wsi Łacznicką, siostrą Niktą z Szaktaniszek. Po jej powrocie na drugi dzień dowiedziałem się, że zaskoczeni przez bolszewików partyzanci udali się. Najbliższej nocy kiedy byłem w domu z dziećmi, ku memu zaniepokojeniu, ktoś zapukał do okna kuchni. Podrwałem się z pistoletem pod kołosa i po dojściu do okna rozpoznałem zaginionego brata w towarzystwie kolegi "Jesiona". Wkrótce do rana spędziliśmy czas na opowiadaniu doznanych przeżyć w ciągu ostatnich dni. Brat opowiedział mi o tym co się działo w Pakoszach w czasie strzelaniny.

Kilku partyzantów poszukujących kwater we wsi, w jednym z domów dowiedziało się, że niedawno w części wsi bliżej drogi rozlokował się na noc oddział bolszewicki prawdopodobnie w sile 30-40 ludzi. Zanim partyzanci udali się opuścić gospodarstwo, od strony drogi powstała gwałtowna strzelanina i szereg karabinów maszynowych. Wówczas okazało się, że była to walka oddziału znajdującego się przed wsią. Część żołnierzy bolszewickich w pośpiechu zaczęła zajmować stanowisko na skraju wsi. Wtedy innymi żołnierze dotarli do gospodarstwa, w którym partyzanci poszukiwali kwater. Trzech partyzantów, ^{w tym mój brat Kozik, Seta} nie udało się znaleźć.

obowiązkowo się otworzyć, ogień, by w nocy nie ruszyć kolegów. W ciemnościach szybko znaleźli się w najbliższej stodole, gdzie każdy z osobna ukrył się z bronią gotową do strzału. W tych warunkach niespodziewanie przez gospodarzy przebyli w ukryciu resztę nocy, cały dzień aż do odejścia bolszewików.

W następnym dniu, w obawie przed zaskoczeniem, przez wiatki plądrujących żołnierzy, po śniadaniu w towarzystwie brata i jego kolegi opuściliśmy Chmińsk, poszukując kontaktu z którymś oddziałem.

x x x

Na początku lutego oddział w sile około 30 partyzantów dowodzonych przez kpt. "Pakira" - poprzedni ps. "Grób" kwaterował we wsi Bukalce, gdzieś w rejonie Podbrodzia. Do oddziału w charakterze mego łącznika trafił "Sek", mój brat, który też tam nocował i nazajutrz rano był świadkiem akcji bojowej.

Okazało się, że z braku podstawowej dyscypliny, zabezpieczenie oddziału w czasie postoju było niedostateczne. Prawopodobnie czujki nie były prawidłowo wystawione, ani też ich służba kontrolowana. Zlekceważenie bezpieczeństwa tak wielkiego oddziału było kardynalnym zaniedbaniem ze strony samego dowódcy, który niestety z własnej winy tragicznie zginął.

We wczesnych godzinach rannych, dobrze uzbrojona kompania żołnierzy bolszewickich, prawdopodobnie na skutek jakiegoś donosu, przybyła z Podbrodzia i otoczyła domy, w których kwaterowali partyzanci. Żołnierze z broni maszynowej ostrzelali kwatery jeszcze śpiących partyzantów. Między innymi ostrzelano budynek, gdzie przebywał "Pakir" w towarzystwie paru oficerów i "Seka". Pociski przechodziły przez cienkie drewniane ściany, jak przez sito pozostawiając wyraźne ślady. "Pakir" wraz z towarzyszami, podobnie jak i inni partyzanci, wyskoczył z budynku przez okno i na dworze w czasie gwałtownego boju zaczął wydawać rozkazy. Sytuacji jednak opanować nie mógł, został ciężko ranny a wyniesiony przez partyzantów z podwórza broczący krwią, pomimo doraźnej opieki sanitarnej, zmarł na saniach w czasie odwrotu jego oddziału.

Pomimo masakr i strat dowódcy partyzanci bronili się z wielką wprawą. Powstały małe grupy obrony, które rozpaczliwie uderzały na nacierających bolszewików. Na niektórych podwórzach doszło do walki wręcz. Partyzanci bagnietami desperacko odpierali atak pojedynczych ryzykanckich bolszewików. Nacierających z sąsiedztwa żołnierzy, partyzanci obrzucali granatami, zmuszając ich do cofania się.

Walka przeciągała się. Partyzanci stopniowo przebijali się z pierścienia okrążenia. Pod ich naciskiem atak wroga słabł. W ciągłym ~~z~~ ogniu grupy partyzanckie przebijały się za wieś w kierunku bliskiego lasu, unosząc ze sobą śmiertelnie rannego dowódcę i innych kolegów.

"Sek" wyskoczywszy przez okno na podwórze, podchwycił za sobą grupę partyzantów, z którymi znalazł pozycję obronną za *Sognianą* drewna. Otworzył ogień z automatu do bolszewików, nacierających na podwórze. Skutecznie strzelali też inni z jego grupy, z której jeden również bił z automatu. Po oderwaniu się od wroga grupa "Seka" ostrzeliwując się skokami wycofała się do bliskiego lasu, gdzie też znalazła się reszta partyzantów, którym udało się wyjść z pogromu.

O rozmiarze strat poniesionych przez partyzantów i nacierających żołnierzy radzieckich, niestety nie możemy dowiedzieć się. Według z

opisu świadka "Sęka" wnioskowe są, że po obu stronach straty były bardzo wielkie. Dowodem tego był fakt, że bolszewicy zaniechali pościgu reszty unikającej z pobojowiska partyzantów a zabrawszy na zarekwirowane sianie swoich rannych i zabitych towarzyszy, tudzież zabitych partyzantów odjechali do Podbrodzia. Zabitych partyzantów zabrali dla propagandy, celem zastraszenia miejscowej ludności przed konsekwencjami wystąpienia przeciw czerwonej armii.

W styczniu wywiad nasz dostarczył szereg informacji o stacjonującej jednostce żołnierzy radzieckich w Podbrodziu. Jednostka ta, według naszych obliczeń w sile batalionu z kilku względów budziła nasze zainteresowanie.

To pierwsze jednostka składała się głównie z powołanych do służby wojskowej młodych Litwinów. Oficerowie i podoficerowie radzieccy stanowili kadre instruktorską, stanowiącą około 10% stanu liczebnego. Jednostka uzbrojona była w broń ręczną, w lekkie karabiny maszynowe, automaty i granaty. Stamtąd właśnie organizowane były obławy.

To drugie, liczebna przewaga młodych Litwinów w sąsiedztwie wroga usposobionych do bolszewików, była pozbawiona bojowego ducha w stosunku do miejscowych partyzantów. Przy bliższym kontakcie z oddziałami partyzantki litewskiej, można było liczyć na jej pomoc i na wstrócenie wrogiemu akcentu żołnierzy - Litwinów do instruktorów radzieckich.

To trzecie, położenie garnizonu bolszewickiego w Podbrodziu, stosunkowo niewielkim miasteczku otoczonym lasami w okolicy mało zaludnionej stanowiło wielką pokusę do wypadu partyzanckiego. Wprawdzie pewna niedogodność położenia w naszej taktyce sprawiał znajdujący się w Podbrodziu węzeł kolejowy na ważnym szlaku komunikacyjnym. To jednak przy zakończeniu odpowiedniej szybkości akcji i czasu rozpoczęcia tej niedogodność można było częściowo eliminować.

Biorąc pod uwagę te przesłanki postanowiliśmy w połowie lutego 1945 zorganizować wypad na jednostkę radziecką w Podbrodziu. W tym celu przygotowaliśmy odpowiedni plan akcji. Do wypadu miały być użyte nasze oddziały w sile ponad 130 ludzi, uzbrojonych w karabiny, 15-20 automatów 5-6 sztuk, 2 ckm i odpowiednią ilość granatów. Brakujące wielkie ilości amunicji do posiadanego uzbrojenia, miały być w oznaczonym dniu przed akcją dostarczone z kryjówek podwileńskich.

Przewidywaliśmy, że w wypadzie wezmą udział partyzanci z Litwy, z rejonu "Longinusa" w sile 50-80 osób, dobrze uzbrojonych i biegle władających językiem litewskim.

Ponycję wyjściową w przeddzień wypadu, dla oddziałów naszych stanowił rejon lasów naj. Orniary w miejscowościach Beranówka i Ustronie aż do rzeki Żejniary i jej dopływu Dubinki. Rejon koncentracji Litwinów wyznaczono za rzeką Dubinką.

Miałem dowodzić całością akcji. Dowódcami naszych oddziałów

przewidziani byli: "Fakir", "Korsara" i jeden z oficerów /po nie pamiętam/. Wypadek na koczary miał być dokonany w nocy, w godzinach jeszce kiedy nieprzewidywany był ruch pociągów. Noc wypadu miała być ustalona w porozumieniu z oddanymi nam ludźmi spośród grupy żołnierzy Litwów /Polaków/, którzy mieli sbrojnie wesprzeć akcję wewnątrz koczary. Akcja miała być rozpoczęta sygnałem światła latarni elektrycznych w punktach ustalonych. Czas trwania akcji przewidziany był od 20-30 minut. Akcja miała na celu rozbrojenie garnizonu radzieckiego w Podbrodziu a w ten sposób podniesienie morale partyzantów i miejscowej ludności.

Akcja przygotowywana w bezwzględnej tajemnicy. Każdy z oddziałów naszych otrzymał zadanie koncentracji bez podania celu, który miał być ujawniony przed rozpoczęciem akcji. W tym też czasie miał być podany szczegółowy rozkaz działania i zadanie dla poszczególnych jednostek.

Niestety okazało się, że planowany przebieg wypadu stał się nie realny. Tragicznie zginął "Fakir" jeden z najlepszych dowódców. Do koncentracji był ^{przygotowany} tylko jeden oddział w sile około 40 partyzantów. Oddziały "Fakira" i "Korsara" przygotowane nie były z powodu przeciwności przy utarczce z bolszewikami. Okazał się też brak zapasowej amunicji w naszych magazynach, co też uniemożliwiło niezbędne wyposzczenie naszych oddziałów do akcji. Te i inne przyczyny spowodowały, iż plan wypadu na Podbrodzie został porzucony.

B. Nocna obława w Mienenczynku

Reprezje bolszewickie wznowiły oszczędność naszej siatki konspiracyjnej, wznowiły też utarczki uzbrojonych partyzantów z bolszewikami plądrującymi nasze wsie. Rozmłodziejna walka z nowym najeźdźcą była prowadzona w obronie zagrożonego życia wielu ludzi, przeciwstawiających się narzuconej nam siłą obcej władzy radzieckiej. Utrudniony kontakt z kierownictwem AK sprawił, że prowadzenie akcji w różnym stopniu było podejmowane przez poszczególne oddziały i grupy partyzanckie.

Formalne rozwiązanie oddziałów partyzanckich przez kierownictwo AK w kraju w ramach Grodowiska na Wileńszczyźnie stworzyło atmosferę wy-czekiwania na znalezienie wyjścia z kłopotliwej sytuacji. Wśród wielu partyzantów istniał projekt przetrwania do lata, by z nastaniem sprzyjających warunków terenowych przejść granicę bolszewickiego kordonu, gdzieś w rejonie białostockim i tam korzystając z rozkazu naczelnego kierownictwa AK szły do pracy pokojowej. Wypadki jednak z upływem czasu potoczyły się inaczej.

X X X

Kasnik administracji radzieckiej na wileńszczyźnie Wileńszczyzny i innych ziem zagrabionych na wschodzie Rzeczypospolitej, miał na celu n.in. przesiedlenie ludności polskiej na ziemie odzyskane na zachodzie w ramach zwanej "repatriacji". Wielu też obywateli w szczególności zorganizowanych hiurach zaczęło zapisywać się na wyjazd z kraju swoich ojców i czyniło to jedynie pod wpływem wrogiej administracji.

Obiecałom sobie, że z grupą partyzantów, nie mając innego wyjścia, przejdę na tereny administracji polskiej jeszcze latem 1945 r. Pod wpływem rozwijającej się akcji przesiedleńców, postanowiłem zdobyć jakieś dokumenty osobiste, umożliwiające poruszanie się w terenie i być może przydatne przy przejściu na kordon granicy, narzuconej przez Rosję.

W lutym 1945 r., w październiku dnia sierpnym, wieczorem udałem się do ziemianki Aldony ureczyłem fotografię do dowodu osobistego z prośbą, by jeszcze nastajutro pojedechała do Wilna i znanym sposobem wyrobiła mi dokument umożliwiający legitymowanie się. Rozbudany przeze mnie jedynie dowód osobisty, wydany przez komisariat policji litewskiej w Wilnie po wyjściu z obozu internowanych na Litwie w 1940 r. był nieaktualny.

Był już późny wieczór, kiedy w towarzystwie Babanowskich i Jana Surzy, przebywającego w Mienenczynku od niemieckiej okupacji, spotykałem osobliwego człowieka. Przedtem powiedziałem Aldonie, że przy okazji jej wyjazdu do Wilna po kolacji przekazałem kilka informacji, które muszą być doręczone w punkcie informacyjnym. Aldona, mając swoją sytuację, zaproponowała bym przonocewał w pokoju z J. Surzą, tak by ojciec Babanowski

o tym nie wiedział, ponieważ ze strachu na moje sekretowanie nie zgodził się. To też po kolacji, udając odejście, potęgowałem towarzystwo i odszedłem. Kiedy Zabonowski znalazł się w swoim pokoju zajęty czytaniem encyklopedii jak to zwykła czynił, łownie przekazałem mu moje informacje. Potem przyszedłem do pokoju w którym jeszcze nie spał Jan Kurka, zdjęłem wołki i kołuch i w praktyczny sposób zmieściłem w czasie wojny potoczyłem się w nakrytym kocem żółtku uzbrojony w pistolet i dwa granaty. Po krótkiej drzemce a było już po północy, wyszedłem na dwór, zmuszony naturalną potrzebą. Wracając do mieszkania pożytych charakterystyczne gwałtowne ujudanie pałów pod lubówką łazni, a kierunku gospodarstwa Filipowiczowej. Zastanowiłem się nad tym, dobrze mi od dawna znany ajewiskiem, onyflatem, że coś tam jest. Non paniki jednak wróciłem do swego pokoju. Tym razem przez chwilę leżałem w wołkach i kołuchu wytykając słuch. Na dworze był mroź i przez pewien czas leżącemu w pokoju wydała mi się kompletna cisza. Trwało to jednak zaledwie kilka minut. Rowiem zaraz podniosły wrzawę podobną do psów. Chybaż to było coraz wyraźniej słyszalne, słyszano używane przy zapieganiu w sennach.

Wodermowałem się z żółtki i saniz zdjęciem do drzwi mego noclegowego pokoju, jak do drzwi obok biegnącego wąskiego korytarza zaczęli dobiegać się krasnawidzi, wołając:

- Otworaj! otworaj!

Przez nieco uchylone drzwi pokoju zobaczyłem Zabonowskiego trzy - zającego w jedną rękę gacie a w drugą lampkę naftową. Szedł wolno wstrząsając się w oszczędnie osakione drzwi, zza których wyglądały boleswickie twarze, podobne do tych, które przed wielu laty niepokoiły nasze dwory w pogoni za poszukiwaniami. Zapewne również i tego najstraszliwiej śniły.

Zabonowski szedł od drzwi powiedział, że zaraz otworzy po nakłonieniu ubrania i odszedł z korytarza. Zwróciłem się z okazji jego nieobecności i naciśnięcia wyskoczyłem przez uchylone drzwi i tuż na lewo w korytarzu po schodach bezszaleście weszłem na długi strych. Część strychu nad kuchnią była przyspocobiona na komorę, w której przechowywano wędliny. Komora oddzielona była od reszty strychu dość wysoką ścianą z sufitem z powierzchni którego było możliwe wejście na dach budynku, tuż przy korytarzu przez umieszczoną okienko.

Na strychu po osadku przegniłymi znalazłem jakiś przedmiot, o którym mógłbym wejść na komorę. Z braku tych możliwości, zamyśliłem się zdjęciem kołuch, który w podskoku olegając brzegu sufitu komory rzucałem w głąb sufitu. Następnie próbując się złapać za nogi i ręk podskoczyłem i wyciągnąłem się oburącz brzegu sufitu, wciągnąłem się na górę. Spróbowałem w jaki sposób otworzyć okno na dach budynku, zdjęłem

sie na strychu komory w pobliżu ściany od strony podwórca nastuchując odgłosów z dolnych pomieszczeń.

Leżącemu przeszło pół godziny wydawało mi się, że na dole nie się nie dzieje. Naładowałem fajkę tytoniem i przy użyciu zapalniczki zapaliłem. Widząc błysk światła po chwili Janek wszedł po cichu na strych i uszeptem prosił bym przestał palić zapalniczkę. Krótkich słowach również poinformował, że Aldona została aresztowana i znajduje się na dole w pokoju pod strażą jednego żołnierza. Na dworze prawdopodobnie kilku innych żołnierzy pozostało przy sanitach. Bezata ekspedycji wyjechała górną w okolicę na obławy.

O użyciu paru godzin rozkrywką na dworze ujednanie pań i głodną rozmowę przybyły. Z rozmowy wynikało, że jest prowadzona uszczelniona rewizja mieszkania Łabanowskiego. Kyszał jak dopytywano się o latarnię, ponieważ sanitariuszali wejść na strych. Totet nie zważając bezsacelstnie posiadł do okienka przez które przedostawał się na dach. To przyznając za sobą okienka wstąpiłem za stojący opodal konia z sanitarem ostatecznej obrony przed intruzami. Postanowiłem, że w przypadku kiedy żołnierze będą na strychu spróbuję wejść na dach, nie postanie mi nic innego do wyboru jak obrona przy użyciu pistoletu i granatów. W tym widziałem ostatnią szansę mego ratunku, bez względu na powodzenie.

Kiedy przybliżyli się koniem z rezygnacją oczekiwałem na bieg wydarzeń tymczasem dwaj krasnowojscy po schodach weszli na strych. Wzięli latarnię poszukując drabiny lub czegoś innego, by umożliwić wejście za komorę-spiżnię. Nie znajdując innego sposobu, jeden z nich podał drugiemu, który odwiecił latarką całe pomieszczenie nad komorę i stwierdziwszy, że nie podejrzanego nie zauważył satępił na dół.

O dokonaniu rewizji na strychu i bardzo gruntownej w mieszkaniu bolszewicy kazali Aldonie ubierać się i pod eskortą wyprowadzili na dwór, gdzie już na saniach siedzieli reszta aresztowanych. Było tam kilka osób przywiezionych z Łabowa i innych okolic Sieroszyńska jako wynik nocnej obławy. Za kilka minut ekspedycja bolszewicka z aresztowanymi ludźmi na kilku saniach odjechała, jak okazało się do miejscowości na drugi dzień do więzienia w ilic.

O odniedzeniu pewien czas na strychu przez nikogo nie widzieliśmy żadnych na dół i przez niesamowitą wężną wyszedłem na dwór. Podał drabinę śnieg, który dołk szybko krył mój ślad. Iedziałem, że stodoła jak zwykle była zamknięta na kłódkę. Iedziałem też, że z boku stodoły znajdują się mały otwór na wysokości metra, szerokości tyłek od wnętrza służący do wietrzenia. Zresztą ten to wcześniej wspomniany przez mnie otwór postanowiłem wejść, by znaleźć kryjówkę na spędzenie reszty nocy. I trudem przecisnąłem się przez otwór i po zakończeniu leżąc po

ciemku odnalazłem większą stertę szomy, w której wyrobiłem dość długi kanał i po wpełznięciu doń wylot zaciągnąłem szomą. W stdole Łabanowskiego bez jego wiedzy po tym wypadku nocowałem nie raz.

Był już wczesny ranek, kiedy po obudzeniu się opuściłem moje legowisko i poszedłem do Łabanowskiego udając, że nie wiem co się w nocy zdarzyło. Łabanowski z przestrochą powitał mnie, informując najpierw pobieżnie, a następnie szczegółowo, o nocnych przeżyciach. Na zakończenie rozmowy w obawie przed represjami prosił bym u niego przy świadkach nie pokazywał się. Łabanowski nie wiedział i prawdopodobnie nie dowiedział się nigdy, że tragicznej nocy byłem w Niemenczynku i pierwsze informacje o wydarzeniu uzyskałem od Janka Surmy, któremu też zawdzięczałem moje ocalenie.

Od matki Aldony dowiedziałem się, jaki to kłopot sprawiła pozostawiona przeze mnie na biurku fotografia z napisem mego nazwiska. W momencie, kiedy do drzwi dobijali się enkawudziści, matka Aldony moją fotografię schowała w uczesanie na głowie i tak chodziła przez czas rewizji.

Mój ostatni kontakt z łączniczką Aldoną notuję w lutym 1945 roku, kiedy za jej pośrednictwem zamierzałem uzyskać odpowiednie dokumenty ułatwiające ucieczkę ze strefy zagrożonej. Okazało się, że 15 lutego 1945 r., w dniu mego kontaktu, Aldona została aresztowana przez NKWD i osadzona w więzieniu w Wilnie na Łukiszkach, a następnie wywieziona do obozu w Worskucie. Stamtąd wróciła do domu w Niemenczynku w końcu 1946 r. W marcu 1949 /po śmierci ojca - 1948 r./ Aldona z mężem Marianem i córkami, z matką i siostrą, zostały wywiezione do Kraju Krasnojarskiego "na wieczne osiedlenie". Marian, jako obywatel republiki litewskiej, w 1952 r. został aresztowany, przywieziony do Wilna i tam skazany na katorgę 25 lat i pobyt w obozie w Worskucie.

Po dojściu Gomułki do władzy, w porozumieniu z Chruszczowem, Polacy zaczęli wracać do kraju. W tej sytuacji matka Aldony z jej siostrą, Heleną Łabanowską, powróciły do domu rodzinnego. Aldona pozostała na

Syberii, ponieważ była urodzona na terenie dawnej Rosji, w Donbasie nad Donem, i była żoną Mariana, uznanego za Białorusina. Starania matki Aldony i różnych znajomych w Polsce przez interwencję Polskiej Ambasady przyczyniły się do zezwolenia NKWD na powrót do kraju z Syberii na koszt własny.

9. Na rozdrożu

Aresztowanie Aldony, najbliższego ognia kontaktów konspiracyjnych, jak i wielu innych, stanowiło poważne utrudnienie nie tylko tego działania. Niedostatek uzbrojenia naszych partyzantów sprawiał, że utarczki z dobrze uzbrojonymi żołnierzami radzieckimi zamierzonych sukcesów nie dawały. Przeciwnie, oceniając krytycznie wyniki starć poszczególnych grup partyzanckich z wojskiem radzieckim, szczególnie w ostatnich tygodniach, przyznać należy doznane porażki. Kompletnie rozbity został oddział "Wołodi" koło Mejszagoły. Sam "Wołodia" został ujęty i po dłuższym przesłuchaniu rozstrzelany. Po kilku walkach stał się mało sprawny oddział "Korsarza", którego dowódca był postrzelony w ramię.

W poszukiwaniu kontaktu z niedobitkami oddziałów przerzucałem się do różnych miejsc. Najczęściej jednak do znanych od dawna punktów w rejonie Sużan. Okazało się, że punkty te od pewnego już czasu były specjalnie obserwowane przez NKWD i dość często odwiedzane. Jednak nie wszystkie adresy były przez wroga dokładnie znane i to sprawiało, że jego wypadki w tym rejonie przeważnie dzienne skuteczne nie były.

Jednego razu byłem przypadkowym świadkiem, jak Zygmunt Pieślak, szwagier brata ze Skierdziej, wyprowadził enkawudzistów "w pole" siedząc przy oknie Kazimierza Pieślaka w Skierdziej, mogłem obserwować odcinek okolicy na odległość około km. wieszakiem, a w sąsiednim gospodarstwie na tej odległości w ciągu paru dni przebywał "Sek". O tym wieszak również Zygmunt, który tego dnia wraz z dwoma innymi gospodarzami, z nakazu miejscowych władz miał obowiązek wzięcia enkawudzistów od Suban gdzieś w rejon Skierdziej. Kiedy w oczekiwaniu "Seka" obserwowałem okolicę, nierozdzielanie zauważyłem na horyzoncie sanie z sprzęgiem jednokonnym a w nich 3-4 ludzi. Następnie ukazało się dwoje innych san. Po siwym koniu przednich san, przy pomocy tego gospodarza z łatwością rozpoznałem Zygmunta, który z zamiarem ominięcia kwatery "Seka" skręcił na polną drogę, wiedząc przez olszanki w kierunku do Kalniszek - dalej wsi. Przed olszankami enkawudziści zatrzymali się i zapadając powyłej kolan w śnieżne zaspy poszli przez pole do kwatery "Seka". W tym czasie gospodarz zauważył obławę, a uprzedzony "Sek" zdążył ukryć się na strychu w chlewie. Po krótkiej rozmowie ze starym ni dołączonym gospodarzem bolszewicy odjechali.

Wyjątkowo głębokie zaspy śnieżne, miejscami wprost nie do przebycia, w owym czasie okazały się bardzo korzystne dla partyzantów. Gospodarstwo położone na bezdrożu i otoczone głęboko śnieżnymi dolinami, dawało szansę (lepszą) lepszemu schronieniu przed obławą. Wykorzystując taką sytuację niekiedy ustalonych kilka punktów w których kontaktowałem się z potrzebnymi mi ludźmi. Jednym z takich punktów było gospodarstwo Gasperowicza, położone z dala od dróg dojazdowych pod lasem Lubowakia. Córka gospodarza prowadziła punkt sanitarny jako siostra "Marta". Ona też w niektórych przypadkach pełniła funkcję łączniczki w kontaktach z najbliższymi oddziałami partyzanckimi.

Drugi punkt kontaktowy mieścił się w saści. Podkielebki u Lewickiego, blisko szosy Wilno-Podbrzezie. Punkt ten odwiedzałem dość często w ostatnich dniach lutego i na początku marca. Od dłuższego bowiem czasu byłem pozbawiony możliwości korzystania z mojego radiodbiornika. Brak kontaktu ze światem uspokoiłem za pośrednictwem Lewickiego, który prawie co dzień miał możliwość słuchania komunikatów z Londynu i innych, gdzieś u jednego z pobliskich gospodarzy. Ponadto Lewicki wyjątkowo rozumny człowiek był bardzo mi pomocny w informacjach o ruchu oddziałów bolszewickich w terenie i współpracownikach NKWD w rejonie Rzeszy.

Z racji położenia domu Lewickiego blisko szosy, wydawało mi się, że on nie mógł być przez NKWD podejrzany o schronienie ludzi zagrożonych zaparkami. Z tego sążnienia wychodząc korzystałem z gościaności gospodarza i dość często nocowałem. Jednego razu, kiedy w godzinach rannych byłem w łóżku w małym pokoju przyległym do spiżarni, Lewicki poinformo-

wał mnie, że na szosie w bliskiej odległości zatrzymał się oddział bolszewików a niektórzy żołnierze szasli do sąsiada. Zaproponowałem, żeby pozostał w kółku a w przypadku przyścia bolszewików udał chorego członka rodziny. Koło kółka na krześle na przedzie zostały rozstawione butelki z lekarstwem. Głowę miałem obwiązana ręcznikiem, udawałem ciężko chorego na tyfus, według zeznania orzeczenia lekarza. Pistolet i jakieś notatki wpakowałem do szopy w sienniku. Krótko jak przypuszczaliśmy dwóch krasnoarmiejców wpadło do kuchni z napytanien czy nie widziiano partyzantów, którzy dnia poprzedniego dokonali napadu na posterunek Rzeszy miejscowości odległej o 7 km. Żołnierze dość powierzchownie obejrzeli mieszkanie a kiedy otworzyli drzwi do mego pokoju gospodarz poinformował ich, że leżę chory na tyfus i jedacze dziś z polecenia lekarza będę zawieszony do szpitala. To słysząc żołnierze szybko opuścili mieszkanie, również inni zakończyli penetrowanie stodoły i chlewu - szybko odeszli z gospodarstwa na szosę. Niezadługo cały oddział pomaszcerował w kierunku dalej położonych Pikieliasiek.

Tegoż dnia Lewicki przekazał mi komunikat radia zagranicznego, dotyczący uchwały Jaltańskiej w sprawie powstawienia ziem wschodnich Rzeczypospolitej pod panowaniem Rosji. Był to akt ostateczny, na który zgodziły się Stany Zjednoczone i Anglia. Wiadomości były szokujące i utwierdzały w przekonaniu że i wśród resztek naszych oddziałów nie stanowią zachęty do dalszej walki z okupantem, bez jakiegokolwiek nadziei zwycięstwa.

Postanowiłem, że zanim nie otrzymałem wyraźnych dyrektyw naszego dowództwa do prowadzenia dalszej akcji wstrzymałem się od wydawania rozkazów dla oddziałów. W związku z tym byłem zmuszony ukryć lepiej naszą czynność do pisania jak również odpisy rozkazów. Korzystając z zadzyski śnieżnej, gdzieś na początku marca maszynę i teczkę z rozkazami wydotykałem ze szopy w stodole, owinałem w grubą gumową pelerynę i ten tobił w worku na plecach poniosłem brnąc w śniegu przez pola do lasu Lubowskiego. Tam miałem upatrzone od dawna miejsce. Był to gruby spróchniały pień wiersby w odległości kilku kroków od brzegu niedużego średniego jeziorka po stronie przyległego do lasu gospodarstwa Jawińskiego. Od tego gospodarstwa jak również i od skraju lasu jeziorko było w odległości około 200 kroków. Po żetwym odnalezieniu pnia w leśnych zarostach próbowałem wybrać możliwie więcej próchna. By lepiej ukryć maszynę, nieestety próchna częściowo samarżnięte o nie mogłem usunąć. Toiobł postanowiłem w zarostach i szybko wróciłem do domu po siekierę. Za pomocą tego narzędzia dopiero mogłem wybić większy otwór w pniu. Do wyrobionego otwora ułożyłem bokiem owiniętą w pelerynę maszynę do pisania, pod którą znalazła się też i teczka z rozkazami, wydawanymi od czasu okupacji radzieckiej, dokładnie rzecz biorąc od sierpnia 1944r. Toiobł był ułożony we wnętrzu pnia na głębokości około pół metra od jego górnej

krzywizny. Później to był okryty grubą warstwą próchna, suchymi liśćmi
a na wierzchu śniegiem. Podający wciąż dzień doprowadził mi w zastarza
śladów. ówczesne jessone nie przywieszaszem, a ukłona maszyna z cętki
zmaszów w tej leśnej kryjówce pozostała na zawsze.

krótko przysłała też koleję na przeniesienie tego radioodbiornika,
doraźnie ukrytego w stodole. Przedmiot ten zamierzano przetransporto-
wać do przechowania u znajomych koło Suwałk. Tymczasem, jednak postano-
wiłem przenieść nieświadomie do stodoły obano skiego. Kilka dni po
ukryciu maszyny, późnym wieczorem odnalazłem w swojej stodole radiood-
biornik, ukryty w przyciemnionej worku i zamknięty od zamierzonej kryjówki
Przez sznurki si okienko przykrytych pakunek i właśnie do wnętrza stodo-
ły. Ten przy ścianie najbliższej sterty słomy ukłona po obłocie
choła wyrobizna długi na parę metrów tunel w którym ukłonażem owi-
nięty w worku odbiornik. Zamierzono go przetransportować pod Suwałki dokonane
jednak nie udało się wobec szybko rozciągających się dalszych wypadków.

to. Akcja przesiedleńcza

Związek Radziecki w zamierze szybkiego opanowania obcej mu kultury
i wrogiej ludności Wileńszczyzny^x pragnął za wszelką cenę posłużyć się
elementu miejscowego, tworzącego poważną siłę oporu przeciw najeźdźcy.
W tym celu wykorzystano^z doświadczenia zdobyte w latach poprzednich na
prorządzeniu np. Zetarów, od wielu wieków osiadłych nad Czarnym Morzem,
matereny inne.

Od czasu wkroczenia czerwonej armii na nasze ziemie rozpoczęła się
deportacja ludności miejscowej podejrzanej o nieprzychylny stanowisko
do zwijaka radzieckiego. Iamie transporty w wieloletnich warunkach
kierowane były na dalekie wschodnie tereny kraju rad. Jednocześnie
prowadzona była bezprawną mobilizacja męczyzn do armii obcego nam
państwa.

Wtedy jednak metody te nie dawały zamierzonego rezultatu, który na-
stał wielkiej polityki wynaradawiania w szybkim czasie, uznany był
jako niedostateczny, związku radziecki sięgnął do akcji przesiedlenia
Polaków na ziemie odzyskane, przysłane Polacy po klęsce Niemiec - na
zachodzie, na Pomorzu i Mazurach. Zanim jessone był powołany tzw. Tym-
czasowy Rząd Jedności Narodowej Rzeczypospolitej Polki, jak we
wrześniu 1944 r Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego zmaszów został
do podpisania umowy ewakuacyjnej obywateli polskich z Ukraińską SRR
a nieco później z białoruską SRR i Litewską SRR. W tym czasie trwała
wojna i "ziemie odzyskane" odzyskane nie były. Ruch transportów prze-
siedleńców do zachodu rozpoczął się w listopadzie 1944 r był nieliczny

i rozszereżony w centralnych woj. Polski. Na tereny masowo też kierowali się uchodźcy z woj. południowych, gnani strachem i respczą przed rzeszą szowinist^{ów} ukraińskich /benderowców i innych/. Ale to była sprawa inna.

Przesiedlenie ludności polskiej, również i żydowskiej, zamieszkałej na ziemiach zagarniętych przez Rosję miało dwa cele: pierwszy i według polityki radzieckiej najważniejszy to wyszycie się elementu opornego wpływowi radzieckim, czyli utrudniającego szybkie opanowanie życia zdobytego kraju. Drugi - który pokrywał się z polską racją stanu to zaludnienie i zagospodarowanie ziem odzyskanych po wyrzuceniu Niemców. Cele te były realizowane w wielkim pośpiechu i w sposób chaotyczny, przeważnie z wielką krzywdą dla przesiedleńców. Zarówno warunki umowy o przesiedlenie ludności jak i towarzysząca propaganda głosiły o przyznaniu uprawnień własnościowych przesiedleńcom w rozmiarze przez nich *posiadanych*. To znaczy zgodnie z obowiązującym w Polsce aktualnym prawem o reformie rolnej i innym, właściciele pozostawionych gospodarstw musieliby otrzymać rekompensatę w granicach do powierzchni 50 ha lub w niektórych przypadkach do 100 ha, czyli do rozmiarów w jakich kształtuje się wielkość gospodarstwa rolników miejscowych. Tymczasem wszystkim przesiedleńcom bez względu na pozostawioną wielkość gospodarstwa jako rekompensatę za pozostawione ziemie, przydzielano gospodarstwa wielkości do 10 ha. Wiele też przesiedleńców żadnej rekompensaty nie otrzymała i była zdana na własną inicjatywę w poszukiwaniu źródła utrzymania. Sprawy przesiedlenia ludności powierzono Państwowemu Urzędowi Repatriacyjnemu /PUR/ powołanemu dekretem Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z 7 października 1944 r.

Ogółem na naszych ziemiach wschodnich i południowych zagarniętych przez Związek Radziecki, licząc z grubszą zamieszkiwało ponad 6 milionów ludności legitymującej się narodowością polską. Ponadto było około 4,7 milionów obywateli narodowości niekrecjonalnej, tzw. "tutejszej" oraz część wśród podających się za Białorusinów Rusinów i *Ukrainców*, którzy sprawę języka w stosunku do polskiego, traktowali w tym samym odczuciu jak kaszubski - Kaszubi czy Ślązacy, którzy stanowili grupy etniczne bez odrębnej organizacji państwowej.

W woj. wileńskim i nowogródzkim było około 1,5 mil. ludności polskiej. Akcją przesiedleńczą objęto szacunkowo licząc około 45% tej ludności. Reszta pozostała na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej lub była wywieżona na tereny związku radzieckiego.

Rejestracja ludności starającej się o przesiedlenie w moim rejonie rozpoczęła się w lutym 1945 r. W tym celu w niektórych gminach utworzono punkty rejestracyjne pod kierownictwem Pełnomocnika Rejonowego PKWN do spraw ewakuacji. Stamtąd prowadzono odpowiednią propagandę,

~~45-44~~ - 294

nawołując do przesiedlenia. Jednocześnie przedstawiciele związku radzieckiego urzędujący w gminach, usilnie wyjaśniali, że wyjeżdżać może tylko element awanturniczy, niezadowolony z nowego porządku. Obywatele spokojni mogą bez obawy pozostać i pracować dla dobra kraju rad. Zresztą wszystkich przesiedleńców na terenach polskich oczekuje ten sam ustrój państwowy jak w związku radzieckim.

Wśród bliskiej mi ludności wiejskiej, chyba też i miejskiej, dłuższy czas trwało wahanie. Wyjechać na tereny nieznane, czy pozostać na miejscu na ziemiach swoich przodków? To był problem, który gnębił (wciąż) niejednego obywatela. Zapytywany jak należy postąpić w tej decydującej chwili na to nie miałem odpowiedzi. Marazie sam też nie wiedziałem, co należy uczynić. Problem poważny wymagał zastanowienia i gruntownego namysłu. Przed sobą miałem jeszcze nie skończoną zadanie walki z na-jeżdżącą a w końcowym etapie gdzieś w ciągu lata przejście z oddziałem na tereny polskie, by tam znaleźć wejście do pracy pokojowej.

Tymczasem postanowiłem na wszelki wypadek zarejestrować się do przesiedlenia, niezależnie od tego czy i kiedy zdecyduję wyjechać. Jednemu z bliskich znajomych, który wybierał się do urzędu w Rzeszy celem rejestracji, wręczyłem paszport wydany mi jeszcze przez komisarza policji litewskiej w Wilnie po powrocie z obozu internowanych na Litwie. Prosiłem o załatwienie sprawy dla mnie. Istotnie w dowodzie tym pomocnik Rejonowy Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego do Spraw Emigracji z Rzeszy odnotował, że jestem zarejestrowany na wyjazd do Polski dn. 27. lutego 1945 r. W niektórych przypadkach tego rodzaju notatka w dowodzie osobistym chroniła przed aresztowaniem. Z różnych względów z powodu tego nigdy nie skorzystałem.

Str 45
Dla wielu żołnierzy poważnym czynnikiem do opuszczenia szeregów AK stało się przemówienie Prezydenta Rzeczypospolitej W. Raczkiewicza w dn. 8 lutego 1945 r w którym dziękował żołnierzom AK za dotychczasowy trud w walce o niepodległość kraju. Zarówno przemówienie Prezydenta Rzeczypospolitej jak i znacznie wcześniejszy rozkaz gen. Okulickiego były wyraźną zachętą podjęcia pracy pokojowej przez byłych żołnierzy AK. Niestety w warunkach radzieckiej okupacji narastanie udało się przejść do pracy pokojowej tylko nielicznym jednostkom, wyłącznie tym, którzy podjęli współpracę z bolszewikami.

245

11 Rozwiązanie Armii Krajowej

Na początku marca 1945 r było już całkiem jasne, że działalność konspiracyjna staje się niemożliwa i wręcz bezcelowa. Rozkaz gen Okulickiego z 19 stycznia i orędzie Prezydenta Raczkiewicza z 8 lutego powoli przenikały do świadomości naszych partyzantów. Przenikanie władzy radzieckiej w teren, która przez czas dłuższy olbrzymim wysiłkiem i poświęceniem było hamowane, w marcu 1945 r jak wezbrana fala ogarnęła nasze ziemie. Dezorganizacja ogniw konspiracyjnych brak środków walki /broni, a szczególnie amunicji/ i wiary w skuteczność dalszego działania sprzyjały atmosferze moralnego i fizycznego rozbrojenia. Problem polegał na tym, w jaki sposób dość liczne grupy partyzantów i w ogóle resztki ogniw konspiracyjnych przeprowadzić do pracy pokojowej. Byli tam ludzie w większości bez dowodów osobistych, bez stałego miejsca zamieszkania, ścigani przez administrację radziecką.

X X X

około połowy marca do naszej wiadomości doszła ogłoszona przez rząd litewskiej SRR amnestia dla członków organizacji konspiracyjnej. W gni-

nach i innych miejscach urzędowych zostały wywieszane ogłoszenia wywołujące konspiracyjnych działaczy do ujawnienia się, którym władza radziecka gwarantuje nietykalność i zapewnia możliwość wyboru miejsca pracy i osiedlenia.

Amnestja ^{uży} ~~prasała~~, że i władza radziecka miała dość utrapienia z naszym podziemkiem. Decyzja o amnestii przysłała nieoczekiwanie. Oddziały nasze z niedowierzaniem wysyłały na ochotnika po kilku ludzi do komendy wojskowej w gminach. Partyzanci szli z bronią do rejestracji. Po dokonaniu rejestracji z wyszczególnieniem oddziału i dowódcy otrzymywali zaświadczenie z oznaczeniem gwarancji władzy radzieckiej w brzmieniu jak na ogłoszeniu. Ujawnieni partyzanci / wyszedłszy z podpolnoj roboty /, przy rejestracji wybierali miejsce stałego zamieszkania z nakazem meldowania się w komendzie wojskowej, najpierw 2 razy w miesiącu a po pierwszym meldunku nakazano co tydzień. Partyzanci po ujawnieniu z odpowiednim dokumentem zwolnienia, otrzymywali dodatkowy rozkaz komendy wojskowej, by starali się wciągnąć do ujawnienia innych znajomych im i kolegów. W tym celu odchodzili z bronią.

Rozpoczęło się masowe ujawnianie partyzantów. Jednocześnie z polecenia komendy wojskowej trwały poszukiwania reszty nieujawnionych. Parę dni po ogłoszeniu amnestii, komendant wojskowy z Podbrzezia, za pośrednictwem miejscowego sołtysa, skierował do mnie odręczny list z wyszczególnieniem warunków amnestii i prośbą o pofatygowanie się do komendy celem złożenia interesujących go wyjaśnień. Przy końcu nadmieniał, że o nietykalności mojej rzeczy dodatkowo słowem honoru oficera radzieckiego. Pomyślałem jaki to musiał być naiwny oficer, jeśli mnie uświadomionego od wielu już lat, próbował wciąż wziąć na lep bolszewickiego słowa honoru. Na przekazany przez sołtysa list, za pośrednictwem któregoś z sąsiadów, komendantowi nie odpowiedziałem, nie chciałem w ogóle o nim słyszeć.

Po kilku dniach komendant prośbę swoją ponowił. W tym też czasie w Chmizjutce zjawiała się grupa 6-8 uzbrojonych partyzantów ludzi nikomu z domowników nieznanych. Przeszli pod wieczór pytając, gdzie mogą mnie zastać. Również i oni zadowolającej odpowiedzi nie otrzymali. W dalszym ciągu, ze względu na bezpieczeństwo utrzymywałem zasadę unikania bezpośrednich kontaktów z oddziałami partyzanckimi.

Z kilkakrotnych zaproszeń komendanta wojskowego na rozmowę w Podbrzeziu nie skorzystałem, przede wszystkim dlatego, że wszelkie gwarancje bolszewickie pozostawały w mej pamięci z doświadczeń lat dawnych i nawet roku ostatniego, kiedy podstępnie rozbroili i internowali naszych partyzantów pod Niednikami Królewskimi.

Nierokojony przez komendanta wojskowego, szybko skorzystałem z panującej atmosfery ujawniania i na zawsze opuściłem Chmizjutkę.

W ciągu paru tygodni uzbrojeni partyzanci grupami poszukiwali kry-

jówek kolegów, by nakłonić do ujawnienia się. W tym celu mieli przydzielone samochody lub furmanki. Niektórzy dowódcy oddziałów byli zapraszani na okolicznościowe zebrania do gmin i do Wilna, gdzie w krótkich przemówieniach byli zobowiązani wzywać ludność do pomocy w ujawnianiu się znajdujących się w ukryciu partyzantów.

W zasadzie amnestią objęci byli partyzanci, którzy ujawniają się z bronią. Przy tej okazji skorzystali również i tacy, którzy w partyzantce udziału nie brali, lecz uchylali się od poboru do wojska i żadnych dokumentów nie posiadali. Oni to w prężnym czasie zaczęli powiększać szeregi partyzanckie, przytem poszukiwali broni, za którą dobrze wynagradzali. Byli to tzw. "partyzanci do amnestii" z którymi swoją bronią dzielili się partyzanci rzeczywiście, odstupując pistolet lub karabin, lub tylko granat, byle tą drogą umożliwić rejestrację w komendzie wojskowej. To też w prężnym czasie w komendach wojskowych na listach ujawnionych znalazło się co najmniej 3 razy więcej osób aniżeli było partyzantów.

Najbliźsi moi współpracownicy w charakterze łączników: "Sęk" i "Jesion" i inni również ujawnili się w komendzie w Podbrzeziu na ustalonych zasadach. Według relacji "Sęka" komendant wojskowy obecny przy ujawnianiu nazwiska okazał specjalne zainteresowanie. Widząc, że "Sęk" jest moim bratem i czas dłuższy przebywał w Chmiziułtce prosił by w moim interesie nakłonić mnie do rozmowy w komendzie.

W toku rozmowy komendant rozłożył na stole mapę sztabową z naniesionymi znakami w postaci czerwonych kółek punktów na terenie gmin: podbrzeskiej, rzeszańskiej i mejszagolskiej. Prosił by dopomógł mu ustalić stan liczebny partyzantów w niektórych oddziałach, oznaczonych na mapie czerwonymi kółkami. "Sęk" wyjaśnił, że ewidencji partyzantów on nie ma oraz, że i ja takiej ewidencji nie posiadam. Po rozmowie nad mapą komendant na miejsce stałego zamieszkania brata wysnaczył Chmiziułkę, prawdopodobnie w nadziei, że uda się nakłonić mnie do rozmowy. Przy pierwszym okresowym meldowaniu się brata komendant ponowił pytanie dlaczego mnie nie widzi? brat wyjaśnił, że od kilku tygodni nie ma ze mną kontaktu - prawdopodobnie gdzieś zginąłem. Nawiasem wspomnę, że w tym czasie brat wiedział o mojej ucieczce na inne tereny polskie. Po ujawnieniu się brat czynił starania o przesiedlenie na tereny polskie. Mając odpowiedni dokument, całkiem legalnie ewakuował się z Wilna wraz ze swoją rodziną i z bratem Aleksandrem latem 1946 r.

Po ujawnieniu się partyzanci mieli obowiązek okresowego meldowania się w komendzie wojskowej. I wielu z nich zgłosiło się do przesiedlenia na ziemie odzyskane i starało się najbliższym transportem wyjechać. Byli też i tacy, którzy w obawie przed powołaniem do armii czerwonej lub wywózką w głąb Rosji po kilku tygodniach ujawnienia zaprzestali meldowania się w komendzie wojskowej i w ramach nowych oddziałów podję-

li działalność partyzancką. Było to wymowne reakcja na niedotrzymanie przez bolszewików obietnic gloszonej nietykalności partyzantów, którzy wyszli z konspiracji. Między innymi znam charakterystyczny wypadek z Władkiem ^{Lomceckim} ~~Władkiem~~, który uchylając się od wojska nie miał właściwych dokumentów. W partyzantce nie był. Przy okazji ujawnienia się partyzantów zdobył broń i ujawnił się w charakterze partyzanta. Po paru tygodniach, kiedy zanoszono się na wcielenie do czerwonej armii, za namową innych Władek przeszedł do oddziału partyzanckiego, prowadzącego akcję bojową. Oddział ten dowodzony przez młodego podchorążego w rejonie Santoki został rozbity przez bolszewików. Zginęło wielu partyzantów, wśród nich również Władek.

Zwiększenie częstotliwości meldowania się w komendzie wojskowej, ujawnionych partyzantów ^{prze} wolności gwarantowanej przez władzę radziecką stało się czynnikiem - bodźcem do wznowienia działań przeciw bolszewikom wśród niektórych grup partyzanckich. Według wersji opowiedzianej przez "Jesiona", jednego z moich najbliższych łączników, który był uczestnikiem akcji wznowionej przeciw bolszewikom, sprawa przedstawiała się następująco. W ciągu paru miesięcy po ujawnieniu, komenda wojskowa nakazywała meldowanie się partyzantów najpierw dwa razy w miesiącu, potem 4-6-8 razy. W niektórych przypadkach partyzanci byli zatrzymywani i powoływani do wojska lub gdzieś wywiezieni. Sprokrowani tym postępowaniem władzy wojskowej wielu partyzantów w ramach powstających od nowa oddziałów podjęło akcję przeciw bolszewikom. "Jesion" znalazł się w oddziale liczącym około 300 osób, sformowanych w bojach dowodzonych przez młodego oficera. Oddział wczesnym latem 1945 r zamierzał przedostać się na małopolszczyznę, gdzie po złożeniu broni miał być rozwiązany. Po szczęśliwym przemarszu w kierunku granicy w rejonie Sokółki, oddział zatrzymał się na postoju nie zdając sprawy, że w pewnej odległości był ścigany przez jakiś większy oddział bolszewicki, prawdopodobnie w sile batalionu, który organizował oblężenie obejmujące wielki rejon przygraniczny po stronie radzieckiej. Dowódca partyzantów nie zdawał sprawy z położenia swego oddziału w terenie nie znanym - nie miał żadnego rozpoznania, szedł na oślep. Granicę radziecko-polską partyzanci przekroczyli nad ranem, śledzeni przez idących w ślad za nimi bolszewików. Koło Sokółki już po stronie polskiej, w czasie ранego postoju, partyzanci zostali otoczeni przez ścigających bolszewików. Partyzanci byli rozlokowani w budynkach niewielkiej wsi. Prawdopodobnie zarówno partyzanci jak i bolszewicy dokładnego położenia nie znali. Przypadkowo postój bolszewików znalazł się w okolicy poza partyzantami. Dzięki miejscowej ludności partyzanci pierwsi zorientowali się, że są otoczeni przez wojsko. Postanowili przebić się i odeszli w kierunku zamierzonego marszu. Wówczas bolszewicy zorientowali się, że mają za sobą partyzantów, nie przypuszczali jednak, że ci byli przez nich ścigani.

Uderzenie partyzantów skoncentrowanym ogniem było tak gwałtowne i silne, że oddział bolszewicki był całkowicie zaskoczony i dezorientowany, powstało chwilowe zamieszanie. Główne uderzenie partyzantów przypadkowo trafiło na sztab radziecki, który też mocno oberwał. Prawdopodobnie zginęło kilku wyższych oficerów radzieckich, którym jakoby urządzono uroczysty pogrzeb (w Sokółce?).

Stąd też przypuszczenie, że w operacji przeciw partyzantom brał udział jakiś większy oddział radziecki.

Partyzanci w niespełna pół godziny przebili się przez otaczających ich bolszewików. O rozmiarze strat po obu stronach bliższych informacji nie ma. Wiadomo tylko, że ciężko rannego w nogę "Jesiona" wprowadzili ze sobą. Był to oddział nie znany mi, sformowany przypadkowo z amatorów marasu przez granicę radziecko polską. Po udanym wyjściu z bolszewickiej matni oddział rozwiązał się i rzekomo osiedlił się na ziemach odzyskanych, gdzieś na Śląsku. Ten to sposób partyzanci przeszli do pracy pokojowej w kraju.

Do paru latych podjęte było dochodzenie przez nasz urząd bezpieczeństwa w sprawie przekroczenia granicy z bronią. Wielu z partyzantów było zatrzymanych i więzionych.

12. Przygotowanie do ewakuacji

Niepokoiony przez komendę wojskową w Łodźbrzesiu, celem ujawnienia działalności konspiracyjnej i przeprowadzenia rozmów na ten temat, nie widziałem innego wyjścia, jak korzystając z panującego chwilowo nastroju towarzyszącego amnestii, przedostać się na teren polskiej administracji. Sprawa była bardzo pilna, ponieważ prawdopodobnie z polecenia komendy bolszewickiej za pośrednictwem jakichś tam partyzantów dwukrotnie ~~mi~~ usiłowano mnie odnaleźć w Chłiziutce. Do normalnej, legalnej ewakuacji brakowało mi jednak odpowiednich dokumentów.

Wieczorem 18 marca postanowiłem nazajutrz jechać do Wilna, by tam po wyrobieniu niezbędnych dokumentów przygotować się do najbliższego transportu ewakuacyjnego. Pośpiesznie ukryłem moją broń: parobellum i 3 granaty, które ulokowałem w strasze mojej stodoły. Tam też ukryłem niewiele mi już zapas amunicji do pistoletu. Nieco wcześniej strzecha stodoły przechowywała satucer belgijski, nabyty przed wojną i kilka paczek amunicji. Tam również stałe ukrywałem lornetkę polową, mapy terenu działania ułotki, odpisy rozkazów i inne. Tegoż wieczoru byłem w Zajeziercach, na mówieniu mego gospodarza Franciszka Łonowskiego, by nazajutrzawiść mnie do Wilna. Pożegnaniem znajomych i uczynnych mi ludzi.

W pamiętnym dniu św. Józefa - 19 marca 1945 r. pożegnałem moją rodzinę, która po załatwieniu dokumentów miała niezwłocznie udać się w ślad za mną. Ostatni raz wsiadłem do moich saní, które całą wojnę służyły mi w podróży w różnych sprawach. Z sobą zabrałem starą walizkę z parą szcian bieliszny i innymi drobiazgami. W kieszeni owego dnia miałem około 100 rubli radzieckich. Przejeżdżając za śpichlerzem za alejką klonowo-lipową spojrziałem na mój dom i inne zabudowania Chłiziutki, którą jak okazało się opuściłem na zawsze.

Dzień był skłoneczny, cichy. Na wznieśleniach pól pokazały się obnażone ze śniegu cienne skrawki roli zoranej na niego. Tu i ówdzie przebijały kęsy żytniej runi. Na drodze w wielu miejscach na wzniesieniach śniegu zupełnie nie było a jazda saniami stawała się ciężka. To też Franciszek nie poganiał siwka, który ze zwyczajnym mi uporem ciągnął nas po bezśnieżnych skrawkach drogi. Na większych odcinkach pozbawionych śniegu obaj wysiadaliśmy by ulżyć koniowi.

Ze względu na zagrożenie odwilży jechaliśmy polny i drogami. W okolicy zaś Ustronia wyjechaliśmy na trakt staronajacki, prowadzący wzdłuż Wilii, na znacznym odcinku przez tereny leśne i nadrzeczone gdzie też było więcej śniegu. Po drodze spotkałem "Kuzkara" jednego z moich współpracowników ze okupacji niemieckiej w rejonie gminy Łodźbrzesie. Z krótkiej rozmowy wyniosłem, że i on poszukuje dokumentów umożliwiających wyjazd na tereny polskie.

Leśną drogą, gdzie jeszcze leżała dostatecznie gruba warstwa śniegu

Jechaliśmy szybko. Przed południem przejeżdżaliśmy mimo restauracji położonej w *Werkach* tuż przy przystani statków na Wilii.

Za czasów mego dzieciństwa w latach pierwszej wojny światowej, kiedy w wygłodzonym Wilnie ludzie marli z głodu, a matkę moją bardzo często chodziłem / na dalszą wieś aż na Litwę po zakup żywności. Tędy właśnie i dalej traktem starożytnym prowadziła nasza droga w starożytnościach o żywność dla rodziny. Tędy też ze względu na większe bezpieczeństwo przed ówczesną karnacją niemiecką, ubiegającą się za podróżnymi z towarami przeważnie na głównych drogach, wracaliśmy do domu w Wilnie obciążeni ciężkimi tobozami na plecach albo ciągnąc naszą zaprawę na saneczkach zimą. Potem po wojnie będąc uczniem i studentem bardzo często przechodziłem przez ten uroczy zakątek podwileński. Tędy z kolegami lub sam chodząc z wędkami na ryby, na położone w pobliżu Wilii stawy lub na dalsze jeziora Zielone /Kraszackie/ i Gulbińskie.

Jechaliśmy wolno. Pragnąłem nacieszyć się ostatni raz chyba w moim życiu pięknym i niezapomnianym widokiem zakrętu Wilii na tle ciągnącego się po przeciwnej stronie dalej zalesionej równiny i piaszczystej plaży w Łokumpi. Jechaliśmy prawie brzegiem Wilii tuż nad wysoko usytuowanym urwiskiem. Z lewej strony tuż przy drodze i nieco dalej na prawo mijaliśmy zabudowania. Trynopolu, miejscowości z kościółkiem i niewielkim klasztorem.

Przy cichej, i jak na masze ciepłej pogodzie, przejeżdżaliśmy niedaleko położonej na prawo jakiejś starożytności Wilii. Z otwartego okna, z ustawionego patefona dobiegała jakaś znana, *Wileńska* szczególnie dla mojej okolicy, melodia poloneza Ogińskiego - "Pożegnanie ojczyzny". Melodia poloneza długo mi jeszcze towarzyszyła pomimo, że dźwięków patefona nie słyszałem.

Jadąc dalej minęliśmy po prawej stronie kościółek i otoczony drugim murem duży sąd. Potem z lewej strony tuż przy drodze stały kapliczki św. Marii Pańskiej, słynnej Kalwarii Wileńskiej. Z początkiem maja aż do końca lipca - sierpnia do Kalwarii ciągnęły masy pątników z dalekich okolic nie tylko Wileńszczyzny a przed pierwszą wojną światową również i z całej Litwy. Obchody drówek Pańskich zaczynały się w Bożetopiu od tak zwanego "wieczornika", a stąd przy udziale specjalnych przewodników, prowadziły przez las aż do położonego na wzgórzu kościoła Kalwaryjskiego. Przy drogach leśnych od wieczornika do kościoła, kędy przechodziły grupy pątników, stały kapliczki z obrazami św. Marii Pańskiej. Przy każdej takiej kapliczce pątnicy zatrzymywali się, by po krótkiej okolicznościowej modlitwie, inicjowanej przez przewodnika grupy, ze śpiewem iść do kapliczki następnej.

Minęliśmy przydrożne kapliczki i za chwilę wyjechaliśmy z lasu. Przed nami rozległy teren ćwiczeń wojskowych. Dalej na lewo mrowała kossury pierwszej Dywizji Piechoty Legionów ciągnące się aż do

przedmieścia Wilna - Snipiszek. Wyjeżdżając z lasu, jak na dłoni, widoczna była znaczna część Wilna od Antokola - przedmieścia za Wilią aż do wzniesienia tzw. góry Szasakiniej po stronie zachodniej. Droga od lasu była już całkowicie pozbawiona śniegu, to też aż do domu rodziców przy ul. Nadlesnej, położonej wzdłuż terenu koszar do Wilii - szliśmy pieszo. Dochodząc do wlotu ul. Werkowskiej poraz pierwszy zobaczyłem kilka uzbrojonych partyzantów, idących wolno od Kalwaryjskiej szosy na ulicę Werkowską do miasta.

Do domu rodziców przyjechałem nieoczekiwanie. Matka która niedawno wyszła z więzienia, widokiem moim była nieco zaniepokojona. Szybko wyjaśniłem sytuację amnestyjną i cel mego przyjazdu do Wilna. Franciszek mój woźnica zaraz odjechał do domu. Ja zacząłem poszukiwać kontaktów z ludźmi, którzy mogą ułatwić zdobycie dokumentów, niezbędnych do ewakuacji z Wilna.

Zatrzymałem się u brata Aleksandra, który z rodziną zamieszkiwał w domu rodziców. Do wielu miesięcy nieobecności w rodzinnym domu unikając kontaktu z sąsiadami, ponieważ w dalszym ciągu czułem się jakby osaczony przez wroga. Z mieszkania wychodziłem wieczorem i tylko w celu nawiązania kontaktu z bliżej znanymi ludźmi, by wyrobić odpowiednie dokumenty. Pierwsze kroki skierowałem do Iwaszkiewicza, męża córki Krysi dobrze znanej sąsiedzkiej rodziny Taraszkiewiczów. Za jego pośrednictwem otrzymałem na lewo paszport litewski z fikcyjną datą mego urodzenia 1895 r. W ten sposób stałem się starszy o 10 lat, uzyskując dokument z rocznikiem nie podlegającym służbie wojskowej. Było to sprawą ważną przy uzyskaniu tzw. "bronirówki", czyli zwolnienia z obowiązku służby wojskowej. Bez tego dokumentu pozwolenia na ewakuację nie wydawano. Drugim, mniej ważnym, ale również obowiązującym dokumentem było zaświadczenie o odbyciu służby. Dokument ten uzyskałem również przy pomocy znajomych Taraszkiewiczów.

Zanim te dokumenty wyrobiłem na propozycję brata Aleksandra próbowałem wyjaśnić możliwość przejścia na drogę pracy pokojowej za pośrednictwem jego szefa ppłk armii Berlinga niejakiego Szymalskiego od wsi Szymana pochodzenia żydowskiego. Już pierwszego dnia pobytu u brata dowiedziałem się, że jest on zatrudniony w charakterze podoficera /sierżanta/ służbowego razem z nieznanym mi z nazwiska przedwojennym chorążym wojska polskiego, w ścisłej przy polskiej komendzie wojskowej, na której czele figurował ppłk. Szymański. Do tej komendy współdziałającej z pełnomocnikiem do spraw przesiedlenia zgłosił się brat Aleksander by uniknąć poboru do czerwonej armii. W ciągu kilku dni ścisłych stosunków z szefem, po ogłoszeniu amnestii dla partyzantów AK, brat dowiedział się, że komenda polska może werбовать do armii Berlinga, jak również może ułatwić przejście do służby cywilnej w Polsce.

Na umówiony przez brata termin wybrałem się do ppułk Szymalskiego na rozmowę. Idąc ulicą Kalwaryjską do Zielonego Mostu byłem zaskoczony licznymi partyzantami, którzy grupami i pojedynczo z różną bronią umierali do centrum miasta. Rozmówcą, że ogłoszenie amnestyjne zadziałało na ukrywających się dotąd żołnierzy AK.

Tuż za Zielonym Mostem poszedłem na lewo wzdłuż Wilii ulicą Nadbrzeżną. Tam poprosiłem niewielkiego odcinka, nie dochodząc do placu Katedralnego w otwartych drzwiach frontowych jednego domu zobaczyłem stojącego na warcie partyzanta. Zatrzymałem się chwilę i przez otwarte drzwi zajrzałem do wnętrza wielkiej sali. Była pora obiadowa. Niektórzy partyzanci coś tam jedli, inni siedzieli, lub leżeli na drewnianych przysach. Przy ścianie ustawione były karabiny i 170^z automaty. Od stojącego w drzwiach partyzanta dowiedziałem się, że pełni służbę wartowniczą. Obowiązkiem jego jest pilnować by skonszerwowania partyzanci nie wychodzili na miasto. W toku dalszej rozmowy okazało się, że w tym pomieszczeniu kwateruje grupa partyzantów, którzy dnia poprzedniego byli zarejestrowani w komendzie polskiej. Dowiedziałem się również, że ani wśród kwaterujących partyzantów ani przy melowaniu się w komendzie nie było żadnego partyzanta oficera. Rozmówca mój nie potrafił wyjaśnić co z nimi będzie i jak długo pozostaną na tej kwaterze. Pożegnałem wartownika i poszedłem w poszukiwaniu komendy polskiej.

Wkrótce znalazłem się pod wskazanym przez brata adresem. Przed wejściem do komendy kręcił się chorąży w mundurze przedwojennego szandara. Na moje oświadczenie, że idę na zaproszenie ppułk Szymalskiego - ten podał mi moje nazwisko - chorąży zasalutował i pośpieszył z meldunkiem do swego szefa. Po chwili wrócił, również zasalutował i oznajmił - pan pułk. czeka.

Wszedłem do wnętrza siedziby komendy. Idąc szerokim, krótkim korytarem zobaczyłem żołnierzy w polskich mundurach. Jeden z nich spytany wskazał drzwi, po otwarciu których zobaczyłem siedzącego przy biurku ppułk w mundurze przedwojennego polskiego oficera. Kiedy wchodziłem do pokoju ppułk wstał zza biurka i z wyciągniętą ręką podszedł przywitać się. W atmosferze okazanej mi uprzejmości rozmowa nasza była krótka, ponieważ mój rozmówca spieszył na jakąś pilną konferencję. Poinformowany przez mego brata z miejsca ^{zawsze} ~~zawsze~~ i namawiał mnie do wyboru zajęcia. Wyten proponował służbę w wojsku/ oczywiście w polskim /, gdzie mając doświadczenie wojskowe, mogę uzyskać wyższy stopień oficerski. Mogę wybrać też jakąś pracę przy reformie rolnej w charakterze pełnomocnika, lub też coś innego. Obiecał dać mi pisemne referencje. Za te propozycje podziękowałem i obiecałem przyjść na wiążącą rozmowę innym razem, być może najszybciej, jeśli pułkownik będzie dysponował wolnym czasem. Zgodziłem się na rozmowę jutro. Pożegnałem rozmówcę i posze-

dłem do domu.

W drodze powrotnej pomyślałem, jaka to kariera unie czeka na sprawę ppulk Szymańskiego. Byłem też przekonany, że przy jego ówczesnych wpływach mógłbym uzyskać to co mi proponował. Jednakże Szymański i otaczający go świat wpływów, byli mi obcy. Propozycje jakie mi czynił w czasie rozmowy w myśli s niejaca odrzuciłem. Nie wypowiedziałem tego, ponieważ usługi jego chciałem mieć w rezerwie. Przyntem należało mi przede wszystkim na możliwości wyjazdu na tereny polskie co w mojej sytuacji nie było sprawą łatwą.

po powrocie do domu myślałem o wyrobieniu dokumentu umożliwiającego mi natychmiastowy wyjazd z Wilna. Wieczorem po powrocie ze służby w komendzie brat powiedział, że jego szef bardzo liczy na moją współpracę. Tajemniczy ten brata w mój zamiar szybkiego wyjazdu. Prosiłem by poinformował szefa, że ~~na~~ kilka dni wyjechałem do Chrusiutki.

Jeszcze tego dnia wieczorem za pośrednictwem Iwaszkiewicza otrzymałem paszport z 1903 r urodzenia i zaświadczenie, dokonany zabieg higieniczny w miejskiej kądni. Przekazało mi urzędowego wezwania do pilnej pracy na terenie polski i rejestracji na wyjazd najbliższym transportem. Dokumenty te przy pomocy odpowiednich ludzi Iwaszkiewicza załatwiłem najszybciej. Wieczorem posiadałem ^m ^r bieżące urzędowe wezwanie do pilnej pracy w woj. białostockim, podpisane przez wojewodę Łatacholskiego. Jednocześnie s tym otrzymałem zaświadczenie, że znajduję się na liście osób zgłoszonych do wyjazdu transportem, który według podanej daty miał odejść z dworca wileńskiego w dniu jutrzejszym o oznaczonej godzinie.

Oprócz tych dokumentów znaczenie wcześniej przy rejestracji na wyjazd w punkcie rejestracyjnym otrzymałem kartę ewakuacyjną, na której rogu była wypisana prawidłowa data mego urodzenia - 1903 r. Likwidowanie tej daty na karcie ewakuacyjnej, jako nieodpowiedniej do uwidocznionej w paszporcie s rocznikiem 1893 stało się pilną koniecznością. To też kartę zgłotłem, nieco postrzępiłem s wypisany na rogu rok urodzenia 1903 wyrwałem. Postanowiłem unikać okazywania tego dokumentu - chyba na specjalne wezwanie.

Wieczorem mając w komplecie wszystkie niezbędne do wyjazdu dokumenty skromny mój ekwipunek: trzy pary bielizny i niektóre drobniaki słożyłem do jednej walizy i w ten sposób byłem przygotowany do podróży.

13 Odjazd w nieznane

Z domu rodzicielskiego przy ul. Nadleśnej, na skraju miasta do dworca wileńskiego było daleko, około 4-5 km. Wynajętą dorożką, tęgnący przez matkę, ojca, ciotkę i jej męża oraz rodzinę brata Aleksandra pojechałem na dworzec. To nasz ostatni pożegnanie dom rodzicielski w którym urodziłem się i wychowywałem. Odjeżdżałem w nieznane i na zawsze. Teraz ostatni przejechałem przez Zielony most na Wilii, po którym chodziłem szedłem do gimn. im. J. Lelewela a następnie do Uniwersytetu Stefana Batorego.

Od wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej w centrum miasta nie byłem. Teraz, kiedy przejeżdżałem ul. Wileńską i Niemiecką widziałem rażąco pustką jako wyraźny kontrast od czasów przedwojennych, kiedy chodzili tam z kąta w kąt Żydzi, stali mieszkańcy tej części miasta. Oni mieli tam swoje różne interesy handlowe. Przechodniów nawoływali do zakupów wychwalając swoje różne towary lub sprzeczały się między sobą czyniąc całodzienny gwar.

Niemcy jak wszędzie tak i tu w krótkim czasie swego panowania wymordowali Żydów Wileńskich, pozostawiając po nich grobową pustkę.

Na dworcu towarowym odwiedziłem się, gdzie jest podstawiony pociąg którym miałem odjechać. Wkrótce znalazłem się na właściwym miejscu. Tam na rampie obok pociągu stały, gromadki ludzi. Koło nich był inwentarz: konie, krowy oraz kupki siana i słomy. Przeważnie jednak stały rodziny wiejskie tylko z grętami gospodarstwa domowego.

Na rampie koło pociągu kręcili się dwaj urzędnicy litewscy z wykazem osób zgłoszonych do wyjazdu tym transportem. Urzędnicy ci przydzielali miejsce w poszczególnych wagonach dla zgromadzonych rodzin. Przy tym sprawdzali dokumenty. Po uzyskaniu mojego nazwiska okazałem paszport z 1893 r. urodzenia. Litwin wziął paszport, spojrzał na mnie, z lekka uśmiechnął się i zapytał:

- Skąd go masz, ile zapłaciłeś? Odpowiedziałem, że jak i inni z zarządu miasta z wydziału ewidencji ludności. Urzędnik pokiwiał głową i paszport schował do kieszeni. Innym wyjeżdżającym po zarejestrowaniu paszporty zwracano. Takim obrotem sprawy byłem zaskoczony. Pomyślałem że starania moje na wyjazd diabli wzięli. Nie wiedziałem, co mam czynić dalej. W obawie przed aresztowaniem zamierzając swieć i to natychmiast. Kiedy Litwin szepotał się innymi ludźmi rozjeżdżałem się dookoła, szukając właściwego kierunku ucieczki. Nat po chwili jak ktoś - okazało się młody mężczyzna - stojący obok mnie, dotknął mnie z boku i prawie szeptem powiedział:

- Crossę nie bój się, sprawa załatwiona. Pan pojedzie.

Spojrzałem na przemawiającego do mnie i zauważyłem lekkie mrugnienie

cię oka. Zrozumiałem, że był to gest potwierdzenia słyszanego przed chwilą oświadczenia. Postanowiłem czekać końca od rawy podróżnych.

Zniecierpliwiony długim oczekiwaniem chodziłem wzdłuż pociągu przyglądając się ludziom. Chciałem znaleźć kogoś ze znajomych. Ku memu zdziwieniu i zadowoleniu spotkałem spokrewnione ze sobą rodziny. Jedną z nich to rodzina lekarza Węgrowskiego: lekarz, żona i syn. Lekarz był synem mego bliskiego sąsiada, właściciela zaścianka Stanisławowa. Drugą rodziną to Ostrowski z żoną i córką. Ostrowskiego Władysława poznałem przed wojną jako instruktora w chrześcijańskim stowarzyszeniu rzemieślników. Żonę jego jako siostrę żony lekarza Węgrowskiego poznałem dopiero przy pociągu.

Obie rodziny zaczynały ładować swoje manatki do wagonu. Przywitałem się i w krótkiej rozmowie wyjaśniłem, że jadę sam w okolicznościach wyjątkowych. Węgrowski zaproponował, jeśli nie mam towarzystwa, żebym jechał z nimi. Skorzystałem i zaraz znalazłem się w wykazie osób jadących w tym wagonie. Kiedy się ulokowałem z moją walizką zorientowałem się, że znajome mi rodziny smieszczą się w jednej połowie wagonu.

Druga połowa była zajmowana przez kulawą w średnim wieku kobietę nazwiskiem Pieslak. Opiekowała się ona nieletnimi dziećmi: dziewczynką i chłopcem swojej siostry, która była wywieziona przez bolszewików, jako żona oficera polskiego. Ciotka Pieslak z podopiecznymi dziećmi przesiadła się z jakiegoś tam gospodarstwa pod Wilnem. Wiozła ze sobą konia, krowę, graty gospodarstwa domowego i paszę dla inwentarza.

Pieslak była bardzo uczynna. Widząc, że nie mam kółka, pozwoliła spać na sianie. To też z wdzięcznością skorzystałem z pozwolenia. Było ono bardzo na czasie ponieważ podróż nasza trwała kilka dni.

Z rozmowy z Pieslak dowiedziałem się, że siostra jej wywieziona na Syberię, była żoną kpt. Lipczyńskiego, oficera zawodowego jednego z pułków wileńskich piechoty legionów. Kpt Lipczyńskiego przypomniałem z czasów pobytu na Litwie w końcu 1939 r w obozie internowanych w Kutatowie. Po zwolnieniu z obozu kpt Lipczyński znalazł się w AK i nie zdążył ewakuować się razem z dziećmi i szwagierką.

Transport nasz ruszył wieczorem. Ciekawe, że nikt dokładnie nie wiedział, gdzie się zatrzymamy i kiedy. Krążyły pogłoski, że transport rozładuje się w Białymstoku, ponieważ część podróżnych miała tam skierowanie. Niektórzy mówili, że powiozą nas przez Poznań, dalej na zachód - chyba na Śląsk. Trudno jednak było mieć jakiegoś ustalonego w tej sprawie pojęcia. Była wojna, w rejonie Poznania trwały walki. Ziemi tzw. "odzyskane" jeszcze odzyskane nie były. Administracja polska pragnęła jak najprędzej zaludnić ziemię zdobyte po Niemcach przy odpowiednim też nacisku ze strony Rosji, której zależało na szybkiej rusyfikacji wileńszczyzny i ziem innych należących do Rzeczypospolitej. W tym po-

spiechu przesiedlanie ludności odbywało się w atmosferze bałaganu.

Do wyjeżdżać z Wilna transport zatrzymywał się tylko na niektórych większych stacjach. W czasie jednego długiego postoju z rozmowy z przygodnym podróżnym dowiedziałem się, że w poprzednich transportach zdarzały się przypadki aresztowań niektórych osób przez NKWD. Zamiast do Polski ludzie kierowani byli do obozu karnego w Mosji. Przytem jak zwykle nie było wiadomo, jakie to przewinienie przypisywano aresztowanym. Później dowiedziałem się, że aresztowania odbywały się w transportach odchodzących jeszcze przed ogłoszeniem amnestii dla naszego podziemia. Tymczasem, ponieważ według pojęć NKWD również i ja mogłem coś mieć na koncie mego życiorysu postanowiłem, że zanim nasz transport znajdzie się przynajmniej po stronie polskiej, w czasie postoju będę opuszczał swój wagon i w ogóle będę się miał na baczności. Tak też uczyniłem.

Do wyznaczonej przez Związek Radziecki granicy sблиżaliśmy się gdzieś w rejonie Sokółki. wiadomo było, że na stacji przedgranicznej zapowiadał się postój i kontrola podróżnych. Już w czasie poprzedniego postoju przesyłałem plan uniknięcia kontaktu z NKWD. A mianowicie w sąsiednim wagonie, częściowo załadowanym sianem, drwi nie domykały się drzwi, że całe pół długości wagonu było szczelnie załadowane sianem bez ludzi i inwentarza. Niepostrzeżenie przygotowałem sobie kryjówkę, wyskubując i usuwając część siana wzdłuż ściany wagonu.

Na przedostatnim postoju, tuż przed ruszeniem pociągu znalazłem się w mojej kryjówce. Pociąg szedł jakby ze zwiększoną szybkością. Za kilkanaście minut był już na stacji przygranicznej, gdzie w czasie postoju podróżni jak zwykle częściowo powychodzili na peron, by skorzystać ze świeżo ogrzanego wiosennym słońcem powietrza. Tym razem kontrola podróżnych była bardzo pobieżna i trwała wyjątkowo krótko. Straż graniczna sapytywała wybranych kierowników wagonów, czy nikt nie przybył i nie ubył. Po stwierdzeniu stanu bez zmian, strażnicy odchodzili do następnych wagonów.

Siedząc w sianie słyszałem fragmenty rozmowy prowadzonej w wagonie i zorientowałem się, że straż graniczna dokonała ceremonii kontroli podróżnych i odeszła od pociągu. Kryjówkę opuściłem też przed ruszeniem pociągu. Idąc w kierunku mego wagonu, przez otwarte drzwi jednego z sąsiednich, nie spodziewanie zauważyłem sylwetkę znajomego mi z lat studenckich w Poznaniu księdza Wościńskiego. W roku 1929 kiedy opuszczałem szeregi studenckie, ksiądz Wościński po przyjeździe z Wilna, rozpoczął studia na wydziale Prawno-Ekonomicznym Uniwersytetu Poznańskiego. W tym też czasie ks. Wościńskiemu przekazałem sprawowaną przeze mnie funkcję prezesa studenckiego koła kresowianków Uniwersytetu Poznańskiego.

Stojąc w drzwiach wagonu ks. Wościński przyglądał mi się ciekawie.

Na mój ukłon odpowiedział ukłonem. odszedłem do wagonu, uściśnaliśmy dłonie i po krótkiej rozmowie zaprosił do swego towarzystwa. Pociąg ruszył. W wagonie ks. ościcki przedstawił mi trzech innych księży. Jeden z nich wydobł z walizki butelkę dobrej wódki i oświadczył, że towarzystwo chyba zasłużyło, by po przebytej chwili niepokroju, na stacji przygranicznej, wypić po kieliszku. Z braku kieliszków wódkę rozlano do 5 szklanek w równych częściach. Popijając, dobry napój, którego poza samogonem od wybuchu wojny nie widziałem, na prośbę ks. ościckiego opowiedziałem przyoznaczonej mojej wyjątkowo pilnej podróży. W stroju całkiem nierепresentacyjnym i czapkę z poderwanym daszkiem na głowie widziałem, że stanę się obiektem szczególnego zainteresowania tego towarzystwa. W dowód wyjątkowej sympatii jeden z księży, jeśli cię nie mylą, nawiskiem Czerniowski, czapkę moją wyrzucił z wagonu a poderwał mi swoją czapkę od kompletu garnituru. Nie chciałem wziąć lecz księże orzekli, że czynią to na pamiątkę, naszego tak osobliwego spotkania.

Dojechaliśmy do Białoostoku, gdzie sympatycami księże wysiedli i spieszyli zameldować się u arcybiskupa Jabrzykowskiego. Nawisiali bym również pozostał w Białoostoku najbliższej Wilna. Oznaczeniem wyjątkowo miłe towarzystwo z ks. ościckim na czele...

Z upływem lat dowiedziałem się, że obecnie biskup ościcki ma się - dźbić w Łomży. W Białoostoku poza księżmi wysiedło kilka rodzin. Był tam dłuższy postój, w czasie którego podróżni zapatrywali się w wodę do picia i w herbatę.

Transport nasz nie miał ustalonego celu podróży. W dalszym ciągu, jechaliśmy w nieznane. Przejżdżając przez zrujnowaną Warszawę w nocy słychać było strzelanie w kilku punktach dworca. Jak się okazało strzelanie wywołały grupy morderców radzieckich, w interesie ze stratą wojskową. Podobnie działo się i na innych stacjach, gdzie mordercy napadali najczęściej na ludność cywilną, gwałcili kobiety, rabowali zegarki, brzyły obrączki i inne przedmioty wartościowe. Zdarszały się też napady na poprzednie transporty przesiedleńców. Grupy morderców były liczne i dobrze uzbrojone. Nawet wojsko radzieckie z trudem dawało im rękę a milicja nasza była wprost bezradna.

Celem uniknięcia dłuższych postojów na większych stacjach, naradzających na niebezpieczne spotkanie z mordercami armii radzi ckiej, podróżni usilnie namawiali obsługę kolejową, składającą się z ludzi radzieckich by postoje były jak najbardziej skrócone. Dla zachęty każdorazowo podróżni wyczesali kolejarzom parę butelek samogonu, który w tym celu był nabyty w Wilnie w czasie postoju na niektórych stacjach od pokutnych handlarzy. Warto się zwracać, że samogon stał się powszechnym środkiem odurzenia w różnych przygodach podróży.

Transport nasz szczęśliwie dotarł do miejscowości Szpawie pod Romanem. Był to ostatni dzień marca 1945 r w wielką sobotę. Tam też wszystkich "repatriantów" wyładowano na pobliskiej stacji, skąd furmankami przewieziono do wsi Szpawie. Polska ludność tej wsi była przez Niemców przesiedlona do tzw. "generalnej guberni" a na jej miejsce ośledlono Niemców, którzy wraz z wojskiem pod naporem czerwonej armii wycofali się na zachód.

W Szpawie w jakimś opuszczonym gospodarstwie, osiedliła się ze swoim dobytkiem towarzyska podróżnicy Wiedlak oraz rodzinny Wągrowskich i Czerwskich a którymi w dalszym ciągu przez czas dłuższy kwaterowaliśmy.

Niezajutrz 1 kwietnia przypadała Wielkanoc. Od rana mieszkańcy cisielni śpieszyli do pobliskiego kościoła na rezurekcyję. Razem z rodzinami towarzyskami kwaterowania poszedłem i ja. Po powrocie z kościoła nastąpił tradycyjnego święconego wspólnie z nieprzyjaciółkami rodzinami spożytkiem skromne śniadanie. Była to najsmutniejsza Wielkanoc w moim życiu.

Tego dnia przypadkiem inną najbardziej radośną Wielkanocą. Był to pamiętny dzień 19 kwietnia 1919 r kiedy na ulicach Wilna trwały od Wielkiej Soboty rano zwycięskie walki polskich legionów i samoobrony wileńskiej z bolszewicką nawałą. Radość jaka powszechnie zapanowała wśród mieszkańców po wyzwoleniu Wilna nie była notowana od czasów niepamiętnych. Radość tym większa ponieważ od wkroczenia czerwonej armii do Wilna, w dniu święta Trzech Króli panowało wielkie przygnębienie i nie było nadziei na wyzwolenie z niewoli czerwonego imperium. Aż tu nagle w W. Sobotę około godziny 4-tej rano powstała strzelanina z wyraźnym akcentem karabinów maszynowych. Wona strzelanina najpierw dalsze górsie od strony dworca wileńskiego, a czasem zaczęły narastać przybliżając się do centrum miasta. Wtem zaczęło się ostrzeliwanie ze węgierskich i dachów kamienic, cofających się w wielkim popłochu grup bolszewickich, w tym również uzbrojonych band komunistycznych, słotnych z żydów wileńskich.

~~W tym czasie w mieście trwały walki z garnizonem bolszewickim i samą polską samoobroną wileńską. W tym czasie bolszewicy uciekali z miasta.~~

Bolszewicy uciekali z miasta. Polscy polskiej artylerii ruszyli uciekających w kierunku kościoła św. Mafaze na ul. Iłkomiarską oraz w kierunku na ul. Kalweryjską i dalej na przedmieście Snipiszki. Jeden z pocisków trafił w figurkę jakiegoś świętego, wyrzeźbioną w ścianie kościoła przy schodach głównego wejścia. Na końcu ul. Wileńskiej tuż przy Białym moście i na nim/widzieliśmy/ leżało wiele trupów, między innymi 15-17 letnich chłopców - Rosjan, ofiar polskich karabinów maszynowych - bogu ducha winnych i gnanych przez krwawą szermierkę rewolucji na

- 44 - 67 - 60 ->

310

podbój Rolaki.

Kiedy legionisanci przeszli Zielony most i zaczęli opanowywać przedmieście Snipiski, podobnie jak to było przy opanowywaniu Śródmieścia miejscowa ludność / bez żydów / tłumnie wybiegała na ulicę, by jeszcze w czasie walk pod gradem pocisków witac zwycięskich żołnierzy - wybawicieli z bolszewicko - żydowskiego jarzma. Byłem świadkiem jak wygłodzeni długoletnią wojną wilnianie wynosili na ulicę i czcili swoich wybawców skromnym wielkanocnym "święconym"...

W Spławie kwaterowałem około dwóch tygodni. Wciąż trwała uporczywa walka z cofającą się armią niemiecką. Zacząłem rozglądać się za jakimś źródłem utrzymania i trwałszym zakwaterowaniem. Kilka razy furanką Cieślakowej jeździłem do Poznania, który w tym czasie przeżywał niedawną walkę z Niemcami. Były wielkie *Zniszczenia*, życie normalne jeszcze nie było zorganizowane, brakowało żywności. Na Jeżycach kręciły się grupki sprzedających różne ciuchy i inne drobne przedmioty. Najwięcej było poszukujących chleba i innych produktów żywności.

Również i ja poszukiwałem chleba, który w godzinach rannych sprzedawano w pobliskiej piekarni. Po odstaniu długiej kolejki mogłem kupić tylko jeden 2 kg bochenek. Nie orientowałem się, że za sprzedany ten bochenek na rynku, mogłem uzyskać pieniądze, za które można kupić w piekarni co najmniej dwa bochenki. Totem w ciągu paru tygodni handlowałem chlebem, zapewniając sobie utrzymanie.

W międzyczasie poszukiwałem innego zajęcia. Odwiedziłem wielkopolską Izbę Rolniczą, gdzie okazało się, że poza najoryjnym mi sprzed wojny kierownikiem wydziału ekonomicznego niko, o jeszcze nie było, jak również nie było nadziei na rychłe uruchomienie tej instytucji. Ktoś skierował mnie do Okręgowego Urzędu Ziemińskiego, gdzie poszukiwano wykwalifikowanych pracowników. Uważając się za w pełni wykwalifikowanego pracownika, ponieważ w podobnej instytucji pracowałem kilka lat w Wilnie udałem się na rozmowę z prezesem Okręgowego Urzędu Ziemińskiego. Ten zaproponował mi bardzo pilne objęcie stanowiska komisarza ziemińskiego we Urzędni. Jako główne zadanie było wyznaczone prowadzenie parcelacji majątków i *wadziat* ziemii bezrolnych. Sprawę przyjęcia stanowiska komisarza pozostawiłem do decyzji na jutro. Idąc w tym pośpiechu pracy politycznej bez większego sensu gospodarczego z propozycji nie skorzystałem i w tym urzędzie więcej nie pokazałem się.

Jednego razu wracając z Poznania do domu furanką Cieślakowej zdarzył mi się przykry incydent z pijanym żołnierzem radzieckim. Wy-

Jedzącym z Poznania od strony Starego Rynku naprzeciw nam wyszedł pijany żołnierz z automatem na ramieniu, dał znak zatrzymanie i zatrzymał, by go podwieszono. Pieslakowa, która powoziła zatrzymaną konia a chwiejący się żołnierz usiadł z tyłu wozu na dragu. Tak jechaliśmy z kilometr. Żołnierz zaczął zatrzymać się, zapalił papierosa i znów usiadł na dragu. Jechaliśmy z wolna. W pewnym momencie ktoś hasa się do przodu. Chwiejący się żołnierz spadł z draga i z krawkiem rzucił się do mnie jakoby spowodował jego upadek. Gwałtownym ruchem ręki nakazał bym seszedł z wozu. Idąc niezdecydowanie Pieslakowej, wsiadłem leżąc w ręce i spytałem żołnierza czy chce jechać dalej. A on do mnie:

- Ty faszyst, słyszaj. Ja ciebie nauczę.

Nie wiem, czy dobrze nasza rozmowa skończyłaby się, gdyby na moje szczęście nie zblizak się oddział żołnierzy radzieckich. Postanowiłem oderwać się od pijanego żołnierza. Leżącami podjechałem konia, który spiesząc do stajni jakby na to oczekiwał. Żołnierz zorientował się mijając już pierwsze szeregi kolumny maszerujących żołnierzy. Uglądając się do tyłu widziałem jak żołnierz zdejmował automat, leżąc chyba był na tyle rozsądny, że w obawie postrzelenia maszerujących naprzeciwko swoich żołnierzy gotowej do strzału broni nie użył. Na tym na szczęście incydent zakończył się. Od tego czasu Pieslakowa już nigdy więcej nie chciała mnie widać.

Lekarz Węgrowski w międzyczasie wyjeżdżał do różnych miast w poszukiwaniu jakiegoś oparcia o własną pracę. W Bydgoszczy dowiedział się że zarówno jemu - lekarzowi jak i mnie wykształconemu rolnikowi jest praca gdziekolwiek na terenie całego województwa bydgoskiego. Kierownik Woj. Oddz. Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Bydgoszczy prosił Węgrowskiego by nakłonił mnie do podjęcia pracy w którymś powiatowym oddziale PUR, ponieważ oczekuje się wielkich transportów przesiedleńców ze wschodu. Nadmienię, że sprawa ta ma wielkie znaczenie społeczne, ze względu na potrzebę oświecenia opieką wielkiej ilości rodzin, przybywających do nieznanych im warunków.

Przejęty tą sprawą postanowiłem przez pewien czas zająć się przesiedleńcami. Nastajutro pojechałem na rozmowę z kierownikiem PUR w Bydgoszczy. Tam namówiono mnie do objęcia na razie funkcji powiatowego inspektora osadnictwa PUR w Wąbrzeźnie. Zgodziłem się i od razu otrzymałem odpowiednie dokumenty służbowe oraz zaloskę kilka tysięcy złotych na zorganizowanie placówki PUR w Wąbrzeźnie.

Do obowiązków moich na wstępie należało znalezienie lokalu, zaangażowanie personelu około 30 osób i współdziałanie z kierownikiem tzw. "punktu etapowego" zajmującego się wyżywieniem i zakwaterowaniem dla

150 osób do czasu skierowania na miejsce stałego zamieszkania w gospodarstwach rolnych lub w mieście.

Po powrocie z Bydgoszczy czyniłem przygotowanie do wyjazdu do Wąbrzeźna, miejsca mego urzędowania. Ze mną postanowili jechać również moi towarzysze podróży. Otrzymaliśmy wagon, do którego załadowały się wszystkie wymienione rodziny. Wagon doczepiono do jakiegoś transportu i w ten sposób dojechaliśmy do Torunia, gdzie z powodu zniszczonego mostu kolejowego, musieliśmy przeładować się na furmanki. Furmankami dojechaliśmy do Kowalewa położonego wzdłuż drogi do celu podróży. W Kowalewie od naszego towarzystwa odpadła Piosłakowa, która ze swoimi siostrzenicami i dobytkiem samierzała szukać miejsca osiedlenia za pośrednictwem znajomego aptekarza.

Ja z Ostrowskim i Węgrzyskim pojechaliśmy do Wąbrzeźna, gdzie na podstawie urzędowych dokumentów jako inspektor osadnictwa PUR, zacząłem działać. Nawiązałem kontakty ze starostwem i milicją. Za pośrednictwem tych instytucji otrzymałem zakwaterowanie w mieszkaniu prywatnym i wyżywienie w stołówce milicyjnej. Bez większego kłopotu otrzymałem budynki przedwojennego gimn. im. Królowej Jadwigi, gdzie urządziłem biuro. W krótkim czasie zorganizowałem przysługujący mi środek lokocji, który składał się z etatowego furmana, dwóch koni z uprzężą i powozem. Pierwszą moją czynnością był dobór odpowiednich pracowników. Posaż moim zastępcą, którym wyznaczyłem towarzysza podróży Kazysława Ostrowskiego zaangażowałem b. nauczycielkę uszykowaną i b. sierżanta służby czynnej przed wojną Kartowskiego. z racji umiejętności utrzymania dyscypliny wśród podwładnych, b. sierżanta obdarzyłem funkcją szefa kancelarii, z czego był bardzo zadowolony i sprawował się doskonale. W ciągu paru tygodni, przewidzianą ilością etatów zespół pracowników był zorganizowany w ilości około 25-30 osób.

Z dobranym zespołem ludzi podjąłem pracę inspektora osadnictwa. Na ranie sprawa przyjmowania repatriantów i przesiedleńców oraz zakwaterowanie i wyżywienie ludzi z nadchodzących transportów z terenów zajmowanych przez Rosję powierzona była specjalnemu działowi gospodarczemu, zwanemu punktem etapowym. Podobną opiekę rozłożono również nad przesiedleńcami z terenów administracji polskiej, których mieszkania w miastach lub gospodarstwa rolne uległy zniszczeniu w czasie działań wojennych.

Dla celów osadnictwa musieliśmy dysponować odpowiednią ilością budynków mieszkalnych w miastach i gospodarstwach rolnych. W zasadzie zarządy miejskie w Wąbrzeźnie, Kowalewie i Golubiu Dobrzyńskim oraz komisarz ziemski w powiecie, miały obowiązek przekazać mi dla celów osadnictwa wszystkie obiekty poniesione. Praktyka jednak była inna. Przede wszystkim zarządy miejskie, wszystkie domy należące się do

zarządzania miały obsadzone na daleko-samowolnie, częstokroć przez ludność bez przewidzianych uprawnień. Trzeba było z tym coś zrobić, należało dać ponieszczenie zastępcze, żeby odzyskać lokalsi dla osadnictwa, prowadzonego przez PUR. Wównie i gospodarstwa rolne przeważnie były zajęte przez sąsiednich gospodarzy, którzy obok niemałych gospodarstw własnych zagarnęli i ponienieckie, z powiedzeniem "to nasze ponienieckie". W tym przypadku trzeba było posługiwać się siłą, przy udziale pełnomocnika do spraw reformy rolnej i milicji.

Komisarsa niemiecki, nie chcąc narazić się miejscowym gospodarzom, niechętnie udostępniał wykazy gospodarstw ponienieckich. W wykazach udostępnionych przeważnie znalazły się gospodarstwa zdeklasowane, jak się mówiło rozszabrowane. Na takich gospodarstwach osadnicy bez inwentarsa własnego osiedlenia być nie mogli.

Ugólnie rzecz biorąc doło się odesunąć wielki niedostatek inwentarsa przede wszystkim koni, bez których w owych warunkach nie można było uprawiać roli. Bótno były źródła zaopatrzenia gospodarstw w inwentarz. Krowę lub konia można było *im* nabyć od gospodarza, który zajął gospodarstwo ponienieckie natychmiast po opuszczeniu przez Niemca albo nabyć od żołnierzy radzieckich za samogon, albo w drodze zorganizowanego normalnego zaopatrzenia gospodarstw w brakujący inwentarz, przez armię radziecką, która ściagała go z terenów niemieckich na zachodzie. Wszystko to jednak, wobec wielkich potrzeb było przysłowiową kroplą w morzu.

Zdarzały się wypadki, że gospodarstwa ponienieckie przekazane przez komisarsa niemieckiego pozostawały we władaniu sąsiada-Polaka, który nie dopuszczał wprowadzonych tam osadników. W pamięci notuję incydent, który zdarzył się w Dębowej Łące. Na wyznaczone gospodarstwo skierowali jakąś rodzinę repatriantką. Gospodarsa miejscowy, który gospodarstwo to miał w swoim władaniu przepędził repatrianta siłą. W tym przypadku zmuszony na siłę odpowiedzieć siłą, zwrócił się o pomoc do sąpryjącego do mnie pełnomocnika do spraw reformy rolnej porucznika Izydora Kondraciowicza. Ten uzbrojony w karabin i granaty, wczesnym rankiem pojechał ze mną do Dębowej Łaki. Zatrzymaliemy się u sołtysa - miejscowego gospodarza, nakazując, by pod jakimś pretekstem wprowadził opornego nabywcę ponienieckiego gospodarstwa.

Gospodarsa przybył natychmiast i przez porucznika został od razu steroryzowany zapowiedzią utycia broni, jeśli nie pozwoli na osiedlenie repatriantów. Czasowo został zatrzymany. Wiadomość o tym natychmiast dotarła do oczekującej go rodziny. Pona z dwoma dorosłymi synami natychmiast przyszła do sołtysa i po zorientowaniu się w całym rzecz, odwiecdzia, że gospodarstwa ponienieckiego nie potrzebuje byle tylko zwolniono męża.

Nieodwołane były też wypadki, kiedy miejscowi gospodarze wystę -

rowali gwałtownie uzbrojeni w widły i siekiery przeciw przybywającym osadnikom. W takich okolicznościach trzeba było szukać większej siły - milicji czy też oddziału wojska, by nieszczęśliwym repatriantom dać dach nad głową. W ten to sposób prowadziłem osadnictwo na gospodarstwach poniemieckich lub jak w Dobrzyniu w domach polędwowskich, których właściciele wybili niemy.

Przykra to była praca ale niestety musiała być wykonana. Podejmując tę pracę z konieczności zastrzegłem prawo do przysługującego mi przydziału gospodarstwa rolnego w zamian za postawioną Chłaziutkę. Pomimo że Woj. Urząd Repatriacyjny przyznał mi uprawnienie do gospodarstwa poniemieckiego, jako ekwiwalent za mienie postawione z wejściem w posiadanie gospodarstwa przez pewien czas zlekakałem, ponieważ na planie pierwszym traktowałem osiedlenie rodzin przybywających na teren im niemy.

Omarża do przydziału należnego mi gospodarstwa zdarzyła się przy - psdkowo. W sierpniu w bardzo wczesnych godzinach przyszedł do mnie soł - tys pobliskiej wsi i zameldował, że z rodziną, osiedle graniczącego z Wąbrzeźnem, uciekli osadnicy, zabierając ze sobą bydło, konie i słoje. Jeszcze tej nocy załodowanymi furmankami odjechali prawdopodobnie w kierunku na Masury. Zaryzykowałem poszukiwanie uciekinierów, lecz bez re - sultatu. Tymczasem uświadomiłem przekonanie, że tego rodzaju gospodar - stwo, położone pod Wąbrzeźnem, powinno znaleźć się w moim użytkowaniu. Tak się też stało. Po dokonaniu formalności przydziału, otrzymałem go - spodarstwo bez inwentarza zasiewów i sadzeniaków. Celem zagospodarowa - nia zawarłem umowę, najpierw z miejscowym gospodarzem wiejskim a na - stępnie z również miejscowym - wotorskim, który miał odpowiedni inwen - tarz i podjął się prowadzenia gospodarstwa na tzw. "połowę" dochodu.

Urządowałem pokonując wiele kłopotów i naratając się w różnych oko - licznościach na przykrości i niebezpieczeństwa. Dojazd na odprawę pa - rą raz w miesiącu, do sąsiedztwa wojewódzkiego w Bydgoszcz - mskich władz zwierzchnich, był nader uciążliwy. Z braku mostu kolejowego na Wiśle, który był zniszczony w toku działań wojennych w ciągu paru mie - sięcy trzeba było jadąc z Wąbrzeźna, wysiadać w Toruniu - Okrze /obec - nie Wschodni/ i przejeżdżać mostem dla pieszych i wozów na stację kolejową po drugiej stronie Wisły. W drodze powrotnej należało przejeżdżać tą samą drogą. Z braku pociągów osobowych, przejeżdżało się w zatoczonych wa - gonach towarowych, stawało się wyjątkową koniecznością.

Kiedy jeszcze trwała wojna, przejazd z Torunia do Bydgoszczy odby - wał się drogą okrężną przez Inowrocław. W czasie takich podróży skut - bowych zdarzył się wypadek silnych nalotów niemieckich na stację kolejową w Inowrocławiu. Było to wieczorem o zmroku, jak samoloty za - atakowały stację, rzucając dużo bomb na dworzec a przede wszystkim na

gospodarstwo, położone gdzieś koło Terunia na gospodarstwo należące po-
niedziałek. Drugim takim klientem był kuzyn partyzant Modlanka, który
czynił starania, bym calednik całą grupę jego byłych partyzantów z Kie-
leckiego czy też z Lubelskiego. Wszyscy zostali zadowoleni.

Na wniosek powiatowego prezesa Stronnictwa Ludowego Wasilowskiego
konferencja międzypartyjna wyznaczyła mnie przewodniczącym komisji
specjalnej do walki z nadużyciami gospodarczymi. W czasie pełnienia
tej funkcji między innymi, były rozpatrywane dwie sprawy ważniejsze.
Pierwsza to sprawa spółdzielni w Nowolewie, gdzie z powodu braku
odpowiedniego przygotowania samodelegowanego, kierownik z zakresu społecznego
nie potrafił administrować dość wielkim przedsiębiorstwem, które prze-
rzucało jego możliwości organizacyjne i fachowe. Druga sprawa wynikała
z jakiegoś nieporozumienia pomiędzy kierownikiem szynki w Wąbrzeźnie
a naczelnikiem wydziału sprawozdania zarządu miasta. Oba sprawy za-
kończyły się zdjęciem ze stanowisk kierowniczych ludzi nieodpowie-
dzialnych.

Najwyższą władzę w owym czasie sprawował rosyjski komendant woj-
skowy przy pomocy ppł i urzędu bezpieczeństwa. Przy udziale tego apa-
ratu komenda wojskowa wzięła się w likwidację stronnictwa opozycyjnych
w pierwszym rzędzie największego stronnictwa ludowego popierającego
Włocławczyka. Pod różnymi pretekstami były masowe aresztowania członków
tego Stronnictwa. W niektórych nieodwołalnych wypadkach ludzie ginęli
bez śladu jak np. b. dyrektor gimnazjum w Wąbrzeźnie albo znajdemano
zamordowanego, jak np. por. Bajka, który tuż po wojnie pełnił funkcję
komendanta milicji w Wąbrzeźnie.

Praca moja w tej atmosferze stawała się coraz więcej przykra i obo-
wiednie niebezpieczna. Wyłał m o miłanie pracy i miejsce zamieszkania.
Tymczasem w dalszym ciągu prowadzono osadnictwo repatriantów i prze-
siedleńców, których transporty były przepełnione. Koniecznością niebie-
nia większej pomocy została uruchomiona specjalna stacja dla
dla przyjeżdżających i oczekujących na kolejną podróż. Otrzymałem
również większe fundusze na dojazdowe zapozyci dla podróżnych. W ramach
tej pomocy musiałem udzielić kilkakrotnie zapozyci znajomemu mi z obo-
zu internowanych na Litwie kpt. Lipczyńskiemu, który chory na raka kil-
ka razy jeździł na leczenie do Krakowa. Niestety pomimo starań specja-
listów lekarzy chory zmarł i został pochowany w Bydgoszczy.

Z początkiem 1946 r na kilkakrotną propozycję znajomych mi profe-
sorów: dr Wiktora Schramm z Uniwersytetu Poznańskiego i dr Witolda
Staniewicza b. Zektora Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, podjąłem
decyzję przejścia do pracy w Uniwersytecie Poznańskim. Odejście z naj-
mowanego stanowiska uzgodniłem z władzą zwierzchnią w Bydgoszczy, na

które, polecenie funkcje moją przekazałem Marianowi Michowskiemu, mojemu
bratnowi, który latem 1945 r z łoną wrócił do kraju z Litwy.

W ten sposób z końca marca 1946 r. ukończyłem pierwszy etap mojej
pracy pokojowej. Pełnioną funkcję urzędową traktowałem jako wielce
użyteczną społecznie w owym czasie. Stabilizacja dalszego etapu mojej
pracy, kontaktowała się pod wpływem niepojętego dla mnie piętna jakie
w opinii naszych władz bezpieczeństwo miało pozostawić mój udział w
Armi Krajowej na Białoruszczyźnie. Stało się to ciężką pianą w moim
tycioryszie ratującą na ciąg dalszy mojego życia po wojnie w warunkach
tw. Polaki Ludowej.

15. Pracy pokojowej ciąg dalszy.

Z początkiem kwietnia 1946, na wniosek profesora dr Witolda Sta-
niewicza, podjąłem pracę w Uniwersytecie Łomżyńskim w charakterze
st. asystenta przy Katedrze Ekonomii Rolniczej i Polityki Gospodarczej
- kierowanej przez tegoż profesora. W katedrze wcześniej przede mną
w charakterze adiunkta pracował mój uniwersytecki kolega dr Stanisław
Gdaniński - osobisty, wieloletni asystent profesora w Uniwersytecie
Stefana Batorygo w Wilnie.

Praca ta jak najbardziej mi odpowiadała. Poza normalnymi godzinami
zajęć w katedrze, oprócz pracy naukowej i dydaktycznej, prowadziłem
kilka prac koncepcyjnych, aleconych naszymi szefami przez różne in-
stytucje. prof. Staniewicz miał na sobie doświadczenie w analizie obrotu
produktami rolnymi podejmowaną przed wojną przede wszystkim w odnie-
sieniu do rynku wileńskiego. Przejmowane przez katedrę zlecenia na
opracowanie zagadnień ekonomicznych w dostosowaniu do praktyki orga-
nizacyjnej w ramach gospodarki planowej - profesor przekazywał mi.
Współpracowałem z biurem Planowania Ministerstwa Aprobacji, z biurem
Planowania w Poznaniu, Centralą Węsną w Poznaniu, Wydziałem Ekonomiki
Państwowego Instytutu Naukowego Gospodarstwa Wiejskiego, Prezysłem
Niemieckim i Przemysłem Olejarskim.

Od jesieni 1946 r w porozumieniu z prof. dr Januszem Jagińcem
obecnym dyrektorem Łomżyńskiego - Rolniczej Centrali Doświadczeniowej
w Poznaniu, zostałem zaangażowany do współpracy z tą instytucją, na
stanowisko kierownika działy ekonomicznej. Była to moja praca dodat-
kowa, wykonywana przede wszystkim w godzinach popołudniowych. Stacji
pasa prof. Jagińcem jeszcze na długo przed wojną naukowym działysem
nad rozwojem gospodarstwa i ludności w kraju spotkałem wielu ludzi,
dotychczas pracowników stacji w Wilnie. Wśród nich sąg wydziału przede
wszystkim agr inż. Stanisław Pietraszkiewicz - był dyrektorem, agr
inż. Cecylia Skubockiego z łoną Sofią, agr inż Bronisława Tuchole -

wicem z żoną, Bronią, mgr inż. Ireną Tyszyńską, mgr inż. Bonię Maciejewicz, mgr inż. Aleksandra Chocińskiego i innych pracowników studentów specjalizujących się w ^{inżynierii} ~~inżynierii~~

Stacja ^{lektur} Nauk Rolniczych uzyskała 28 lutego 1947 na podstawie pracy "Elementy Strukturalne Rolnictwa ^{Wielkopolski} Północno Zachodniej"

Do kierownictwa stacji na stanowisko dyrektora Stacji Rada Naukowa wyznaczyła mgr Kazimierza Pietraszkiewicza. Nie był powierzone obowiązki zastępcy dyrektora i przydzielono sprawy gospodary stacji rozpoczętej przez prof. Jaguina.

Wkrótce by o kierownictwo stacją przez mgr K. Pietraszkiewicza. Latem 1948 r. władze bezpieczeństwa, ulegając fałszywym donosom w stosunku do tak zwanej "grupy wileńskiej" aresztowały wielu milnian jednocześnie z mgr K. Pietraszkiewiczem. Wśród aresztowanych znalazł się również generał Krzyżanowski ps. "ilk" - były dowódca wileńsko-nowogródzkiej oddziałów Armii Krajowej. Generał wraz ze swoją sztabą w lipcu 1944 r. był internowany przez czerwoną armię, w czasie koncentracji woznych oddziałów pod Wielkimi Królewakami. Po wypuszczeniu z obozu rosyjskiego przyjechał do kraju i zaczął pracę w roszarni w Stępczynie pod Poznaniem. Po długoletnim pobycie w różnych więzieniach mgr K. Pietraszkiewicz został zwolniony w 1956 r.

Generał "ilk" natomiast przebywając w ciężkich warunkach więziennych spadł na zdrowiu i zmarł w r.

Aresztowaniu Pietraszkiewicza i innych milnian towarzyszyła obstawa lokalu Sekretariatu Stacji Inżynierskiej przez bezpieczeństwo. W przeciągu paru tygodni w lokalu tym także tzw. "Kocioł", to znaczy przychodzących wpuszczano lecz nie wypuszczano aż do ukoniecznienia śledztwa.

W dziejach tej instytucji po wojnie były to wyjątkowo przykre dni szczególnie że sprawcą tego była władza ludowa PRL. W tym czasie sprawy stacji kształtowała telefonicznie z Zakładem Roślin Przemysłu owoch Uniwersytetu Poznańskiego, którego to zakładu kierownikiem był prof. Jaguin. Na prośbę pracowników stacji prowadzących zakolenie w roszarniach na Włocławku, za pośrednictwem sekretariatu zakładu, przodkującym pobyt na delegacji tak długo dopóki trwała penetracja organów bezpieczeństwa.

W kilka tygodni potem Rada Naukowa na stanowisko dyrektora stacji powołała mgr Bronisława Tomalewicza. Ja w dalszym ciągu pozostałem z-ca i byłem głównym inwestorem z ramienia stacji. Na mnie też spadły wszelkie kłopoty finansowe związane z inwestycjami i innymi wydatkami. A było tego nie mało, ponieważ środki finansowe pochodziły z różnych źródeł i nie były ustabilizowane. O różne dotacje trzeba było zabiegać w Ministerstwie Przemysłu Lekkiego, Ministerstwie Rolnictwa i niektórych centralnych zarządach. Od wysokości dotacji, poza utrzymaniem podstawowego personelu, zależała też możliwość prowadzenia inwestycji.

Pierwszego po aresztowaniu mgr K. Pietruszki i innych wzięcia
na polecenie Komitetu Centralnego PZPR został odwołany ze stanowiska
na stanowisko dyrektora zjednoczenia przemysłu rolniczego i
Dobicki znany działacz w organizacjach rolniczych przed wojną przede
wszystkim na linii inżynierii. W czasie okupacji niemieckiej pod ps.
"Janek" dowodził brygadą Armii Krajowej na Wileńszczyźnie i jako do-
wódca trzeciej grupy walczył w walkach o wyzwolenie Wilna.
Jak się okazało służby te w ocenie PZPR stały się wielkim przeciwie-
niem.

Geniec inż. Dobickiego jako rutynowanego fachowca i osoby sagadnie
inżynierskich postaw został wyznaczony do pracy w Stacji. Z wyznacz-
aniem jego wiązały się trudności ze strony Departamentu Kadr Minister-
stwa Przemysłu Rolniczego. Trudności te jednak pokonał dzięki wstawi-
niom przyjaźniących nam ludzi. Od przewodniczącym inż. Dobickiego powo-
żano spotkać kierownika stacji, którego kilka lat temu przesła-
no na podstawy normalizacji wódna i konopi w Polsce. Reagując
w Stacji inż. Geniec Dobicki uzyskał stopień doktora nauk rolniczych.

W celu przeprowadzenia organizacji Stacji, jedynej placówki naukowo
badawczej w kraju, zaczęły coraz wyraźniej akcentować się postulaty do-
tyczące przynależności tej instytucji do schematu organizacyjnego
któregoś z ministerstw. Dyskusje poświęcone temu zagadnieniu trwały
na sesjach Ministerstwa Rolnictwa, Ministerstwa Przemysłu Rolniczego
i Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego. Żaden jednak uzyskano
wspólnie poglądu. Ministerstwo Rolnictwa przejęło inicjatywę w
rozwiązaniu Stacji do swego resortu i powołało na dyrektora inż. Dobickie-
go, dotychczasowego wychowawcę Stacji. Wraz z pierwszym stacją otrzymała pre-
licencję budżetową i środki na inwestycje związane z rozbudową do-
świadczeń rosną, pracowni i laboratorium. W dalszym ciągu peł-
nią funkcje zastępcy dyrektora i przewodniczącego rozbudowę Stacji.

Inż. Dobicki - członek partii *adunony* reprezentująca jego kwal-
ifikacje stanowiskiem placówki naukowo-badawczej, jak tylko mógł stwa-
rzać trudności takim pracownikom jak inż. Dobicki, którego wciąż negła
opinia urebiła przez KC PZPR. Wykazywały i honorowały wielce nie-
przyjemną atmosferę w stosunkach z dyrektorem i jego najbliższymi ludźmi
dr inż. Dobicki zmarł nagle na zawał serca. Ochowany na emigracji Go-
leci kilka w czasie, tam gdzie spędził na wieśno w latach wczes-
niejszych: inż. Czesław Skuchowicki i prof. dr Janusz Jędrzejko - asystent
dla polskiego Instytutu.

Dyskusje na sesjach centralnych nad statutem organizacyjnym Stacji
trwały. O paru letniej przynależności do resortu Ministerstwa Rol-
nictwa na uciążliwych stanowiskach, Stacja czasowo została włączona
do Instytutu Wodociągów w Łodzi. Dyrektorem Stacji został mianowany

mgr Adam Skoczyles, jeden z pracowników naukowych instytutu. Po upływie roku, czyli w końcu 1951 r. Inierako-Konopna Centralna Stacja Doświadczalna, dzięki staraniom przemysłu, szczególnie rossarżniczego, została wyłączone spod opieki Instytutu Włókiennictwa i bezpośrednio podporządkowana Ministerstwu Przemysłu Lekkiego z nowym statutem organizacyjnym pod nazwą jako Instytut Przemysłu Włókien Łkowych.

Zapewnienie stałych środków finansowych stacji a następnie instytutowi w ramach gospodarki planowej, wydatnie sprzyjało wykonawstwu zamierzonych inwestycji, związanych z koncepcją nowoczesnej instytucji naukowo badawczej, nie mającej w kraju w oru do naśladowania. Popółki trzeba rozbudowa instytutu i wyposażenie odpowiednich jego działów w maszyny i urządzenia, dopóty zajmowane przez nie stanowisko s-cy dyrektora do spraw naukowo-technicznych, wymagało wyjątkowych kwalifikacji, nie znajdowało amtorów wśród młodych pracowników, którzy z tytułu przynależności do partii czuli się przedysponowani do kierowania placówką a przede wszystkim zajęcie stanowiska po nie-partijnym. Kiedy jednak Lułowa i urządzenie instytutu zostały ukończone tak, że można było ustalić plan badań naukowych i podjąć normalne wykonawstwo zadań, grupa młodych pracowników nie przebiegając w środkach rozpoczęła działalność mającą na celu opanowanie kierownictwa placówki.

Restrukcją pracy nieliczanej grupy młodych pracowników popieranej i inspirowanej przez PZPR w Ioannaniu sprzyjały kontaktujące się podówczas okoliczności wrogiego i niezasadzonego stanowiska polityki i władz bezpieczeństwa w stosunku do spokojnie pracujących ludzi bezpartyjnych. Brzajowa bezpieka podjęła akcję oczyszczenia instytutu z grupy wileńskiej, zajmującej stanowiska kierownicze i pracowników naukowych. Pracownicy ci, dzięki wieloletniemu stażowi pracy jeszcze przed wojną stanowili tron aparatu naukowego-badawczego w dziedzinie sagadnień Inieraskich.

Akcja ta prowadzona była równolegle do podjętej wcześniej na Uniwersytecie Poznańskim, gdzie gwałtem bez żadnego przewinienia osadzono w więzieniu szereg słynnych profesorów. Wśród nich pomietan przede wszystkim ekonomistów: dr Witolda Staniewicza - kierownika katedry ekonomii i polityki gospodarczej, dr Wiktora Schramma - kierownika zakładu ekonomiki rolnej i dr Edwarda Taylora - s. ydziału prawa ekonomicznego. Jednocześnie przygotowywano grunt do obsadzenia zajmowanych przez nich katedr ludźmi przeszkolonymi w związku Ydziałekia. Personalni pomocnicy katedr jak adiunkci, asystanci, zostali zwolniony z zajmowanych stanowisk a na jego miejsce nowi kierownicy zakładów zorganizowali swoich ludzi, przeważnie studentów z ostatnich lat studiów.

Do aresztowania prof. dr W. Staniewicza wypowiedzenie pracy otrzymali wszyscy pracownicy jego katedry. Jn z zajmowanego stanowiska zostałem zwolniony a dn. 31 maja 1951 i byłem ostatnim, który opuścił katedrę na

wyrażone polecenie działacza wydziału przed upływem terminu wypowiedzenia pracy. W rozprawie za dnia, decydująco swoją decyzją uzasadnił stanowiskiem nowego kierownika katedry, który nie tylko widział zniechęcenie w nakładaniu powołania nowego politycznie destruktoryjnie wpływał na młodych studentów potrzebujących innego wychowania politycznego, niż odbył to jestem ja uczynił jako przeszkodę w rozwoju przedwojennej nauki. Nie oczekując od nowego kierownika katedry przywrócić bezpieczeństwa w naukę zniechęcenie w ciągu dwóch dni oddał klucze do pokoju w którym przebiegało po pobudzeniu umysłowości, wyrażając podjętą pracę naukową.

W ten sposób został stworzony możliwość habilitacji, do której byłam przygotowany. Jego prace habilitacyjne pt. "Gospodarka lądowa w Polsce" przedstawił przed prof. Stanisławem na posiedzeniu Polskiej Akademii Umiejętności, zostały zaakceptowane do druku i opublikowane w sprawozdaniu PAU za 1950 r nr 4 str 231-232. Zaskarżenie PAU na Polską Akademię Nauk, którego dokonano w przednim czasie, towarzyszyły zmiany organizacyjne i personalne, które wyznaczeniu pracy nie sprzyjały.

Zwolnienie z pracy w Uniwersytecie Poznańskim nastąpiło również i na moją prośbę w instytucie. Tutaj, w tym czasie zorganizowanie instytutu i przygotowanie do normalnej funkcji było dziełem dokonany. Stało się to podjęciem sprzyjającą ekspansji dla nierobów i rozrabiaczy, którzy dla osiągnięcia korzyści osobistych mieli nie różnych chęć by osiągnąć lepszą pozycję w instytucie.

Kilka rozrabiaczy nieodpowiedzialna za swoje czyny, nadużywając swoich legitymacji partyjnych i ZMP wystąpiła przeciwko b. dyr. instytutu dawno Skocymłowski, przeciwko mnie i innym członkom procesu nauk na polu rozwoju polskiego inżynierstwa. Kilka wystąpiło przeciwko temu (czasem nikt) "grupie wileńskich", która w atmosferze ówczesnych warunków politycznych była bez uzasadnienia traktowana jako przestępstwo. Zbok groźnych, oskarżeń nie uzasadnionych zarzutów przestępstwa politycznego usiłowane sporządzać zarzuty przestępstwa gospodarczego. W tym celu przy pomocy KW PZPR i wielu innych, które udało się spowodować konieczne dochodzenie przeciwko zarzutom przestępstwa i działalności pracowników instytutu a przede wszystkim przeciwko mi. Do kilkunastu dni dochodzenia, koniecznie w protokole kontrolnym o zawartości kilkunastu stron wyszczególnia przy agentach rozrabiaczy sporządzone przez zarzuty. Na wszystkie zarzuty w ciągu dwóch dni dałem pisemne wyczerpujące odpowiedzi i wyjaśnienia.

Zgodnie z prośbą zarzuty sporządzone przeciwko przestępstwa natury politycznej i gospodarczej, które na celu zorganizowania nowego procesu pokonowego w Poznaniu. Do tego jednak nie doszło. Zarządca instytutu rozstrzygnął, że nie orientował się do zarzutu jako przestępstwa przeciwko oskarżeniu i postępowanie uporczywe. W ciągu mojej pracy w in-

324

- 74 -

Ujawnienia publicznej swej opinii o mnie wystawionej na piśmie przez
 Departament Kadry Ministerstwa Przemysłu Lekkiego wykorzystanym w roz-
 mowie z sekretarzem KW PZPR w Poznaniu a było to już po dojeździe do
 siedziby Komisji i siedzenia na stanowisku sekretarza KW. Na moje pytanie
 jakie to przestępstwo przypisuje mi KW z którego polecenia Departament
 Kadry MPŁ spowodował zwalnianie mnie z pracy w Instytucie, sekretarza KW
 odwołujący a następnie spowodował odpowiednio pismo wyjaśniające, że
 pracując w KW PZPR w Poznaniu nie miałem żadnych naruszeń.

Opierając się na tym dokumencie sądzącym w Departamencie Kadry MPŁ
 by wystawił ~~mi~~ własną opinię o mnie. W związku z tym, odwołując się
 do niego i z niechęcią dyrektor Departamentu, zagrożony przeniesieniem
 wydał na piśmie taką opinię o jakiej ubiegałem się. Drugo jednak nie do-
 głem pogodzić się z tak niskim postępowaniem. KW PZPR w Poznaniu
 i wysoki władz administracji PRL, pretendującej do wysokiego poziomu
 sprawności społecznej, jak to przy różnych okazjach głosił wielo-
 dyktator państwa i partji.

Brak sprawności w postępowaniu władzy państwowej w naszym kro-
 ju potwierdził się również i w innym przypadku w stosunku do mnie. Na-
 dzialono mi gospodarstwo rolne w Redakcyjniku koło Jabrzana, jako re-
 kompensata za pozostawione sienie w Chmielcu koło Włocławka, zostało
 odebrane po 3-letnim użytkowaniu a poniesione nakłady mi spłacono. W
 nie potwierdzony przez mnie przypuszczeniu operacji tej dokonali
 urzędnicy ^{gminny} posługując się częstą praktykowaną metodą kradwki
 i kradwki przez nowego sadnika. I mnie zaś na podjętych po osze cze-
 sty pozostał tylko dokument, wystawiony przez władze ludowe PRL, jako
 świadectwo przysługujące mi rekompensaty za sienie pozostawione za-
 granicą.

- Powice -